

Norbert Dudziński

Wir

Książkę dedykuję córce Joannie

Siedzę przy maszynie do pisania, lekko zgarbiony, na starym drewnianym krześle, tylko palce pracują równo, spokojnie, cicho, prawie bezszelestnie. I ten cichy stukot, może jęk, bardziej stukot niż jęk, cichy krzyk klawiszy, które wystukują słowa na papierze, na białej, jeszcze czystej kartce, moje słowa, może obce słowa, słowa znajome, słowa nieznane, słowa, które tworzą wyrazy, potem zdania, następnie tworzą jakąś treść, jakieś znaczenie, moje znaczenie, obce znaczenie, tego jeszcze sam do końca nie wiem.

Tak naprawdę to nie wiem za dużo o sobie, nie wiem za dużo o historii, którą wpisuję tak uparcie na papier. Nie wiem kim jestem, nie wiem gdzie jestem, nie wiem ile czasu spędziłem w tym pokoju, może celi, może piwnicy, a może w miejscu, które tylko jest w mojej głowie, które musi być tylko w mojej głowie.

Czuję strach, który pojawia się we mnie nagle, a potem nie znika, nie znika szybko, pomimo tego, że chcę żeby zniknął, żeby uciekł ode mnie teraz i nigdy już nie wrócił. Ten strach to jakaś obcość do tego miejsca gdzie przebywam, ten strach to jakaś obcość do tego co robię, co muszę robić – czyli pisać.

Patrzę za okno, wydaje mi się, że za oknem są kraty, za oknem pada deszcz. Deszczu jestem pewien, bo słyszę lepiej niż widzę, krat nie jestem pewien, wzrok mam słaby, serce mam słabe, życie, które jeszcze we mnie jest, też powoli znika we mnie, znika codziennie, znika uparcie, pomimo moich nieudolnych chęci, żeby to znikanie mojego ciała, duszy w jakikolwiek sposób choć trochę opóźnić.

Niekiedy dobiega mnie myśl, jestem pisarzem. Pisarzem znanym, dobrym pisarzem, takim pisarzem, który zrobi wszystko żeby napisać dobrą książkę.

I ta obcość, ta cela, to miejsce, to jest to wszystko, to jest to nic, do którego się zbliżyłem, żeby poczuć się bliżej mojego bohatera,

którego stworzyłem, którego wciąż tworzę w mojej jeszcze nie skończonej do końca książce.

Sztuka wymaga wyrzeczeń, czasami myślę, i ten mój bezruch, to moje zawieszenie, to moje napięcie w głowie, to jest moje jakieś poświęcenie, jakieś cierpienie, które sam sobie wyznaczam, które sam sobie daję, bo tak naprawdę jestem dla siebie tylko cierpieniem, cierpieniem samookreślającym to coś co mam w sobie, to coś co mam w głowie. Jestem cierpieniem nieokreślonym, jestem cierpieniem ostatecznym.

W celi brakuje światła, dobrego, ciepłego blasku, więc słowa, które wystukuję na starej maszynie do pisania, niemieckiej maszynie do pisania, maszynie jeszcze sprzed wojny, to słowa pisane na pamięć. Słowa nieomyłne, bo słowa które ocierają się tylko o ciemność, bo słowa które nigdy nie widziały światła z bliska, są zawsze słowami nieomylnymi, są zawsze słowami ocierającymi się o nieskończoność. Więc piszę wszystko na pamięć, znam dobrze maszynę do pisania, wiem to co może mi ona dać, znam to, czego nigdy mi ona nie da – wolności. Bo wolność zawsze zapisana jest w człowieku, nigdy nie jest zapisana w przedmiotach, zwłaszcza w przedmiotach starych, zwłaszcza w przedmiotach, które otarły się o śmierć, otarły się o wojnę.

A może to wszystko jest tylko jakimś złudzeniem. Może nie jestem znanym pisarzem, jestem nikim. I tylko biorę udział w jakimś eksperymencie. Jestem zamknięty, czuję się zamknięty, chcę być zamknięty. Niekiedy zamknięcie to jedyna wolność która w nas zostaje, gdy usunie się z nas już wszystko, wszystko co ważne, wszystko co nieistotne, wszystko co mogło ocierać się o jakieś marzenia, jakieś pragnienia.

Gdy czuję się źle, gdy czuję się znów taki samotny sam ze sobą, dociera do mnie myśl, mam depresję, a to miejsce to jakiś znany zakład psychiatryczny. I już więcej nic nie zrobię ze swoim życiem, nic nie zrobię ze sobą. I wtedy zazwyczaj pojawia się za oknem słońce, bardziej je czuję niż widzę, to przez słaby wzrok, i wtedy złe myśli gdzieś uciekają i wtedy jestem pewny, jestem jednak pisarzem, pisarzem, który sam sobie stworzył takie warunki do pracy, żeby napisać dzieło swojego życia. A gdy ono już powstanie, gdy książka znajdzie się w księgarniach, potem w myślach ludzi, na

końcu w nominacjach do największych nagród, wtedy, właśnie wtedy, ta cela, ta maszyna do pisania, te złudzenia, to będzie coś niezwykłego, to będzie coś, co może człowiek uczynić, gdy czegoś bardzo chce, czegoś bardzo pragnie. I to coś uczynił właśnie pisarz, to coś uczyniłem ja. I właśnie wtedy pojawią się pochwały, pojawią się oklaski, pojawią się nagrody.

Bo prawdziwa sztuka zawsze ociera się o jakiś niebyt, bo prawdziwa sztuka zawsze ociera się o jakąś nieobecność.

A jak to jest jednak tylko jakiś sen. I ja jestem tylko w jakimś dziwnym śnie, koło jakiegoś snu, mam tylko jakiś obcy sen w sobie. I to pisanie, to tylko senne złudzenie, że moje palce coś wystukują na maszynie do pisania, a tak naprawdę tej maszyny do pisania nie ma, nie ma mnie, nie ma nic wokół mnie, co mogłoby mnie jakoś określić, co mogłoby mnie jakoś obudzić z tego snu.

Ale wtedy otwierają się drzwi i wychodzę na spacer. Rzadko, ale co jakiś czas to robię. Wtedy czuję powietrze koło siebie, ciepłe powietrze, chyba jest lato, może wiosna, a może ciepła, bezśnieżna zima. Tego nie wiem, ale wiem, że mam powietrze koło siebie. I to mnie jakoś uspokaja. Żyję, czuję, oddycham, a więc nie śnię. Wzrok mam słaby, ale węch mam dobry. Na tyle dobry, żeby określić jakoś moją przynależność do rzeczywistości, nie do duszy, nie do snu.

I potem znów wracam do celi, znów wracam do siebie, do pisania. Dużo piszę, całe dnie, całe noce. Goni mnie czas i obawa, że ten czas tracę poprzez sen. Sen prawdziwy, sen kojący moją duszę i ciało. A rano zrywam się znów do pisania, z obawy, że przespałem całe moje życie, że porzuciłem nieświadomie wszystkie moje myśli. Myśli do końca nierozbudzone, myśli do końca nierozproszone przez światło dnia, które powoli wdziera się przez małe okno do celi.

Obudziłem się rano, rano oznacza dla mnie świt, oznacza moment, gdy noc zaczyna się powoli kończyć, a dzień dopiero zaczyna swój tajemniczy taniec, taniec, który nigdy nie wiadomo do czego nowego nas doprowadzi.

Jest zimno, wilgotno, moje ręce powoli naciskają klawisze maszyny do pisania. Trochę jestem jeszcze tam, tam oznacza dla mnie noc, oznacza sen, ale już po chwili znów jestem tu, jestem tutaj, tutaj

oznacza dla mnie nowe wyzwania, wyzwania, które dotyczą tylko książki, dotyczą tylko mnie.

Piszę w pierwszej osobie, bo tak łatwiej mi się pisze. Dla pisarza pierwsza osoba to luksus, pierwsza osoba to tragedia. Luksus, bo to mogę być ja, tragedia, bo to też mogę być ja, na pewno mogę być tylko ja.

Poprzez zimno palce piszą wolniej, palce piszą inaczej. Maszyna do pisania to czuje, czuję to też ja. Lecząc po chwili znów stajemy się jednością, znów jesteśmy jedną osobą, jednym słońcem, jednym dniem. I nagle czuję ulgę w sobie. Już nic nie myślę, jestem sobą, sobą stamtąd, sobą stąd. Jestem historią, która dopiero się tworzy, jestem historią, która za chwilę wymknie mi się spod kontroli i będzie prowadzić mnie sama. Gdzie? Tego nie wiem, tego nie wie nikt. I ta niepewność w tej historii jest najpiękniejsza. Niepewność ocierająca się o jakąś prawdę, niepewność, która nie zna żadnych prawd, nie zna skarg, nie zna żalu, nie zna cierpienia. Nie zna mnie, ale to już jest inna historia, moja historia.

Szedłem z nią za rękę. Jej dłoń była ciepła, miała w sobie jakąś nadzieję, że gdzieś nas ta dłoń doprowadzi. Doprowadzi dalej, niż gdzie sami zamierzamy dojść. Zbliżaliśmy się do jeziora. Tam, w szuwarach, tuż przy brzegu, schowana była nasza łódź.

Weszliśmy do niej, Katarzyna tylko się uśmiechała. Była szczęśliwa. Co ważne, była szczęśliwa ze mną, poprzez mnie, poprzez to, co robiliśmy razem, co robiliśmy osobno.

Wiosła w moich rękach, młodych rękach, pracowały szybko, pracowały sprawnie. Miałem wtedy siły, tak dużo sił miałem wtedy w sobie, potem to się zmieniło, musiało zmienić, tak chciał los, tak chciało przeznaczenie.

Na razie byliśmy młodzi, zakochani, szczęśliwi. Wszystko było przed nami, nic nie było jeszcze tak naprawdę za nami. Za dwa miesiące miała być matura.

Ja i Katarzyna postanowiliśmy, że po maturze pójdziemy na studia, na dziennikarstwo. Pójdziemy tam razem, a potem będziemy szukać ważnych tematów, będziemy o nich pisać, będzie o nas głośno, bo będziemy ludźmi, którzy o coś walczą, walczą o innych. I interesuje tych ludzi tylko prawda, tylko krzywda innych. Bo

krzywda, o której jest głośno, ma inny wymiar i znaczenie, niż krzywda, o której jest cicho, o której nikt nic nie wie, bo nie chce wiedzieć. I my o to nie chce wiedzieć chcieliśmy walczyć, chcieliśmy walczyć za wszelką cenę.

- Jak myślisz – spytała Katarzyna, a jej niebieskie oczy na chwilę straciły cały swój blask, całą swoją pewność – jak myślisz – powtórzyła to myślisz z jakimś lękiem – dostaniemy się na dziennikarstwo? Mamy jakieś szanse?

- Z tobą wszędzie mam większe szanse – odpowiedziałem. – Z tobą nawet ból porażki zawsze będzie miał inny smak i znaczenie. Ale nie martw się, wiem, czuję to, że się dostaniemy tam gdzie chcemy.

- Ufam ci – uśmiechnęła się Katarzyna. – Ufam ci na tyle mocno, że ci wierzę. I wiem, że ty ufasz mi. I to wzajemne zaufanie nas daleko doprowadzi, doprowadzi nas tam, gdzie sami nawet nie wiemy, że możemy dojść. Ludzie, którzy sobie ufają, mogą więcej, ludzie, którzy sobie ufają, czują więcej, widzą więcej.

Dopłynęli do wyspy. Łódź cicho dotknęła piaszczystego brzegu. Wąska ścieżka prowadziła ich do przodu, ale oni wiedzieli gdzie idą, nie bali się zakrętów, zarośli, zbyt pochyłych drzew i ich szorstkich gałęzi, nie bali się niczego. Byli prawie u siebie; niedaleko, na brzegu jeziora, na brzegu tego małego miasta się urodzili, znali tutaj każdy zakręt, każdy skrawek ziemi był im znany, był oswojony przez ich obecność, czasami przez ich długą nieobecność, ale zawsze tutaj byli u siebie, zawsze tutaj czuli się u siebie.

Zobaczyli ruiny zamku, zobaczyli popękane mury, zardzewiałe resztki krat, zobaczyli prawie już połamane baszty, zobaczyli przeszłość, która umierała poprzez zapomnienie.

- O nas też kiedyś ludzie zapomną – westchnęła Katarzyna.

- Dwa pokolenia – rzekłem – dwa pokolenia trwa pamięć o człowieku. A potem człowiek znika i tak naprawdę nikt nie wie, że człowiek mógł coś znaczyć na tym świecie, coś musiał znaczyć na tym świecie.

Weszli do środka. Krętymi, połamanymi, prawie pokruszonymi schodami szli do góry. Trzymali się za ręce. I ten uścisk dłoni, to ciepło, które przenikało ich dłonie, ich ciała, ten żar ich jakoś razem

łączył, jakoś dawał im siłę i nadzieję, że razem mogą wszystko, osobno mogą nic, albo prawie nic.

Usiedli na szczycie wieży. Przed ich oczami rysowało się ciemne jezioro, granatowe jezioro, jezioro pomarszczone jak skóra starego człowieka, bo wiał lekki wiatr, bo coś tajemniczego poruszało jego barwą, jego nasyceniem.

- To nasza mała ojczyzna – Katarzyna ręką odgarnęła krótką grzywkę, a jej blond włosy lekko zadrgały od wiatru, który nagle pojawił się tuż koło niej.

- Ojczyzna, którą już niedługo opuścimy, ale będziemy tutaj wracać, najpierw z przyzwyczajenia, a potem z tęsknoty. Bo czas rozbudzi w nas tęsknotę, tęsknotę za tym co tutaj było, a później już nigdy tego nie będzie w innym miejscu, w innym czasie.

- W innym miejscu, w innym czasie będziemy robić rzeczy niezwykle, więc inność nie musi wcale oznaczać większej tęsknoty, inność może też oznaczać miłe wspomnienia, które zostaną pokryte przez nowe, świeże wspomnienia. Wspomnienia ocierające się o inny czas, inne znaczenie.

- Znasz historię tego miejsca? – spytałem nagle, spytałem tak, jakbym to nie ja pytał ją, lecz jakby to moje myśli chciały tę historię powtórzyć poprzez jej usta, poprzez jej zamysłone oczy.

- Znam.

- Opowiedz mi ją.

- Przecież ją znasz.

- Tak. Ale chcę ją przeżyć jeszcze raz, chcę ją dostrzec dokładnie poprzez twój głos, poprzez twój oddech, oddech daleki, a jednak tak dla mnie bliski.

Katarzyna zamknęła niebieskie oczy, a w jej głowie zaczęło coś się pojawiać, jakieś obrazy, jakieś wspomnienia, jakieś uczucia, a potem otworzyła oczy, przez chwilę milczała i to milczenie miało w sobie jakiś niepokój, jakieś napięcie a potem powiedziała:

- Dobrze. Słuchaj.

Teraz ja zamknąłem oczy, chciałem aby jej głos dotarł do mojej głowy, tam się gdzieś zagnieździł i został tam na zawsze, do końca. Katarzyna umiała opowiadać różne historie, umiała opowiadać je tak, że inni zamierali w bezruchu i ten bezruch był taki słodki, bo nosił w sobie ciepłą niepewność, dziką nostalgię, nosił to, co każdy

chciał widzieć w niej, co każdy chciał widzieć w sobie. Zanurzyłem się w tym głosie, byłem tym głosem, stałem się na chwilę nią, ona na chwilę stała się mną. Byliśmy jednością, jednością doskonałą. Jednością bezimienną.

Hrabia był bogaty, obyty ze światem, widział wiele miejsc, jego oczy często ocierały się o sztukę, czuły sztukę i dlatego Hrabia postanowił ze swojego życia uczynić choć w sposób niewielki małą cząstkę sztuki.

Zamek wybudował na wyspie, miał taki kaprys, a jak wiadomo, kaprysy bogatych ludzi są też kaprysami małych ludzi. Zamek nie był duży, ale był piękny. Obok zamku powstał ogród, labirynt zieleń, a tuż przy ogrodzie powstała wulkaniczna ściana, z kryjówkami dla par, które chciały się tam ukryć przed innymi oczami, podczas balów.

Na zamku często odbywały się bale. Zaczynały się o zmroku. Wtedy przy brzegu jeziora widać było wiele karet. Służba łodziami w kształcie gondoli przewoziła piękne kobiety w sukniach wykwintnych, z pięknymi mężczyznami niekoniecznie majątymi, do wyspy, a tam już było słycać muzykę, która pośród nocy unosiła się po ciemnej toni jeziora.

Podczas balów jasne punkty poruszały się w nocy po jeziorze, to pochodnie w łodziach zaznaczały swój zarys i żar. W ogrodzie, oświetlonym blaskiem pochodni, słycać było pijane śmiechy kobiet, które chowały się przed mężczyznami. Niektóre pary znikwały w wulkanicznej ścianie. Potem kobiety wychodziły z niej z nieporządkiem na głowie, z pomiętymi sukniemi.

Wino stało na stołach, dobre wino. Muzyka wciąż grała, a pary tańczyły, wirowały, kręciły się koło siebie. Hrabia się tylko uśmiechał, był bogaty, czuł się bogaty, wiedział, że bogactwo doprowadzi go tam, gdzie nikt inny wcześniej nie był.

I podczas jednego z balów ją zobaczył. Była szlachcianką, piękną, ale bez pieniędzy, bez majątku. Pokochał ją. Oksana, tak miała na imię. Hrabia przyzwyczajony był do tego, że zawsze dostaje to, co chce. I tak też było teraz. Dostał ją, osaczył ją, Oksana stała się jego obsesją. Obsesją miłosną. Spłacił wszystkie długi jej rodziny,

co pomogło mu wymusić na rodzinie przychylność dla tego małżeństwa.

Oksana zamieszkała z nim w zamku na wyspie. Hrabia był szczęśliwy, aż do momentu, gdy zobaczył jak Oksana wieczorem wymyka się ze swojej komnaty do ogrodu. Gdy poszedł za nią, za jej cieniem lekko przykurczonym w nocy, poprzez noc, zobaczył jak Oksana przytula się do innego mężczyzny. Hrabia krzyknął, mężczyzna uciekł. Potem Oksana tylko płakała. Zamknął ją w komnacie, na początku krzyczał, potem chciał zrozumieć. Myślał, że jeśli zrozumie, coś w środku przestanie go mniej boleć, ale to coś, co było takie bolesne, wciąż niszczyło jego spokój, jego duszę.

Oksana powiedziała, że kocha innego, że będzie kochać tego innego aż do śmierci. Wtedy Hrabia zwariował, bardziej oszalał niż zwariował. Najpierw prosił, lecz gdy Oksana była stanowcza, zamknął ją w lochu. Wciąż prosił, Oksana była nieugięta.

Po kilku dniach Oksana zaczęła krzyczeć, jej bolesny, rozpaczliwy krzyk unosił się po zamku, po jeziorze, w dzień, w nocy. Od tego krzyku zamek zaczął się kruszyć. Pojedyncze fragmenty murów zaczęły odpadać od ścian zamku. Którejś nocy Hrabia, gdy stał przy lochu, gdy Oksana krzyczała głośniejsze niż zazwyczaj, został trafiony w głowę przez jeden spadający głaz. Umarł na miejscu. Krzyk Oksany jeszcze przez chwilę unosił się w powietrzu. Potem zamarł. Spadające głazy z murów zamku zasypały loch. Służba znalazła ciało Hrabiego następnego dnia. Oksany nikt nie znalazł. Loch był sekretny, tylko Hrabia znał wejście do lochu.

Zamek popadł w ruinę. Czas zatarł jego świetność. Już nie było balów, nie było muzyki, nie było świateł cicho poruszających się w nocy po jeziorze. I tylko czasami ktoś ze wsi słyszał rozpaczliwy krzyk kobiety, który w nocy unosił się nad jeziorem, tuż przy wyspie.

Otworzyłem oczy. Niebieskie oczy Katarzyny patrzyły się na mnie z niepokojem.

- Myślisz, że ta legenda jest prawdziwa? – spytała.

- Legendy o miłości zawsze mają jakąś małą część prawdy w sobie.

- Co może oznaczać, że miłość może pokonać czas, może pokonać przeznaczenie – westchnęła Katarzyna.

- Przeznaczenie zawsze możemy pokonać sami – wziąłem ją za rękę i poprowadziłem przez resztki zamku do łodzi.

Potem płynęliśmy cicho po jeziorze. Ja nic nie mówiłem, ona nic nie mówiła. Czasami wydawało mi się, że słyszę cichy krzyk kobiety koło łodzi. Ale to było tylko złudzenie. Może chciałem uwierzyć, może chciałem tak naprawdę usłyszeć krzyk Oksany koło siebie, żeby zrozumieć, że miłość może być nieśmiertelna, może być wieczna. A może nie chciałem nic, chciałem tylko płynąć w ciszy ze swoją miłością do przodu, poprzez coraz ciemniejszą toń jeziora. Zbliżała się noc. Powoli ciemność zacierała wszystkie kształty na jeziorze.

Palce mi drętwieją, może to reumatyzm, może starość, może coś jeszcze gorszego. Co może być gorsze od starości, może przyszłość, może niepewność, może te dwie rzeczy razem, te dwie rzeczy osobno. Może już nigdy nie dokończę moją książkę, nie dokończę jej w takim kształcie i zarysie w jakim planowałem ją dokończyć. Plany, uśmiechnąłem się, plany to coś co może się zdarzyć, a tak w istocie to coś nigdy się nie zdarza, a już na pewno nie zdarza się w takim samym kształcie i zarysie w jakim to coś pierwotnie planowaliśmy.

Jesień, patrzę się za okno, niebo jest jakieś inne, przygaszone, złote. Słońce, miedziane słońce jest zgazzone, przyduszone przez lekko zamglone chmury.

Zaczyna padać. Liście przylepiają się do okna. Całe okno oblepione jest złotem, różnymi odcieniami złota. Po chwili deszcz zmywa liście na dół. Spływają cicho, prawie bezszelestnie.

Zaczynam pisać. Maszyna cicho skrzypi, jęczy. Gumowe nóżki tłumią hałas, zapewniają stabilność mojemu pisaniu. Kartka, biała kartka powoli wypełnia się historią, moją historią, obcą historią.

Nagle wyczuwam, że klawisze się ruszają. Nie wszystkie, tylko trzy. Te trzy klawisze są jakieś inne, nie takie jak pozostałe, lekko przechylają się na dół. Pierwszy to r, lekko się chwieje na bok, drugi to w, ten jest bardziej stabilny, lecz też pod moimi palcami opada na dół, i ten ostatni, to i, klawisz który coś łączy, coś oddziela od sie-

bie. Klawisz, który zespala zdania w całość, a potem te zdania mają swój własny kształt i znaczenie.

Piszę dalej, nie zwracam uwagi na te małe przeszkody. Sztuka, ale ta prawdziwa sztuka, zawsze napotyka na swojej drodze przeszkody. Więc się nie zrażam i piszę dalej. Za oknem deszcz przestaje padać i następuje cisza, ale taka cisza, która nie mówi nic, ale taka cisza, która prawie krzyczy, krzyczy przez swoją obojętność.

Umówiłem się z nią nad brzegiem rzeki, tuż przy lesie. Miała tam na mnie czekać, wiedziała, że się nie spóźnię. Mieliśmy porozmawiać co dalej, czy na pewno dziennikarstwo, czy na pewno razem.

Kochałem ją, ona kochała mnie. Moja pierwsza miłość, jej też. Wszystko dzięki niej było inne, lepsze. Poranek był zawsze świeży, noc bardziej szczerza. Chciałem, żeby to trwało wiecznie, bałem się, że kiedyś to się może skończyć, urwać. Pęknąć jak jakiś dzban, który nagle zostaje upuszczony przez zbyt roztargnionego mężczyznę. Ale coś w środku mi mówiło, że to może być ona, że to musi być ona, ona aż do śmierci. Dzięki niej lepiej spałem, lepiej żyłem. Mocniej czułem to, co może by nigdy do mnie nie dotarło w takim kształcie i zarysie jakim bym chciał to dostać, jakim bym mógł to dostać.

I wtedy ich zobaczyłem. Wychodzili z lasu. Było coś widać na ich twarzach, coś co później zostało ze mną aż do końca – napięcie. Napięcie, które ich niosło do przodu, napięcie przerażające, napięcie paraliżujące. Potem zaczęli biec, szybko, coraz szybciej, coś krzyczeli do siebie.

Poczułem niepokój w sobie, coś zaczęło do mnie docierać, coś nieokreślonego, coś niezrozumiałego.

Zacząłem biec. Krzaki ocierały się o moją twarz. Raniły ją, ale nic nie było w stanie zatrzymać mojego biegu.

I wtedy ją zobaczyłem. Leżała tuż przy brzegu. Jej oczy były otwarte, jakby patrzyła się w niebo, w słońce, w chmury. Ona tak bardzo kochała słońce, chmury, kochała tak, że nie potrafiłaby bez nich żyć.

Wziąłem ją w ramiona. Nie oddychała. Z jej lewej skroni płynęła krew. Pocałowałem ją, przytuliłem, poczułem jak resztki ciepła uciekają z jej ciała. I wtedy już wiedziałem, odeszła. Już nic nie mo-

gło pomóc, ani karetka, ani lekarz, ani coś co ludzie nazywają przeznaczeniem. Odeszła, odeszła w moich ramionach.

Poczułem gniew. Zacząłem biec. Nie pamiętam drogi, nie pamiętam mijanych twarzy, rozmów, śmiechów, krzyku, nie pamiętam nic. Tylko ulice, samochody, światła. I wszystko rozmazane, wszystko nieobecne. Jakies ciche, jakies przytlumione, jakies popękane.

Ocknąłem się na posterunku policji. To była moja pierwsza świadomość. Ocknąłem się, gdy ich prowadzili na posterunek policji, to była moja druga świadomość. Ocknąłem się w szpitalu, w łóżku, to była moja trzecia świadomość.

A potem rozprawa, moje zeznania i coś, czego do końca nie rozumiałem, nie rozumiem aż do dziś, byli wolni. Mieli alibi. Byli wtedy w kinie, pokazali bilety, mieli świadków. Coś we mnie wtedy pękło, uciekło na zawsze z mojej głowy, z mojego ciała. Wtedy zrozumiałem, że nie zostanę już dziennikarzem, zostanę kimś innym. Zemszczę się, sprawię, że życie każdego z nich kiedyś się zmieni, tak jak zmieniło się teraz moje życie. Zmieniło nieodwracalnie.

Pamiętam pierwszą noc po rozprawie sądowej. Po tej rozprawie, po której ich uwolnili. Tyle myśli w głowie, tyle złych duchów krążyło wokół mnie. I wtedy zrozumiałem, że świat dzieli się na ludzi szarych, takich jak ja, i tych, którzy więcej mogą.

Pikero, ojciec adwokat, blondyn nie mógł utonąć już na samym początku swojej drogi.

Kozyra, ojciec burmistrz, gruby nie mógł pociągnąć ojca na dół, przecież nadchodziły kolejne wybory.

Walczak, ojciec komendant policji, brunet nie mógł przeszkodzić karierze ojca, w mieście mówiło się, że następna będzie Warszawa, a tam kariera, może duża, na pewno lepsza niż ta w tej małej mieścinie zapomnianej przez czas, przez ludzi.

Ta noc, pierwsza po rozprawie końcowej, mnie jakoś wtedy ukształtowała, utwardziła. To była długa noc, ciemna noc. Noc przepełniona lękiem, samotnością. Noc niebezpieczna, nieskończona. Taka noc, która zmienia w człowieku wszystko, zmienia cały kształt postrzegania świata, zmienia rzeczywistość w sposób nieodwracalny, w sposób nieokreślony.

Po tej nocy, dwa tygodnie później zdałem maturę i dostałem się na studia. Wyjechałem i nigdy już do miasta swojego dzieciństwa nie wróciłem. Nie mogłem, nie potrafiłem, nie chciałem. Tylko dzwoniłem do rodziców. Myślę, że rozumieli i dlatego to oni mnie odwiedzali, a nie ja ich na Mazurach.

A gdzie wyjechałem? Wyjechałem do Krakowa. Postanowiłem się zemścić, uczynić wszystko, żeby ich życie było jakąś karą, za to co zrobili, karą za to, że nie potrafili się przyznać do swojego błędu, do swojego lęku, który wtedy, nad rzeką ich zaskoczył. Zaskoczył też mnie, bo ja przez nich musiałem zmienić całe swoje życie, a może to tylko życie zmieniło mnie, a to co się wydarzyło, to był tylko pretekst do tej nagłej zmiany. Może tylko miałem inny los sądzony, niż na początku myślałem i tylko łudziłem się, że mogę zmienić swoje przeznaczenie. A przeznaczenia nie da się zmienić, nie da się go oszukać. Ono jest w nas, gdzieś poza nami, gdzieś obok. Jest i czeka. Na nas. Cierpliwie. Z jakąś dziwną obojętnością w oczach.

Pokochałem to miasto od pierwszego wejrzenia, od pierwszego dotyku, od pierwszego zapachu. Miało w sobie to, co ja też miałem w sobie, zatracenie. Kraków, miasto utraconych dusz.

Skończyłem szkołę policyjną w Akademii Krakowskiej na wydziale Bezpieczeństwo Narodowe Wewnętrzne, a potem wstąpiłem do policji. Kilka kursów, zaangażowanie, lata pracy sprawiły, że zacząłem pracować jako ktoś, kto ma kontakt z ludźmi z marginesu. Dochodzeniówka, to brzmi dumnie, dochodzeniówka, to brzmi tragicznie.

Zamieszkałem na Kazimierzu. Stare miasto, głuche miasto, stracone miasto, dla tych, którzy nie potrafią się w nim umiejętnie odnaleźć.

Jeden pokój, kuchnia, łazienka, kamienica. A w kamienicach, jak wiadomo, wszystko ma inny wymiar i znaczenie. Wysokość, tak, wysokość mnie zawsze w tym mieszkaniu zaskakiwała, w dzień, w nocy. Sufit miał wkomponowane stare belki, belki rzeźbione, belki malowane. Na podłodze był parkiet, stare drewno zawsze cicho płakało, gdy wracałem nad ranem do domu. Skrzypienie przypominało mi, że jeszcze żyję, że jeszcze coś czuję.

Miałem takie dni gdy uciekałem w miasto, żeby zapomnieć o Katarzynie. Wychodziłem, piłem, wracałem, zasypiałem. I te sny w nocy, sny niezrozumiałe, sny bezsensowne. Takie sny, które rano stają się tylko mgłą, tylko zatraceniem.

Spojrzałem za okno, dochodził wieczór. Gwiazd jeszcze nie było widać, ale były już, już. Spojrzałem na zegarek, dochodziła 21.00. Wyszedłem z mieszkania, zamknąłem drzwi, potem był zgrzyt zamka, skrzypienie schodów i wyszedłem na ulicę. Poszedłem w kierunku Placu Nowego. Gdy tam doszedłem zobaczyłem tłum ludzi – turyści, studenci, miejscowi, twarze, które wierzą, że ta noc będzie inna, będzie wyjątkowa.

Wszedłem do pierwszej lepszej knajpki, zamówiłem piwo. Usiadłem przy barze. W tle grała muzyka. Poczułem się lepiej, odprężenie powoli docierało do mojej głowy. Ta praca, pomyślałem, ta praca mnie niszczy. Niszczy we mnie to, co mam najlepsze w sobie, współczucie dla innych.

Jak wcześniej mówiłem, miałem takie dni, gdy uciekałem w miasto, żeby zapomnieć, i to był jeden z tych dni.

Czas płynął, ja płynąłem. Zmieniłem miejsce. Inny bar, inni ludzie, inne twarze. Ten sam rozgardiasz wokół mnie. To samo nieuporządkowanie.

I wtedy go zobaczyłem, siedział przy barze, tak jak ja. Sam. Był taki obcy temu miejscu, tym ludziom. Poznałem go od razu. Znałem go z telewizji, z teatru.

Podszedłem do niego, spytałem czy mogę się dosiąść, pozwolił.

- Andrzej Rakowski? – spytałem, choć znałem dobrze odpowiedź.

- Ten sam – odparł Rakowski.

- Marek Kozioł.

- Miło mi. Czemu samemu pijesz?

- Mogę cię spytać o to samo.

- Prawdziwi mężczyźni zawsze piją samemu – rzekł Rakowski. – Zaliczasz się do takich mężczyzn?

- Zaliczam się do ludzi, którzy potrafią żyć w ciemności, żyć z ciemnością na co dzień.

- Ciemność – uśmiechnął się Rakowski. – Ciemność jednych niszczy, innych wyzwala. Jak jest z tobą?

- Mam pracę w której wciąż ocieram się o ciemność, o strach, o zatracenie. Ciemność nie jest najgorszą rzeczą z którą muszę żyć każdego dnia.

- Za ciemność – rzekł Rakowski.

Stuknęli się szklankami. Zimne piwo, ciepła muzyka, lekki dreszcz w środku rozbudził ich oczy na chwilę.

- Znany aktor, sam – zdziwiłem się.

- Czy jeszcze aktor, tego nie wiem.

- Nie rozumiem.

- Straciłem dar grania. Kiedyś grałem instynktownie, nie musiałem wcale grać, wychodziłem na scenę i byłem tym, kim miałem być w danym momencie. Byłem prawdziwy, publiczność mi wierzyła, publiczność mnie kochała. Czułem instynktownie jak mam grać. Teraz – Rakowski się zamyślił – teraz – powtórzył to teraz jeszcze raz, lecz był w tym drugim teraz jakiś ból, jakieś cierpienie – gram jak duch. Błędę, nie wiem co mam mówić, jak mam swoją rolę grać. Jestem oszustem, ludzie to czują. Boję się patrzeć innym aktorom w oczy gdy gram, bo czuję strach przed słowami, które za chwilę powiem, czuję strach, bo wiem, że wypowiem je źle, nieprawdźwie.

- Wciąż jesteś gwiazdą w teatrze, w telewizji.

- W telewizji jeszcze tak, w serialach gra się inaczej. Tam nie potrzeba takiej wyobraźni jak w sztuce, na deskach teatru. W serialach gra się odruchami i mnie na razie te odruchy wystarczają. Ale kiedyś producenci zauważą fałsz w moich ruchach, słowach, gestach. I będę skończony. W teatrze już jestem skończony, w telewizji jeszcze nie. Jednak to tylko kwestia czasu. Czas – zamyślił się Rakowski – dla niektórych czas to zbawienie, dla innych czas to groźba. Groźba, która nieubłagane zbliża nas do klęski.

- Masz tylko kryzys, wyjdiesz z niego. Wielcy aktorzy, znani aktorzy, często mówili w wywiadach o swoich klęskach, upadkach. Wszystko można pokonać, jeśli człowiek jest wystarczająco długo cierpliwy.

- Życie to gra, gra to życie – westchnął Rakowski. – A ja, gdzie jestem ja, pewnie gdzieś pośrodku. Ani tu, ani tam. Od życia jestem

zbyt daleko, a od grania w teatrze jestem jeszcze dalej. Boję się wychodzić na scenę. Wszystko w środku mi mówi, że kolejna sztuka, to będzie moja kolejna klęska. I tak z pewnością będzie. Recenzje mam coraz gorsze. A najbardziej mnie boli, że krytycy tym razem mają rację. Umarłem jako aktor, a mimo tego wciąż muszę żyć jako aktor.

- Znajdziesz jakieś rozwiązanie. Może odpocznij, może gdzieś się schowaj, może przestań grać na chwilę i wszystko do ciebie wróci. Pewnych rzeczy człowiek nigdy nie traci. Jeśli ktoś ma talent, a ty z pewnością go masz, to on wciąż jest w tobie, ale pewnie czuje się zmęczony tobą, twoimi wyborami, rolami, po prostu daj mu odpocząć, niech świeżość znów wróci do ciebie wraz z twoim talentem.

- Może masz rację – uśmiechnął się Rakowski. – Cieszę się, że cię właśnie dzisiaj spotkałem.

- Czasami trzeba mieć szczęście, żeby w odpowiednim czasie, w odpowiedniej chwili trafić na kogoś bliskiego, na kogoś ważnego w życiu, kogoś, kto być może zmieni nasze życie na lepsze, na inne.

- Napijmy się – rzekł Rakowski.

I napili się. I pili aż do rana. I pili, gdy zostali wyrzuceni z baru, pili na bulwarach Wiślanych, tuż przy Wawelu. Patrzyli się na Wisłę, na łabędzie, na statki teraz milczące, teraz uśpione. I dzień się budził, i słońce pierwszymi odbłaskami dotykało rzeki, i ludzie zaczęli wychodzić z psami na poranne spacer, i była cisza, i była jakaś nostalgia w ich oczach.

- To piękne – westchnął Rakowski – że czasami człowiek ma czas, żeby tak spokojnie posiedzieć sobie do rana. Żeby zobaczyć jak dzień wstaje, tak powoli, żeby poczuć to poranne rozbudzenie światła w sobie.

- To niezwykle, że czasami człowiek, może z innym człowiekiem zauważyć czas, który nagle się zatrzymał. I poprzez ten czas zauważyć siebie. Siebie w tym zatrzymanym czasie. Bo teraz już nikt nie zauważa czasu. Czas jest, ale ucieka tak szybko, że nikt go nie zauważa, bo po co, skoro za chwilę go już nie będzie, nie będzie w takim kształcie i wymiarze w jakim powinien być.

- Czas iść do domu – Rakowski wstał.

- Czas uciec w sny. Sny, które rano, tuż po przebudzeniu będą nieistotne, rozmazane. Po alkoholu sny zawsze są nieistotne, rozmazane.

Pożegnali się, uściskali się, poszli w różnych kierunkach do domów.

Wiedział, że to nie jest do końca jego sprawa, ktoś inny ją prowadzi, ale był akurat w pobliżu, i to w pobliżu go jakoś zachęciło żeby tam pójść, choćby zajrzeć tam na chwilę.

Ulica Świętego Jana, centrum miasta, w pobliżu Feniksa, bar kawowy Rio obok i kamienica, gdzieś pośrodku ulicy, schody, klatka ciemna, popękana, farba po cichu schodziła na dół, w przeszłość, i ten zgrzyt pod nogami, zgrzyt niecierpliwy, i metalowe poręcze, w których czas się kiedyś zatarł, zatrzymał i w końcu drzwi, na ostatnim piętrze, drzwi masywne, prawie jak brama, jak jakieś utracone wrota.

Zapukał, wszedł. W środku policja, milczące twarze. I ten szelest pracujących rąk, szelest tak dobrze mu znany, szelest, który uzależnia, każdego dnia, każdej nocy.

- A, to ty – Komisarz Rawicz podał mu rękę, a była to ręka człowieka silnego, człowieka, który wiele widział, wiele mógł.

- Kradzież? – spytał Komisarz Marek Koziół.

- Tak. I tak w biały dzień, i tak bez żadnych obaw, że coś pójdzie nie tak. To zawodowcy.

Komisarz Koziół spojrzał uważnie na mieszkanie. Puste ściany, na nich ślady po obrazach, brak mebli, tylko podłoga, stara drewniana podłoga, i żyrandol, bardziej lampa niż żyrandol, ale jaki żyrandol. Małe diamentowe światła mieniły się w blasku dnia za oknem.

- Wszystko ukradli? – spytał Komisarz Koziół.

- Wszystko, oprócz tego – Komisarz Rawicz prawą ręką wskazał fortepian stojący na środku pokoju, pokoju drugiego, pokoju dużego, pokoju, do którego Komisarz Rawicz miał kilka metrów, tylko kilka metrów, gdyby pokonał ozdobne drzwi, drzwi które były pomiędzy, pomiędzy czymś, co tutaj kiedyś było, pomiędzy czymś, co tutaj jeszcze zostało.

Przy fortepianie siedział starszy mężczyzna, siedział ze spuszczoną głową. W jego oczach, w kącikach jego źrenic wisiały łzy.

I nagle palce tego mężczyzny otarły się o klawisze fortepianu. Coś pojawiło się w powietrzu, jakiś dźwięk, jakaś melodia, ale jaka to była melodia.

Komisarz Koziół zamknął oczy. Gdzieś to słyszał, skąd to znał. To Chopin, przypomniał sobie. Jakaś sonata, jakaś nostalgia była zawieszona w tej sonacie.

Zobaczył w tej muzyce niebo, niebo nad miastem, niebo lśniące wśród dźwięków miasta, niebo bezkresne, niebo wieczne. A potem, w tym niebie, zobaczył las, drzewa, a nad tym lasem żółte światło, i znów ciemne zarysy chmur, które wyglądały jak góry, jak szczyty gór, które żyją tutaj od stuleci.

Komisarz Koziół otworzył oczy. Zobaczył, że mężczyzna wciąż gra na fortepianie Chopina, a łzy powoli przywierają mu do policzków.

- To kolekcjoner – nagle rzekł Komisarz Rawicz. – Miał dużo obrazów, cennych obrazów. Popatrz na spis tych obrazów.

Komisarz Koziół spoznał na białą kartkę. Malczewski, Mehoffer, Siemiradzki, Kossak, Chełmoński, Fangor, Grottger, Witkacy, Fałat i inni.

- Same znane nazwiska.

- Tak. Meble też miał zabytkowe, wszystko ukradli. Tylko fortepian zostawili.

- Jak to zrobili, w ciągu dnia, skąd wiedzieli, że go nie będzie?

- Firma. Przeprowadzki. Ubrani byli, jakby byli z jednej firmy. Trwało to pewnie jakiś czas, ale było ich kilku. Spieszyli się. Tak powiedzieli sąsiedzi.

- Domyślasz się, kto to zrobił?

- Podobno jest ktoś, kto rządzi tym miastem, jeszcze nie wiem kto, ale się dowiem.

- No, to powodzenia – Komisarz Koziół podał mu rękę i wyszedł z mieszkania.

Za nim wciąż grała muzyka. Muzyka pełna bólu, muzyka pełna zatracenia.

Wyszedł na ulicę, ruszył w kierunku Rynku. Po prawej stronie zauważył Bar Kawowy Rio, stara krakowska kawiarnia, a na zewnątrz siedzieli mężczyźni, starzy ludzie, ludzie doklejeni do minionej epoki, artyści, aktorzy, śpiewacy.

Wszedł do środka, a tam obrazy na ścianach. Młoda dziewczyna, piękna dziewczyna o urodzie Paryżanki uśmiechnęła się do niego. Zamówił kawę, dobrą kawę i wyszedł na zewnątrz. Usiadł przy stoliku, obok grupki mężczyzn. Spojrzał na nich uważnie, byli inni, inni niż ta epoka. Barmanka przyniosła mu kawę, podziękował jej lekkim skinieniem głowy.

- Lubi pan kawę? – spytał go mężczyzna siedzący na skraju stolika, siedzący obok grupy zamyślonych mężczyzn.

- Tak. Lubię rzeczy, które mnie relaksują. Mam pracę, która ociera się o zniecierpliwienie, a kawa mnie uspokaja, daje mi jakąś namiastkę ciszy.

- Mogę się dosiąść?

- Proszę – rzekł Komisarz Koziół.

- Ma pan twarz kogoś wyjątkowego, kogoś, kto niczego się nie boi. I te oczy, oczy, które dużo widziały i jeszcze dużo więcej zobaczą, niekoniecznie dobrego.

- Skąd pan to wie? – uśmiechnął się lekko zmieszany Komisarz Koziół.

- Jestem aktorem, byłem – szybko poprawił się mężczyzna. – Ten zawód wymaga uwagi, koncentracji, dostrzegania rzeczy, których inni nie dostrzegają. Im lepiej to człowiek robi, tym lepszym jest aktorem. A ja byłem niezłym aktorem. Aktorem teatralnym.

- To jakaś różnica? Być aktorem filmowym, czy aktorem teatralnym?

- Aktor teatralny częściej ociera się o sztukę, aktor filmowy częściej ociera się o niedopasowanie.

- Bycie aktorem to dotykanie uczuć, dotykanie tego, czego normalnie osoba nie jest w stanie dotknąć – odmienności. To ciągłe przebywanie w innym ciele, obcym ciele. Przebywanie na tyle długie, że czasami sami nie wiemy, kim naprawdę jesteśmy.

- Był pan kiedyś aktorem? – spytał mężczyzna.

- W szkole. Dawno temu. Grałem w teatrze szkolnym. To było ciekawe doświadczenie. Nauczyłem się wtedy mówić rzeczy, które normalnie bałbym się mówić w rzeczywistym świecie.

- Kiedyś to byli aktorzy... – zamyślił się mężczyzna. – Kiedyś to było życie...

- Co oznacza kiedyś? – spytał Komisarz Koziół, a jego oczy przybrały blask zaciekawienia.

- Dawniej aktorzy mieli klasę, mieli styl. Jak grali, to na całego, nic innego wtedy nie miało znaczenia. Jak żyli, to na całego, nic innego wtedy nie miało znaczenia.

- Niech pan coś powie o tym dawnym, prawie już zapomnianym życiu.

- Był taki klub aktora Spatif, przy placu Szczepańskim, tuż koło Teatru Starego. A w tym klubie był drewniany stół, stół przy którym mogli siedzieć tylko wybrani. Gdy ktoś przypadkowo tam usiadł, kierownik klubu go grzecznie wypraszał, sugerował inne miejsce. Ten stół miał być zawsze wolny.

- Dlaczego?

- To był stół dla wybranych. Stał tuż przy barze, tuż przy oknie. Przychodzili tam aktorzy Teatru Starego. Przy nim pili, przy nim odreagowywali emocje, niekiedy przychodzili jeszcze z makijażem, zaraz po przedstawieniu i tam, przy tym stole, uciekali od emocji wciąż przylepionych do ich twarzy. To było życie, to było zatrącenie.

- Codziennie tam byli?

- Często tak. Mieli pieniądze, grali w teatrze, grali w filmie, grali w teatrze telewizji. Liczyło się tylko życie, liczyła się tylko sztuka. A jak pan sam wie, życie to sztuka, sztuka to życie. Wszystko się zaciera, łączy, zwłaszcza po alkoholu. Kto tam nie przychodził. Największe nazwiska... – oczy mężczyzny uciekły w przeszłość, w daleką przeszłość, przeszłość do końca jeszcze nie zakończoną.

- To było życie – uśmiechnął się Komisarz Koziół.

- Organizowano tam bale, niekiedy w piwnicach pod restauracją. Człowiek wiedział, kiedy tam wchodził, nigdy nie wiedział, czy jest tam wciąż, czy już wrócił do siebie, do domu. Niektórzy mieli blisko, mieszkali tuż nad Teatrem Starym.

- Teraz żyje się inaczej. Kiedyś liczyła się sztuka, teraz liczy się życie, dobre życie.

- Pamiętam, jak kiedyś do Krakowa przyjechała wycieczka znad morza, a przedstawienie w teatrze się nie odbyło. Spotkaliśmy ich pod teatrem. Byli załamani. Wzięliśmy ich wtedy do Spatifu, jedli z nami, pili z nami, a na końcu, gdy byliśmy już wystarczająco z nimi

zaprzyjaźnieni, zagraliśmy im fragmenty sztuki, tam, w klubie. Jacy byli wtedy szczęśliwi.

- Jaka to była sztuka?

- Zbrodnia i kara. Gdybyśmy im wtedy tego nie zagrali, popełnilibyśmy straszną zbrodnię – zaśmiał się mężczyzna.

- Ciekawie pan opowiada, gdy pan mówi o przeszłości, pana oczy wtedy żyją, błyszczą, płoną jak ogień w lesie, w nocy.

- Zapijaliśmy w tym klubie sukcesy i porażki. Czasami, gdy szliśmy do taksówki, kelner siedł za nami z tacą, a na tacy były kieliszki z zimną wódką. Lubili nas kelnerzy. Dzięki nam czuli, że żyją, że żyją inaczej, lepiej. Wtedy życie było szare, kraj był szary, a to, co myśmy robili sprawiało, że rzeczywistość nabierała innego wymiaru, innego kształtu, i ci, którzy byli w pobliżu nas, też żyli inaczej, też żyli poprzez nas ciekawiej. Kto tam do nas nie przychodził...

- Kto?

- Muzycy, kompozytorzy, malarze, policja, czasami zwyczajni ludzie, którzy potem stali się niezwykajni, i teraz ich tylko widać w telewizji, gdy krzyczą, gdy kłócą się, gdy chcą udowodnić innym, jacy są wyjątkowi, a tak naprawdę są tacy, jacy byli wtedy, załęk-nieni, samotni, pełni wiary, że władza czyni człowieka lepszym, mocniejszym. A władza, jak sam pan wie, nie czyni nikogo lepszym. Władza uzależnia, wydobywa z człowieka najgorsze rzeczy.

- Coś na ten temat wiem. Czasami ocieram się o ludzi, którzy mają władzę, albo wydaje im się, że mają władzę.

- Czasami łądowniśmy w Klubie Dziennikarzy Pod Gruszką. Tam kończyliśmy dzieło niedokończone. Tam zawsze ocieraliśmy się o niepamięć przy dźwiękach muzyki z fortepianu.

- Kto grał na fortepianie?

- Ten, kto potrafił. A było tam wielu, którzy potrafili – kompozytorzy, muzycy, czasami aktorzy. I były to chwile niezwykle, i były to chwile utracone. Czasami niebezpieczne. A jak pan wie, człowieka najbardziej bołą chwile niebezpieczne, bołą, bo są najbardziej wciągające, bołą, bo są najbardziej uzależniające.

- Kocha pan wspomnienia, przeszłość?

- To przeszłość kocha mnie, dlatego, że oddałem jej całe swoje życie, całą swoją młodość. A młodość, jak pan wie, zawsze ociera się o jakąś miłość, zawsze ociera się o jakieś zatracenie.

Kim naprawdę jestem? Ja to ja, ja to Komisarz Koziół. A może jestem tym i tym. A może najbardziej jestem zemstą. Tylko zemstą. Zemstą całkowitą. Mogę palić, zabijać, niszczyć. Mogę pozwolić żyć tym, którzy powinni umrzeć. Umrzeć za coś, co zmieniło moje życie, co zmieniło ich życie. Mogę też sprawić, żeby ich życie stało się koszmarem. To wszystko mogę, a tak naprawdę nic nie mogę. Jestem tylko pisarzem, który pisze w osobie pierwszej, jestem tylko pisarzem, który pisze jako Komisarz Koziół. A może jestem nikim, niczym. Bardziej niczym, niż nikim. A może jestem tylko pustką i przemierzam świat poprzez puste ulice, poprzez puste, obojętne twarze.

Czasami się zastanawiam, zastanawiam w długie, męczące noce, bezwzględne noce, kto bardziej pragnie zemsty, ja czy on? Dla kogo zemsta jest ważniejsza, dla mnie czy dla niego? Kogo zemsta wyzwoli, mnie czy jego?

Ja Komisarz Koziół, ja pisarz siedzący samotnie w celi, pustej celi, ja pisarz znający tak dogłębnie smak i zapach samotności, kim jestem? wciąż się gubię.

Może jestem tylko zemstą, samą zemstą. Niektórzy powiedzą, ci mądrzejsi ode mnie, słodką zemstą, bo zemsta też może mieć zapach i smak, zwłaszcza dla tych, których ta zemsta dotyczy. Może tak naprawdę mogę być w końcu mojego bezwzględnego życia tylko zemstą. A może zemsta to ja, bezwzględne ja i tylko poprzez zemstę mogę słyszeć, nawet bardziej dostrzec niż słyszeć swój ból, swój płacz, czasami gniew.

Niektórzy mówią, ci co lepiej czują życie niż ja, że zemsta może wyrażać się poprzez płacz i nic innego się nie liczy, i nic innego nie ma znaczenia.

Wszystko mi się miesza w głowie, dni, miesiące, może lata. Widzę tylko czas, czas zaklęty w książce, którą teraz piszę. Palce mi drętwieją, w celi jest zimno, serce mi drętwieje, w duszy wciąż jest zimno, myśli też mi drętwieją, głowa jest pusta, w niej też jest przeźrały mróz od dłuższego czasu.

Podchodzę do okna. Patrzę się w niebo. Chmury zimne, obce, w powietrzu widzę śnieg. Białe, lekki, roztańczony śnieg. W mojej głowie pojawia się myśl, pojawia się skrawek zdania.

Oprócz zemsty ważniejszy jest tylko gniew. I tylko poprzez gniew mamy szansę na inne uczucia, na lepsze uczucia, na nowy, lepszy świat.

Wracam do pisania. Palce znów wystukują tekst na maszynie do pisania. Czuję ulgę, jakąś dziką radość. Tworzę zdania, tworzę nowe życie w mojej głowie.

A ja wciąż nie wiem, czy gniew dotyczy tylko mnie, czy gniew dotyczy również, a może zwłaszcza Komisarza Koziola.

Forty Kleparz, Kamienna, więzienie Montelupich. Park tuż obok. Słońce odbijające się od zaciemnionych okien więzienia. Zgrzyt szyn tramwajowych, krzyki pijących ludzi w parku.

Komisarz Koziół wszedł do więzienia. Ciche, zimne korytarze. Stukot, bardziej pisk niż stukot jego butów po chłodnej podłodze. Jęk otwieranych drzwi, jęk zamykanych drzwi. I te oczy, oczy puste, obojętne, pełne jakiejś dziwnej rezygnacji.

Komisarz Koziół rozejrzał się po celi. Na półkach leżały książki.

- Nie każdy ma tyle książek co ty – stwierdził, bardziej spytał niż stwierdził Komisarz Koziół.

- Tak, dużo czytam – oczy Waldka miały w sobie jakieś dziwne napięcie.

- Za to, co zrobiłeś, należy ci się jakaś nagroda.

- Jestem człowiekiem, nie zwierzęciem. To, że obok mnie żyją zwierzęta, nie musi oznaczać, że jestem jednym z nich.

- Uratowałeś życie strażnikowi, gdyby nie ty... – zamyślił się Komisarz Koziół. – Zmieniłeś życie jego, zmieniłeś życie swoje.

- Zawsze działam instynktownie. Teraz też zareagowałem tak, jak mi instynkt podpowiedział. Nie kalkuluję, nie oceniam, żyję, decyduję, a potem płacę za to wszystko należną cenę, cenę jaką wyznacza mi samo życie. I dlatego teraz tutaj jestem...

- Jesteś tutaj, bo jesteś hazardzistą. Jesteś tutaj, bo przez swoje uzależnienie zrobiłeś coś złego. Instynkt ci podpowiedział, że musisz okraść ten dom?

- Instynkt mi podpowiedział, że jeśli tego nie zrobię, to mnie zabiją. A ja chcę wciąż żyć. Chcę żyć pomimo moich słabości, złych słabości.

- Nie zdradziłeś ich. Nie chciałeś, nie mogłeś?

- Przecież pan wie, o co toczy się ta walka. Przecież pan wie, że zrobiłem to, bo musiałem to zrobić, żeby spłacić choć częściowo swoje długi.

- Zapożyczyłeś się u złych ludzi. Co będzie, jak wyjdiesz?

- Nie wiem. Hazard mnie tutaj doprowadził. Postawili mnie pod ścianą, musiałem im pomóc w tym włamaniu. Takim ludziom się nie odmawia. Niestety, mnie złapali. Ja mam u nich dług, oni też mają wobec mnie dług, bo ich nie wydałem. Nie wiem jak to się kiedyś skończy. Teraz skupiam się na czytaniu książek. Wie pan, dlaczego je tak zachłannie czytam?

- Nie.

- Kiedy czytam książki, nikt mnie nie goni. Nie muszę się nigdzie chować, nie muszę nigdzie uciekać.

- Czytanie to wędrówka duszy poprzez czas – uśmiechnął się Komisarz Koziół.

- Dzięki panu mam te książki.

- Dzięki mnie też. Ale uratowałeś życie strażnikowi. Inni też chcą ci jakoś pomóc. Ale ja przyszedłem w innej sprawie – Komisarz Koziół zbliżył się do twarzy Waldka.

- Słucham.

- Jesteś hazardzistą. Znasz to środowisko – szepnął Komisarz Koziół.

- Znam. Ludzie uzależnieni przyciągają do siebie innych uzależnionych ludzi. Łatwiej się żyje, gdy nasze szaleństwo odbija się w oczach innych szalonych ludzi.

- Kozyra. Znasz go? – Komisarz Koziół lekko zmrużył swoje węglowe oczy.

- Znam.

- Ale to, o czym teraz rozmawiamy zostaje między nami. Rozumiesz?

- Tak.

- Ja ci pomogę, ty mi też trochę pomożesz. Postaram się trochę skrócić twój wyrok. I książki, będziesz miał więcej książek do czytania niż inni.

- Co chcesz wiedzieć?

- Powiedz coś więcej o jego słabości.

- Kozyra gra tylko w konie. Interesują go wyścigi konne. Jeździ często do Warszawy. A jak nie jeździ, to ogląda je w telewizji. To cwaniak.

- Cwaniak?

- Ma wtyki w Warszawie. Ktoś pracuje przy wyścigach. Ktoś, kto jest blisko koni, dżokejów daje mu cynk. I często dzięki temu wygrywa.

- Jak obstawia?

- Zawsze grubo. Już nie raz się ślizgnął. Też pożycza od złych ludzi. Do tej pory oddawał wszystko co pożyczył. Ale to taki typ człowieka, który może poświęcić wszystko, żeby zaspokoić swój nałóg. Dlatego jest ciągle sam.

- Dasz mi namiary na tego doradcę w stajni, na tego kogoś kto pracuje przy wyścigach.

- Dam – Waldek coś napisał na kartce. – To jego nazwisko. Mówią, że ma kochankę, żona nic nie wie.

- Żona, kochanka, to może mieć swój wydzwitek w przyszłości.

- Dziękuję za książki. Dzięki nim mam ciekawe sny, sny, które ocierają się o przeszłość. Wie pan, co mi się ostatnio śniło?

- Nie.

- Jakieś stare miasto. Może Kraków, może nie. Jakiś rynek, może Sukiennice, może nie, stare drewniane stragany doczepione do murów miasta, a w nich ludzie, wódka, piwo. Ludzie kupują, piją, idą dalej. Jakieś mosty, może Wisła, może nie, mosty z kłódkami, łańcuchami, jakieś kramy, drewniane, a tam handel, wszystkim, nawet życiem ludzkim, jakieś kamienice, stare schody drewniane, ciemne drzwi, jakieś mieszkanie, a potem pojawił się we mnie strach, musiałem uciekać, coś mnie goniło, ktoś mnie gonił, ciągle czułem zły oddech za sobą. Uciekam, wąskie uliczki, korytarze kamienic, piwnice, ludzie zmęczeni przeszłością, ciężkim życiem i wybiegam z miasta. Brama się nagle zamyka za mną, chcę wrócić, ale nie mogę. I wtedy się nagle budzę, budzę tutaj...

- To dziwne.

- Sny zawsze ocierają się o jakiś obłąd. I my, nieświadomie, musimy w tym obłądzie uczestniczyć.

- Żegnaj, Waldek. Pamiętaj, tej rozmowy nigdy nie było.

- Pana tutaj nigdy nie było – lekko, prawie sztucznie uśmiechnął się Waldek. – Moje życie to sny, to złudzenia. A pan, jest tylko kolejnym złudzeniem w moim życiu.

Konie pędzą coraz szybciej, zbliżają się niczym błyskawice do mety. Trybuny krzyczą, trawa spod kopyt ucieka w nieznane. Dżokeje mają naprężone twarze, sztuczne twarze. Coś krzyczą, lecz jest to krzyk bólu, nadziei, nadziei przepełnionej bólem.

Huragan dobiega do mety, jego ciało powoli zwalnia, a potem niewidzialnie zastyga. Koń jest zmęczony, dżokej też.

Kozyra targa białą kartkę. Wrzuca ją do pobliskiego śmietnika. Jego oczy są zmęczone, złamane jakimś bólem, coś w nim po raz kolejny pęka. Pęka tak, że znów będzie miał problem, jak to pęknięcie poskładać na nowo, zlepować coś nowego, może lepszego.

Wychodzi z wyścigów. Służewiec, myśli, Służewiec to moje piekło od którego nie mogę się uwolnić.

Zamawia taksówkę. Jedzie na dworzec. Jedzie w milczeniu, w jakiejś pogardzie do siebie samego.

Znów przegrałem, myśli, przegrałem nie swoje pieniądze. Pożyczone pieniądze. Co im teraz powiem, jak im spojrzę w oczy. Nie zrozumieją. Ci ludzie niczego nie rozumieją. Mają inne słabości niż on, inne nałogi. To źli ludzie. To ludzie, którzy zawsze docierają tam, gdzie chcą dotrzeć. Do duszy, potem do ciała. Potrafią zniszczyć to i to. Kozyra nawet nie wie, który ból mógłby znieść, spod którego bólu potrafiłby się podnieść. Obawia się, że każdy z tych bólów jest dla niego za ciężki, za twardy.

Znów zaczyna w nim rosnać napięcie, złe napięcie. Kozyra wie, że takie napięcie może usunąć tylko jedna rzecz – hazard. Tylko podczas wyścigów jest sobą, tylko podczas wyścigów jest kimś obcym dla siebie. Ale wtedy jest naprawdę wolny, wolny przez kilka chwil.

Gdy jest już w pociągu zaczyna zasypiać. Cichy szelest szyn, bardziej stukot niż szelest, usypia go. Głowa powoli opada na dół. Kozyra zasypia.

Rzym, Koloseum, tłum ludzi. Neron siedzi skupiony, milczący. Obok niego siedzi jego świta. Ludzie, których i tak kiedyś zniszczy

poprzez swoje szaleństwo, poprzez swój obłęd. Słońce jest dzisiaj gorące, całe miasto prawie płonie w sierpniowym ogniu.

Rydwany pędzą w środku Koloseum. Tłum krzyczy. Brązowe ciała coś krzyczą do koni. Jeden rydwan się przewraca, mężczyzna wpada pod koła drugiego rydwanu. Mężczyzna umiera od razu. Dwa konie leżą gdzieś z boku. Umierają powoli, umierają na oczach tłumu.

Kolejne okrażenia, kolejna śmierć. Tłum jest zadowolony. Więcej krwi, więcej emocji, więcej życia. Tak krzyczy tłum. Neron wie, jak zaskarbić sobie uznanie tłumu. Wyścigi, igrzyska śmierci, walki statków gdy Koloseum wypełnia się wodą, to wszystko sprawia, że tłum go kocha, że tłum tak żarliwie krzyczy jego imię. Neron! Neron!

Neron się uśmiecha. Krzyki tłumu na chwilę gaszą obłęd w jego głowie. Szaleństwo znów zostaje uśpione na jakiś czas.

Zbliża się ostatnie okrażenie. Konie dyszą ciężko, ale wciąż biegną. Ich skóra błyszczy od potu, od zmęczenia. Od bólu, który za chwilę się skończy, skończy tuż za metą.

I wtedy, w tym śnie, w tym nieustannie powtarzającym się śnie, Kozyra zauważa siebie w jednym z rydwanów. Jego ręce nerwowo szarpia lejce. On i jego dwa konie walczą o zwycięstwo. Biegną łeb w łeb z drugim rydwanem. Kozyra odwraca głowę, widzi Nerona, Neron uśmiecha się do niego, a może uśmiecha się tylko do siebie. Kozyra krzyczy coś do koni. Przez moment prowadzi, jeszcze sto metrów i wszystko będzie jasne. Znów rydwany się zrównują. Rzymianin, bogaty syn bogatego rzymianina, patrzy się na Kozyrę z nienawiścią. Kozyra znów prowadzi. Konie dyszą coraz głośniej. I wtedy Kozyra patrzy się znów na Nerona. Już widzi swoje zwycięstwo w jego oczach, już widzi jak Neron się do niego uśmiecha w samym centrum Koloseum, na arenie, już widzi jak Neron do niego schodzi ze swoją świtą i strażą, i wtedy, właśnie wtedy Kozyra zauważa obok Nerona znajomą twarz, twarz o której teraz chce tylko zapomnieć, twarz z przeszłości, bolesnej przeszłości.

Obok Nerona stoi Katarzyna, patrzy się na niego. Jej blond włosy lekko ruszają się w blasku słońca poprzez wiatr. Cichy, bezszelestny wiatr. I wtedy Kozyra przypomina sobie rzekę, przypomina sobie Walczaka, przypomina sobie Pikero, przypomina sobie siebie i te

krzyki, jej krzyki „Musicie się przyznać!”. I to musicie sprawia, że Kozyra popełnia błąd. Rydwan zahacza kołem o koło drugiego rydwanu. Kozyra wypada z rydwanu, leci bezwładnie do przodu. Widzi tłum, słyszy tłum, widzi zbliżającą się ziemię...

Budzi się spocony. Patrzy się przez okno. Kraków. Dworzec główny. Wysiada.

Stoi przed dworcem zmęczony, ze snem w oczach, ze snem na całej swojej twarzy. Kiedy w końcu o tym zapomnę, myśli, kiedy przeszłość przestanie odgrywać w moim życiu najważniejszą rolę.

Wsiada do tramwaju, jedzie do domu. Do siebie, do teraźniejszości.

Sny Kozyra ma dziwne, poplątane. Zasypia i śni. Śni i zasypia, głębiej, mocniej. A to, co jest w jego głowie, w jego duszy, to jakieś dziwne zaplątanie, to jakaś dziwna rozpacz, rozpacz za tym co było, za tym co dalej będzie, co musi dalej być.

Kozyra nigdy nie był dobrym człowiekiem. On i jego koledzy, przyjaciele, ludzie od zabawy, picia, ludzie z którymi uciekał od rzeczywistości, ciągle czegoś szukali, przeważnie czegoś złego. Czuli się pewnie w mieście, pewnie wśród ludzi. Jego ojciec burmistrz, dzięki niemu mógł więcej niż inni, wszyscy się go bali. Władza zawsze budzi strach, budzi przerażenie. Ojciec Walczaka był Komendantem Policji, to dawało im wolność, wolność o jakiej inni mogli tylko pomarzyć; ojciec Pikera był adwokatem, dobrym adwokatem, znał tych, których warto było znać, nikt nie chciał z nim zadzierać. Wiele mógł, a jeszcze więcej potrafił.

Wszyscy trzej wymuszali pieniądze od Mateusza. Nie wymuszali pieniędzy dlatego, że ich nie mieli, wymuszali je dlatego, że tego chcieli. To dawało im władzę, to dawało im jakieś dziwne poczucie wyższości.

Każdy kiedyś pęka, zmienia się. I Mateusz też pękł, postawił im się wtedy, gdy się tego nie spodziewali. Kozyra pamięta jak się z niego śmiali nad rzeką, jak coś do niego mówili, teraz nie pamięta słów, nie pamięta nawet kształtu wyrazów jakie wypowiadali, ale pamięta, że ktoś Mateusza popchnął, Mateusz upadł tuż koło rzeki, a z jego głowy poleciała krew. Upadł na kamień, jego głowa cicho

umarła na ich oczach. Przestraszyli się, zaczęli w pośpiechu uciekać, i wtedy Kozyra zobaczył, zobaczył to w oddali, gdy byli już daleko od ciała Mateusza, zobaczył twarz Katarzyny. Klęczała nad teraz już zastygłym ciałem Mateusza.

Przez tydzień mijali się z Katarzyną w szkole jak duchy. Policja stwierdziła wypadek. Biegł, upadł, umarł. Mateusz był szarym człowiekiem. Szarzy ludzie szaro umierają, kolory nie dotyczą szarych ciał.

Po tygodniu Katarzyna podeszła do nich, gdy wracali ze szkoły.

- Musicie się przyznać – powiedziała.

- Jego śmierć nikogo nie dotyczy, nie dotyczy ciebie, nie dotyczy nas. Był, umarł, to wypadek – powiedział wtedy Walczak.

- Wy zmieniliście jego życie, teraz życie zmieni was.

- Jego śmierć może zmienić w nas wszystko, może zniszczyć w nas wszystko. Wszystko co mamy dobre, co mamy złe w sobie. Przyznanie się określi nasze przyszłe życie na kilka lat. Po tych latach będziemy inni, będziemy obcy sobie nawzajem. Nie możemy się przyznać.

- Musicie. Daję wam tydzień. Po tygodniu idę na policję. Gdy się sami przyznacie, kara będzie łagodniejsza.

- Nie zrobisz tego – rzekł ostro Pikero. – Mój ojciec jest adwokatem, wybroni nas. A co będzie z tobą?

- Grozisz mi – rzekła Katarzyna, a jej oczy, niebieskie oczy przybrały wyraz gniewu, widać było, że się ich nie boi. – To, że macie ustawionych rodziców wcale nie oznacza, że jesteście lepsi. Może ludzie się was boją, może ludzie was unikają, ale na mnie nie robicie najmniejszego wrażenia. Nie widzę u was niczego, co chciałabym wam ukraść, co chciałabym mieć na własność w sobie. Macie tydzień – Katarzyna odwróciła się i ruszyła w kierunku miasta.

- Nie robi tego – rzekł cicho Pikero.

- Nie byłbym tego taki pewien – dodał jeszcze ciszej Kozyra.

Gdy minął tydzień, gdy wychodzili z knajpy, lekko pijani piwem, wódką, winem zobaczyli ją jak idzie w kierunku rzeki. Poszli za nią. Nie widziała ich. Nad rzeką patrzyła się na zegarek, na kogoś czekała.

Podeszli do niej. Coś jej tłumaczyli, nie rozumiała ich, nie chciała zrozumieć. I wtedy pojawił się w nich gniew. Przyszedł nagle, niespodziewanie. Wszedł w nich i nie chciał uciec, zniknąć. Ona coś do nich krzyczała, nie bała się, była mocna, silna, pewna siebie. I wtedy w ręce jednego z nich pojawiła się gałąź. Potem jej krzyk zamarł. Upadła. Jej oczy jeszcze przez chwilę patrzyły się na niebo, jeszcze przez chwilę miały wyraz zdziwienia, a potem zamarły. Katarzyna przestała oddychać. Pojawiła się krew, cicho sączyła się w kierunku ziemi. Niczym rzeka szukała swojego źródła. Potem krew zaczęła wsiąkać w ziemię. Była w tej krwi jakaś niewinność, jakaś pogarda do wszystkiego wokół niej.

Przestraszyli się, uciekli do domów. Każdy do swojego. Kozyra wziął gałąź do swojego domu. Spalił ją w kominku. Patrzył się jak gałąź pochłania gniew, który wtedy się w nich, nad rzeką, tak nagle pojawił.

Gdy przyszedł ojciec, Kozyra mu wszystko powiedział. Ojciec długo milczał. Potem wykonał kilka telefonów, do jego kolegów też, potem dostał wiadomość z policji, że po nich idą, kazał im milczeć i cierpliwie czekać na adwokata, na policję.

A potem była rozprawa, ojciec Pikera, adwokat, ich bronił. Znalazły się bilety z kina, właśnie wtedy byli w kinie, wtedy, gdy to wszystko się zdarzyło, znalazł się świadek, znalazło się wszystko to, co doprowadziło ich do uwolnienia.

To było małe miasto, zarządzili nim ważni ludzie. A oni byli synami tych ważnych ludzi. Nikomu nie zależało na znalezieniu sprawcy. Nikt nie chciał zadzierać z burmistrzem, z komendantem policji, z adwokatem, który wiele mógł. Każdy chciał żyć spokojnie, a wyrok ich synów mógł zburzyć ten porządek. Sprawę szybko umorzono.

Mateusz umarł niepotrzebnie, umarł samotnie. Katarzyna umarła, bo niczego się nie bała, umarła, bo chciała być dziennikarką, dobrą dziennikarką, umarła, bo wierzyła że można zmieniać świat, można zmieniać ludzi. Umarła, bo nie czuła strachu w sobie. Była gniewna, mocna, silna. Była taka, jaką chciała być. Była taka, jaką mogła być przez całe życie. Ale nie dożyła kresu dni. To kres dni odnalazł ją wcześniej, dotknął jej twarzy, oczu, włosów i zamknął jej oczy na zawsze, zamknął jej oczy na wieczność.

Hazard pojawił się w jego życiu nagle, niespodziewanie. Na początku nic dla niego nie znaczył. Był słabością, lecz małą słabością. Potem zaczął głębiej zanurzać się w odmętach zakładów. Pokochał konie, konie pokochały go. Zaczął jeździć na Służewiec. Zaczął grać ryzykownie. Ryzyko mu służyło. Po wyścigach przeważnie czuł się lepiej, chyba, że przegrywał zbyt dużo pieniędzy. Wtedy czuł się gorzej. Lecz szybko znalazł sposób, jak zdobyć pieniądze na swoje słabości, zaraz po przegranej. Poznał ludzi, którzy pożyczali pieniądze, duże pieniądze na procent. I tak, powoli, konsekwentnie, zaczął zanurzać się w odmętach swoich słabości.

Kozyra skończył szkołę średnią, potem wyjechał do Krakowa, tam skończył studia informatyczne i zaczął pracować w korporacji. A potem, zawsze było u niego jakieś potem, zaczął grać na wyścigach.

Kiedyś, którejś ciemnej nocy, pijanej nocy, gdy wracał z koncertu do domu, z rynku, gdy szedł lekko chwiejnym krokiem, szedł samotnie, powoli, prawie sennie, właśnie wtedy, właśnie podczas tego powrotu, zrozumiał, że gra na wyścigach żeby zapomnieć. Żeby zapomnieć o przeszłości. I ta myśl była dla niego bolesna, tak bolesna, że jeszcze przez kilka dni o tym myślał, a potem rzeczywistość zepchnęła tę jego myśl na boczny tor, na ślepy tor, na tor bez żadnych szans na ucieczkę.

Kozyra miał kilka kobiet, które więcej lub mniej coś dla niego znaczyły. Próbował je kochać, wierzył, że w życiu liczą się tylko małe chwile szczęścia ukryte pomiędzy zakochaniem a kłótniami, które kiedyś się muszą pojawić. I zawsze się kiedyś pojawiały. Zawsze dochodził do miejsca, gdy kobieta, kolejna kobieta jego życia mówiła mu prosto w twarz – dość. I to dość zawsze dotyczyło hazardu. Nie mogły znieść, że on kocha mocniej swoje słabości niż je. I w końcu zawsze zostawał sam.

Gdy spotykał się z kolejną kobietą, wierzył, że teraz będzie inaczej, chodził z nią do restauracji, do kawiarni, do teatru, do kina. Potem wracali krętymi ulicami, zapomnianymi ulicami do jego mieszkania. Czasami jechali za Kraków. Znał takie miejsce, wyjątkowe miejsce, gdzie czas się dla nich zatrzymywał. Sad, dużo drzew, białe kwiaty na gałęziach, trawa zielona, soczysta, słońce na

niebie, cichy wiatr nad nimi, koc na trawie, na nim wino, sery, wędlina, bagietka, małe pomidorki i śmiech, który wciąż był między nimi, który nieustannie był w nich, który zacierał różnice jakie dzielą mężczyznę od kobiety. I byli wtedy szczęśliwi, i byli wtedy razem. Tak naprawdę, tak dosłownie.

Czasami wchodzili na dach kamienicy, tuż przy rynku. Wchodzili tam przez stary strych, przedzierali się przez kurz, który samotnie mieszkał na strychu od zawsze. Rozkładali koc na dachu, otwierali wino i siedzieli zamyśleni pośród gwiazd, pośród żółtej barwy księżyca mieniającej się nad ich głowami. I te światła w oknach, światła żółte, zamyślane, nieobecne, i te latarnie na dole, na Plantach, ułożone niczym żołnierze na warcie, i ta cisza na dole, cisza odległa, jakby obca, i ta świadomość, że coś czują teraz, czują tak mocno, tak intensywnie, i ta świadomość, że to co czują teraz kiedyś zniknie, i być może już nigdy do nich nie wróci. A jak już wróci to w innym kształcie, w innym wymiarze. I tak przeważnie było. Nic z tych wieczorów do nich nigdy nie wracało. Nie wracało, bo nie miało do czego wracać.

Czasami, nad ranem, Kozyra budził się spocony. Jego czoło, całe jego ciało było przesiąknięte potem. W głowie miał sen, resztki snu które do niego co jakiś czas wracały.

Rzeka, rzeka, którą znał z dzieciństwa, rzeka kręta, granatowa, mętna, niekiedy niebezpieczna. W oddali nad jej brzegiem widzi postać, postać zbliża się do niego, on zbliża się do niej. Rozpoznaje twarz, to twarz znajoma, twarz, która będzie już z nim aż do końca. To Katarzyna. Jej niebieskie oczy lśnią w słońcu. Katarzyna nic nie mówi, tylko się na niego patrzy. Potem w jej oczach pojawiają się łzy, pojawia się rozczarowanie. Katarzyna wyciąga w jego kierunku rękę. On się cofa, cofa do tyłu. Chce uciec, ale nie może. Nie może wykonać żadnego ruchu. I wtedy w jego głowie pojawia się myśl. Jak mogę dalej iść do przodu, skoro nawet nie mogę iść do tyłu. Katarzyna wciąż się patrzy na niego, potem cofa swoją rękę do tyłu. Niepewność to taka udręka, w końcu mówi do niego, a potem znika. Unosi się niczym mgła nad rzeką.

I wtedy, właśnie wtedy, gdy ona znika, Kozyra budzi się spocyny. Potem już nie śpi aż do rana, do pierwszych promieni słońca na

niebie. Gdy ma już dość siły w sobie, gdy coś w środku mu podpowiada wstań, idź dalej do przodu, Kozyra wstaje, myje się powoli, zjada śniadanie i idzie do pracy. Ale nie czuje się dobrze, nie czuje się szczęśliwy w swoim życiu.

Kino, kino zawsze go fascynowało. Ten klimat, ta ciemność, ta cisza tuż przed rozpoczęciem filmu. Tak, Kozyra kochał kino, kochał filmy. Filmy były dla niego ucieczką, ucieczką od siebie, ucieczką od świata. Jednak Kozyra kochał tylko te filmy, które zostawiały jakiś ślad w jego sercu. Które w jakiś sposób zaznaczały swoją obecność w jego przyszłym życiu.

Kozyra lekko chwiejnym krokiem zbliżał się do kina Kijów. Jego krok był chwiejny nie z powodu alkoholu, nie z powodu otępienia całego jego ciała zbyt dużą ilością wódki, lecz z o wiele większego powodu. Upadł na kolano, tuż przy Jubilacie, upadł dosłownie przed chwilą, upadł gdy przechodził przez drogę, gdy nagle pojawiło się żółte światło i on chciał tylko zdążyć. Zdążył, ale się potknął. Teraz bolało go kolano, bolała go prawa ręka, którą się podparł, żeby nie upaść na twarz.

Wszedł do kina, kupił bilet, usiadł na sali. Potem ciemność, potem cisza, potem jasne światło na ekranie. Potem...

Aleksander wracał statkiem do domu. Już widział brzeg, już widział zarysy ojczystego miasta. Pół roku za domem to dużo dla kogoś kto zostawił żonę i córkę w domu.

Aleksander był kupcem, bogatym kupcem. Teraz przywoził skarby ze sobą, prawdziwe skarby. W skrzyniach, teraz szczelnie zamkniętych, miał wyroby ze złota, biżuterię ze złota, wyroby ze szkła i kości słoniowej, drogie metale do wyrobu broni, tkaniny, kolorowe dywany, przyprawy rzadkie, drogie, bardzo drogie i szaty bogato zdobione. Tak, Aleksander był szczęściarzem. Szczęśliwie wracał bogaty do domu.

Gdy dopłynęli do brzegu, gdy zaczęli rozładowywać statek, nagle z tyłu, tuż przy żaglach pojawił się pożar. Ludzie zaczęli gasić ogień wodą z morza, drewnianymi wiadrami. Krzyki, panika, zimny głos Aleksandra zmuszającego ludzi do szybkiego wyładunku skrzyń,

żeby nie stracić towaru. To wszystko było jakimś snem, złym snem. Statek uratowano, towar uratowano.

To zły znak, pomyślał Aleksander. Jednak widok żony i córki, ogrodu, pięknego ogrodu z fontannami, rozwiął złe myśli z głowy Aleksandra.

Jego żona Macedonia była piękną kobietą. Czarna, bardziej brązowa niż czarna skóra, mahoniowe długie włosy, czerwone oczy i ten uśmiech, uśmiech w którym było wszystko, wszystkie jego marzenia i lęki, złe lęki, że kiedyś te marzenia może stracić.

Oktawia, jego córka miała trzynaście lat, a już była tak piękna jak jej matka. Była wierną kopią matki, ale młodszą. Nawet charakter miała podobny, tak samo dobry i wrażliwy.

Jedli na tarasie. Słońce było wysoko, bardzo wysoko na niebie. W oddali było widać morze, błękitne, krystaliczne morze.

Jedli na leżąc, tak jedli tylko bogaci ludzie. Leżeli na leżankach, opierali się na lewym boku, a prawą ręką wsadzali sobie jedzenie do ust.

Na stole leżało wołowe mięso w sosie z wina i miodu. Obok wątróbka z gęsi w sosie z najrzadszych ziół, jakie można było dostać w mieście. Solone ryby, wędliny, jaja faszerowane ziołami, oliwki, szparagi, owoce i wino, dużo wina.

Aleksander jadł ze smakiem. Brakowało mu od pół roku takiego jedzenia, brakowało mu żony i córki.

W oddali Aleksander usłyszał dziwne odgłosy. Mroczne dźwięki unosiły się nad miastem.

- Skąd dochodzą te odgłosy? – spytał Aleksander.

- Wulkan znów wzywa Bogów – stwierdziła Macedonia i pocałowała go w policzek. – Trwa to już kilka dni.

- Może powinniśmy wyjechać?

- Czasami to się zdarza, co jakiś czas. Ty często podróżujesz, więc tego nie zauważasz. My nauczyliśmy się z tym żyć. To modlitwa góry do Bogów. Bogowie nas chronią.

- Nie boisz się gniewu Bogów? Mam złe przecucia – zamyślił się Aleksander. – Ten pożar statku w porcie. To zły znak.

- Nic złego się nie zdarzy – cicho szepnęła Oktawia. – Gdy ty jesteś z nami jesteśmy bezpieczni.

I wtedy wulkan zaczął wydawać odgłosy jeszcze mocniejsze, bardziej surowe.

Aleksander wstał i wtedy zobaczył jak wulkan wybucha. Z jego krateru wydobył się dym, szybko pojawił się nad miastem.

- Schowajcie się w domu – rzekł ponurym głosem Aleksander.

Macedonia z Oktawą weszły do domu. W mieście zapanowała ciemność. Słońce było tylko jasnym zgaszonym punktem na niebie.

Aleksander wyszedł na ulicę. Ludzie jak cienie, jak duchy uciekali do swoich domów. W ich oczach pojawił się pierwszy strach. Ktoś w lektyce krzyczał w gniewie na swoich niewolników, ktoś zaczynał płakać, ktoś inny modlił się na głos, w kierunku nieba. Jakiś rozpędzony koń biegł samotnie ulicą w przerażeniu. Wyglądał jak zjawa z innego świata. Ptaki traciły orientację, uderzały w ściany domów, umierały. Psy zaczęły szczekać przeraźliwie, niektóre wyły poprzez ciemność w kierunku teraz już całkowicie zgaszonego słońca.

Wulkan ponownie wybuchnął. Chmura, ogromna chmura popiołów przeniknęła miasto. Ludzie zaczęli szukać w panice zamkniętych pomieszczeń. W powietrzu wyczuwalny był zapach siarki. W mieście zapanowała taka ciemność, że nic nie było już widać. To była noc, noc w ciągu dnia. Ale taka noc, gdy świat nagle staje się inny, gdy świat nagle staje się obcy, nawet dla zwierząt żyjących tylko w nocy.

Ludzie zakrywali twarze chustami. Popiół zabierał oddech wszystkim ludziom. Aleksander schował się w domu. Pozamykał okna. Jednak popiół zaczął się wdzierać do domu poprzez szpary. Świeczka zaczynała gasnąć. Brakowało jej tlenu, powietrza.

- Udusimy się – Macedonia zaczęła płakać. – Udusimy się we własnym domu.

Oktawia przytuliła się do matki. Cicho płakała. Czuli strach, taki strach, który nie pozwala oddychać, nie pozwala mówić.

Aleksander objął córkę i żonę. Teraz już wiedział, że pożar na statku to było ostrzeżenie dla niego, dla całego miasta. A on je zlekceważył, i teraz czuł się winny wobec siebie, wobec rodziny.

Popiół zgasił świeczkę. W domu zapanowała ciemność. Coraz ciężiej było im oddychać. Powietrze było ciepłe, prawie gorące.

Aleksander podszedł do okna. Poprzez drewniane zamknięcie chciał usłyszeć co dzieje się na zewnątrz.

I wtedy usłyszał jak wulkan znów wybuchnął. Na miasto posypały się kamienie, głazy, poszarpane odłamki góry. I wtedy w ludziach pojawił się drugi strach. I ten strach Aleksander też poczuł w sobie. Słyszał go na ulicy, gdy ludzie, którzy nie zdążyli uciec do swoich domów umierali od uderzeń z nieba. Kamienie niszczyły resztki życia w mieście.

Aleksander wrócił do żony i córki. Już wiedział, że to koniec. Gorące powietrze dusiło ich prawie niewidoczne oddechy.

Aleksander pocałował żonę i córkę.

- Spotkamy się na tamtym świecie – wyszeptał. – Pójdziemy tam razem. – To razem powiedział już drżącym głosem, bo cała trójka nie miała już siły siedzieć, teraz już tylko leżeli i czekali co przyniesie im przeznaczenie.

I wulkan ponownie wybuchnął. Z jego krateru wylała się lava. I wtedy Aleksander poczuł trzeci strach, ostatni strach w sobie. Jego oddech zaczął zamierać, jego oczy widziały już tylko ciemność. Żona i córka przestały oddychać. Po chwili jego oddech też uwolnił się od jego ciała.

Lawa pochłonęła całe miasto. Ludzie umierali tak jak stali, tak jak pracowali, tak jak żyli. Zastygłe postacie, niczym pomniki, martwe pomniki, pożerała gorąca lava. Popiół zaczął przykrywać miasto kolejnymi warstwami sadzy. Budynki, ogrody, ludzie, zwierzęta zniknęły pod grubą warstwą popiołów. Miasto całkowicie zniknęło ze świata. Było, trwało, istniało, odeszło. Na wieki, na wieczność. Miasto w milczeniu odeszło w kierunku niewidzialności.

Kozyra wyszedł z kina. Film go poruszył. Zostawił w nim jakiś ślad.

- Bliskość jest jakąś nadzieją, gdy człowiek już musi odejść z tego świata – rzekł Kozyra, spojrzał na niebo, które zostało przykryte przez ciemne chmury, spopielone chmury.

Dzień nie zapowiada się dobrze. Ciemne chmury, chore chmury, chmury niosące niepewność, jakieś okrucieństwo w sobie. Jakiś obłąd.

Siedzę przy maszynie do pisania. Jestem uparty. Nie poddaję się. Wciąż piszę swoją książkę. Zła pogoda, przeciwności losu we mnie, poza mną nie zniechęcają mnie. Czas jest moim sprzymierzeńcem, czas jest moim wrogiem.

Kolejna strona, obca strona, może bliska mi strona. Patrę się za okno. Jest ciemno, duszno, niebo popękane jest jakąś dziwną szarością. Moje palce wciąż piszą i piszą. Wpadam w dziwny trans, jestem kimś obcym, jestem sobą.

Okno się otwiera, mroźny wiatr wypełnia pokój. A wraz z wiatrem do mojego pokoju wpadają żółte liście. Na początku są nieśmiałe, trochę zalęknione, ale po chwili wiatr daje im swoją siłę i liście coraz mocniej wdzierają się do mojego pokoju.

A ja piszę i piszę. Nie pozwalam sobie na odpoczynek. Czuję, że to co teraz piszę jest ważne i gdy przestanę pisać to moje słowa znikną, uciekną i nigdy ich więcej nie odnajdę.

Liście wypełniają pokój coraz bardziej. Jest ich więcej i więcej. Czerwone, żółte, złote, brązowe liście, liście w kolorach jesiennej tęczy krążą nad moją głową. Przylepiają się do ścian, do mebli, do podłogi. Czasami ocierają się o maszynę do pisania. W pokoju zaczyna brakować powietrza, tracę powoli oddech, ale wciąż piszę. Liście przyklejają mi się do twarzy, duszę się. Wstaję od maszyny do pisania. Idę pośród liści na podłodze do przodu. Upadam. Na kolanach zbliżam się do łóżka. Liście tworzą koronę na mojej głowie.

Leżę w końcu na łóżku. Jest mi ciągle słabo. Oddech mam zduszony, nierówny. Łapczywie łapię każdy łyk powietrza.

I wtedy pojawia się we mnie strach. Już nigdy nie skończę tej książki. Już nigdy historia nie ujrzy światła dziennego. Liście tworzą trąbę powietrzną w moim pokoju. Tracę świadomość. Czuję strach w sobie. I tylko liście wokół mnie, i tylko strach, i tylko resztki oddechu między ustami. Tracę przytomność.

Budzę się. Cella jest czysta, lśniąca. Pokój jest czysty, lśniący. Liście zniknęły. Jednak strach w mojej głowie wciąż jest i nie może zniknąć jak te liście.

Patrę się na zegarek, jest poranek. Nowy dzień. Uśmiecham się do siebie. Za oknem pojawia się czarny ptak. Kruk. Odlatuje. Widzę

na niebie chmurę w kształcie orła. Potem zaczyna padać. Na ścianie pod oknem pojawia się strumień wody. Tworzy kałużę. Podchodzę do kałuży. To jakiś kształt. Klękam. To koń. Koń biegnący w jakimś szaleństwie przed siebie. Za drzwiami słyszę krzyki ludzi. Zaczynam pisać. Piszę i piszę.

Pod wieczór światło mruga kilka razy, gaśnie. Potem znów świeci. Wciąż mam strach w sobie. Strach przed niemocą twórczą. Zасыpiam.

Kolejny dzień. Coś mnie niepokoi. Za oknem pojawia się czarny ptak. Kruk. Odlatuje. Widzę na niebie chmurę w kształcie orła. Potem zaczyna padać. Na ścianie pod oknem pojawia się strumień wody. Tworzy kałużę. Podchodzę do kałuży. To jakiś kształt. Klękam. To koń. Koń biegnący w jakimś szaleństwie przed siebie. Za drzwiami słyszę krzyki ludzi. Zaczynam pisać. Piszę i piszę. Pod wieczór światło mruga kilka razy, gaśnie. Potem znów świeci. Wciąż mam strach w sobie. Strach przed niemocą twórczą. Zасыpiam.

Kolejny dzień się toczy i kolejny. Każdy dzień jest taki sam. Gubię się. Stoję w miejscu. Wciąż ten sam ptak, kruk, ta sama chmura w kształcie orła, ten sam koń biegnący na podłodze, te same krzyki ludzi za drzwiami, pod wieczór światło wciąż tak samo mruga, gaśnie. I to, co piszę, co powstaje w mojej książce, następnego dnia znika, i znów muszę pisać to samo od nowa, od początku. Wciąż mam strach w sobie. Nie wiem co się dzieje. Dni są takie same. Te same zdarzenia, lęki, sytuacje. Stoję w miejscu, w martwym punkcie. Wierzę, że kolejny dzień w końcu poprowadzi mnie do przodu. Skieruje moje kroki we właściwym kierunku. Ale tak się nie dzieje. Trwa to już kilka dni. Kilka długich, obcych dni. A może ja po prostu zaczynam powoli umierać. I te rzeczy, powtarzające się nieustannie te same rzeczy, prowadzą mnie poprzez jeszcze nie rozpoczętą do końca moją śmierć. Przygotowują mnie na nowe życie. Inne życie. Pojawia się we mnie myśl. Jeśli człowiek umierając czegoś żałuje, oznacza to, że ten człowiek zmarnował swoje życie. Niepotrzebnie je roztrwonił na rzeczy błahe, nieistotne.

Czuję, że jestem na karuzeli, kręcę się w niewłaściwym kierunku. Patrzę się na maszynę do pisania, patrzę się na zapisane kartki książki. Czy ja tak mocno przeniknąłem sztukę, czy to sztuka tak mocno przeniknęła mnie?

Znów pojawia się we mnie strach, nie skończę już książki. Stoję w miejscu i jest to dla mnie miejsce tragiczne, obce. Ostateczne. Boję się tej ostateczności. Ostateczności, która zabije we mnie wszystko. Zniszczy moje wspomnienia, lęki, pragnienia. Zniszczy całe zło i dobro, które tak dokładnie ktoś włożył we mnie.

- Mam tego dość! – krzyczę. – Nie muszę napisać tej książki! Nie muszę niczego robić! Nie muszę istnieć! Nie muszę trwać na siłę w tym miejscu, w tym czasie!

I strach nagle znika. Ucieka ode mnie. Zasypiam.

Budzę się następnego dnia. Nie ma ptaka, konia na podłodze, krzyków ludzi za drzwiami, nie ma mrugania światła. Znów tworzę na nowo swój dzień. Zaczynam pisać, ale już bez żadnego strachu, lęku. Teraz już wiem, że każdy dzień będzie inny, musi być inny. Że każdy dzień będzie wyjątkowy, jasny.

Patrzę się na niebo. Widzę dym. Jeden jasny, szeroki, prawie bezkresny, a w nim, w tym dymie jasnym, szerokim, prawie bezkresnym widzę drugi dym, i ten drugi dym jest szary, ciemny, prawie węglowy, jest on częścią tego jasnego dymu, jest w nim, a jednak pomimo wszystkiego jest poza nim.

Śledzę Kozyrę już od kilku miesięcy. Znam go coraz lepiej. Ale czy go rozumiem przez to lepiej, tego nie wiem. Znam jego nawyki, przyzwyczajenia i myślę, że coraz bliżej jestem jego lęków, demonów które są w nim, które muszą być w nim.

Kozyra pracuje w korporacji. Coś robi na komputerze. Uczestniczy w wyścigu szczurów, który go kiedyś zniszczy. Ale czy on to wie, myślę, że nie. Na razie myśli, że jest królem życia. Zarabia, wydaje, za dużo nie myśli. Za dużo też nie ma czasu. Siedzi w pracy do późna, jak inni.

Czasami widzę go w szklanym budynku wyraźniej, gdy zbliża się noc. Widzę ich wszystkich poprzez światło, które coraz jaśniej, coraz boleśniej rozświecila ich twarze. Twarze skupione, twarze obce,

twarze nieobecne. Korporacja to nieustająca nieobecność, nieobecność w stosunku do siebie, nieobecność w stosunku do innych.

A ja stoję na ulicy i patrzę się na nich, na to napięcie, które jest w nich ciągle, nieustannie. Wciąż muszą walczyć o siebie, o to coś, co nazywa się karierą. I ta kariera wciąż trwa i trwa, aż w końcu każdy z nich wypada z tej karuzeli na bok, wypada bo musi wypaść. Wypada poprzez strach.

W strachu można żyć przez jakiś czas, ale nie przez całe życie.

A ja stoję i patrzę się na nich. Aż w końcu zmęczenie ich pokona, aż w końcu ruszą w miasto, razem, żeby odpocząć, żeby odreagować. Żyją w firmie, żyją poza firmą, razem. I to razem ich jakoś łączy, choć często w pracy są wrogami, cichymi, niewidzialnymi wrogami, którzy dążą do tego samego celu.

Potem siedzę gdzieś w kącie i wciąż patrzę się na nich. Jak napięcie powoli z nich ustępuje, ustępuje przez alkohol. Ustępuje, bo kiedyś musi ustąpić. Potem oni krzyczą, krzyczą poprzez muzykę, potem tańczą, tańczą w rytmie muzyki, potem się obejmują, obejmują przez muzykę, bo muzyka wciąż jeszcze ich wzrusza.

Byłem już kilka razy z Kozyrą na wyścigach. Siedziałem, obserwowałem go. Chciałem go zrozumieć, chciałem też zrozumieć tych ludzi obok niego. Nie rozumiałem. Każdy ma inny nałóg, ja też. Ciężko określić jeden nałóg, gdy samemu ma się inny nałóg w sobie. Nigdy nie wiadomo, który nałóg jest lepszy, który nałóg jest bliższy naszemu sercu.

Widziałem jak płakał, jak targał kupony, widziałem jak krzyczał, gdy wygrywał. Widziałem strach w jego oczach, gdy coś szło nie tak. I to nie tak zmieniał jego oczy w coś przerażającego, w coś obcego. A potem Kozyra łagodniał, a potem jego oczy odzyskiwały dawny blask.

Czasami chodził na Plac Szczepański do sklepu filatelistycznego. Kupował tam znaczki. Sprzedawca go znał, rozmawiali ze sobą jak przyjaciele. Odniosłem wrażenie, że to może być jedyny jego przyjaciel. Jedyny obcy przyjaciel w jego życiu.

Pod Halą Targową, w niedzielę, gdy tłum ludzi przemieszczał się powoli pośród stoisk, straganów, Kozyra kupował znaczki od kolekcjonerów. Dotykał klaserów delikatnie, z jakąś dziwną czułością

przewracał kolejne strony, potem się targował i kupował znaczki. Był wtedy szczęśliwy. Gdy patrzył się na te znaczki, gdy je dotykał wzrokiem, spojrzeniem, w jego oczach na kilka sekund gościło słońce. A potem wszystko znikało. Znikało w nim, znikało poza nim. Znikało, gdy wracał powoli do domu.

Kobiety, cóż, kobiety miał przelotne, krótkotrwałe. Kobiety szybko orientowały się, że on nie może im za dużo dać, że one też nie mogą mu za dużo ofiarować. On miał inne oczekiwania od życia, one miały inne oczekiwania od życia. A do tego kobiety wyczuwały, że wyścigi konne kiedyś zaprowadzą ich razem pod ścianę i wtedy może być za późno dla nich, dla niego. Dla przyszłości, która na dobre się jeszcze nie rozpoczęła. I dlatego kobiety szybko rezygnowały, dla dobra jego, dla dobra siebie.

Dotarłem do jego informatora. Dotarłem nie bez trudu. Znałem kogoś w Warszawie, ten ktoś znał kogoś innego i ten inny dopiero znał kogoś, kto jeździł na wyścigi na Służewiec. Ten ktoś pokazał mi Buczkowskiego. Mały, krępy mężczyzna, lekka nadwaga, mało włosów i chyba mało rozumu. Ktoś kto sprzedaje takie informacje nie może skończyć dobrze. Faktycznie pracował przy koniach, znał dżokejów, znał ten świat od środka. Miał kochankę, a kochanka jak wiadomo kosztuje i dlatego sprzedawał za pieniądze informacje Kozyrze.

Powoli układałem sobie plan w głowie. Kozyra był pierwszy na mojej liście. Pierwszy z trójki. Kozyra kiedyś zmienił moje życie, teraz ja postanowiłem zmienić jego życie. Tak naprawdę nie interesowało mnie to, co teraz robi, interesowało mnie to, co kiedyś zrobił. I to kiedyś miało być jego karą, karą, której nigdy on tak naprawdę nie będzie w stanie zrozumieć. Bo chcę w swojej zemście pozostać anonimowy. Anonimowy na tyle, na ile się da.

A więc chodzę za nim, oceniam swoje szanse, planuję. Planuję jego życie, planuję swoje życie, poprzez jego życie. Czasami cierpienie łączy, czasami cierpienie niszczy. A mnie cierpienie powoli zbliża do obojętności, do obojętności rzeczy, które kiedyś się stały, do obojętności rzeczy, które być może nigdy się nie stały. I to nigdy, nigdy powtarzane w nieskończoność będzie moim wyzwoleniem. Musi stać się moim wyzwoleniem.

Odchodząca boczna ulica przy ulicy Grodzkiej, tuż przed kościołem, tuż przed placem. Mała kawiarnia z ogródkiem na zakręcie, na zakręcie po którym czasami jeżdżą dorożki z turystami.

Siedzimy, patrzymy się na siebie. Długo się nie widzieliśmy. Oleg ma swoje życie, ja mam swoje życie. Oboje czasami ocieramy się o niebezpieczeństwo. Niebezpieczeństwo zawarte w naszych pracach.

Dobrze się znamy, od lat. Możemy na siebie liczyć, choć nie jesteśmy przyjaciółmi. Ja tropię przestępców, Oleg tropi ciekawe, niebezpieczne sytuacje.

Oleg jest dziennikarzem, dobrym dziennikarzem. Pisze o rzeczach niebezpiecznych i to niebezpieczeństwo czasami widać w jego oczach. W czerwonych, krwisto czerwonych oczach.

- O czym teraz pisziesz? – pytam po chwili, po głębszej chwili zadumy.

- O szamanach.

- O kim? – dziwię się.

- O szamanach.

- Dlaczego akurat o nich?

- Bo potrafią zmieniać życie innych ludzi. Niewiele osób to potrafi.

- Przecież to bzdury – dziwię się. – To oszuści, tak jak wróżki. Mówią nam to, co chcemy usłyszeć, za pieniądze, które im płacimy.

- Gdy zaczynałem o nich pisać, też byłem sceptykiem. Byłem tylko ciekawy, co z tego wyniknie, myślałem, że nic. Ale teraz jestem inny, inny poprzez to co zobaczyłem.

- Więc to prawda, co o nich mówią?

- W ich świecie prawda, iluzja, fałsz, Bóg, rozmowy z nim, to wszystko ma smak i zapach niepewności, często smak niebezpieczeństwa.

- Są niebezpieczni?

- Gdy ktoś ich obrazi, gdy ktoś im zaszkodzi lub chce zaszkodzić, potrafią zabijać.

- Tak zwyczajnie, jak każdy?

- Nie każdy zabija – stwierdził Oleg. – Czasami zabijają okoliczności, emocje. Czasami zabijamy z nienawiści. Oni zazwyczaj zabijają z nienawiści.

- Spotkałeś kogoś, kto zabił z nienawiści? Kogoś z nich?

- Tak. Rozmawiałem z takim człowiekiem. Dowiedziałem się od ludzi, że zabił dziennikarza. Zabił go za to, że chciał napisać coś złego o nim, coś złego o wszystkich szamanach. Tę osobę zabił pociąg. Pociąg jechał w kierunku miasta, gdzie mieszkał ten szaman. Wszyscy wiedzieli, że to on go zabił. Oni – Oleg mocniej rozszerzył swoje oczy – oni potrafią zabijać na odległość.

- Co było potem?

- Ten szaman później umarł. Pół roku po nim. Ludzie mówią, że zło, tak jak dobro, wraca do człowieka po czasie. Wraca i prosi o zapłatę.

- To dziwne, bardzo dziwne.

Koło ogródka przejechała biała karetą zaprzężona w dwa białe konie. Turyści byli uśmiechnięci, w dłoniach trzymali aparaty fotograficzne.

- Inny szaman sprawił, że ktoś się utopił w wannie. Ktoś, kto skrzywdził małe dziecko. Szaman zabił tego człowieka na prośbę kogoś bliskiego tego dziecka.

- I on też umarł? Ten szaman?

- Nie, on nie. Może zło wyrządzone w dobrej wierze ma inny wymiar i znaczenie. Inny kształt. Tego do końca nikt nie wie.

- Brałeś udział w ceremoniach?

- Tak – Oleg się zamyślił, a jego oczy stały się niepewne, zagubione. – Tak, brałem.

- Jak to wyglądało?

- Las, polana. Noc. Jakieś zaklęcia, dym z ogniska, okrąg zrobiony z kwiatów. Szaman rozmawiał z Bogiem. Tak mi powiedział. Szukał odpowiedzi dla siebie.

- Znalazł ją?

- Tak. To dziwne, ale ja też czułem obecność Boga koło siebie. Czułem tę obecność poprzez niego.

- Bałeś się?

- Tak. Bałem się. Ale ciekawość była większa niż strach. Nie żałuję. Teraz wiem, że rzeczywistość może kłamać, teraz wiem, że rzeczywistość zaciera nam kształt tego co jest widzialne, a zbliża nas często do tego co jest niewidzialne, pozornie nieistotne, błahe.

- Jacy są ci ludzie?

- Dziwni. Bardzo dziwni. Mają w sobie jakieś skupienie. Jakąś prawdę. Budzą szacunek innych. Ludzie do nich przychodzą po poradę, po nadzieję. Chcą wiedzieć co będzie, co mogą zmienić w sobie, koło siebie, żeby swoje życie uczynić innym, lepszym. I zazwyczaj te prawdy dostają.

- To źli ludzie?

- Źli nie, niebezpieczni. Mogą rzucać klątwy na innych. I te klątwy się sprawdzają. Mogą karać na odległość i te kary są bolesne, długie, trwają w nieskończoność. Mogą wypędzać złe duchy z miejsc w których żyjemy.

- Wypędzać duchy?

- Tak. Sam byłem świadkiem takiej sytuacji.

- Opowiedz coś o tym.

- Ktoś zadzwonił do szamana, że potrzebuje pomocy. Byłem przy tej rozmowie. Ten ktoś prosił o pomoc. Kupił dom i w tym domu zaczęły się wszystkie nieszczęścia całej jego rodziny. Szaman powiedział mu przez telefon, że to zły duch. Już go czuje na odległość. Pojechałem z nim do tego domu. Szaman zaczął rozmawiać z tym duchem. Też czułem jego obecność. Widziałem jego rozmazaną poświatę. Widziałem jak się zapierał rękami, nogami przy drzwiach, jak się bronił. To dziwne, ale go czułem, widziałem, czułem strach przed nim. Potem wszystko się zmieniło w tym domu. Normalne życie, normalne problemy.

- Kiedy ukaże się artykuł?

- Już niedługo – Oleg napił się piwa, spojrzał w niebo. Była już noc. Latarnie świeciły dzisiaj jaśniej niż zazwyczaj. – A co u ciebie?

- Praca. Muszę zmierzyć się z przeszłością.

- Bolesną przeszłością?

- Tak. Bardzo bolesną.

- Czasami takie powroty są niebezpieczne. Zmieniają wszystko w człowieka. Jesteś gotowy na te zmiany?

- Tak. Od dłuższego czasu czuję, że muszę zbliżyć się do tych zmian jak najbliżej. Że poprzez te zmiany stanę się innym, lepszym człowiekiem.

- Przeszłość nie zawsze zaciera obrazy w człowieku, czasami przeszłość sprawia, że te obrazy są bardziej wyraźne, ostre, koloro-

we. Uważaj, kolory, zwłaszcza ostre kolory z przeszłości mogą niszczyć. Niszczyć to, co jeszcze nam zostało dobrego w teraźniejszości.

Oleg wstał, podał mi rękę, wyszedł z ogródka. Jeszcze na koniec się odwrócił i rzekł:

- Do zobaczenia. Szukaj artykułu w gazecie. Na pewno cię zaciekaw.

Potem zniknął w ciemności, w tłumie coraz bardziej pijanych turystów. Przez chwilę jeszcze siedziałem, potem zapłaciłem rachunek i poszedłem ulicą Grodzką w kierunku rynku.

Była noc, byłem ja, była ciemność. Był zgiełk koło mnie, zgiełk gdzieś obok. A ja w tym zgiełku szedłem powoli przed siebie. Ja i zgiełk. Para przyjaciół, para wrogów. Krok w krok...

Ulica Wrocławska, szpital wojskowy, rząd starych zniszczonych budynków, czas się zatrzymał, niezmiennie milczy tutaj od lat. Kręcę się, gubię, mijam rząd dużych korytarzy, jasnych korytarzy, schody, zimna podłoga, pierwsze piętro, drugie piętro i już patrzę się na jego twarz. A twarz ma zmęczoną, strudzoną, a oczy ma obojętne, lekko uśpione bólem.

- Jak operacja? – pytam go z trwogą w oczach.

- Udana – odpowiada cicho, prawie szeptem.

- Operacja była konieczna?

- Gdyby jej nie było, umarłbym, może nawet w śnie.

- Udała się – zamyślam się na chwilę – to dobrze. Znów wrócisz do tego, co kochasz.

- Wrócę – on się uśmiecha oczami. – Cieszę się, że przyszedłeś.

- Znamy się od tylu lat. Przyjaźnimy się. Poza tym lubię słuchać jak opowiadasz o przeszłości.

- Mam ciekawą pracę, tak jak ty.

- Ale ty żyjesz przeszłością, jesteś przeszłością, czujesz przeszłość tak dosłownie. Tak dokładnie.

- To prawda. Jestem historykiem, który zgłębia tajemnice starego Krakowa.

- Kochasz czytać stare księgi.

- Gdy wchodzę do archiwum miasta, wchodzę tam, gdzie nie łatwo się dostać normalnemu człowiekowi, gdy otwieram księgi, a w nich zawarte jest całe życie starego Krakowa, gdy zaczynam czytać

dokumenty, a w nich jest wszystko, czuję, że tam jestem, wśród tych ludzi, wśród ich skarg, płaczu, wśród ich codziennego życia. A potem wychodzę z archiwum i jestem tutaj, znowu, w teraźniejszości. To dziwne.

- Co jest takie dziwne?

- Czasami lepiej się czuję tam, niż tutaj. Ostatnio czytałem o rynku, o życiu ludzi wśród straganów. Czułem to życie w sobie. Tkani-ny, garnki, szewcy sprzedający swoje towary, krzyk kowala, cudzoziemcy w bogatych szatach, Żydzi z Kazimierza, tacy inni niż wszyscy, duchowni i karczmy, a w nich ludzie, a w nich inny, głośny świat.

- Jak wyjdiesz ze szpitala, to znów tam wrócisz.

- Wrócę do tych rozmów, sporów, do tego nieświeżego zapachu miasta. Ludzie w dawnych czasach wyrzucali śmieci na ulicę, przez okno. To nie sprzyjało zapachom miasta – uśmiecha się on.

- Znalazłeś wśród tych ksiąg informacje o łamaniu prawa w mieście?

- Jakiś cudzoziemiec zabił kupca z ulicy Sławkowskiej. Zabrał mu pieniądze. Ukrył się na Kazimierzu. Gdy go złapali sąd skazał go na śmierć. Kat zrobił swoje. Czytałem to wszystko w milczeniu. Obok mnie był tylko kurz, zapach starych ksiąg i cisza, cisza która brzmiała głośniej niż wszystko wokół na zewnątrz. Cudzoziemiec prosił o litość, ale kat był bezlitosny.

- Ludzie zawsze byli tacy sami. Kiedyś, teraz. Zawsze mieli te same skłonności do ułatwiania sobie życia kosztem innych.

- Dwóch chłopów w Bronowicach walczyło o ziemię. W sądzie. Obaj twierdzili, że im się ta ziemia należy. Trwało to i trwało, aż w końcu jednego z nich znaleźli w Wiśle. Drugiemu nic nie udowodniono. Ale po roku było wesele w Bronowicach jego córki. Ktoś dźgnął go nożem. Nikt nic nie widział. Podobno zabił go brat zmarłego wcześniej chłopca. Nienawiść teraz, bardzo podobna jest do nienawiści z kiedyś.

- Moja praca ciągle ociera się o czyjąś nienawiść. Nienawiść do kogoś bo jest inny, bo jest bogaty, bo jest bardziej szczęśliwy niż my, bo jest mniej samotny niż my. Nienawiść to dotykanie obcej duszy przez nasz ból.

- W życiu najbardziej przerażające jest to, jaki nosi w sobie potencjał.

- Gdy wydaje się nam, że możemy dużo, po czasie okazuje się, że tak naprawdę nie możemy nic.

- Czytałem też o kradzieży obrazów znanego krakowskiego malarza. Miał kamienicę przy placu Szczepańskim. Pił nawet z tym złodziejem w karczmie. Potem pili u niego. Rano obrazów już nie było. Nigdy nie znaleźli złodzieja. Obrazy się znalazły, ale po czasie.

- Często czytasz te książki?

- Dwa, trzy razy w tygodniu. Czuję smak tamtego świata, czuję zapach straganów, ulic, czuję zapach kobiet robiących zakupy na rynku. Słyszę odgłosy kuźni, zakładów garncarskich, słyszę rozmowy ludzi, jak się targują, śmieją, kłócą. Widzę spojrzenia kobiet, które podrywają mężczyzn, ale robią to niewinnie, nieśmiało, prawie niezauważalnie. Ten świat jest mi tak bliski, a jednak tak daleki. To mnie uszczęśliwia. Przebywanie w świecie, którego już nie ma.

- Ludzie często przebywają w światach których już nie ma. Przebywają w nich, choć już od dawna powinni stworzyć sobie światy nowe, lepsze.

- Ty też przebywałeś w takim świecie?

- Czasami tak, czasami nie. Mój świat, do którego dążę, jest gdzieś daleko, czuję go, ale go nie widzę. A świat, w którym teraz jestem, to świat wspomnień, świat smutku, świat rzeczy, które robię, żeby zagłuszyć ten smutek w sobie.

- Zmień pracę – mówi on. – Praca jest tylko dodatkiem do życia, nigdy nie jest całym naszym życiem, Komisarzu Koziół.

- Muszę iść. Jeszcze cię odwiedzę.

- Niedługo wychodzę.

- A więc odwiedzę cię w domu, a może nawet w archiwum.

- Archiwum to też mój dom, drugi.

- Wracaj do zdrowia.

Wychodzę ze szpitala. Skręcam w lewo, Wrocławska, w prawo, aleje, a potem idę na Kleparz. A tam życie, a tam hałas, a tam szum. Cisza nigdy nie jest obecna w tym miejscu. Nigdy za dnia.

Wchodzę na Rynek, widzę Sukiennice, widzę tłum ludzi, gołębie cicho zaczepiają ludzi, proszą ich o pokarm, proszą ich o zauważalność, o chęć bycia z nimi, chęć bycia poza nimi.

Mijam Feniksa, widzę światła na piętrze, widzę duże lampy, lampy błyszczące, lampy złożone z kamieni, srebrnych kamieni, szklanych kamieni, i ten blask który od nich bije, blask znany zbyt dobrze z przeszłości, blask już prawie zapomniany.

Zbliżam się do Hawelka, wchodzę złotym korytarzem do środka, mijam schody po prawej, schody zdobione, schody piękne, schody prowadzące do Tetmajerówki, ale idę dalej, na wprost, do dużej sali, i tam go zauważam, siedzi, czeka na mnie, w tym miejscu, w miejscu gdzie chciał się spotkać, w miejscu, gdzie dobrze się czuje zawsze, bo to mi powiedział podczas krótkiej rozmowy przez telefon. To miejsce to jego propozycja, którą z chęcią przyjąłem.

Witam się z nim, podaję rękę. Mówię:

- Marek Koziół.

- Krzysztof Głębiowski – przedstawia się z dziwnym uśmiechem.

Zamawiamy wino. W końcu jestem po służbie, a może jeszcze jestem na służbie, ale ją zaraz kończę, bo tak chcę, bo tak muszę.

Rozglądam się po pięknej sali. Obrazy na ścianach, dużo obrazów, ozdobny sufit, białe kolumny, zielony dywan, okrągłe stoły, białe obrusy, piękne, błyszczące lampy. Inny świat, inne życie.

- Co pana ciekawi? Co chce pan wiedzieć? – pyta Głębiowski.

- Ginder nie żyje. To pan wie. Zginął wczoraj. Pan był ostatnią osobą, z którą się widział wczoraj.

- Tak. Byłem z nim.

- Wszystko wygląda na śmierć naturalną, choć przypadkową. Ale są wątpliwości, małe wątpliwości. W każdej przypadkowej śmierci jest jakaś tajemnica. I ta tajemnica mnie tutaj sprowadza.

- Jak zginął?

- Utopił się w wannie. Nie ma żadnych śladów przemocy. Choć głowę miał lekko obita. Ale we krwi miał dużo alkoholu. Mógł się potknąć, gdy wracał do domu. Takie rzeczy się zdarzają. Szczególnie ludziom, którzy piją więcej niż mogą.

- Więc umarł naturalnie?

- Raczej tak. Mógł zasnąć i umarł pod wodą. Mogło mu się zrobić słabo i umarł pod wodą. Mógł się zakrztusić i umarł pod wodą. Ale... – zamyślam się, patrzę się na obrazy na ścianach, są piękne, takie inne, a potem mówię – muszę wyjaśnić wszystko. Taka praca. Taki zawód. Co robiliście wczoraj wieczorem?

- Byliśmy na planie cały dzień. Serial. Wiadomo. Praca od rana do wieczora. Potem byliśmy właśnie tutaj. Byliśmy zmęczeni. Trochę piliśmy, rozmawialiśmy, przeważnie o nim. Był zmęczony, miał jakąś depresję od pewnego czasu. Był zniechęcony pracą, sobą.

- Co było dalej?

- Potem się rozstaliśmy. On zamówił sobie taksówkę. Ja zamówiłem sobie taksówkę.

- To wszystko?

- Tak.

- Rozumiem. Będziemy to oceniać później.

- Myśli pan, że zginął, bo komuś podpadł?

- Nie. Myślę, że miał pecha. Za dużo alkoholu, za dużo zmęczenia. Za dużo smutku.

- Był moim przyjacielem. Nakręciłem z nim dużo filmów.

- Wiem – napiłem się wina, było dobre, słodkie, miło dotykało mojej duszy. – Jakim był człowiekiem Ginder?

- Był znany. Sam wszystko osiągnął, dzięki sobie, dzięki szczęściu. Lubilem z nim pracować. Był zawodowcem. Kochał kino, jak ja. To nas do siebie zbliżyło. Miłość do kina, do kobiet – uśmiechnął się tak lekko, z taką swobodą, gdy wymówił szeptem słowo kobiet.

- Do kobiet?

- Tak. Kochaliśmy kobiety. Kochaliśmy w nich tajemnicę, jaką wciąż noszą w sobie. Mieliśmy podobny gust, brunetki.

- Tak, kobiety to tajemnica, nieustająca, niezgłębiona, choć przeważnie niepewna tajemnica.

- Będzie mi go brakować.

- Widziałem wiele pana filmów. Są dobre, za dobre na ten kraj.

- Ten kraj, ci ludzie, którzy tutaj żyją, kształtują mnie, dają mi nieustannie tematy, nowe tematy. Kraj jest dziwny, ludzie są dziwni, czasy tutaj też są dziwne. Zwłaszcza w polityce, ale – tutaj Głębiowski się zamyślił – polityka mnie nie interesuje. W polityce ludzie są prości, zbyt prości, żeby kręcić o nich filmy. Wydaje im się, że są niezwykli, a tak naprawdę politycy są biali, ich dusze są białe, myśli mają białe, ale żądze mają czarne, niebezpieczne. O żądzach nie chcę kręcić filmów, zwłaszcza o żądzach polityków. A o ich duszach też nic nie nakręcę, bo są zbyt proste, zbyt ciche, zbyt płaskie.

- Jak pan zaczął kręcić filmy? Jak to się wszystko zaczęło? Ta miłość do kina, do ludzi?

- Gdy byłem mały często chodziłem do kina. Tam poznałem kogoś, kto był operatorem w tym kinie. Zaprzyjaźniliśmy się. Do dzisiaj pamiętam ten szum projektora, gdy siedziałem z nim i patrzyłem się jak puszcza kolejny film. On kochał kino, potem tę miłość do kina przekazał mnie. Nauczył mnie zauważać w kinie rzeczy dobre, niezwykle. Niezwykłość kina, to niezwykłość rzeczy, które ukryte są pomiędzy muzyką, światłem, ciszą, grą. Ukryte są tak głęboko, że aż prawie niezauważalnie. Tak mówił do mnie, gdy płakał na końcu każdego filmu, na końcu każdego dobrego filmu. Te łzy sprawiły, że zacząłem kręcić filmy. Potem on umarł. Ja wyjechałem z miasta. I – Głębiowski zamilkł – zostałem reżyserem.

- Co musi mieć w sobie dobry reżyser?

- Artysta musi mieć w sobie wrażliwość. Bez wrażliwości nie ma duszy, nie ma niczego. Artysta musi mieć jakąś skazę w sobie, bez skazy nie ma tego, co jest niewidoczne w kinie, a co jest tak ważne, tak cenne. Artysta musi mieć jakieś nieuporządkowanie w sobie. Nieuporządkowanie, które prowadzi go do właściwego celu, do jedynego właściwego celu. Do siebie. Bo artysta, tak naprawdę, prowadzi wszystko to co robi, to, co chce robić, do siebie. Do tego co jest w nim niewidoczne, do tego co jest w nim niebezpieczne.

- Często pan tutaj przychodzi?

- To niezwykle miejsce. Ta restauracja ma ponad sto lat. Na początku Hawelek mieścił się w Krzysztoforach, dopiero potem się tutaj przeniósł, do Pałacu Spiskiego. Bywał tutaj Sienkiewicz, gdy był przejazdem w Krakowie, bywali tutaj artyści, literaci, dziennikarze. Po spektaklach przychodzili tutaj aktorzy, znani aktorzy. Na pierwszym piętrze, w sali bankietowej zwanej Tetmajerówką, Tetmajer namalował dekoracyjny fryz przedstawiający legendę o mistrzu Twardowskim. To wyjątkowe, pełne tajemnic miejsce.

- Tak – odparłem. – To niezwykle miejsce. Miło było pana poznać, choć okoliczności są raczej przykre.

- Życie składa się z rzeczy, które zmieniają w nas coś na dobre, coś na złe. A rzeczy przykre zmieniają w nas wszystko, zmieniają tak, że później trudno poukładać to wszystko w jedną całość.

- Do zobaczenia – podałem mu rękę i wyszedłem.

Rynek przywitał mnie nocą, gwiazdami, hejnałem z Wieży Mariackiej. Przywitał mnie ciszą, taką ciszą, która dociera czasami do duszy, dociera czasami do ciała.

Prześcieradło pomarszczone, ślady potu lekko zaznaczają swoją obecność w pokoju. Krawędź łóżka milcząca, obok kobieta, lekko zniecierpliwiona, lekko rozdrażniona rozmową. Jej oczy mają w sobie niepokój, lekką nienawiść do tego, jak układa się jej życie, dokąd zmierza jej przyszłość.

- Jeśli mnie kochasz, a wciąż mi to powtarzasz, gdy jesteśmy razem, musisz być obecny w moim życiu. Miłość to nieustająca obecność kogoś bliskiego koło nas. Nieustająca – Samanta lekko zmrużyła swoje granatowe oczy. – Rozumiesz co znaczy słowo nieustająca? Rozumiesz co znaczy słowo obecność?

- Rozumiem – Buczkowski lekko spuścił wzrok. – Rozumiem – powtórzył to słowo ciszej, prawie szeptem.

- Wciąż siedzisz na Służewcu, wciąż spędzasz czas przy koniach, żona nie zajmuje ci dużo czasu, ale wciąż z nią jesteś, mówisz, że dla pieniędzy. Przecież wiesz, kobiety czują, jak mężczyzna je zdradza. Ona prędzej czy później zrozumie, że jesteś gdzieś obok niej, że już nie idziecie razem wspólną drogą, nie idziecie tą drogą już od dłuższego czasu. Gdy to zrozumie poczuje się zdradzona, oszukana. A kobiety zdradzone, oszukane, a do tego zranione są niebezpieczne. Nie boisz się gniewu kobiety?

- Nie wiem.

- Kobiety zranione zrobią wszystko żeby zniszczyć mężczyznę. Wszystko to słowo, którego teraz nie rozumiesz, boję się, że gdy właściwie zrozumiesz to słowo, będzie dla ciebie za późno.

- Na co za późno?

- Na wszystko. Za późno na nią, za późno na mnie, za późno na ciebie. Nie boisz się tego słowa za późno w przyszłości?

- Boję się, że ciebie stracę.

Samanta wstała z łóżka, podeszła do Buczkowskiego, wtuliła się w jego włosy swoją twarzą. Rękami objęła jego ciało.

- Musisz być obecny w moim życiu. Choćby czasami. Muszę czuć tę obecność koło siebie. Kocham cię, kocham chwile gdy jesteśmy razem, ale ty nie mówisz mi tak naprawdę nic o swoim życiu, o

koniach, o marzeniach, o naszej przyszłości. Nie wiem dlaczego tego nie robisz. Nie mówisz mi o tych rzeczach, bo się może czegoś boisz, a może nie mówisz mi o tych rzeczach, bo się niczego już nie boisz. Nie boisz się mojego gniewu, jej gniewu, swojego gniewu. Tak naprawdę – Samanta się zamyśla, a jej granatowe oczy stają się smutne, nieobecne – tak naprawdę, nawet nie wiem, jak do końca wygląda twój gniew.

- Rzucę ją kiedyś. Ale nie teraz.

- Kiedyś – Samanta się uśmiecha. – Kiedyś, to czas, który być może nigdy do ciebie nie dotrze, nie dotrze nigdy do mnie. Kiedyś to czas, do którego w pewnym momencie nie będę chciała dojść. Nie będę go chciała zrozumieć.

- Obecność, to też czekanie na kogoś, kogo się kocha.

- Może dla ciebie. Czekanie to tęsknota. Obecność to przeżywanie razem pewnych uczuć, pewnych pragnień. A ja z tobą coraz mniej przeżywam pewne rzeczy. Najbardziej przeżywam z tobą twoją nieobecność.

- Zmienię się – Buczkowski kłamie, wie, że Samanta to wyczuwa, nie jest tego do końca pewna, ale to wyczuwa, w jego głosie, w drżeniu głosu gdy kończy każde swoje zdanie.

- Obecność – Samanta podnosi swój głos. – Obecność to jest to, czego od ciebie oczekuję. Nie oczekuję, żądam. Jeśli nie będziesz obecny w moim życiu, zostawię cię.

Samanta się ubiera i wychodzi z pokoju. Buczkowski siedzi, milczy, patrzy się zimnym wzrokiem w lustro. Po chwili też się ubiera, zamyka drzwi na klucz i wychodzi z mieszkania. Wraca do żony.

- Dobrze zdjęcia. Bardzo dobre. Myślałeś, że pewne rzeczy można ciągnąć w nieskończoność bez żadnych konsekwencji – Komisarz Koziół spojrzał na Buczkowskiego łagodniej, a potem w jego oczach pojawił się błysk, jakiś ogień. – Masz szczęście, jeśli zrobisz to, o co cię poproszę, będziesz mógł nadal żyć tak jak chcesz.

- A jak się nie zgodzę – Buczkowski wciąż patrzył się na stół, na zdjęcia, które leżały bez żadnego określonego ładunku na krawędzi stołu.

- Przecież nie jesteś mężczyzną, który zaryzykuje swoją przyszłość, tylko dlatego, żeby sobie coś udowodnić. Żyjesz, jak żyjesz.

Kochasz, jak kochasz. Grzeszysz, jak grzeszysz. Twoje życie, twoje słabości, twoje ucieczki w nieznane. Pamiętaj – Komisarz Koziół spojrzał głęboko w oczy Buczkowskiego. – Ucieczki w nieznane, to ucieczki niebezpieczne. Ucieczki w nieznane z kobietą, którą się kocha, a z którą się na co dzień nie żyje, to ucieczki bezpowrotne.

- Co mam zrobić?

- Cieszę się, że coś z tej rozmowy zrozumiałeś. Twoja żona to kobieta z pieniędzmi, można powiedzieć kobieta niezależna, zrobiłbyś duży błąd, gdyby cię rzuciła. A to mogę ci obiecać, gdy ujrzy te zdjęcia z twoją kochanką. A ty, bez pieniędzy, upokorzony, daleko nie zajdziesz do przodu. I te nałogi, hazard, i to, że ludzie mogą się dowiedzieć, że za dużo mówisz o wyścigach, to cię zniszczy, nawet nie upokorzy, zniszczy.

- Co mam zrobić? – powtórzył pytanie Buczkowski.

- Powiesz Kozyrze, że szykuje się numer życia. Że słyszałeś jak rozmawiali dżokeje. Że wygra koń, na którego nikt nie chce nic postawić. Powiesz, że to pewne, że sam postawiłeś wszystko na ten wyścig.

- Nie wiem, czy mi uwierzy.

- Tobie nie uwierzy. Wciąż mu pomagasz.

- To są tylko małe sugestie, które często się sprawdzają.

- Masz jęgo zaufanie. Pójdziecie razem do knajpy, upijecie się razem, porozmawiacie ze sobą jak ludzie, którzy jeszcze coś mogą w życiu zdobyć, osiągnąć, ale do tego potrzebne są duże pieniądze, i gdy on, po alkoholu zobaczy w twoich oczach to, co sam nosi w sobie, uwierzy ci. Przekonaj go tylko. Kozyra to hazardzista, a tacy ludzie potrafią postawić wszystko na jedną kartę, gdy zobaczą cię szansy na zmianę swojego losu.

- Zrobię to.

- Wiem. Kochasz przecież swoją żonę. Kochasz też kochankę. Taki wybrałeś sobie los. Dwie miłości, dwa życia. Nie stać cię teraz na jakiegokolwiek zmiany. Na zmiany, które zniszczyłyby twoje życie bezpowrotnie.

- Mogę wziąć te zdjęcia?

- Weź – uśmiechnął się Komisarz Koziół. – Samanta to piękna kobieta. A w twoich ramionach rozkwita. Widać to na zdjęciach. Będziesz miał piękną pamiątkę.

- Oczywiście masz inne zdjęcia.
- Oczywiście – Komisarz Koziół wstał z krzesła. – Oddam ci je, gdy zrobisz to, o co cię proszę.
- I nigdy więcej cię nie zobaczę.
- Tego nie mogę ci obiecać. Nie dlatego, że tego nie chcę, bo chcę, ale dlatego, że wiem z doświadczenia, że takie obietnice przeważnie się nie sprawdzają. Świat nas często zaskakuje, ludzie często nas zaskakują, sami siebie też często zaskakujemy. A więc, do nie zobaczenia – Komisarz Koziół cicho wyszedł z pokoju. Zostawił za sobą ciszę, spokój, obojętność w oczach Buczkowskiego. Nostalgie.

Chodzą za mną. Od pewnego czasu chodzą za mną nieustannie. Czuję ich oddech za sobą, wciąż. Czuję ich oddech za moimi plecami, wciąż. Niepotrzebnie na nich nakrzyczałem. Niepotrzebnie się uniosłem. To był błąd, duży błąd. A oni się tylko patrzyli, nic nie mówili, lecz ich milczenie było znaczące. Było nawet gorsze niż ich gniew, który mógł się po tym milczeniu pojawić, ale się nie pojawił. Potem on wstał, popatrzył mi się w oczy i to spojrzenie było wymowne. W jego oczach było zrozumienie. Nie zrozumienie mnie, mojego bólu, mojej rezygnacji, lecz zrozumienie sytuacji, która się przed nim pojawiła, która się pojawiła przede mną, zrozumienie tak bolesne, że aż nieprawdziwe, niebezpieczne.

Potem wyszedłem, a oni się tylko na mnie patrzyli. Wtedy zrozumiałem, że podjęli jakąś decyzję i że z tej decyzji nie będą mogli się już później wycofać.

I teraz chodzą za mną. Są niewidoczni, ale wiem, że gdzieś są, gdzieś obserwują moje ruchy, moje teraz tak poplątane życie.

Przecież zawsze im płaciłem. Spóźniałem się, ale płaciłem. Teraz potrzebuję więcej czasu, ale prawda jest taka, że czas mi nie pomoże. Nie zdobędę tych pieniędzy. Suma mnie przerasta, tak samo jak przerasta mnie moje życie, tak samo jak przerastają mnie moje wspomnienia, moja przeszłość. I oni też to wiedzą, że nie zdobędę tych pieniędzy. A przynajmniej, że nie zdobędę ich legalnie. Zaryzykowałem, przegrałem.

Poszedłem dzisiaj do Teatru Starego. Na „Zbrodnię i Karę” Dostojewskiego. Sztuka adekwatna do mojej sytuacji. Jest zbrodnia, więc kiedyś musi pojawić się kara.

Chciałem odpocząć, coś zobaczyć, coś przeżyć, a tylko na dzisiaj były bilety. Siedzę na sali, obserwuję sztukę. Znany aktor, aktor z telewizji, z dobrych filmów, jednak tak naprawdę aktor teatralny gra tę rolę doskonale. Zapominam o problemach, zapominam na krótki czas o sobie. To sztuka, prawdziwa sztuka, choć na chwilę potrafić zapominać o sobie.

Raskolnikow leży w łóżku, w swoim pokoju, majaczy. Sen to jawa, jawa to sen. Jak moje życie, nie wiem czy śnię, nie wiem czy żyję. Wszystko się zaciera, łączy, rozpada na małe cząstki snu, może małe cząstki życia. Raskolnikow wciąż majaczy, ma wysoką gorączkę. Dobry aktor, doskonały, myślę.

I nagle aktor przestaje mówić, następuje cisza, zbyt długa cisza. Na scenie nic się nie dzieje. Potem jest krzyk pierwszy, rozpaczliwy, potem jest krzyk drugi, bolesny, potem jest krzyk trzeci, obojętny. Aktor nie żyje. Umarł na scenie. Umarł tak, jak żył. Tak jak chciał żyć zawsze. Ktoś krzyczy „Karetka!”. Ktoś krzyczy „Wezwać lekarza!”. Te krzyki, tyle krzyków jest wokół sceny. Tyle krzyków jest wokół życia, które nagle się skończyło, urwało. Odeszło w ciemność.

Ludzie stłoczeni są wokół sceny. Wychodzę. Idę do toalety. Jestem sam. Przy scenie zgiełk, w życiu cisza. Jak w kinie. Światła, blask, światła gasną, życie gaśnie, jednak gaśnie gdzieś z boku, gdzieś na poboczu. Gaśnie obok rzeczy najważniejszych, obok rzeczy, które są niewidoczne, prawie niezauważalne.

W toalecie wchodzę do kabiny. Przed wejściem patrzę się w lustro nad umywalką. Widzę swoją twarz. Jest taka obca, niewidoczna, rozmazana. Niewidoczna dla mnie, dla życia.

Zamykam drzwi kabiny. Może kiedyś będzie dobrze, musi być dobrze. Może wspomnienia kiedyś znikną, moje problemy znikną, łudzę się. Za sobą czuję czyjś oddech. Odwracam się. Widzę cień. Duży cień mężczyzny. Czuję ukłucie w szyję. Nawet nie boli. Nawet krew nie pojawia się na mojej szyi. Zaczynam odpływać. Wszystko się rozmazuje. Znika. Jestem sam, sam ze swoją ciemnością.

Cień znika. Tylko słowa, rozmazane, popękane przełamują ciemność, przełamują coraz większy mrok koło mnie. D-ł-u-g-i n-a-l-e-ż-y o-d-d-a-w-a-ć. To ostatnie słowa, które dotyczą moich myśli, dotyczą mnie całego, zanim ciemność zaczęła zamykać wszystko wokół mnie. Świat znika. Ja znikam. Kształty ludzi, rzeczy, które są koło mnie, które były czasem koło mnie też znikają. Przestaję oddychać, tak jak...

Wyjechałem i nigdy do miasta mojego dzieciństwa nie wróciłem. Tak było, tak miało być aż do pogrzebu Kozyry. Myślałem, że już nigdy nie zobaczę jeziora, nie zobaczę wyspy na jeziorze, do której kiedyś płynąłem z Katarzyną, nie raz, nie dwa, lecz kilka razy. Myślałem, że już nigdy nie zobaczę twarzy z przeszłości, nie zobaczę miejsc, które więcej lub mniej coś dla mnie znaczyły. Myliłem się, wróciłem tam, choć nie chciałem, wróciłem tam, bo zaprowadził mnie do miasta mojego dzieciństwa los, zaprowadziło mnie tam przeznaczenie.

Dzień był pochmurny, ciemny, siny. Czarne chmury, chmury spopielone szarością, chmury ciężko poruszające się po niebie nad cmentarzem.

Pogrzeb, ilość twarzy, ilość ciał, ilość ludzi, którzy tutaj byli, duża. Ojciec Kozyry to Burmistrz tego miasta, więc wypadało być, wypadało się pokazać, choćby w chwili tak tragicznej dla niego.

Stałem z boku, w bezsłonecznym cieniu drzew. Patrzyłem się na twarze z przeszłości. Jednych poznawałem od razu, innych nie mogłem sobie przypomnieć, choć wiedziałem, że ich znam, znałem, a może tylko się myliłem, a może pamięć mnie po prostu zawodziła.

Walczak i jego ojciec Komendant Policji stali prawie przy samym grobie. Walczak się postarzał. Życie go zniszczyło, czas go zniszczył, a może to on sam siebie najbardziej zniszczył, niszczył siebie już od dłuższego czasu. Czarne włosy miały dużo jasnych odcieni, zapuścił brodę, też była jasna, jak jego wąsy. Oczy miał zmęczone, niespokojne. Widać było, że nie żył tak jak chciał żyć. Przez siebie, może przez innych.

Obok Walczaka, trochę z boku, stał Pikero. Od razu go poznałem. Stał ze swoim ojcem, adwokatem. Byli smutni, jacyś nieobecni. Słyszałem, że ojciec Pikera nie jest już tak wziętym adwokatem. Od

śmierci Katarzyny ludzie przestali mu ufać. Kiedyś był droгим adwokatem, teraz był tańszy, bardziej dostępny dla innych.

Pikero przytył. Słyszałem, że został architektem. Podobno był dobry. Miał pieniądze, widać to było po jego ubraniu, po zegarku, który nosił na lewej ręce.

Wyszedłem z cmentarza zanim skończył się pogrzeb, zanim ciało Kozyry znikło pod ziemią. Pochodziłem po rynku miasta. Stare kamienice, stare wspomnienia. Kiedyś kochałem to miasto, wierzyłem, że miłość może kiedyś wróci, po czasie. Na razie nie wracała.

Poszedłem nad jezioro. Stałem nad brzegiem. W szuwarach zobaczyłem naszą łódkę. Moją i Katarzyny. Była zniszczona, dziurawa. Czas zatrzymał się dla niej po moim wyjeździe z miasta.

Przypomniałem sobie wyprawy tą łodzią na wyspę. Jak pływaliśmy po jeziorze, za dnia, czasami w nocy. Kochałem Katarzynę, była miłością mojego życia. Po jej śmierci nic już nie było takie same, nic nie było proste i łatwe. Ani noce, ani dni.

Poszedłem na jej grób. Na cmentarz, na którym byłem dzisiaj rano, gdy chowali Kozyrę. Na jego grobie widziałem dużo kwiatów. Teraz nie było już tam nikogo. Katarzyna leżała z tyłu cmentarza, przy samym ogrodzeniu. Zapaliłem znicz. Dotknąłem ręką jej zdjęcia. Kiedyś będziemy razem, pomyślałem. Odnajdę cię kiedyś, nie ważne gdzie jesteś, odnajdę cię. To, że cię straciłem tutaj, nie oznacza wcale, że stracę cię później, po śmierci. Odnajdę cię nawet w ciemności. I gdy pomyślałem w ciemności, na moim policzku pojawiła się pierwsza łza. A potem była druga łza i kolejna. Przeszłość boli, najbardziej boli wtedy, gdy jesteśmy sami na świecie. Sami tylko ze sobą. Gdy otaczają nas tylko cienie ludzi, którzy nic dla nas nie znaczą. Cienie ludzi, którzy nic nowego nie wnoszą do naszego życia.

Pożegnałem się z Katarzyną i wyszedłem z cmentarza. Do rodziców nie poszedłem. Nie chciałem, żeby ktoś wiedział, że dzisiaj tutaj byłem. Wsiadłem do samochodu i wyjechałem z miasta. Z miasta do którego nigdy już nie miałem wracać, tak kiedyś myślałem.

Plany są jak małe dzieci, nigdy nie wiadomo co zrobią, nigdy nie wiadomo gdzie się ukryją. A już na pewno nigdy nie wiadomo gdzie się odnajdą. Daleko, blisko, gdzieś obok. Odnajdą się tam, gdzie się ich najmniej spodziewamy.

Od pewnego czasu mam dziwne lęki, lęki, które mnie niepokoją. Pojawiły się i nie chcą zniknąć. Nie chcą zniknąć pomimo czasu, pomimo trudu jaki sobie zadaję, żeby o nich nie myśleć. Nie myśleć wciąż.

Zawsze kochałem wodę, morze, pływanie. Pływanie mnie zawsze uwalniało, uwalniało od rzeczy złych, od rzeczy kłopotliwych, które czyniły moje życie gorszym. Pływanie uwalniało mój umysł od rzeczy ciemnych, mrocznych. Oczyszczało mnie nieświadomie.

Wskakiwałem do wody i płynąłem. Płynąłem tak bezmyślnie do przodu. I to bezmyślnie mnie tak najbardziej pociągało w tym moim pływaniu.

I nagle, nawet nie jestem w stanie określić dokładnie tego nagle, pojawiły się te dziwne lęki. Pojawiły się nagle, niespodziewanie. Zacząłem się bać, bardziej obawiać niż bać wody. Niby płynąłem, niby pokonywałem kolejne baseny różnymi stylami pływackimi, ale w moje głowie rodził się coraz większy niepokój. Niepokój, gdy zanurzałem swoją głowę pod wodą. Najpierw był to niepokój przed zanurzeniem, potem był to niepokój przed skokiem do wody, do basenu.

Gdy miałem iść na basen czułem strach. I gdy ten strach zaczął się pojawiać w mojej głowie, w moich myślach coraz częściej postanowiłem sobie pomóc.

Znalazłem w gazecie ogłoszenie. Psychoanaliza, leczenie poprzez hipnozę. Poszedłem pod wskazany adres. Kamienica, tuż przy rynku, tuż przy Placu Szczepańskim, duża klatka schodowa, skrzypiące schody, stare, trochę zniszczone, lampy lekko pulsujące nad moją głową, trzecie piętro. Zapukałem. Wszedłem do środka. Duże mieszkanie, jak to w kamienicy.

Mężczyzna w granatowej kamizelce, z krótką brodą zakręconą na końcu, w granatowych okularach, o oczach fioletowych, uśmiechnął się do mnie, podał mi rękę na powitanie.

- Zygmunt Frejd.
- Marek Kozioł.
- Proszę usiąść.

Usiadłem. Popatrzyłem się za okno na drzewa, na ptaki latające na niebie pośród chmur.

- Co pana dręczy?

Opowiedziałem mu wszystko, opowiedziałem tak jak umiałem, bez oszukiwania siebie, bez oszukiwania jego. Gdy skończyłem, on zaczął mówić:

- W każdym leczeniu najważniejsza jest rozmowa, najważniejsza jest prawda. Bez prawdy nie ma leczenia. Możemy szukać rozwiązań, iść do przodu, ale to będzie droga bez celu. Gdy pacjent nie mówi prawdy, każda droga jest jałowa, każda droga jest bezcelowa.

- Mówię prawdę, swoją prawdę.

- Wiem – uśmiechnął się Zygmunt Frejd. – Mówi pan to, co wydaje się panu słuszne. Ale ja chcę usłyszeć to, czego pan nie chce mi powiedzieć, albo to, czego nie może mi pan powiedzieć, bo to coś jest ukryte w panu, w środku, we wspomnieniach, w pana podświadomości. I to nie w podświadomości o której pan coś wie, lecz w podświadomości o której pan nie ma żadnego pojęcia.

- Czyli wszystko to co nas określa teraz, znajduje się w naszej przeszłości. Wszystkie nasze lęki, obsesje, nerwice, psychozy to ślad przeszłości odbijający się w teraźniejszości.

- Nic nie dzieje się bez przyczyny. A przyczyną wszystkich naszych słabości w teraźniejszości jest przeszłość.

- Jak będzie wyglądało leczenie?

- Będziemy pana leczyć hipnozą. Wprowadzę pana w hipnozę i będę powoli docierał do miejsc, gdzie znajdują się pana lęki.

- Obawiam się wody. Wcześniej jej się nie bałem, mówiłem to panu przez telefon. Nie wiem kiedy dokładnie się to zaczęło, nie wiem kiedy dokładnie się to skończy, jeśli się skończy.

- Psychoanaliza pomaga, jeśli dotrzemy do źródła. Wprowadzę pana w hipnozę, będę panu zadawał pytania. Niech pan mówi, niech pan tylko mówi, to co chce pan powiedzieć. Niech pan nie prowadzi analizy swoich odpowiedzi. Każda odpowiedź jest dobra, jeśli jest prawdziwa. Jeśli prowadzi nas do celu.

- Ile będzie tych seansów?

- Myślę, że kilka. Czas, jego siła, zmieni pana w innego człowieka.

Położyłem się na łóżku. Po chwili mnie nie było. Nie było mnie tu, nie było mnie tam, nie było mnie nigdzie. Tak się czułem, jak człowiek ocierający się o jakiś niebyt, jak człowiek ocierający się o jakąś nieokreśloność. Nieokreśloność rzeczy, zmysłów, myśli.

Byłem u niego raz, byłem dwa razy, byłem trzy razy i jeszcze kilka razy. Przychodziłem, wracałem do siebie. A potem znów zasypiałem w jego gabinecie, w łóżku, które nawet polubiłem. Mówiłem mu w hipnozie rzeczy które zapomniałem, które gdzieś we mnie były, zaznaczyły jakiś ślad we mnie, ale nie zniknęły. Ja o nich zapomniałem, ale one o mnie nie zapomniały.

Z każdym dniem czułem się lepiej. Strach powoli mijał. Aż w końcu strach zniknął całkowicie. Gdy wychodziłem z gabinetu po raz ostatni, spytałem Zygmunta Frejda co było przyczyną mojej choroby.

- Przeszłość – odpowiedział. – Wspomnienia z przeszłości.

- Jakie wspomnienia?

- Gdy miał pan dwa lata, płynął pan łodzią po morzu. Z rodzicami. Były wtedy większe fale niż zazwyczaj, łódka się kołysała na boki. Czuł pan strach, taki strach, że nawet pan nie potrafił zapłakać. Gdy wróciliście do brzegu, serce panu tak biło, jakby chciało uciec gdzieś daleko. I to w panu zostało aż do dzisiaj.

- Nie pamiętam, żebym pływał łódką po morzu. Nigdy tak nie było.

- Nigdy – uśmiechnął się Zygmunt Frejd. – Słowo nigdy, tak naprawdę nigdy nie powinno występować w psychiatrii. Nigdy to zaprzeczenie prawdy, która prędzej czy później musi się pojawić przy każdym leczeniu.

- Nigdy nie pływałem łódką po morzu – zamyśliłem się.

- Najbardziej ranią nas wspomnienia niewidoczne, prawie zapomniane. Ukryte – uśmiechnął się tajemniczo Zygmunt Frejd. – Niech pan zapyta rodziców o przeszłość.

Podziękowałem, wyszedłem. Znów mogłem pływać bez żadnych leków na basenie. Znów woda była wyzwoleniem, nie karą. Jednak coś mnie niepokoiło. Coś w środku wciąż chciało znać odpowiedź. Zadzwoiłem do rodziców. Byli zaskoczeni, że to pamiętam. Przypomnieli sobie chwile, gdy byli ze mną nad morzem. Przypomnieli sobie chwile, gdy byli młodzi, szczęśliwi, zdrowi. Przypomnieli sobie piękny dzień, ale wietrzny i my razem płynący łódką po morzu. Byłem mały, zbyt mały żeby to zapamiętać. I nie zapamiętałem. Zapamiętała to moja podświadomość, podświadomość, która do

mnie tak nagle, niespodziewanie wróciła. Wróciła bez żadnego powodu, bez żadnego celu.

Gdy kładłem się spać wieczorem do snu, do snu ostatecznego, pomyślałem „Ile jeszcze takich wspomnień mam w sobie? Wspomnień, które będą chciały mnie zniszczyć w przyszłości. Które będą chciały mnie zaskoczyć, zanim ja sam siebie zaskoczę”.

Już sam nie wiem kim jestem. Jestem, kim jestem. Ja człowiek. Ja pisarz naznaczony niepamięcią. Budzę się, otwieram oczy, znikam. Znikam w ciągu dnia, na kilka sekund, znikam wieczorem, na dłuższy czas. Na sen. I potem znów się budzę. Karuzela uczuć, karuzela tych samych, ciągle się powtarzających pragnień. Miliony czynności, które prowadzą mnie donikąd. Miliony czynności powtarzalnych, miliony czynności, które tak dobrze znam. Które tak dobrze nienawidzę. Tylko pisanie jest jakąś ucieczką, tylko pisanie jest jakąś nadzieją. Ulgą.

Kolejne strony tekstu pojawiają się każdego dnia. Stukam w maszynę do pisania palcami, stukam delikatnie, stukam drapieźnie. Stukam niebezpiecznie. Stukam i stukam. Kolejne zdania, kolejne historie rodzą się w mojej wyobraźni. Czasami kocham te historie, czasami je nienawidzę. Pisanie to ucieczka od siebie, od innych. I ja, tak naprawdę, wciąż uciekam. Ale dokąd? Tego nie wiem, i z pewnością nigdy się nie dowiem. Chcę tylko skończyć tę książkę, skończyć ją za wszelką cenę. Skończyć ją, jeśli moja wyobraźnia mnie nie zawiedzie, jeśli ja sam siebie nie zawiodę.

Dzisiaj patrzyłem się przez okno na niebo, na chmury. Ich kształty, ich niepokój, ich wieczna ucieczka do miejsc, które nie znam i z pewnością nigdy nie poznam. I gdy patrzyłem się na te chmury, gdy czasami mi coś one przypominały, a czasami nie, zrozumiałem, że wyobraźnia to coś pięknego, to coś co mogę sam kształtować jak jakiś mięsień, który mogę sobie latami wyćwiczyć, aż będzie doskonały, aż będzie wyjątkowy. Jeśli mięśnie można kształtować, jeśli mózg można rozwijać, dlaczego wyobraźni nie można wyćwiczyć, jak każdy kawałek naszego ciała. Zrozumiałem to, gdy tak patrzyłem się obojętnie na chmury, na niebo.

Odkąd pisałem książki na maszynie, może tylko jedną, jeszcze nie skończoną książkę, zacząłem w swojej wyobraźni tworzyć histo-

rię, setki historii, które się ze sobą niewidzialnie łączyły. I poprzez to pisanie moja wyobraźnia zaczęła uciekać wraz ze mną na niewidzialne drogi, które nie znam, jeszcze nie znam. I poprzez to pisanie sny się we mnie zmieniły. Kiedyś miałem sny rozmazane, ulotne, popłatane, prawie niewidoczne. Tak było przed pisanem. Odkąd piszę sny mam tak realne, tak rzeczywiste, tak prawdziwe. Gdy się budzę, sny budzą się wraz ze mną. Przez chwilę są jeszcze we mnie, pamiętam je dokładnie. Pamiętam nie jeden sen, nie ostatni sen, lecz pamiętam wszystkie sny z nocy. Wszystkie sny, które się ze sobą w jakiś niewidzialny sposób łączyły. Przenikały. I wtedy zrozumiałem, że to moja wyobraźnia tak rozwinęła te sny, sprawiła to przez moje pisanie.

Gdybym nie pisał, śniłbym ulotnie, niewidocznie, krucho. Gdy piszę śnię prawdziwie, śnię boleśnie, śnię dokładnie. I ta dokładność tak boleśnie coś czasami niszczy, tak boleśnie coś czasami rani. Bo sen też może czasami ranić, a nawet myśle, że czasami sny bardziej ranią człowieka niż samo życie.

Podchodzę do maszyny do pisania, jestem odwrócony plecami do okna, do chmur, do nieba. Siadam tyłem do okna i zaczynam pisać. Nie potrzebuję światła dziennego zza okna, w pokoju, może celi jest jasno, na tyle jasno, że palce śmiało wystukują kolejną historię. Zresztą klawisze maszyny znam dobrze, zbyt dobrze, prawie na pamięć, więc mógłbym pisać swoją historię nawet wtedy jakbym był niewidoczny. Niewidoczny dla świata, niewidoczny dla siebie.

Piszę przez kilka godzin. Znów jestem Komisarzem Markiem Koziółem. Komisarz Marek Koziół znów jest mną. Jesteśmy ze sobą złączeni jakąś niewidzialną nicią. Nicią, która kiedyś się zerwie i zniszczy wszystko to co nas teraz łączy. Ale to będzie kiedyś, ale to będzie jutro, pojutrze, w przyszłości, może nigdy. Tego nigdy się tak naprawdę boję. Nigdy, które może mnie kiedyś zaprowadzić donikąd.

Kończę pisać ostatnie zdanie. Ostatnie zdanie dzisiaj. Jutro znów będę pisał. Ale przede mną noc, przede mną sny, przede mną niepokój. Niepokój, który rozbudza moją wyobraźnię, niepokój, który rozbudza moje sny.

Zanurzam się, wynurzam się. Woda oczyszcza moje ciało, woda oczyszcza moją duszę. Znów pływam. Znów pływam z radością. Lęki przed wodą gdzieś znikły, uciekły. Znów wszystko ma sens, znów wszystko ma znaczenie. Jakie to szczęście, robić w życiu rzeczy ważne, robić je z radością. Gdy nie ma radości w rzeczach ważnych, trudno znaleźć radość w rzeczach błahych.

Wychodzę z basenu, zauważam na swojej nodze jakiś ślad. Rana, dziwna rana. Wcześniej jej nie miałem. Nic nie bolało, nic nie dawało mi sygnału, że ta rana może mieć jakieś znaczenie. Że ta rana może sprawić, że moje życie nabierze innego kształtu, innego wymiaru.

Po kilku dniach pojawił się ból. Nie taki ból, który zabija, lecz taki ból, który niszczy w nas wszystko po trochu, każdego dnia, każdej nocy. Czuję, że rana wciąż ze mną jest, czuję ją w sobie gdy się budzę, czuję ją w sobie gdy zasypiam.

Do tego, ta dziwna rana, to moje znamię, prawie niewidoczne, prawie nieokreślone dla mnie, dla moich myśli, do tego, ta dziwna rana nie chce się goić. Maści, ogólnie dostępne lekarstwa nie pomagają.

Kolejny lekarz, kolejna recepta, kolejne niezrozumienie w ich oczach. Wszystko trwa, wszystko stoi w miejscu. Wciąż widzę niezrozumienie w ich oczach, co jest dla mnie niedobrym znakiem. Nigdy nie zwracałem uwagi na znaki, na symbole, jednak gdy patrzę się ukradkiem na tę ranę, na to znamię, czuję, że ich niezrozumienie, ich bezradność w oczach to znak, to zły znak, dla mnie, dla mojej przyszłości.

Chodzę, pracuję, żyję. Niby nic się nie dzieje. Czas ucieka, ja uciekam, życie ucieka. Niby już przyzwyczailem się do obecności rany w moim życiu, ale wiem, że nie można tak żyć stale. Z niektórymi złymi rzeczami można żyć jakiś czas, ale nie całe życie.

To już trwa trzeci miesiąc. Bezradność zaczyna docierać do moich myśli. Do tej pory głowa była zdrowa. Ale wszystko się zmienia, głowa, odruchy, nawyki też.

Kiedy to się stało, zastanawiam się. Kiedy rana zaczęła odgrywać znaczące miejsce w moim życiu. Nie pamiętam, nie wiem, nie chcę pamiętać.

Siedzę w Sukiennicach w ogródku, piję piwo. Patrzę się na Kościół Mariacki, na Pomnik Mickiewicza. Ktoś podchodzi, zauważam cień za plecami. Odwracam się.

- Przepraszam za spóźnienie – mówi Borewicz. – Korki, stres, korki.

- Nic się nie stało – mówię powoli, sennie, tak sennie jak senny jest ten dzień dzisiaj.

- Jak noga? – pyta Borewicz.

- Nic nie pomaga. Niby nic się nie dzieje, smaruję ranę, a ona wciąż się jątrzy.

- Lekarze, oni potrafią tylko brać łąpówki.

- Stoję w miejscu – zamyślam się. – Najgorsze jest to, że zaczynam się do niej przyzwyczajać.

- Człowiek nie powinien przyzwyczajać się do rzeczy złych. Złe rzeczy prędzej czy później człowieka zabijają.

- Kończą mi się pomysły – wypijam kolejny łyk piwa, łyk zimnego, chłodnego, złotego piwa.

- Mam dla ciebie nowinę. Może dobrą, może złą. Na pewno wymagającą odwagi – mówi Borewicz, a jego oczy mają w sobie dziwny niepokój.

- Słucham – zaciekawiam się.

- A więc, Komisarzu Kozioł, znalazłem kogoś, kto może ci pomóc.

- Gdzie znajduje się pułapka?

- To znachor. Leczy ludzi ziołami.

- Znachor – otwieram szerzej oczy, potem je gaszę, ale powoli, ale sennie.

- Tak, znachor. Mieszka koło Chrzanowa, nad jeziorem, pod lasem. Tłumy przychodzą do niego po poradę, po nadzieję.

- Pomaga?

- Znam dwie osoby, którym pomógł. A co ważne, znam kogoś, kto go zna dobrze. Ten ktoś jest mi winien przysługę.

- Mam iść do znachora. Ja policjant. Ja człowiek rozumny, rozsądny. Ja Komisarz Marek Kozioł.

- Tak. Ty człowiek szukający ratunku.

- Jak pomaga tym ludziom?

- Ludzie stoją do niego od rana. Przyjeżdżają z całej Polski. Każdy ma ze sobą przeźroczystą butelkę z moczem. On patrzy się na ten mocz przez światło i wszystko wie. Ten człowiek posiada ogromną wiedzę o ziołach. Ten człowiek ma dar, więcej widzi niż inni. Jego ręce są wciąż gorące, tak mówią ludzie. A ludzie, jak sam wiesz, szczególnie ci na krawędzi, zawsze mówią prawdę.

- Mam do niego iść? – pytam z niedowierzaniem, z lękiem.

- Chcesz czekać, aż noga zacznie być zakażona, chcesz czekać, aż w końcu odwaga pokona rozsądek, chcesz czekać, aż czas nie będzie dla ciebie już tak łaskawy.

- Dobrze. Przekonałeś mnie. Umów mnie z nim.

- Dobrze – Borewicz wstaje. – I nie martw się, w pracy nikt się o tym nie dowie.

- Ludzie oceniają innych tak jak chcą, nie tak jak mogą.

- Ludzie zawsze widzą więcej niż sami widzimy. Więcej widzą w nas zła, więcej pogardy, więcej niechęci. Dobra nie zauważają w nas tak często jak zła. Pamiętaj, ludzie ci nie pomogą, gdy będziesz sam, gdy będziesz sam walczył ze swoimi słabościami.

- Ty mi pomożesz – stwierdzam.

- Tak, ja ci pomogę, bo ja znam ciebie lepiej niż inni, bo ja poprzez pracę poznałem ciebie z innej strony, lepszej strony, bo ja wiem, że ty mi też kiedyś pomożesz, gdy będę stał nad krawędzią.

Przyjechali rano, wcześniej. Nad jeziorem unosiła się lekka biała mgła. Drzewa na wyspie wyglądały jak żołnierze przed bitwą, żołnierze schowani za niewidzialną zasłoną.

Zaparkowali samochód wzdłuż drogi, na poboczu. Wysiedli. Cienie czekających ludzi stały w milczeniu, w białym milczeniu. Każdy z tych cieni trzymał w ręce szklany pojemnik, a w nim mocz.

Spojrzałem na jezioro, na wyspę. Mgła powoli unosiła się do góry. Uciekała.

- Co teraz robimy? – spytałem Borewicza.

- Idziemy.

- Tak bez kolejki?

- Tak. Jesteśmy umówieni.

Mijałiliśmy w milczeniu twarze, bezradne twarze. W oczach ludzi było widać nadzieję. Coś, co już dawno kiedyś od nich uciekło. Wi-

dać było, że chcą w tej nadziei, może złudzeniu, uczestniczyć jak najdłużej.

Szliśmy powoli, sennie, z lekką obawą. Pod naszymi nogami piasek lekko szeleścił. Tak to czułem, tak to czułem teraz.

Zatrzymaliśmy się przed metalową rzeźbioną furtką. Borewicz zadzwonił. Starszy mężczyzna podszedł do furtki, rozpoznał Borewicza, uśmiechnął się, weszliśmy do środka domu.

W dużym salonie, przy starym drewnianym biurku, pośród starych szaf, starych mebli, przykurzonych obrazów siedział siwy mężczyzna, lekko otyły, w okularach. Jego oczy były żywe, jakby coś się w nich cały czas działo, musiało dziać.

Podąłem mu rękę. On wstał, przywitał się ze mną. Jego ręce były gorące, wyczułem to podczas powitania.

- Co panu dolega? – spytał.

Zanim odpowiedziałem spojrzałem na obrazy. Znam tego malarza, pomyślałem.

- Noga, rana nie chce się goić – odpowiedziałem.

- Proszę mi ją pokazać.

Jego asystent, ten co nas wprowadził, siedział z boku, w kącie salonu, przy biurku, mniejszym biurku niż biurko znachora i coś notował.

Znachor przyjrzał się uważnie ranie. Dotknął rękami opuchniętą już teraz ranę. Czerwoną ranę. Poczulem ciepło, przyjemne ciepło. Ciepło jakiego wcześniej nigdy nie doświadczyłem.

- Proszę pokazać mi mocz.

Dałem mu mocz z rana, w szklanej przeźroczystej butelce. Znachor podszedł do okna. Przy oknie stała lampa z jaskrawym światłem. Była cały czas włączona. Znachor zbliżył pojemnik z moczem do światła. Najpierw pojemnik zamieszał a potem się mu przyglądał. Trwało to chwilę.

Potem podszedł do biurka, usiadł i powiedział:

- Jeszcze nie jest za późno. Dobrze, że pan przyszedł.

- Za późno – zdziwiłem się.

- Tak. Za późno. Gdyby pan zwlekał, straciłby pan nogę, może życie.

- Taka mała rana – zdziwiłem się po raz kolejny. – A taka strata.

- Małe rzeczy mogą wyrządzać więcej szkód niż duże rzeczy.

- Co mam robić?

Znachor podszedł do dębowej komody. Otworzył ją, coś z niej wyciągnął. Podał mi nieduży słoik.

- Proszę smarować dwa razy dziennie, rano i wieczorem.

- Pomoże?

- Tak. Po dwóch tygodniach będzie lepiej.

- Ile płacę?

- Nic – rzekł znachor. – Pański kolega kiedyś pomógł pewnej osobie zmienić całe życie. Gdyby nie on, ta osoba by dawno nie żyła. Pomógł tej osobie bo mógł, bo chciał, bo wiedział, że każdy ma prawo do kolejnej szansy. I teraz ja daję panu szansę na nowe życie.

- Dziękuję.

Znachor popatrzył się w oczy Borewicza. Podszedł do niego, dotknął jego ręki, na chwilę zamknął swoje oczy, potem je otworzył, chwilę milczał, a potem rzekł:

- Panu dziękuję za pomoc przyjacielowi. Dziękuję, że pan go w porę przyprowadził. Proszę poczekać na zewnątrz, ja jeszcze chcę z nim chwilę porozmawiać.

Borewicz wyszedł. Znachor wrócił do biurka, usiadł na drewnianym dużym krześle.

- To pański przyjaciel? – spytał.

- Tak. Wiele razem przeżyliśmy.

- Musi pan coś dla niego zrobić.

- Co?

- On umrze za dwa tygodnie.

- Umrze – poczułem w sobie gniew, zdziwienie, bardziej zdziwienie niż gniew.

- On umrze za dwa tygodnie – powtórzył znachor. – Poprosi go pan, żeby wziął sobie urlop i nadrobił swoje relacje z rodziną.

- Jak umrze, jaki urlop – usiadłem na krześle. – To młody człowiek, tak młody jak ja. Ma przed sobą wszystko. Jeszcze wszystko może – głos mi się złamał, zaniemógł na kilka sekund.

- On już nic nie może.

- Nie może mu pan pomóc?

- Czasami jestem bezradny wobec tego co widzę w ludziach. I ta bezradność później mnie męczy nocami, zabija każdego dnia. I muszę z tym żyć później, żyć tak jak najlepiej potrafię.

- Jest pan pewien?

- Tak. Proszę mu nie mówić o naszej rozmowie. Proszę go tylko zmusić, żeby wziął ten urlop i spędził go dobrze z rodziną. Przecież pan wie, że praca niszczy jego relacje z żoną, z córką.

- Skąd pan to wie?

- Wiem – znachor wstał, podał mi rękę. – Proszę mu pomóc. Jeśli chce pan dać mu szansę na odejście z tego świata w miarę szczęśliwym.

Wyszedłem przed dom. Borewicz czekał przy furtce. Palił papierosa. Obok mnie przeszedł kolejny pacjent z rozpaczą w oczach, wszedł do domu dużymi drewnianymi drzwiami.

- O czym rozmawialiście? – spytał Borewicz.

- O niczym.

- O niczym – zdziwił się Borewicz. – Czasami rozmowy o niczym są bardziej ciekawe niż rozmowy o czymś ważnym.

Szliśmy do samochodu. Milczałem. Widziałem koło siebie twarze ludzi czekających na swoją szansę.

Doszliśmy do samochodu. Ja prowadziłem. Borewicz obojętnie patrzył się za okno. Jezioro powoli znikало za horyzontem. Oddalaliśmy się od niego sennie.

- Mam do ciebie prośbę – rzekłem cicho.

- Jaką prośbę? – zaciekał się Borewicz.

- Najpierw musisz mi obiecać, że ją spełnisz.

- Obiecać – zdziwił się Borewicz.

- Wiem, że jesteś człowiekiem słownym. Jeśli coś komuś obiecasz, a już na pewno jak coś obiecasz przyjacielowi, to dotrzymasz słowa.

- Zgadza się.

- Ostatnio miałem urodziny, nie dostałem od ciebie żadnego prezentu, powiedziałeś mi wtedy, że jak coś wymyślę to mam ci powiedzieć.

- Zgadza się.

- Więc przyrzeknij mi teraz, że spełnisz moją prośbę. To będzie twój prezent dla mnie, na moje urodziny.

- Przrzekam – twarz Borewicza była lekko zdziwiona, oczy też.
- Od jutra bierzesz zaległy urlop, dwa tygodnie. Spędzisz ten czas z rodziną.

- Urlop? Teraz? Po co mi teraz urlop? To nie są wakacje. Do wakacji zostało jeszcze dwa miesiące.

- Obiecałeś.

- Obiecałem. Ale po co mi teraz urlop?

- Ciągłe dużo pracujesz. Ciągłe cię nie ma w domu. Żona, córka potrzebują cię czasami. To dobry moment żebyś się znowu z nimi zaprzyjaźnił. Wyjedź gdzieś. Kiedyś mówiłeś, że w górach się świetnie bawiliście razem, że to był dobry czas dla was, dla ciebie. Wyjedź w góry. Niech wspomnienia znów wrócą do was. Dobre wspomnienia potrafią wiele naprawić w życiu każdego człowieka.

- Może masz rację. Ostatnio coś czułem się bardziej zmęczony niż zazwyczaj. Gorzej spałem, gorzej jadłem, gorzej żyłem. Wyjazd z rodziną może naprawi te rzeczy we mnie. A przynajmniej uczyni te rzeczy bardziej znośnymi.

- Dziękuję – rzekłem cicho, a coś w środku mi mówiło, że to może jest moja ostatnia rozmowa z Borewiczem.

Wypełniałem dokumenty przy biurku. Papierkowa robota, nikt tego nie lubi. Ktoś do mnie podszedł, stanął tuż obok w milczeniu. Ta cisza, ten bezruch koło mnie, zaniepokoił coś we mnie w środku. Odwróciłem głowę.

- Co się stało? – spytałem, gdy spojrzałem na Marka.

- Borewicz nie żyje – rzekł cicho Marek.

- Jak nie żyje? – zaniemówiłem.

- Jego żona dzwoniła przed chwilą. Rozmawiała z Komendantem Wilczkiem. Płakała.

- Jak umarł? – oddech, raczej brak oddechu zamarł we mnie w środku.

- Nagle. Niespodziewanie. Wczoraj wrócił z gór. Dzisiaj rano miał być w pracy. W nocy zaczął dziwnie oddychać. Żona wezwała karetkę. Umarł zanim przyjechała.

- Wylew?

- Może... – Marek zakłopotany stał tuż obok mnie. – Jakie to teraz ma znaczenie. Umarł i jest teraz gdzieś indziej. Umarł i zostało tylko jego puste biurko. Ostatni ślad jego życia w pracy.

Wstałem. Nic nie mówiłem. Wyszedłem z budynku. Chwilę milczałem na ulicy. Świat wokół mnie szedł do przodu, ja stałem, świat wokół mnie walczył o rzeczy ważne, ja stałem, świat wokół mnie milczał, ja milczałem wraz z nim.

Podszedłem do budki z telefonem. Wykręciłem numer. Przez chwilę dzwonek, może sygnał, może jakiś dźwięk milczał w środku a potem usłyszałem głos:

- Słucham.

- To ja, Marek Koziół.

- Umarł. Odszedł. Nie ma go już z nami – głos Marioli był słaby, kruchy, połamany.

- Jak odszedł?

- Nagle. Niespodziewanie. Odszedł – głos Marioli na chwilę się urwał. – Odszedł, gdy się znów na nowo, jako rodzina do siebie zbliżyliśmy.

- Ten urlop był wam potrzebny – co ja mówię, co mam mówić, jak ją pocieszyć. – Ten urlop to był wasz czas. Wasza szansa.

- Wiem, że to ty go do tego urlopu namówiłeś. Wiem, że on tego nie chciał. Zawsze byłeś od niego mądrzejszy. Więcej widziałeś niż inni koło niego. Dziękuję ci za to.

- Za co?

- Że go zmusiłeś do tego urlopu. Na początku było dziwnie. Odzwyczajiliśmy się od niego. Od przebywania z nim przez długi czas. Ale góry, ich spokój, ich cisza nas uzdrowiły. Ja, córka, on znów byliśmy jednością, znów byliśmy rodziną. On znów zaczął się śmiać z rzeczy błahych. On – tu głos Marioli się urwał – on zapomniał, co to znaczy śmiech.

- Już ci go brakuje – stwierdziłem nagle. – Już mi go zaczyna brakować – szybko się poprawiłem.

- Był taki jak kiedyś, gdy się poznaliśmy. Znów w górach był taki jak kiedyś.

- Jak córka? Jak to znosi?

- Tak jak ja. Milczy i patrzy się tylko w okno. Wspomina.

- Kiedy pogrzeb?

- W czwartek.

- Będę.

- Wiem – Mariola się nagle ożywiła. – Nocowaliśmy w schroniskach. Rano, przed wschodem słońca wychodziliśmy w góry. Było wtedy jeszcze zimno, jeszcze ciemno. Tylko cisza, tylko my, tylko nasza miłość schowana w ciemności, ukryta gdzieś pomiędzy górami. Widziałam jak jego twarz z każdym dniem się zmienia. Staje się inna. Odzyskuje dawny blask, dawną świeżość. Wiesz, na pewno wiesz, że wasza praca was niszczy. Ciebie, jego, innych. Dla niego już jest za późno, dla ciebie jeszcze nie.

- Wiem to, czuję to każdego dnia boleśnie. Ale czasami nie mamy wyboru. Możemy tylko iść drogą, którą wyznaczył nam los, którą wyznaczyło nam życie.

- Widzieliśmy stado kozic, gdy szliśmy od Doliny Kościeliskiej na Czerwone Wierchy. Była wtedy gęsta mgła. Kozice pojawiły się na szlaku nagle, jak duchy. Najpierw kilka dorosłych kozic stanęło na szlaku, potem przebiegły młode kozice, a na końcu przebiegła straż tylnia, stare kozice. Potem kozice znikły jak duchy. Było ich ze trzydzieści. To niezwykle, ciemność, mgła i one, wśród nas, one, wyznaczniki prawdziwego życia w górach.

- Masz dobre wspomnienia. To dobrze. Będiesz mogła do nich wracać, gdy będzie ci kiedyś źle.

- Ktoregoś dnia źle oceniliśmy czas i wracaliśmy w ciemnościach do domu. Może szliśmy zbyt wolno i gdy byliśmy już prawie w Kuźnicach, ale jeszcze na szlaku, coś za nami szło, niedźwiedź, może wilk. Jak wtedy się bałam, ale on był spokojny, córka też, więc uwierzyłam, że miłość, prawdziwa miłość to też broń, tarcza przeciwko złu tego świata.

- Miłość daje siłę, gdy jest nam źle, miłość daje siłę, gdy musimy iść do przodu wbrew sobie, wbrew światu.

- Innym razem widzieliśmy niedźwiedzia z młodymi koło Czarnego Stawu Gąsienicowego, szedł w kierunku strumienia. To niezwykle widok. Pamiętam, jak się wtedy do męża przytuliłam, pamiętam jak się córka do nas przytuliła. Pamiętam jak trwaliśmy w tym wspólnym uścisku przez jakiś czas. I było w tym uścisku wszystko, było życie, była nienawiść do życia, była miłość, był gniew, że miłość tak szybko się kończy, tak szybko ucieka z nas

wtedy, gdy jej najbardziej potrzebujemy. Potem niedźwiedź zniknął wraz z młodymi.

- Cieszę się, że byliście razem w tym ostatnim okresie.

- Dziękuję ci za to. Dziękuję ci za to, że go przekonałeś.

- Będę na pogrzebie – odłożyłem słuchawkę. Łzy zaczęły mi płynąć po policzkach. Nie ścierałem ich ręką, nie mogłem, nie chciałem. Czasami łzy niszczą, czasami oczyszczają naszą duszę. Dzisiaj łzy były moim przyjacielem, moją duszą, która chciała ode mnie uciec i polecieć do nieba.

Ona chciała tylko ze mną porozmawiać, pomyślałem. Chciała zrozumieć, dlaczego dobre rzeczy tak szybko uciekają.

Niebo tuż przed burzą, chmury tuż przed burzą, cały świat tuż przed burzą skupiony w jednym miejscu, na jednym małym punkcie w tym miejscu – na grobie. Policjanci ubrani w odświętne mundury, głos księdza i oczy Marioli, i oczy jej córki, oczy, które przez chwilę coś miały, coś odzyskały po jakimś czasie, a potem to straciły.

Honorowa salwa z broni w niebo, a potem kondolencje.

Stałem z boku. Milczałem. Co miałem powiedzieć. Był moim przyjacielem, coś znaczył dla mnie a teraz odszedł. Odszedł tam, gdzie ja nie mogę iść. A już na pewno nie mogę tam iść teraz.

Podszedłem jako ostatni do Marioli i do jej córki. Popatrzyłem jej tylko w oczy, nic nie powiedziałem. Ręce mi drżały gdy ją ścisakałem. Gdy odchodziłem chwyciła mnie za prawą rękę jeszcze raz i było w tym uścisku coś dziwnego, rozpacz wymieszana z jakąś nadzieją. Popatrzyła mi się głęboko w oczy i rzekła:

- Odzyskałam go dzięki tobie. Odzyskałam go dzięki tobie na krótki czas. Na chwilę.

Potem Mariola z córką poszły w kierunku brązowego samochodu zaparkowanego na parkingu.

Zostałem sam. Wróciłem do domu. W nocy nie mogłem zasnąć. Rzucałem się na łóżku w prawo, w lewo. O drugiej w nocy wstałem, spojrzałem za okno. W kamienicy naprzeciwko dwa okna były zapalone. Nie tylko ja walczę z bezsennością w tym mieście, pomyślałem. Znów poszedłem do łóżka. Drzemanie do rana i czekanie na świt, na pierwsze sygnały poranka.

Rano pojechałem do znachora. Chciałem z nim porozmawiać. Znów długa kolejka, znów mocz w szklanych butelkach, w rękach które wciąż w coś wierzą.

Gdy już byłem w jego gabinecie, gdy siedziałem na krześle przy jego biurku, znachor rzekł:

- Nie mogłem mu pomóc, mówiłem panu o tym.

- Skąd pan wiedział? Skąd ta pewność w pana głosie?

- Czasami po prostu więcej wiem niż inni. Czasami czuję to tak mocno, że nie mogę się pomylić. Choć chcę. Chciałbym się mylić w niektórych sprawach. Ale nigdy się nie mylę. Gdy to już czuję, to wiem, że ten ktoś przede mną musi umrzeć i ja nie mogę nic z tym zrobić. Nikt nie może nic z tym zrobić.

- Żył na końcu tak jak chciał. To dzięki panu.

- To dzięki tobie, ty go do tego zmusiłeś. Umarł jako szczęśliwy człowiek. Niewielu ludziom się to udaje.

Spojrzałem na obrazy na ścianach.

- Znam te obrazy. Znam tego malarza – rzekłem cicho.

- To Zbigniew Czewski. Kilka razy mu pomogłem. Nie chciałem pieniędzy, więc dał mi swoje obrazy. Są dziwne, ale dobre.

- Samotny człowiek na wzgórzu, patrzący się na morze, na statek walczący z burzą. Te kolory, te barwy, to napięcie na jego twarzy. To dobry malarz.

- Bardzo dobry – uśmiechnął się znachor. – Ale jego życie do końca nie jest poukładane.

- Kogo życie jest do końca poukładane? Niektórym tylko wydaje się, że ich życie zmierza w dobrym kierunku, ale wystarczy pierwszy ostry zakręt i wszystko się zmienia. Zakręty zmieniają w człowieku wszystko. Wszystko na stałe.

Znachor popatrzył mi się w oczy. Chwilę milczał, potem rzekł:

- Ty też zmierzasz w złym kierunku. Wiesz o tym. Najgorsze jest to, że pomimo tej wiedzy będziesz szedł tą drogą aż do końca. Łudzisz się, że na końcu tej drogi będzie jakaś odpowiedź. Ale musisz wiedzieć, że na końcu tej drogi na pewno nie dostaniesz żadnej odpowiedzi na przeszłość, która wciąż jest w twojej głowie.

Coś we mnie zadrżało w środku. Coś mnie sparaliżowało w głowie.

- Muszę już iść.

- Zło wymieszane z przeszłością nikomu nie daje ukojenia. A zło niszczone przez inne zło, zabija w człowieku wszystko, nawet nienawiść, nawet resztki wspomnień schowane gdzieś głęboko w tej nienawiści.

Jest popołudnie, bardziej wieczór niż popołudnie. Lekki skwar z nieba, ciepło powoli zastygające nad miastem, takie ciepło które nie zabija, lecz daje jakąś nadzieję, otuchę.

Idę ulicą Wiślną. Mijam ludzi, ludzie mijają mnie, mijam czas, czas bliski, czas daleki, czas mijają mnie blisko, z oddali, widzę twarze, twarze widzą mnie, coś dla siebie znaczymy przez sekundę gdy się anonimowo mijamy na ulicy, nic dla siebie nie znaczymy, bo się nawet nie zauważamy, jesteśmy dla siebie obcy, bezimienni. Po prostu idę powoli, sennie ulicą Wiślną. Dochodzę do rynku. Po prawej stronie widzę Wieżę Ratuszową i Sukiennice, i wtedy ich dostrzegam, w ogródku, przy stoliku, przy butelce zimnej wódki chłodzonej metalowym pojemnikiem z lodem.

Siedzą koło wejścia, koło bramy prowadzącej do Piwnicy Pod Baranami, koło nich inne stoliki, też wypełnione bezimiennymi twarzami, ciałami.

Plecami skierowanymi do rynku siedzi Jerzy Pilch, obok niego Grabowski, znany aktor, Nowicki, też go znam z ekranu, z teatru, z telewizji, i jeden dziennikarz, znam tę twarz, to dziennikarz Tygodnika Powszechnego.

Stoję, patrzę się na nich. Co jakiś czas ich ręce wyjmują wódkę, nalewają ją do kieliszków, a potem wódka znika w ich ustach, w ich ciałach. Potem następuje w ich oczach jakaś ulga, pojawia się jakaś nadzieja, na kilka sekund, a potem ta nadzieja znika, gaśnie, rozplywa się w świetle dnia.

Gdy gestykują jest w nich jakiś żar, jakieś napięcie. Ich ręce, gesty tych rąk w powietrzu chwytają mocniej życie niż ręce innych ludzi siedzących obok nich.

Pilch jest jakiś nieobecny, jego twarz, oczy o czymś myślą, o czymś odległym ale ważnym. Może tworzy nową historię do książki, nową postać i już teraz ta postać zaczyna powoli żyć w jego głowie, tutaj, teraz.

Stoję i obserwuję ich. Nagle dziennikarz wstaje, odchodzi, potem Grabowski i Nowicki też wstają, odchodzą. Pilch zostaje sam, wciąż jest zamyślony.

Podchodzę do niego. Stoję nad nim, nad tym jego zamyśleniem i czekam, aż on, w końcu, w tym swoim zamyśleniu mnie zauważy, dostrzeże, aż on, w końcu, z tego swojego zamyślenia się sam wyrwie. I w końcu się wyrwa.

- Mogę się dosiąść? – pytam.

- Proszę – mówi cicho, sennie Pilch. – Znamy się?

- Nie. Marek Koziół – przedstawiam się.

- Jerzy Pilch – mówi cicho, za cicho na ten hałas obok nich. – Napijesz się? – pyta a jego prawa ręka sięga po wódkę i po chwili pijemy ją już razem.

- To dla mnie zaszczyt poznać ciebie. Odważyłem się do ciebie podejść, żeby potem w przyszłości tego nie żałować.

- Żałować czego? W sensie ścisłym.

- Żałować tego, że strach nie pozwala nam realizować własnych marzeń.

- Jestem twoim marzeniem? – uśmiecha się Pilch.

- Rozmowa z tobą jest moim marzeniem.

- Rozumiem.

- Czy wszystko o czym pisesz, to jakaś prawda o tobie, o twoim życiu?

- O co konkretnie pytasz, w sensie ścisłym?

- O kobiety, alkohol, samotność.

- Znasz te rzeczy?

- Znam i często się ich boję. Nie dlatego, że jestem tchórzem, lecz dlatego, że często niszczą moje życie w sensie nieodwracalnym. Niszczą powoli, konsekwentnie.

- Powiedzieć, że piję, to znaczy nic nie powiedzieć. Piję gdy muszę, piję gdy chcę, a najmocniej piję gdy dopada mnie samotność, brak kobiet obok. Alkohol najskuteczniej niszczy we mnie samotność. Skuteczniej niż kobiety.

- A kobiety? W twoich książkach widać, że wciąż są obecne w twoim życiu. Lecz często obecne są tylko na jakiś czas.

- My się zmieniamy, życie wokół nas się zmienia, kobiety też często nas zmieniają i my poprzez te zmiany często uciekamy od

kobiet, albo to kobiety uciekają od nas. W sumie, w sensie ścisłym, to bez znaczenia. Czy my odchodzimy pierwsi, czy kobiety od nas odchodzą pierwsze. Wyrok jest ten sam. Samotność. Samotność tymczasowa, samotność wieczna.

- Wierzysz w miłość? – zaciekawiam się.

Jerzy Pilch nalewa nam wódkę do kieliszków. Noc nad nami zacierają kształty chmur na niebie. W oddali słychać dorożkę i hejnał Mariacki. Kraków utracony, Kraków nieobecny.

- Kocham kobiety. Są dla mnie jakimś sensem. Sensem tymczasowym. Miłość do kobiet sprawia, że piszę, miłość do kobiet sprawia, że wciąż żyję, miłość do kobiet sprawia, że moja samotność nie jest tak dotkliwa. W dzień, w nocy.

- Kobiety – uśmiecham się. – Kobiety to cudowny wynalazek pana Boga. One dają nam jakąś nadzieję, nawet wtedy, gdy tej nadziei nie ma wcale, albo jest jej niewiele, prawie nic.

- Tak. W życiu liczy się pasja i miłość.

- I kobiety.

- Kobiety, które mają pasję w sobie, choćby tylko pasję do życia.

- Podobno kochasz piłkę nożną?

I znów przerwa i znów kolejny kieliszek wódki. Oczy Pilcha wciąż są żywe, wciąż grają jakąś melodię w środku, jego melodię.

- Kocham Cracovię. To mój ukochany klub. Ten klub jest taki jak ja. Nigdy nie osiągamy celów do których dążymy, choćbyśmy się nie wiem jak mocno starali.

- Dlaczego?

- Mamy pecha. Nawet jeśli ktoś ma talent, ale ma pecha, to talent nie jest mu do niczego potrzebny. I tak na końcu umrzemy bez żadnych szans na sukces. I taka jest Cracovia. To klub bez żadnych widoków na sukces, jak ja.

- Jesteś pisarzem. Możesz wszystko. W książkach możesz zrobić wszystko.

- W książkach tak, w życiu nie. Pisarze to ludzie nudni, ludzie bez polotu. Wszyscy myślą, że to wyjątkowi ludzie. Znam wielu pisarzy, żyję koło nich, oni żyją koło mnie i powiem ci, tak w sekrecie, nie są wcale tak wyjątkowi jak o nich wszyscy myślą. Ich książki mogą być wyjątkowe, ciekawe, lecz ich życie często nie jest ani wyjątkowe, ani ciekawe.

- Cieszę się, że cię poznałem.

- Muszę już iść – Pilch wstaje. – Jutro znów muszę coś napisać. Krótki felieton do Tygodnika Powszechnego i kilka kartek do nowej książki.

- O czym będzie ta książka?

- O piciu, o piciu w Krakowie. O samotności, którą ukrywamy poprzez picie. Ta książka jest o mnie, o tobie, o całym tym kraju schowanym w oparach wódki.

- Do zobaczenia.

- Kto wie, kto wie w sensie ścisłym, czy znów się kiedyś spotkamy – mówi Pilch i odchodzi.

Chwilę patrzę się na niego, jak idzie w ciemności poprzez rynek. Jest lekko zgarbiony, trochę jego kroki są popękane, ale idzie do przodu, swoją własną drogą. Jego drogą.

Wstaję, też idę poprzez ciemność do domu.

Przechodzę koło dworca, widzę plakaty, dużo plakatów, i wśród tych plakatów, wśród tego niemego szumu wiszącego tak bezradnie na ścianie, jeden plakat zwraca moją uwagę „Nukowski, poeta, dzisiaj w Klubie Pod Jaszczurami” i to dzisiaj sprawia, że coś ma sens, coś ma znaczenie, coś innego wydarzy się u mnie wtedy, gdy nic przeważnie się nie zdarza – wieczorem.

Patrzę się na zegarek, dochodzi dziewiętnasta, zdążyłem, myślę, otwieram drzwi Klubu Pod Jaszczurami i wchodzę. Podchodzę do baru, zamawiam whisky z colą, siadam z tyłu przy stoliku. Sala jest prawie pełna. W tle leci muzyka, chyba Grechuta, potem puszczają Wysockiego, a potem rozpoznaję Dyjaka, ten głos, ta charyzma, tego nie można nie lubić, jeśli choć trochę człowiek chce się zbliżyć do ciemności, choć trochę chce się zbliżyć do swoich lęków.

Whisky smakuje dobrze, zbyt dobrze. Odprężam się. Lubię to odprężenie w sobie, gdy alkohol na chwilę gasi moje lęki, moje obawy wobec życia, wobec siebie.

Muzyka przestaje grać, milknie. Widzę go jak wchodzi chwiejnym krokiem na scenę, jak siada na krześle, jak trzyma w ręce tomik swojej poezji. Uśmiecha się, oczy Nukowskiego są błyszczące, mają w sobie ogień, nienawiść.

Podchodzi do niego barman, na małym stoliku tuż koło niego kładzie whisky z lodem. Nukowski się uśmiecha, otwiera tomik swojej poezji, zaczyna czytać. Co chwilę robi sobie przerwę, zbliża szklankę z whisky do swoich ust, potem ją odstawia i czyta dalej. Słowa, dźwięki słów wychodzą z niego prawie niezauważalnie...

Kolejny odczyt mojej poezji, myśli Nukowski, inne miasto, inni ludzie, to samo zmęczenie. Po co to robię? Dla pieniędzy. Dla siebie. Dla zaspokojenia swoich potrzeb. Złych potrzeb. Potrzeb, które mnie niszczą, potrzeb, które mnie zabijają.

Ludzie przychodzą na moje wieczory autorskie, bo wiedzą, że jestem pijakiem, bo wiedzą, że mi na niczym już nie zależy. Kiedyś było inaczej. Teraz jest, jak jest. W życiu zawsze gra się kartami jakie się ma. Ja zawsze miałem słabe, a teraz mam bardzo słabe. Chodzi o to, żeby potrafić całe zło tego świata jakoś przetrwać.

Jakoś – słowo, które wszystko niszczy, słowo, które wszystko zabija. Czasami daję nadzieję, ale rzadko.

W mojej poezji podobno jest dużo miłości, dużo szaleństwa, odrobina sexu, a tak naprawdę najwięcej w mojej poezji jest pogardy wobec świata, wobec innych. Czasami wobec siebie.

Kiedyś chciałem upozorować swoją śmierć, chciałem uciec, zniknąć. Chciałem, żeby ludzie o mnie zapomnieli. Zyskałbym siebie na nowo. Zyskałbym nowe życie, nowe możliwości. Prawie mi się udało. Plan był dobry, jednak okazał się niedoskonały. Niedoskonały tak jak ja, niedoskonały jak całe moje życie.

Myślałem, łudziłem się, że poprzez moją śmierć zyskam nieśmiertelność. Moja poezja zyska nieśmiertelność. A przy okazji wyśmiałbym tych krytyków, którzy święcie wierzą, że martwy artysta to dobry artysta.

Prawie mi się udało. Piłem w tym dniu za dużo, o wiele za dużo. Wcześniej wysłałem list do gazety, podałem jakieś bzdury, dlaczego odbieram sobie życie. Były na tyle sensowne, że mogli w nie uwierzyć. Dziennikarze zawsze wierzą w to, w co chcą uwierzyć. Napisałem na końcu tego listu, że czuję się od dłuższego czasu tak bardzo bezradny wobec siebie, wobec innych.

Przy Wiśle, na ławce, koło Ronda Grzegórzeckiego, zostawiłem swoje rzeczy, żeby mnie rozpoznali, żeby uwierzyli w moją odwagę, w moją determinację.

A potem miałem wyjechać z tego miasta, do którego dzisiaj wróciłem, miałem wyjechać i nigdy tutaj nie wrócić.

Jednak przed wyjazdem chciałem się jeszcze napić. I tak piłem i piłem. Aż w końcu zasnąłem na Plantach. Aż w końcu umarłem, ale w inny sposób. Umarłem na chwilę.

Przez chwilę wszyscy uwierzyli, ale następnego dnia, pod wieczór, ktoś mnie zauważył i wszystko się wydało.

Zyskałem przez to większą sławę, ale już nie mogłem umrzeć.

A teraz siedzę w Klubie Pod Jaszczurami, piję whisky, czytam swoją poezję, czytam ją coraz gorzej, bo jestem coraz bardziej pijany, a ludzie się na mnie patrzą, w coś wierzą. Wierzą w coś, co kiedyś napisałem, a teraz to coś już nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia.

Zawsze mam pełne sale. Ludzie mi wierzą. Nikogo nie udaję. Jestem poetą pijakiem, jestem kimś, kto idzie swoją drogą pełen obojętności, obojętności wobec siebie, wobec innych. Los, mój los, jest mi całkowicie obojętny. Nie interesuje mnie moja przyszłość, ja nie mam żadnej przyszłości. Nie mam żadnej przyszłości już od dłuższego czasu. I to ludzi do mnie przyciąga. Chcą zobaczyć kogoś, kto nie ma żadnej przyszłości i się tym całkowicie nie przejmuje. Nawet nie chodzi o to, że się nie przejmuje, on całkowicie ignoruje swoją przyszłość, ignoruje to co będzie, to czego nie będzie, to co mógłby kiedyś zmienić, ale tego nie robi, bo nie chce, bo nie może, bo mu nie zależy, bo ma to wszystko gdzieś.

Kończę czytać, oklaski. Jakieś autografy. Jestem już mocno wstawiony. Dostaję pieniądze od menadżera. Jego uścisk dłoni, mój uścisk dłoni, wychodzę.

Noc, rynek, Kraków, ciemność, gwar dochodzący z ogródków. Ludzie piją, tańczą, śpiewają, żyją. Dlaczego szczęście zawsze musi ocierać się o jakieś nałogi? Dlaczego szczęście, żeby było doskonałe, musi zanurzać się w jakąś ciemność?

Idę do pobliskiego ogródka. Zanurzam się w ciemność. Zanurzam się w ciemność poprzez kolejny nałóg.

Leżała na dziedzińcu szkoły. Krew. Oczy miała zamknięte. Krew. Jej oddech był już daleko. Krew. Wszystko wokół niej zamarło na zawsze. Krew.

Dlaczego nikt niczego nie zauważył? Dlaczego nikt nie zwrócił uwagi na nieobecność w jej oczach?

Komisarz Koziół klęczał koło martwej dziewczyny przykrytej białym fartuchem. Leżała na dziedzińcu szkoły. Oczy, tysiące oczu patrzyło się w milczeniu w ten jeden punkt. Oczy zakłopotane. Oczy zdziwione.

Komisarz Koziół wstał. Spojrzał niepewnym wzrokiem w niebo, jakby wątpił w jego istnienie, w jego siłę i kazał gestem prawej ręki zabrać dziewczynę do karetki.

Szedł korytarzem szkoły w milczeniu. W końcu dotarł do pokoju nauczycielskiego. Kilka pytań, które nie dały mu żadnej jasnej odpowiedzi.

Dziewczyna zawsze była zamknięta, nieobecna, zawsze stała gdzieś z boku. Jakby świat dla niej nie istniał, ten świat. Gdy ktoś ją o coś poprosił była miła, uczynna. Czy ktoś jej dokuczał, może tak, może nie, Komisarz Koziół nie dostał żadnej jasnej odpowiedzi. I z tej niejasności rozumiał, że dziewczyna była inna, a inni zawsze mają źle w życiu.

Pojawili się rodzice. Wśród płaczu pojawiły się też pytania i odpowiedzi, które coś nakreśliły Komisarzowi Koziółowi.

Rodzice dużo pracowali, nie mieli czasu dla niej, dla siebie. Łudzili się, było to widać w ich oczach, że pieniądze rozwiązują wszystkie problemy. Mylili się. Tak naprawdę dziewczyna wciąż była sama, w domu, w szkole. Chciała tylko trochę zauważalności, trochę ciepła. Nie dostała tego, nie zdążyła się nawet do tych uczuć zbliżyć choć odrobinę, nie starczyło jej na to już czasu.

Komisarz Koziół patrzy się na rodziców. Nie rozumie ich. Tak naprawdę przez swoją pracę coraz mniej rozumie rzeczy oczywistych w życiu.

Rodzice wciąż coś mówią do niego. Docierają do niego strzępki słów. Praca. Zmęczenia pracą, życiem. Brak czasu dla siebie, dla innych. Czas tak szybko ucieka, gdy gonimy tak uparcie, bez opamiętania za pieniędzmi.

Czas. Zarabianie pieniędzy. Czas. Rozmowy o niczym. Czas. Pytania bez żadnych szans na odpowiedź. Czas. Szukanie siebie kosztem innych. Czas. Szukanie siebie poprzez brak czasu dla innych.

Komisarz Koziół rozgląda się po gabinecie. Przedmioty, kształty tych przedmiotów wokół niego milczą. Czas milczy. Milczy wraz z nim. Milczy wraz z przedmiotami. Czas niedokończony. Czas zastygły w martwych przedmiotach. Nieistotnych przedmiotach.

- Proszę wrócić do domu – Komisarz Koziół wstaje, rodzice wychodzą.

Komisarz Koziół jeszcze przez chwilę patrzy się w oczy nauczycieli z wyrzutem, patrzy się na tyle długo, że w końcu nauczyciele spuszczają wzrok i wychodzi. Jednak na chwilę się jeszcze zatrzymuje i mówi:

- Ktoś się jeszcze z państwem skontaktuje. Wtedy spiszymy dokładne zeznania.

Komisarz Koziół wychodzi. Długie korytarze. Zimne korytarze. I cisza. Taka cisza, która krzyczy. Taka cisza, która coś mówi, lecz znaczenie tych słów, zdań jest rozmazane. Na tyle nieokreślone, że brzmienie tych słów, zdań dociera tylko do duszy. A dusza, jak wiadomo rozumie więcej, zapamiętuje więcej, krzyczy więcej. Najczęściej w nocy.

Jest noc, sucha, gorąca noc wypełniona coraz jaśniej świejącymi gwiazdami. Gwiazdy są coraz większe, wydaje się, jakby ich blask powoli zbliżał się coraz bardziej w kierunku ziemi.

Wejście do grobowca w skale jest zamknięte, potężny gład i pieczęć władz rzymskich bronią wejścia do groty. Obok stoją żołnierze wysłani przez Piłata. Twarze mają znudzone, zmęczone.

Nad ranem słychać krzyki ludzi, gład do grobowca jest odsłonięty, pieczęć rzymska jest złamana, żołnierzy nie ma, uciekli w przeobrażeniu, w grobie nie ma ciała, zniknęło, zostało tylko płótno grobowe, które wciąż jest nienaruszone, ale płótno jest puste w środku. Na płótnie widać odbicie ciała Jezusa.

Ludzie stoją, patrzą się w milczeniu na zmartwychwstanie, które się właśnie dokonało. Ja to też widzę, stoję pośród tych ludzi w milczeniu, a potem klęczę jak inni, modłę się do niego o łaskę, o wy-

bawienie, proszę go, żeby mi wybaczył moją niewiarę, moje słabości do życia, do ciemności.

Zbliża się noc, idę w kierunku rzeki. Właściwie nie wiem dlaczego tam idę, coś mnie tam prowadzi, jakaś siła, jakaś niewidzialna moc zmusza moje ciało żebym szedł do przodu, w powoli zapadającą ciemność nad światem.

Nad rzeką widzę światło, idę w jego kierunku. Nad brzegiem rzeki, przy ognisku siedzi mężczyzna. Podchodzę do niego, zatrzymuję się za jego plecami. Milczę.

- Usiądź, przyjacielu – mówi mężczyzna.

Siadam, patrzę się mu w oczy. Te oczy, to co z nich wychodzi, ten blask, ta radość obcowania z innymi oczami, te bóle, te lęki, które noszę w sobie znikają przez te jego oczy, stają się nieistotne, odległe.

Nieznajomy podaje mi dzban z winem.

- Poczęstuj się – mówi łagodnym, ciepłym głosem.

Piję, jestem spragniony, spragniony życia, spragniony jego słów.

- Skąd przybywasz? – pyta nieznajomy mężczyzna w białej długiej szacie, a jego broda, długie włosy lśnią w blasku księżyca.

- Z daleka – mówię. – Właściwie to nie wiem dokąd zmierzam, nie wiem dokąd idę.

- Musisz iść tam, gdzie serce cię prowadzi. A serce zawsze prowadzi cię do dobra, do Boga.

Przyglądam się mężczyźnie uważniej. Coś z niego bije przez cały czas, jakaś łaska, jakaś moc, jakaś nadzieja. A przecież ja nie mam już w sobie żadnej nadziei, nie noszę już żadnej nadziei w sobie od dłuższego czasu.

- Szukasz nadziei? – pyta mężczyzna. – Szukasz siebie poprzez tę nadzieję?

- Nie wiem czego szukam, jednak wiem, że będę potępiony za to jak żyję, za to, że moje życie zbyt mocno ociera się o nienawiść do tego co było, do tego co zmieniło moje życie kiedyś. Zmieniło bezpowrotnie.

- Boisz się zemsty?

- Boję się, że zemsta nic we mnie nie zmieni, nie oczyści moich wspomnień, nie oczyści ich na tyle mocno, że znikną, że uciekną gdzieś daleko.

- Zemsta – mówi ciepłym głosem mężczyzna. – Ci, którzy zaniechają zemsty będą wyzwoleni.

- Jeśli zemsta jest jedyną ścieżką, która nas do czegoś prowadzi, to ciężko znaleźć inną drogę, inną motywację do życia.

- Człowiek sam decyduje jak żyje, jak chce żyć, lecz czas tutaj niewiele znaczy wobec czasu tam. Czasami warto się poświęcić.

- Ten ból, który noszę w sobie, to wspomnienie ocierające się nieustannie o ten ból wyznaczają mi wciąż drogę. Nie wiem czy sobie poradzę, gdy wszystko już się spełni w moim życiu. Wszystko złe.

- Jeszcze masz szansę – mężczyzna podaje mi rybę usmażoną na ognisku. – Jeszcze masz czas żeby wszystko zmienić.

- Nie jestem silnym człowiekiem, nigdy nie byłem.

- Masz silną duszę, czuję ją, ona ci pomoże, zaufaj sobie, zaufaj swojemu przeznaczeniu, nikt nie jest doskonały, nikt nie jest na tyle mocny, żeby przez całe życie żyć bez grzechu.

- Mam ci zaufać?

- Najpierw zaufaj sobie, potem zaufaj temu co czujesz w sobie, a potem postaraj się zbliżyć do Boga na jak najbliższą odległość. Na taką odległość, żebyś po śmierci miał szansę na nowe życie.

W ciemności, w rzece słyszę głośny plusk, odwracam głowę, nic nie widzę, moja twarz wędruje znów w kierunku ogniska. Moje oczy są zdziwione, mężczyzna zniknął, na piasku zauważam mały przedmiot. Podnoszę go. W rękach trzymam mały drewniany krzyż, zrobiony z drzewa, które rosło koło nas.

Budzę się. Jestem cały spocony. Stoję przy oknie, z moich oczu lecą łzy. Łzy oczyszczają moje wspomnienia. Patrzę się na księżyc, na jego jasność, na jego blask. Na światło, które z niego bije i oświetla coraz intensywniej moją twarz. Światło jest dzisiaj bardziej jasne niż zazwyczaj, myślę, i nagle wśród tego światła pojawiają się ptaki, dużo ptaków. Zbliżają się do mnie a potem nagle znikają.

Dziwny sen, myślę, taki prawdziwy, taki realny. Idę do łóżka. Zasypiam. Ja Komisarz Marek Koziół zasypiam. Ja Komisarz Marek Koziół zasypiam w ciszy. Ja Komisarz Marek Koziół zasypiam w

milczeniu. W ciemności, która wciąż jeszcze była we mnie pomimo tak jasnego snu.

Czasami sobie coś wyobrażam, pozwalam wyobraźni iść dalej niż sam mógłbym dojść w realnym życiu. Wyobrażnia mnie wtedy pochłania, pochłania całkowicie, sprawia, że staję się innym człowiekiem, lepszym człowiekiem.

Idę przez Kazimierz, zbliża się wieczór. Idę przez Kazimierz, zbliża się noc. Idę przez Kazimierz, zbliża się moja wyobraźnia. W końcu...

Paryż, Dzielnica Łacińska, Kawiarnia Les Deux Magots, deszcz zaczyna lekko padać. Stoję przed kawiarnią. Lampy na ulicy zaczynają budzić się do życia. Rozjaśniają ulicę powoli, sennie, bez zbędnego pośpiechu.

Stoję i patrzę. Patrzę i stoję. W kawiarni zauważam znajomą twarz, nie mogę uwierzyć, to on, Ernest Hemingway, siedzi i coś pisze, tworzy nowe opowiadanie, może nową książkę, albo pisze coś do gazety, co chwilę jego ręka sięga po absynt.

Wchodzę nieśmiało do kawiarni, cienie ludzi rozmawiają ze sobą, patrzą się na siebie, uciekają od siebie. Przyglądam się kawiarni, długie lustra, kolumny, miedziane ozdobne elementy i on, Ernest Hemingway, skupiony, nieobecny, zamyślony. Biała koszula, brązowa kurtka, czarny wąs, lekko zwichrzone czarne włosy.

Podchodzę do niego, on patrzy się na mnie nieobecnym wzrokiem.

- Mogę się dosiąść?

- Skoro musisz – Hemingway zamyka zeszyt, bierze absynt i pije go z lekką nonszalancją.

Chwilę milczymy, w tle słychać jazzową muzykę.

- Znamy się? – zaciekawia się Hemingway.

- Nie. Marek Koziół.

- Z daleka?

- Tak, z daleka.

- To tak, jak ja. Paryż jest nadzieją dla wszystkich straconych dusz, nie tylko dla artystów.

Patrzę się na rękopisy, Hemingway to zauważa. Uśmiecha się tajemniczo.

- Kolejna książka?

- Może.

- O czym?

- O wojnie, o tym co wojna robi z człowiekiem.

- Był pan na wojnie?

- Tak. Wojna nie ma w sobie nic ludzkiego. Niszczy wiarę, nadzieję, litość. Sprawia, że stajemy się kimś innym. Kimś, kogo później nie będziemy w stanie rozpoznać, gdy to się kiedyś wszystko skończy.

- Jeśli o coś walczymy, w coś wierzymy, to wojna może mieć jakiś sens.

- Wojna nie ma żadnego sensu. Wojna nauczyła mnie jednego, człowieka można zniszczyć, ale nie pokonać – Hemingway się zamysla, jeden gest ręki i kelner przynosi mu kolejny absynt. – Gdy człowiek walczy, nie poddaje się, może wszystko. Ale nie na wojnie. Wojna zmienia wszystko. Wszystko w człowieku, wszystko w jego duszy.

- A jednak pan walczył.

- Tak. Zawsze będę walczył o rzeczy ważne dla mnie, dla innych. Wierzę, że świat można zmienić, że ludzi można zmienić, ale do tego potrzebne są wojny, rewolucje. I dlatego w tym wszystkim uczestniczę, ponieważ jeszcze wierzę w nowy, lepszy świat. Dla ludzi. Nie dla bogaczy.

- Wolność jest najważniejsza. Lecz dla każdego wolność może oznaczać coś innego.

- Na wojnie człowiekowi można zabrać życie, nigdy wolność. W życiu przeważnie przegrywamy, ale przez to, że próbujemy jesteśmy niepokonani. I ludzie na wojnie też chcą być niepokonani. Pokonać może ich tylko śmierć, ale to już jest całkowicie coś innego.

Ktoś do nas podchodzi. Przysiada się.

- Cześć Pablo – mówi Hemingway. – Najlepszy malarz naszych czasów, Picasso – śmieje się Hemingway cicho.

- Największy pisarz naszych czasów, Hemingway – mówi Picasso.

- Co cię tutaj, do nas sprowadza?

- Szukam Fitzgeralda, miał tutaj być.
- Pewnie z Zeldą poszli posłuchać jazzu.
- Stracone pokolenie zawsze będzie słuchać jazzu – uśmiecha się Picasso. – Stracone pokolenie zawsze będzie uciekać w jazz, kiedy będzie mu źle.

- I w absynt.
- I w czerwone wino – Picasso podnosi lampkę do góry.
- Kogo tym razem malujesz?
- Nowa modelka. Piękna. Zmysłowa. Mądra. Już się w niej pewnie zakochałem.

- Kolejna żona? Kolejna kochanka? Kolejne natchnienie?
- Nie mogę żyć bez kobiet. Są moim natchnieniem. Gdy mam koło siebie odpowiednią kobietę mogę tworzyć. Bez kobiet, bez ich żaru, moja sztuka umiera. Umiera czas, który tracę nic nie robiąc, nic nie malując.

Picasso wstaje i mówi:

- Idę do Hotelu Ritz, może tam będzie Fitzgerald.
- I Zeldą. Oni są zawsze nierozłączni.
- Ona sprawi, że Fitzgerald przestanie pisać – mówi Picasso. – Wspomnisz moje słowa.

- Może tak być – Hemingway się chmurzy, jego oczy stają się zimne, mroczne. – Złe kobiety zabierają pisarzowi wszystko, nawet duszę. Przede wszystkim duszę. I talent.

Picasso wychodzi. Hemingway milczy, potem mówi:

- Zeldą i te jej ambicje literackie. Nie może po prostu być tylko żoną znanego pisarza.

- Jesteście straconym pokoleniem?

- Tak, wszyscy pisarze, którzy dorastali podczas pierwszej wojny światowej to stracone pokolenie.

- Jak żyje się teraz w Paryżu?

- Paryż to święto ruchome. Tutaj wiele rzeczy dzieje się naraz, tak wiele, że człowiek sam nie wie czasami kim jest i dokąd zmierza. Alkohol pomaga lepiej te sprawy zrozumieć, ale tylko na krótki czas.

- Pisz pan coś nowego o corridzie?

- Walki byków – uśmiecha się Hemingway. – To najprawdziwszy obraz życia i śmierci. Tam wszystko ma znaczenie, strach, krew,

odwaga, cierpienie i umieranie. Umieranie na arenie jest najbardziej zbliżone do umierania na wojnie, podczas walki.

Hemingway wstaje, żegna się ze mną i wychodzi. Jednak przed wyjściem z kawiarni odwraca się i mówi:

- Jutro wyjeżdżam do Afryki, do Nairobi i Kenii na safari. Muszę odpocząć.

- Do zobaczenia.

Hemingway wychodzi. Za oknem widzę noc, gwiazdy nad Paryżem. Wychodzę z kawiarni. Idę pośród kamienic w Dzielnicy Łacińskiej. Ludzie piją, żyją, krzyczą; faktycznie, Paryż to święto ruchome, myślę. Dochodzę do Sekwany, idę wzdłuż rzeki. Statki niczym duchy pływają po Sekwanie, słysząc na nich krzyki, śmiechy, czasami płacz. Ludzie żyją, wciąż chcą żyć w tym straconym mieście. Artyści tutaj mogą stracić wszystko, mogą znaleźć wszystko. Paryż nigdy nie będzie obojętny dla ludzi, którzy chcą siebie odnaleźć poprzez sztukę, poprzez ból tej sztuki w realnym życiu.

Zbliżam się do lasu, a może to las zbliża się do mnie. Coraz intensywniej widzę kształty drzew przed sobą. Wchodzę między drzewa, zaczynam coraz mocniej odczuwać zapach lasu w sobie. Czuję jego wilgoć, intensywność, jego lęki i kolory. Tak, kolory zaczynam czuć najmocniej, najlepiej przemawiają do całego mojego ciała, duszy.

I nagle, gdy tak błędzę pośród tych drzew, pośród teraz zastygłej ciszy, gdy moje nogi, a nawet całe ciało, bo ciało też zapada się czasami z nogami, gdy moje nogi grzęzną w ziemi, w mchu, w trawie, która znajduje się tuż koło strumienia, który płynie przez ten las, nagle, wśród tej ciszy zauważam coś, coś co wcześniej nie potrafiłem zauważyć, coś co mi wcześniej umykało, uciekało jak woda w strumieniu przez palce, gdy się już kiedyś odważyłbym włożyć rękę do tego strumienia.

I tak stoję pośród tego lasu i tak milczę wraz z tym lasem i tak patrzę się na te drzewa. Patrzą się intensywniej i mocniej niż zazwyczaj.

Widzę połamane drzewa, popękane drzewa, widzę drzewa chylące się powoli ku ziemi, widzę puste drzewa w środku, tak puste jakby ktoś, może coś zabrało im duszę, nie ciało, duszę, zabrało i nie

chciało oddać, bo gdy komuś zabierze się duszę, to tak jakby temu komuś zabrało się cały świat, świat z radościami, lękami, z marzeniami, a jak komuś zabierze się marzenia, to też temu komuś zabiera się sny, a bez marzeń i snów nie da się żyć, nie da się iść zbyt długo do przodu przed siebie.

I gdy tak patrzę się na te drzewa, gdy moje oczy czasami mrużę, bo słońce jest dzisiaj mocne, intensywne, zbyt jasne dla mnie, i gdy tak patrzę się na te drzewa, zauważam, że las, drzewa, cały ten świat na pozór idealny, piękny to powolne umieranie na moich oczach. Widzę śmierć lasu przed sobą. Powolną, ale śmierć. Las cicho umiera przed moimi oczami. Drzewa chylą się ku swojemu upadkowi, a człowiek wycinając je często bez sensu sprawia, że śmierć drzew jest zbyt nagła, zbyt nieświadoma, zbyt nieoczywista.

Dotykam rękami pustego drzewa, drzewa które już nic nie ma w środku, ale wciąż żyje, jeszcze coś znaczy tu, znaczy więcej niż może znaczyć tam, tam do którego coraz bardziej się zbliża. Odczuwam drżenie tego drzewa, czuję prawie jego oddech, oddech płytki, nierówny, ale jednak oddech, czuję ten oddech, choć wiem, że drzewa nie oddychają, nie oddychają jak my, jak ludzie. Czuję jak ten oddech się rwie czasami, jak się urywa, ale potem znów jest cichy, równy, spójny.

Słyszę strzał z broni koło siebie. Budzę się z mojego letargu, otwieram szerzej oczy. Idę w kierunku hałasu, który po chwili przemienia się w ciszę.

Widzę polanę, a na środku tej polany leży jakiś kształt, kształt który się jeszcze rusza. Podchodzę bliżej, widzę sarnę, widzę jej oczy, które powoli zaczynają zanikać, gasnąć. Po chwili oczy tej sarny stają się puste, martwe, odległe.

Za sobą słyszę kroki. Odwracam się. Widzę dużego mężczyznę z brodą, strzelbę trzyma w prawej ręce. Widzę jego ubranie, zielone, to leśniczy.

- Widział go pan? – pyta mężczyzna.
- Nie. Słyszałem tylko strzał. Gdy przyszedłem nie było tutaj nikogo.
- Ludwig – przedstawia się leśniczy.
- Marek Koziół.

- Poluję na drania od dłuższego czasu. Dzisiaj prawie go miałem. Wiem, czuję to, że pochodzi z tej okolicy, to miejscowy. Znajdę go, prędzej czy później.

- Długo kłusuje?

- Od kilku lat. Ostatnio częściej i to mnie martwi.

- Martwi? – dziwię się.

- Tak, martwi. Zwierzęta stają się agresywne. Zwierzęta w lesie, zwierzęta w domu, w gospodarstwie.

- Zwierzęta nie czują takich rzeczy, nie mogą zbuntować się przeciwko człowiekowi.

- Nie wiem co mam o tym myśleć, i staram się nie popaść w jakieś lęki, paranoje, ale fakty są takie, że zwierzęta w lesie zachowują się inaczej niż zazwyczaj. Myślę, że to wpływ tego kłusownika. Dla zwierząt, przez niego, stajemy się wrogami. Wygląda na to, że zwierzęta się zmówiły. Człowiek stał się ich wrogiem, nie przyjacielem.

- Każdy, kto ma zwierzę w domu traktuje je dobrze. Kocha je jak członka rodziny.

- Zwierzęta z tej okolicy zachowują się inaczej, odkąd ten kłusownik na nie poluje. Ostatnio wiewiórka na mnie skoczyła, gdy przechodziłem koło drzewa, ptaki latały nad moją głową, machały skrzydłami tak, jakby chciały mnie przestraszyć, gdy opłukiwałem twarz w stawie jakaś ryba zaatakowała mnie, zdążyłem wyciągnąć dłoń, ale strach pozostał. W domu pies, który jest ze mną od urodzenia, rzucił się na mnie, potem na niego krzyknąłem to się uspokoił, ryby w akwarium inaczej pływają, bardziej agresywnie i stanowczo, kot unika mnie, a jak się do niego zbliżę wyciąga pazury, to dziwne, bardzo dziwne.

- Nigdy nie słyszałem o takich rzeczach. Kiedyś oglądałem film, jak lwy na bagnach polowały razem, choć przeważnie polują osobno.

- Myślę, że jak złapią tego kłusownika wszystko się skończy, wszystko wróci do normy.

- Zwierzęta też mogą się wzajemnie porozumieć, pomimo różnic jakie je dzielą. Gorzej z ludźmi – stwierdziłem nagle, niespodziewanie dla samego siebie.

- Zwierzęta wciąż nas czymś nowym zaskakują, choć nam wydaje się, że je już dobrze znamy. Ale to nieprawda. Każda żywa istota

coś znaczy i każda żywa istota może się zmienić. Może zrobić coś, co zmieni jej życie, innych życie na inne. Ale czy lepsze, kto to wie?

- Życzę sukcesu – mówię i odchodzę.

- Złapię go – mówi leśniczy. – Ale gdy go złapię, najpierw wsadzę go na jedną noc ze zwierzętami, żeby zrozumiał, że zwierzęta też mają coś w tym świecie do powiedzenia.

Wychodzę z lasu. Wsiadam do samochodu, odjeżdżam od drzew, od tego co dzisiaj widziałem. Dziwny dzień, dziwne czasy, myślę, dziwni ludzie, którzy te czasy dziwne tworzą. Rysują.

Patrzę się na okno, za okno, przenikam okno całym swoim ciałem, nie tylko samym wzrokiem. Mgła wkrada się powoli do celi, do mojego pokoju, do miejsca gdzie aktualnie przebywam. Mgła sprawia, że świat wokół mnie na moment staje, zatrzymuje się i nic nie widzę koło siebie na kilka chwil.

Nie poddaję się, zaczynam pisać, powoli piszę wszystko na pamięć. Palce naciskają klawisze maszyny do pisania, czuję, że maszyna drży, cicho jęczy, że się boi, że poprzez tę niewidoczność napiszę coś źle, niepoprawnie, popełnię błąd, którego później nie będę mógł w żaden sposób naprawić. Czuję, że poprzez tę mgłę, poprzez tę niewidoczność coraz mocniej łączę się z postacią o której piszę, coraz mocniej łączę się ze sobą.

Mgła nie jest żadnym zaprzeczeniem postaci o której piszę, nie jest też żadną przeszkodą, wręcz przeciwnie, mgła sprawia, że coraz łatwiej jest mi się poruszać po mojej głowie, po myślach, po lękach głęboko gdzieś schowanych w środku.

Poprzez tę mgłę coraz lepiej rozumiem zaplątanie postaci o której piszę, lepiej rozumiem jej krzywdę, to co chce ona zrobić z tą krzywdą i to gdzie ta krzywda zaprowadzi tą moją postać. Choć do końca nie wiem czy to postać prawdziwa, czy wymyślona tylko w mojej głowie, czy to raczej ja sam spisuję swój ostatni pamiętnik, ostatnią treść mojego niezdecydowanego życia.

Pod palcami czuję, jak niektóre klawisze drżą, wyczuwam to doskonale. „W” się coraz bardziej rusza, boję się, że odpadnie. „R” jest niestabilne, niezdecydowane, momentami pochopne. „I” najmocniej się rusza, gdy odpadnie żadne zdanie nie będzie miało właściwego sensu i znaczenia.

Na chwilę wstaję, chcę rozprostować nogi. Nic nie widzę przed sobą, nic nie widzę za sobą. Rękami próbuję na oślep rozgonić mgłę, nic nie pomaga. Idę w tej niewidoczności do przodu, rozpoznaję, bardziej czuję niż rozpoznaję kształt łóżka.

Siadam. Oddycham niespokojnie, niewidocznie, tak niewidocznie jak mgła, która mnie teraz otacza.

Coś się dzieje, myślę, ja wariuję, świat wariuje, moje myśli coraz bardziej dotykają obłędu, od którego wciąż uciekam, wciąż chcę uciec. Nic nie wiem, nic nie rozumiem.

Znów wstaję, idę na oślep w kierunku okna. Dotykam szyby, bardziej ją czuję niż dotykam. Okno jest lekko uchylone. Czuję zimne powietrze na zewnątrz. Czuję lekki wiatr za oknem. Wiatr wdziera się powoli do pokoju. Mgła zaczyna się ruszać, uciekać. Pomagam jej, chcę jej jakoś pomóc i mgła zaczyna się rozpraszać, znikać. Ucieka jak złodziej za okno.

Zaczynam rozpoznawać kształty, zarysy mebli w pokoju. Najpierw zauważam łóżko, stoi spokojnie na swoim miejscu, potem widzę stół i krzesło, a na końcu zauważam maszynę do pisania. Czeka na mnie, milczy.

Mgła znika, znów jestem w realnym świecie, prawdziwym świecie. Siadam, zaczynam pisać.

Ja pisarz naznaczony mgłą, ja pisarz naznaczony niepamięcią. Ja pisarz bezimienny, ja pisarz niezgłębiony. Ja pisarz nieobecny jak ta mgła, nieobecny w życiu, nieobecny poza życiem, w snach. W końcu życie to sen, sen to życie. A my tylko uczestniczymy w czymś pomiędzy, w czymś co się nazywa trwanie, w czymś co się nazywa istnienie.

Moje miasto śpi zduszone ciężkim powietrzem nocy. Miasto ciężko oddycha, nierówno sapie, czasami kaszle beznamiętnie. Miasto nieustannie śpi zmięte zakrwawionymi snami. To moje miasto, to miasto prawie uduszone niepotrzebnymi marzeniami, zbędnymi kolorami. Jednak wciąż kocham to miasto. Kocham je za nienawiść jednego człowieka do drugiego człowieka, kocham je za grzechy, które wyrządzają sobie ludzie nawzajem, grzechy prawie nie do odpuszczenia. Kocham je także za dobro, które sprawia, że człowiek czasami zauważa drugiego człowieka, zauważa jego oddech, jego

cierpienie. To moje miasto i ja chcę w śnie tego miasta uczestniczyć, muszę uczestniczyć.

Chodzę za Pikerm już od dłuższego czasu. Widzę go, zauważam go, planuję jego życie do przodu. Planuję jego przyszłość, choć wiem, że za te plany będę się smażył w piekle. Piekło, cóż, też dla ludzi, szczególnie nieszczęśliwych ludzi. A ja od dłuższego czasu wciąż jestem nieszczęśliwy. I nic tego nie może zmienić, ani ja, ani ludzie, ani życie.

Pikero mieszka w apartamencie na Woli Justowskiej, tuż koło Lasu Wolskiego, koło ulicy Królowej Jadwigi. Brama wjazdowa na osiedle jest zamykana, w budce zawsze siedzi strażnik, który pyta gdzie, do kogo, po co? I to po co ma brzmienie, czy koniecznie dziś, czy koniecznie teraz?

Pikero ma dobry samochód i piękną dziewczynę. Dziewczyna pochodzi z bogatej kupieckiej rodziny. Z rodziny z tradycjami. Jej rodzina ma układy, kamienice, sklepy. Ma to, co odróżnia jednego człowieka od drugiego człowieka, pieniądze i pogardę wobec tych słabych, wobec tych niezaradnych w życiu.

Pikero jest dobrym kandydatem na męża dla ich córki. Młody, przystojny, dobra praca, perspektywy. Ich córka przy nim rozbłyśnie, rozkwitnie. On wprowadzi ją na salony. Jeszcze nie teraz, ale wkrótce.

Pikero pracuje w dobrej firmie, która zajmuje się projektami domów, budynków, hal. Pikero jest trochę architektem, trochę projektantem, trochę nikim, bo pochodzi z małego miasteczka, jak ja. I to nikim potrafi doskonale ukrywać, i to nikim zawsze jest gdzieś obok niego, zawsze jest trochę gdzieś daleko z boku.

Pikero jest dobry w tym co robi. Ma wycucie, czego oczekują od niego ludzie, jak ma wyglądać ich dom, ich nowe życie. Czyli potrafi spełniać marzenia innych, ale czy swoje, tego Pikero jeszcze nie wie.

A więc, ja Komisarz Marek Koziół chodzę za nim od dłuższego czasu i go obserwuję. Chcę żeby dostał od życia to, na co zasłużył, chcę żeby Katarzyna, tam z góry zobaczyła, że jest jakaś sprawiedliwość na ziemi. Sprawiedliwość, którą wymierzają niesprawiedliwi ludzie. Ludzie tacy jak ja.

Pikero często biega po Lasku Wolskim, szczególnie rano, rzadko wieczorem. Las wieczorem jest niebezpieczny, smutny, a Pikero chyba boi się niebezpieczeństwa, smutku. Woli żyć bezpiecznie, równo, czasami sennie. Ta senność jego życia go często odpręża, widać to w jego oczach, w jego spojrzeniu. Podczas biegania Pikero słucha muzyki, czasami mijają go ludzie na koniach, niedaleko jest przecież stadnina koni, więc las jest doskonałym miejscem żeby przeżyć jakąś przygodę na koniu.

Pikero ma dobre życie, dobre chęci, dobre plany. Ma to, czego często nie mają inni, nadzieję. I ta nadzieja ma go daleko zaprowadzić w życiu, ludzi się, że tak będzie, bo ludzie, którzy mają złudzenia są bardziej szczęśliwi od tych ludzi, którzy nie mają nic. Ani złudzeń, ani marzeń, ani pragnień.

Jest sobota, zbliża się wieczór. Pod dom Pikera podjeżdża czerwona taksówka. Palę papierosa z boku domu, stoję pod drzewem i patrzę co się dzieje. Z domu, z klatki wychodzi Pikero, ma ładny, drogi garnitur na sobie, obok niego idzie jego dziewczyna, Iwona, ona ma czerwoną obcisłą sukienkę, jakiś znany projektant, widać to w jej oczach, wsiadają do taksówki, odjeżdżają. Gaszę papierosa, jadę za nimi. Chcę wiedzieć dokładnie jak Pikero żyje, co czuje w tym swoim życiu, do czego dąży. Chcę go znać jak siebie samego, zanim zmienię całkowicie jego życie.

Mijamy boisko Cracovii, mijamy Uniwersytet Jagielloński, potem są Planty i w końcu wysiadamy przy Placu Szczepańskim. Pike-ro płaci, otwiera drzwi Iwonie, idą do Hotelu Starego. Znikają w nim jak duchy, jak ludzie którzy w coś wsiąknęli, zanurzyli się w lepsze życie, w lepsze mury, w lepsze części powietrza w Krakowie.

Niebo ma w sobie jakieś zamyślenie, niebo ma w sobie jakiś mrok, myśli Pikero patrząc się z tarasu Hotelu Starego na gwiazdy. Obok niego stoją ludzie, siedzą ludzie, piją ludzie. To ludzie z jego firmy, z firmy w której teraz pracuje. Firma robi projekty dla ludzi bogatych, dla ludzi którzy mają pieniądze. Firma ma prestiż, firma ma dobrą opinię na rynku.

Właśnie skończyli projekt sali koncertowej dla znanego kompozytora. Kompozytor był zadowolony. W jego domu, tuż obok pięknego ogrodu w stylu włoskim ma powstać ogromna sala koncertowa. Za miesiąc rusza budowa tej sali koncertowej. Na tej sali będą grali młodzi obiecujący artyści. Kompozytor ma ich tam promować. Sala koncertowa będzie piękna, będzie miała w sobie styl włoski, trochę hiszpański i będzie zrobiona z najlepszych materiałów. Kompozytor ma pieniądze, duże pieniądze, może mieszkać wszędzie, chce mieszkać tutaj, w Polsce.

Taras Hotelu Starego Łśni w blasku żółtych lamp. Na stołach palą się ozdobne metalowe świeczniki. Robią nastrój, robią wrażenie. Kelnerzy krążą wokół nich jak muchy, przynoszą jedzenie, drinki, desery. Są jak duchy, które pojawiają się i znikają w blasku świec na tarasie.

Pikero jest coraz bardziej pijany. Oczy ma lśniące od dobrych emocji. W rękach trzyma kolejnego drinka. Drink jest kolorowy, trochę słodki, mocny. Dobrze przenika całe ciało Pikera, dobrze przenika jego myśli.

Rzeczy, które zbyt dobrze przenikają nasze myśli, przeważnie ocierają się o jakiś obłęd, o jakieś uzależnienie.

Podchodzi do niego Iwona, uśmiecha się do niego, też jest lekko pijana. Przytula się do niego, patrzy się na niebo, na dachy kamienic schowane w ciemności nocy.

- Piękne miejsce, takie miejsce gdzie czas i życie się na chwilę zatrzymują – mówi Iwona.

- Nie przeszkadzają ci koledzy z mojej pracy? – pyta z ulgą w oczach Pikero.

- Są tacy śmieszni, wydaje im się, że mogą wszystko, ale się mylą. Ja to już dawno przerobiłam. W moim domu zawsze były duże pieniądze, więc mam do nich stosunek obojętny, a oni dopiero zaczynają ocierać się o duże pieniądze, więc są nimi olśnieni. Jeszcze nie wiedzą, że duże pieniądze zmieniają ludzi, jeszcze nie wiedzą, że duże pieniądze przeważnie niosą ze sobą samotność.

- Nie żałujesz, że tutaj przyszliśmy?

- Nie żałuję czasu, który spędzam z tobą. Czas to ty, miłość to ty, moje pragnienia to ty. Jeśli ty pragniesz tutaj być, to ja też tego pragnę. Dla ludzi, którzy się kochają, ważne jest to, żeby czasami pra-

gnęli tego samego. To ich jakoś dziwnie zbliża, to ich jakoś dziwnie łączy.

Iwona odchodzi od Pikera, idzie w kierunku żony kolegi Pikera z pracy, Pikero zostaje sam. Ktoś dotyka go dłonią w ramię, to jego szef Ulczyk.

- Jak się bawisz?

- Dobrze.

- To nasz wspólny sukces. Kompozytor jest bardzo zadowolony. Dzięki jego zadowoleniu przyjdą kolejne zlecenia. Jesteś dobry w tym co robisz – Ulczyk go klepie po ramieniu i odchodzi.

Pikero sięga po kolejnego drinka. Jego oddech się uspokaja, wycisza. Opiera się o balustradę tarasu, patrzy się na rynek, na jego płytę. Ludzie na dole są tacy mali, tacy nieistotni, myśli Pikero.

Podchodzi do niego kolega z pracy, Robert. Stukają się szklan-kami.

- Za nas.

- Za życie.

- Kochasz Iwonę? – pyta Robert, a jego głos jest już trochę popę-kany, trochę senny.

- Tak, kocham. Dała mi miłość, ja jej też dałem miłość, jakąś część miłości, której ona nigdy nie miała.

- Czym jest miłość? – zamyśla się Robert.

- Miłość jest wtedy, gdy odsłonisz przed drugą osobą małą lampkę, którą nosisz w sobie i gdy ta osoba będzie potrafiła grzać się przy tej lampce przez jakiś czas, i gdy ta osoba nie zniszczy tej lampki zbyt szybko, zbyt nagle.

- Iwona jest taką osobą?

- Tak. Ma w sobie to, czego szukałem w innej osobie przez długi czas. Ma również to, czego nie mam ja i nigdy nie będę miał. I przez to jest jeszcze bardziej wyjątkowa dla mnie.

- Co takiego ma w sobie Iwona, czego ty nigdy nie będziesz miał?

- Nadzieję. Iwona nosi w sobie nadzieję za nas dwoje.

- A co myślisz o seksie?

- Seks jest jakąś odmianą bliskości. Intymnym spotkaniem dwóch osób, w odpowiedniej chwili, w odpowiednim czasie.

- A co myślisz o seksie z obcą, nieznaną kobietą, z przypadkową kobietą?

- To też jakaś odmiana bliskości, to też jakaś intymność, lecz takie spotkanie zawsze ociera się o jakieś niebezpieczeństwo, zawsze ociera się o jakąś niewiadomą. Później nigdy nie wiadomo co będzie dalej, co musi być dalej, a może po takim spotkaniu nie ma już wcale żadnego dalej.

- Obce kobiety, przypadkowe kobiety nigdy nie niosą ze sobą żadnego dalej.

Pikero jest coraz bardziej pijany. I nagle w tym jego upiciu, zapomnieniu pojawia się coś innego, coś co jest z nim ciągle od pewnego czasu, jest z nim i będzie, może na wieki, a może tylko przez jakiś czas.

Pikero wyciąga telefon, naciska zielony przycisk, tam, gdzie powinien go zawsze naciskać, gdy tego potrzebuje; w telefonie pojawia się głos, głos cichy, jednak niosący w sobie jakąś pewność, jakąś odwagę.

- Dobra. Za pół godziny. Będę – mówi Pikero, a jego ciało zaczyna być dziwnie pobudzone.

Pikero podchodzi do Iwony, całuje ją delikatnie w szyję. Cicho szepcze jej coś do ucha:

- Muszę wyjść. Będę za godzinę.

Iwona patrzy się na niego, jej oczy lśnią teraz mocniej od alkoholu, od gwiazd na niebie.

- Tylko wróć do mnie – mówi aksamitnym głosem. – Wróć i zabierz mnie do siebie, do nas.

Pikero jeszcze raz całuje ją w szyję i zjeżdża windą na dół. Wychodzi na ulicę, po chwili jest na rynku; dorożka, biała dorożka przejeżdża tuż koło niego. Pikero czuje zapach konia koło siebie.

Idzie w kierunku Wieży Ratuszowej. Zatrzymuje się tuż koło niej. Patrzy się na zegarek. Czeka. I to czekanie ma smak i zapach jakiegoś niebezpieczeństwa, nadziei, która jest gdzieś głęboko ukryta w tym niebezpieczeństwie.

Ktoś dotyka go w ramię. Odwraca się. To Rysiek. Uśmiecha się do niego. Rysiek ma czarną skórę, lekko wytarte dzinsy, mądre, spokojne oczy.

- To dla ciebie – Rysiek coś wciska mu do kieszeni spodni.

- Tyle co zawsze? – pyta Pikero.
- Tak.
- Tutaj są pieniądze – Pikero podaje mu odliczoną sumę do ręki.
- Baw się dobrze.
- Zawsze bawię się dobrze, gdy zbliża się ciemność – uśmiecha się Pikero, patrząc się w niebo, na gwiazdy.

Pikero wchodzi do najbliższej bramy, tuż przy Piwnicy Pod Baranami. Wyciąga kartę kredytową, robi krótką kreskę z białego proszku i wciąga go w nos. Po chwili czuje, że coś się w nim zmienia. Czuje się silny, wolny, mocny, czuje się niezniszczalny. Wychodzi na płytę rynku. Chce jeszcze chwilę pochodzić wśród ludzi, pośród ulic, chce jeszcze chwilę bliżej przyjrzeć się sobie, bliżej przyjrzeć się światu. Chce zobaczyć dokąd świat zmierza, dokąd on zmierza razem z tym światem.

Komisarz Koziół patrzy się na Pikero z oddali, patrzy się na tego obcego człowieka w skórze, zapamiętuje jego twarz, jego ruchy, jego spojrzenie. Gdy skończę z Pikero, potem skończę z tym dilerem w czarnej skórze. Na razie niech ten diler spokojnie oddycha, walczy, żyje. Niech cieszy się, że wciąż jeszcze może oddychać, choć pewnie jego oddech najczęściej oddycha w ciemności, w mroku.

Potem Komisarz Koziół widzi jak Pikero oddala się od dilerą, a może to diler oddala się od Pikera, widzi jak oboje znikają w mroku miasta.

Wracam do domu, myśli Komisarz Koziół. Jutro znów się spotkamy, jutro znów, krok po kroku będę zbliżał się do ciebie na jak najbliższą odległość. Komisarz Koziół kieruje swoje kroki w kierunku Kazimierza. Po chwili jego cień znika w całości z płyty rynku. Znika bezszelestnie.

Pikero słyszy głos w sobie, słyszy go zazwyczaj wtedy, gdy zażywa kokainę.

Oj, Pikero, znów uciekasz w ciemność, znów błędzisz. Dlaczego wciąż uciekasz od ludzi, od wspomnień? Od wspomnień nigdy nie uciekniesz, od ludzi możesz uciec tylko na chwilę, nigdy na zawsze. Ludzie zawsze cię znajdą, albo to ty znajdziesz ludzi wcześniej. Pamiętaj, Pikero, ucieczki od ludzi nigdy się nie udają, tak jak ucieczki

od kobiet, które wciąż jeszcze kochamy. Teraz uciekasz od ludzi, lecz ja wiem, że znów do nich wrócisz. Zawsze wracasz. Zawsze wracasz do ludzi, Pikero, którzy są dla ciebie ważni. Ale czy wracasz do nich naprawdę? Sam tego do końca nie wiesz, Pikero. Dobrze wiesz, Pikero, że ciemność cię kiedyś zniszczy. Jasność, nawet taka jasność, którą masz teraz w głowie nie obroni cię przed ciemnością. Nie przebije się przez mrok i skrawki zamętu które wciąż nosisz w sobie. Ciemność ma uzależniającą moc. Dobrze to wiesz, Pikero, dobrze to rozumiesz. Czasami czuję, że nawet lepiej to rozumiesz niż ja. Oj, Pikero, łudzisz się, choć dobrze wiesz, że złudzenia niszczą. Prawie zawsze w jakiś sposób kaleczą naszą duszę. A dusza, jak sam wiesz, jest nie do naprawienia, gdy pokaleczymy ją zbyt mocno, zbyt długo. Czas, Pikero, w kaleczeniu duszy czas ma kolosalne znaczenie. Kiedyś to lepiej zrozumiesz, Pikero. Teraz dam ci na jakiś czas spokój. Idź, szukaj tego co daje ci ciemność. Szukaj konsekwentnie tego co daje ci ciemność poprzez prawie niewidoczne błyski światła w tej ciemności. Ja wiem, Pikero, że świat jest inny, lepszy gdy czasami ocieramy się o ciemność, ale czy później będziesz miał siłę żeby wyrwać się z tej ciemności samemu. Ja wiem, Pikero, że rzeczy, ludzie, kształty, to wszystko co cię tworzy, to wszystko co cię niszczy, jest takie inne w nocy. Tak pięknie się to wszystko zaciera i łączy w ciemności, tak cudownie się to przenika razem, ale to tylko złudzenie, a złudzenia, jak sam wiesz, najwięcej nas kosztują w życiu, zwłaszcza złudzenia niezrealizowane. A teraz biegnij, uciekaj, pędź do przodu. Trać siły na to wszystko co cię niszczy, co cię zniewala. Ale prawda jest taka, nic nas tak nie niszczy, jak my sami. Kiedyś to zrozumiesz. Z pewnością nie dzisiaj, nie teraz.

Głos znika, ucieka z głowy Pikera. Pikero wraca windą do hotelu, na taras. Już w windzie, gdy dojeżdża na samą górę słyszy głosy, głosy pijane, głosy pobudzone, głosy zmierzające do całkowitego unicestwienia.

Gdy otwiera się winda Pikero wchodzi w te głosy, wchodzi tak jakby wchodził do swojego domu, do swojej duszy. Po chwili znów czuje się dobrze pośród tych głosów. Zaczyna je rozpoznawać coraz lepiej. Wie, że to zasługa kokainy, to zasługa tego, co ona z nim robi gdy w jego głowie pojawia się dziwne napięcie. A ostatnio tego na-

pięć ma coraz więcej w sobie, coraz więcej koło siebie. Pikero zaczyna zanurzać się w tych głosach powoli. Sennie...

Biuro szefa Ulczyka jest dobrze oszklone, przestronne, jasne, dużo w nim światła, nadziei. Pikero siedzi przy dużym masywnym stole. Ulczyk patrzy się mu prosto w oczy.

- To ważny projekt, może najważniejszy – oczy Ulczyka zagłębiają się w nim samym coraz głębiej. – Dużo czasu, dużo poświęceń kosztował mnie ten projekt, ten projekt który dopiero powstanie. Prezydent sam mnie prosił o dyskrecję, żeby za dużo nie mówić jak wygramy ten przetarg, a musisz wiedzieć, że wiele biur projektowych się o niego starało. Ty – Ulczyk kładzie swoją rękę na ramieniu Pikero – będziesz go nadzorował. Ty stworzysz nowe, piękne, nowoczesne archiwum dokumentów miasta Krakowa. To ma być bardzo dobry projekt, jeśli będzie taki, pojawią się kolejne projekty dla tego miasta. Wierzę w ciebie.

Pikero wstaje, uśmiecha się, ale jest w tym uśmiechu jakiś niepokój, jakaś obawa i zamęt.

- Postaram się go zrobić jak najlepiej – mówi Pikero i wychodzi.

Samochód jedzie rzeką do przodu. Rzeka nie jest duża, w zasadzie to mała wodna droga w Kobylanach. Po obu stronach drogi, bardziej rzeki niż drogi, stoją domy. Niektóre są stare, zniszczone, popękane przez czas, przez wiatry i burze. Wjeżdżają do doliny, po obu stronach widać góry, nieduże, ale jednak góry. Wsiadają z samochodu. Pikero bierze namiot i torbę ze sobą, idzie w głąb doliny. Iwona idzie tuż za nim, ukradkiem obserwuje młodych ludzi, którzy wspinają się po skałach.

Rozkładają namiot. Siadają przed nim. Pikero patrzy jak ludzie wspinają się po skałach, potem patrzy się na małą kapliczkę w skale.

- Idę po wodę – mówi Pikero i wstaje.

Z pobliskiego strumyka nabiera do butelki zimną wodę, wodę która wypływa wprost ze skał. Woda jest zimna, chłodna, prawie mroźna.

Po chwili piją ją z uśmiechem. Iwona ma oczy rozluźnione, zachłanne, jej oczy mają w sobie tą dziwną zachłanność życia, biorą z

niego to co ma najlepsze, biorą to co im się z pewnością od Boga należy.

Wieczorem Pikero rozpala ognisko. Pieką kielbaski nad ogniem. Ogień syczy od tłuszczu, który kapie z kielbasek. Potem w ich ustach pojawia się smak wolności, smak ognia, smak tego co człowiek może mieć, gdy uda mu się uciec od ludzi, od siebie, choćby na chwilę.

Ciemność pokrywa całą dolinę mrokiem. Takim mrokiem, który dla jednych jest czymś głębokim, a dla innych to tylko strach, to tylko obawa.

Obawa wymieszana z mrokiem to sny, niespokojne sny.

Pikero wyciąga whisky, nalewa ją do metalowych kubków. Piją.

- Taka cisza, taka niemoc, taka nostalgia za czymś, czego człowiek może nigdy nie mieć, wolności.

- Cieszę się, że mnie tutaj zabrałeś.

- Kiedyś jeździłem po tej okolicy rowerem. Zjechałem tę dolinę do końca. Tam – Pikero pokazuje ręką ciemność, tę ciemność położoną gdzieś wyżej – tam jest piękny sad, rano tam pójdziemy, zrobimy sobie piknik pośród jabłoni.

- Dobrze – Iwona przytula się do Pikero.

- Dostałem ważny projekt, nie wiem, czy mu podołam – mówi Pikero.

- Zawsze sobie radzisz, teraz też ci się uda.

- Kiedyś, dawno temu, nie poradziłem sobie. I ta niewiara, która się wtedy we mnie pojawiła jest ze mną aż do dzisiaj.

- Opowiesz mi o tym?

- Nie – Pikero się zamyśla. – To jedyna rzecz w moim życiu, o której ci nie mogę opowiedzieć. Ta rzecz sprawiła, że teraz jestem tym kim jestem, w środku. Na zewnątrz jestem inny, w środku wciąż żyję przeszłością.

- Przeszłość niektórych wyzwala, innych niszczy – Iwona pije whisky coraz łapczywiej.

- Mnie przeszłość zaprowadziła aż do tego miejsca dzisiaj, ale wiem, że nie zasługuję na to dzisiaj. Gdyby nie pewne rzeczy, które mi ułatwiły tę przeszłość, nigdy bym tutaj nie doszedł. Nie poznałbym nigdy ciebie, nie zrozumiałbym, że można inaczej żyć, pomimo błędu, którego już nigdy nie cofnę.

- To taki duży błąd?

- Nieodwracalny. Niektóre błędy są nieodwracalne. I tak naprawdę przeraża mnie jedno w życiu. Nieodwracalność błędów, które później zawsze nas prowadzą donikąd. Bo błędy nieodwracalne to zły los, który później sobie o nas przypomni w przyszłości.

Pikero się budzi. Przez chwilę walczy z myślami, z pijanymi myślami. Świat wiruje w nim, świat wiruje poza nim. Wszystko wokół niego tańczy, a może po prostu wszystko tańczy tylko w nim, tylko w jego głowie. Obok śpi Iwona. Jest tak niewinnie skulona w śpiworze.

Pikero wychodzi z namiotu. Ciemność. Cisza. Pikero stoi przed namiotem. Ciemność. Cisza. Pikero zaczyna dostrzegać szczegóły, kształty, zarysy doliny. Ciemność. Cisza.

Czuje, że jest jeszcze pijany. Coś w jego głowie podpowiada, że nie może już tak pić, nie musi już tak pić.

Pikero patrzy się na ognisko. Jest zgaszone. Zapach popiołu, spalonego drewna dociera do jego głowy, do samego jej środka. Nagle jakieś światło rozjaśnia jego twarz, światło które wydobywa się z kapliczki w skale. Pikero, niczym lunatyk idzie drewnianymi schodami w kierunku kapliczki. Światło go woła, światło go uzależnia, światło go wchłania swoją jasnością w głąb siebie.

Gdy Pikero już stoi przed obrazem Matki Boskiej, gdy widzi jej oczy, takie mądre, pełne miłosierdzia, nagle jakaś siła każe mu się odwrócić.

Namiot zniknął, resztki ogniska znikły, cały jego świat rozmazał się gdzieś w ciemności. Rozpłynął się poprzez mrok w kierunku do którego Pikero nie będzie mógł teraz dojść, a być może nie będzie mógł tam nigdy dojść.

Pikero przeciera oczy ze zdumienia. Na dole, w miejscu gdzie był namiot, gdzie była rzeka, dolina Pikero widzi drewnianą wioskę. Widzi wielkie ognisko, a tuż przy nim, w jego blasku widzi tańczących ludzi. Mężczyźni i kobiety podczas tańca coś śpiewają. Pikero nie rozpoznaje słów, nie rozpoznaje melodii. To melodia obca, a jednak tak bliska.

Niekiedy rzeczy obce są nam bardziej bliskie niż rzeczy bliskie.

Pomiędzy chatami, pomiędzy starą studnią a stodołą Pikero uważa kobietę z wiankiem na głowie i trzech mężczyzn. Pikero wyczuwa w powietrzu niebezpieczeństwo, wyczuwa rozdrażnienie, wyczuwa ból, którego teraz nie ma, lecz za chwilę ten ból będzie wszędzie i za moment ten ból będzie miał zasadnicze znaczenie, choć na razie ten ból nic nie znaczy, jest tylko mgłą, jest tylko zapomnieniem.

Pikero widzi kłótnie, kobieta coś krzyczy do mężczyzn. Pikero widzi rękę podniesioną do góry, to ręka jednego z mężczyzn. Widzi nóż w ręce tego mężczyzny. Krzyk staje się ciężki, przeraźliwy. Kobieta zastyga, ręka mężczyzny jest złączona z ciałem kobiety. Złączona poprzez nóż, poprzez drżenie jej zastygającego ciała. Ciało kobiety wpada do studni. Mężczyźni milczą, patrzą się na siebie w jakiejś dziwnej niepewności. Nóż znika w studni, tuż za kobietą.

Pikero patrzy się w ciszy na mężczyzn. Wie, że ten nóż, który przed chwilą był w ręce jednego z mężczyzn, zmieni życie tych mężczyzn, zmieni nieodwracalnie. Wie, że ręka tego mężczyzny, ręka podniesiona zbyt nagle, zbyt pośpiesznie zostawi ślad w sercach tych mężczyzn. Ślad niezmywalny.

Pikero zaczyna płakać. Światło z kapliczki go tuli, przenika. Światło jest w nim, światło jest poza nim. Pikero schodzi na dół drewnianymi schodami. Jego nogi są ciężkie, jego kroki są niepewne, stopy drżą przy każdym jego kroku. Idzie powoli do przodu, ale ciężko, ale niedbale.

Na dole znów pojawia się namiot, pojawia się Iwona w środku tego namiotu. Pikero się do niej przytula. Czuje jej oddech, czuje całe jej ciepłe ciało, czuje drżenie jej skóry, drżenie, które po chwili zaczyna go przenikać. Pikero mocniej przytula się do Iwony, chce być w tym jej drżeniu wraz z nią, chce być częścią Iwony, częścią, która ich połączy na zawsze poprzez to drżenie, poprzez jej oddech, poprzez zapach, który go tak zawsze zniewala. Zapach nadziei, że Iwona pozwoli mu żyć inaczej, że Iwona zmusi go żeby żył inaczej. Lepiej.

Powiedział Iwonie, że musi wyjść, że to tylko praca, spotkanie, które może się trochę przedłużyć. Skłamał. Nigdy nie chciał oszukiwać ludzi, a szczególnie ludzi których kochał, ale teraz skłamał.

Kłamstwo w tym momencie wydawało mu się mniejszym złem. A zło, jak wiadomo, a szczególnie mniejsze zło, sprawia, że lepiej się czujemy, gdy już musimy kłamać.

Schemat sprawdzony, ciemność, Wieża Ratuszowa, diler i brama. Potem ta ulga, i noc, i ciemność.

Pikero idzie przez rynek. Zaczyna czuć w sobie noc, zaczyna czuć w sobie natchnienie. Bierze głęboki oddech. Uśmiech pojawia się na jego twarzy.

Bierze kokainę, myśli. Bierze kokainę, ucieka. Bierzę kokainę jest inny. Bierze kokainę jest wyjątkowy. Bierze kokainę jest wolny.

Piwnica Pod Baranami. Podchodzi do baru. Jasne światła wydobywające się z butelek go zniewalają, w jakiś dziwny sposób onieśmiałają. Zamawia piwo. Wchodzi do kolejnej sali, na stołach palą się świece. Zauważa znajome twarze. Podchodzi do tych twarzy, podchodzi do czegoś co jest dla niego znajome i bliskie. A on, właśnie dzisiaj, tak bardzo potrzebuje bliskości, bliskości pośród ciemności tego miasta.

- Cześć, Pikero – zauważa go Tomasz Fitz.

- Cześć – odpowiada Pikero, a potem wita się z nim prawą ręką.

- Ty, tutaj – Zbigniew Czewski podaje mu rękę. – Miło cię widzieć znów w ciemności.

- W głowie mam teraz więcej światła niż to miejsce skupia w sobie jasności – cicho mówi Pikero.

Przez chwilę patrzą się na siebie. Nie widzieli się od dwóch lat. Tomasz Fitz to znany pisarz, pisarz, który mieszka w górach, tam ma dom, tam ucieka od ludzi, od rzeczy które go męczą, zabijają. Zbigniew Czewski to malarz, dobry malarz. Jest znany w Polsce, jest znany za granicą. Maluje inaczej niż inni. Jego obrazy mają ciemność w sobie, jak i jasność. I te rzeczy się wzajemnie przenikają, łączą, zbliżają. W jego obrazach jest jakaś nadzieja, nadzieja ocierająca się o ciemność.

- Jak w pracy? – pyta Fitz.

- Nowe wyzwania, nowe problemy.

- W sztuce jest podobnie. Nowe wyzwania, nowe problemy – uśmiecha się Fitz.

- Jak idzie pisanie nowej książki?

- Powoli ją kończę. Ale pisanie idzie mi ciężko, z trudem. Ciągłe jestem niezadowolony. Ciągłe bym coś poprawiał, zmieniał. Te ciągłe zmiany zabierają świeżość książki. Ale to nieuniknione. Niezadowolone to nadzieja, że to co robimy teraz, będzie lepsze od tego, co robiliśmy kiedyś.

- Co malujesz teraz? – pyta Pikero.

- Góry, ostatnio maluję tylko góry.

- Dlaczego akurat góry?

- Dlatego, że są – uśmiecha się Czewski. – A tak naprawdę widzę w nich surowość, ostre kształty, kontury, a moim obrazom ostatnio brakowało takiej surowości. Więc przez cały czas maluję góry, a może to góry malują mnie poprzez moje obrazy. Tego nie wiem do końca i pewnie nigdy się nie dowiem.

- Miło było was widzieć – Pikero wstaje, coś go unosi do góry, jakaś moc, jakieś otępienie. Musi stąd wyjść, musi stąd wyjść teraz. – Do zobaczenia.

Świeże powietrze, noc. Świeże powietrze, wolność. Świeże powietrze, zapomnienie.

Oj, Pikero, znasz tylu znanych ludzi, ale czy ci ludzie będą w stanie ci pomóc, gdy bagno, po którym teraz chodzisz zacznie cię powoli wciągać, pochłaniać. Musisz wiedzieć, Pikero, że grząski grunt, lepka ziemia, zbyt mokre podłoże powolutku wciągają człowieka gdy jest zbyt słaby, zbyt bezbronny. Zawsze robią to niezauważalnie. A musisz wiedzieć, Pikero, że nic nas tak nie boli w życiu, jak niezauważalność. A szczególnie niezauważalność, która ociera się o złudzenia. A ty, Pikero, złudzeń masz o wiele za dużo. Szczególnie złudzeń niezauważalnych. Twój czas powoli się kończy, Pikero, i dlatego tak łapczywie uciekasz w ciemność. Chcesz zrozumieć, Pikero, bardziej poczuć niż zrozumieć, w czym będziesz musiał się zanurzać, gdy twój czas nadejdzie. I ten gniew w tobie, Pikero, gniew niezauważalny, ale tak istotny dla ciebie. Gniew, który cię niszczy, gniew, który cię zniewala.

Pikero wchodzi do Pubu Pod Papugami. Siada przy barze, ktoś go trąca ręką. To Leńczuk, znany, ceniony muzyk. Kiedyś grał na ulicy Floriańskiej, pod Bramą Floriańską. Teraz tym się chwali podczas każdego wywiadu. Chce udowodnić sobie, innym jak daleko za-

szedł. Ale tak naprawdę wciąż tkwi pod tą Bramą Floriańską, choć sam tego nie wie, choć sukcesów ma dużo, zbyt dużo, ale duszy się nie oszuka, duszy się nigdy nie sprzeda. A jego dusza pomimo blasku, pomimo złudzeń wciąż jęczy pod tą Bramą Floriańską, kiedyś to zrozumie, zauważy, ale wtedy będzie już za późno dla niego, dla jego duszy.

- Witaj, Pikero – cieszy się Leńczuk.

- Witaj – Pikero patrzy się na niego poprzez mgłę jaką ma w oczach.

- Czas, czas nas do siebie zaprowadził – mówi Leńczuk, widać że jest pijany.

- Nagrywasz coś nowego?

- Nagrywam, nagrywam, przegrywam, przegrywam, uciekam, uciekam – mówi Leńczuk.

- Nowa płyta?

- Stare kawałki, odgrzebane gdzieś z szuflady. Mam kryzys – uśmiecha się Leńczuk. – Kogo nie dotyczą kryzysy, chyba tylko polityków.

- Kiedy ją wydajesz?

- Niedługo. Teksty ktoś mi pisze. Mają być ambitne, pomimo nieambitnych kawałków.

- A jak w życiu?

- Tak jak u ciebie. Wciąż uciekam. Wciąż coś gonię. Wciąż widzę zniekształcony cień za sobą. A słońce, cóż, bardziej parzy niż grzeje.

- Faktycznie, tak jak u mnie.

- Masz coś dobrego? – oczy Leńczuka się nagle rozjaśniają.

- Mam.

- Chodźmy do ubikacji.

Wchodzą do ubikacji. Zamykają się na kilka chwil. Gdy te kilka chwil mija wychodzą inni, odmienieni, lepsi.

Znów na chwilę siadają przy barze. Milczą. Ich głowy kołyszą się rytmicznie w rytm muzyki.

- To chyba Nirvana – mówi Leńczuk.

- Tak, to chyba Nirvana – powtarza Pikero.

- To na razie – mówi Leńczuk i wychodzi.

- To na razie – odpowiada Pikero.

Potem Pikero jeszcze siedzi chwilę przy barze, potem tylko spogląda na zegarek i wychodzi. Chce wrócić do Iwony, do domu, do siebie. Choć wie, że dom, do którego teraz wraca, nie będzie dzisiaj dla niego miły, dobry, przyjemny.

Czasami pojawia się w nim gniew. I ten gniew, ta złość do świata, do ludzi, do siebie sprawia, że jego myśli stają się poplątane, niewidoczne, poszarpane. I ten gniew, ta rozpacz dotyczy rzeczy na które wciąż ma wpływ, dotyczy rzeczy na które już nie ma żadnego wpływu i być może nigdy nie miał żadnych szans, żeby mieć wpływ na te rzeczy. Gniew w nim kielkuje powoli, sennie, potem przyspiesza i nagle się w nim budzi i nie można go już niczym zatrzymać. Gniew, że świat jest taki jaki jest, że nie może być inny, lepszy. Gniew, że ludzie są tacy jacy są, że nie mogą być inni, lepsi. Gniew, że on sam jest taki jak ci ludzie, i że on sam nie może być inny, lepszy. Gniew, że wszystko co robi, co czyni, w złej lub dobrej woli, prowadzi go donikąd. Gniew, że wszystkie jego marzenia są zawsze tak daleko, zbyt daleko od niego, od jego myśli i pragnień. Gniew, że mógłby być kimś innym, lepszym, że mógłby zmieniać i kształtować świat na swój sposób, a tak naprawdę nigdy tego nie będzie mógł robić. Gniew, że przeszłość w teraźniejszości ma takie kolosalne znaczenie i nic tego nie może zmienić, ani czas, ani ludzie, ani on sam. Gniew, że pieniądze, gdy już są, prowadzą nas donikąd. Gniew, że chciwość zawsze jest gdzieś z przodu przed pragnieniem. Przed marzeniem też. Gniew, że kobiety tak daleko są wciąż od mężczyzn. Często zbyt daleko. Gniew, że nałogi tak bardzo pożerają myśli tych, którzy w tych nałogach już muszą uczestniczyć stale, ciągle. Gniew, że dzieciństwo tak mało zostawia śladów w dorosłym życiu. Dobrych śladów. Gniew, że ambicje, zwłaszcza chore ambicje zawsze prowadzą człowieka w ciemne, opuszczone ulice. W ulice bez nazw, bez świateł, bez ludzi. Gniew, że to wszystko się kiedyś skończy, i ta nieuchronność prowadzi nas ciągle do przodu, czasami niepotrzebnie, czasami bez sensu. Gniew, że nikomu nie będzie go brakować, gdy już umrze. Że ludzie rozumieją, jak mało był istotny, nieważny prawie, że tak naprawdę nic nie znaczył dla siebie, dla innych. Nie znaczył tak, jak powinien znaczyć, żeby swoje życie uczynić innym, lepszym.

A potem ten gniew znika, nagle, niespodziewanie i wtedy znów pojawia się w nim cisza, jakaś ulga.

Pikero nie lubi tych stanów gniewu, ale nie może ich uniknąć. One są nim, on jest nimi. Są jak bracia na wojnie, razem idą do przodu pomimo strachu, pomimo gniewu.

Pikero przypomina sobie rajd nocny po mieście. Ciemność, on, kokaina, znajomi schowani w ciemności piwnic pośród głośnej muzyki.

Nałogi są tylko wtedy pod kontrolą, gdy ich tak naprawdę wcale nie kontrolujemy, myśli Pikero.

I ten rajd, ostatni, i te rajdy wcześniejsze go jakoś zawsze wyciszają. Wyciszają na kolejne dni do przodu. A potem znów chce uciec w ciemność, w świat muzyki, w świat obcych twarzy, w świat znanych twarzy. Wtedy, podczas tych rajdów jest tylko on, jest tylko noc i miejsce, tyle jest wtedy niebezpiecznych miejsc koło niego. Często nowych miejsc, nieznanymi miejsc.

Rozmawia wtedy z ludźmi, wydaje mu się, że ich wtedy lepiej rozumie, że oni też lepiej rozumieją jego życie, jego przeznaczenie, i wtedy właśnie wydaje mu się, że człowiek może być bliżej innego człowieka, bliżej jego duszy. Że można być z kimś innym tak naprawdę blisko, na tyle blisko, że można w innym człowieku zobaczyć siebie, swoje oblicze, swoją często popękaną twarz, duszę i to wszystko może mieć jakieś znaczenie, jakiś sens.

A potem wszystko znika, rozmazuje się przez kokainę. I rano już nic nie ma sensu, już nic nie ma znaczenia, nie ma znaczenia takiego jak wczoraj. Bo wszystkie rzeczy, które znaczyły coś wczoraj, nie są żadną gwarancją, że te rzeczy będą znaczyły to samo dzisiaj. I przeważnie nic nie znaczą, i przeważnie nigdy nic nie znaczyły.

Pikero idzie przez rynek, patrzy się na tłum ludzi. Ich twarze mają w sobie jakiś niepokój, taki niepokój, który wciąż pcha ich ciała przed siebie. W oddali słyszy muzykę. Zaczyna się do niej zbliżać niczym lunatyk. Przy Kościele Świętego Wojciecha, na betonowej kolumnie siedzi młody mężczyzna i gra na gitarze. Gitara ma kolor czarno-srebrny. Przed mężczyzną leży otwarty futerał, a w środku futerału leżą pieniądze. Jedna noga mężczyzny oparta jest na małej metalowej podstawie, a druga dotyka ziemi. Czarne okulary, ciemna

koszula, dzinsy i hiszpańska muzyka. Ludzie siedzą przed mężczyzną z gitarą na niskim murku. Słuchają, milczą, muzyka ich gdzieś unosi, unosi gdzieś daleko, unosi tam, gdzie sami nie mogą dojść, z obawy, że odległość zniszczy w nich te rzeczy, które doprowadziły ich do tych miejsc.

Pikero siada na murku. Daje się wciągnąć w tę grę, w rytm hiszpańskiej muzyki. Jego myśli zaczynają uciekać gdzieś daleko, zaczynają znikać...

Pikero widzi plażę, na morzu jest gęsta, szara mgła. W oddali widać jeden statek, wygląda jak duch, jak jakaś zjawia, jego żagle są poszarpane, zniszczone. Statek płynie ostatkiem sił do brzegu. Jest jak stary mężczyzna nad grobem, jeszcze stoi, jeszcze walczy, ale już za chwilę go nie będzie, już za chwilę będzie w innej przestrzeni, w innym czasie. Nagle z boku tego statku, z gęstej mgły wynurza się inny statek, płynie na oślep w kierunku drugiego statku. Statki się zderzają. Słychać krzyki ludzi, marynarzy. Statki zaczynają tonąć. Ludzie wyskakują za burtę. Są jak małe dzieci zagubione w lesie, zanurzone w gęstej mgle pośród drzew. Małe punkty, niewidoczne punkty płyną do brzegu. We mgle widać tylko ich oczy, setki oczu. Widać w tych oczach gniew, przerażenie. Widać rozpacz, że coś zaczyna się kończyć. Coś nieświadomie, tak nagle się urywa. Część tych oczu, rozbieganych spojrzeń wie, że już nigdy nie zobaczą brzegu, nie zobaczą swoich ciał na suchym lądzie.

I te jęki rozpaczcy w morzu, i te coraz bardziej nerwowe ruchy rąk, i ta cisza, gdy pojedyncze ciała zaczynają znikać w morzu. W milczeniu, w ciszy, w rezygnacji...

Pikero widzi port, plażę za tym portem, widzi stary popękany mur, tuż koło portu. Widzi zamek nad tym portem, zamek na wzgórzu. Obok zamku jest cmentarz, mała ławka, drewniana, obok zamku jest cisza.

Pikero i jeszcze dwie osoby idą do zamku. Powoli wspinają się na wzgórze. Lecz jeszcze są przy małych, starych domach, które za chwilę się skończą, za chwilę znikną za ich plecami, ale jeszcze są koło nich, jeszcze ich ciała są blisko tych murów, blisko czasu, który

tutaj się dawno zatrzymał, stanął prawie na wieczność na tym wzgórzu, bardziej pod tym wzgórzem niż na tym wzgórzu.

Pikero i te dwa ciała koło niego, ciała których teraz nie rozpoznaje, nie może rozpoznać, piją tequilę, prosto z butelki, mają ze sobą sól i cytrynę. Ich twarze po wypiciu kolejnego łyka tequili się krzywią. Potem idą dalej w kierunku zamku. Jakiś starzec siedzi przed domem na ławce. Siedzi i milczy, patrzy się na nich swoimi zmęczonymi oczami. Zbliża się noc. Pikero dochodzi do bramy zamku. Brama jest zamknięta. Wchodzą na starą basztę, za murami zamku. Na dole widać morze, światła, widać życie. Ludzie ruszają się pośród tych światel. Siadają w środku baszty, patrzą się na gwiazdy. Widzą coraz wyraźniej noc, która zaczyna przenikać ich ciała. Czują, że żyją, czują, że czegoś chcą od życia. To ważne, czuć, że się jeszcze w życiu czegoś chce. Że się jeszcze całkowicie nie zobojętniało na życie, na siebie. I ta świadomość uczestnictwa w czymś co się nazywa życie, ich jakoś dziwnie uszczęśliwia. Stoją i krzyczą coś przed siebie. Ich głos unosi się nad miastem, nad morzem, nad nocą...

I nagle wszystko znika. Pikero otwiera oczy. Znow jest na rynku, znow mężczyzna gra hiszpańską muzykę, znow ludzie koło niego jakoś dziwnie milczą.

Pikero wstaje, idzie dalej przed siebie. Ulica Grodzka, dorożki, ludzie, ciche szepty miasta koło niego. Szepty wydobywające się z murów kamienic, z okien, z dachów kamienic. Szepty, które go gdzieś wołają. Pikero, gdzie idziesz? Pikero, dlaczego uciekasz? Pikero, dlaczego zbyt często wracasz do przeszłości?

A potem wszystko znika. Jest cisza koło niego. Jego kroki zaczynają prowadzić go do domu. Zaczynają prowadzić go do siebie.

Musiał wyjść z domu. Musiał wyjść z domu teraz. Coś się w nim, coś się w Iwonie tak nagle zepsuło. Kłótnie, nieustające kłótnie między nimi, niepokój, powolny niepokój który się pomiędzy nimi pojawił, a potem ten niepokój nagle zaczął się rozrastać, rósł i rósł, aż w końcu urósł do niewyobrażalnych rozmiarów.

Dworek Białoprądnicki, wieczór. Po prawej stronie, na zewnątrz, z boku głównego budynku scena. Pikero kupuje bilet, mija metalowe

barierki i siada na krześle, tuż przy scenie. Scena jest nieduża, rząd krzeseł ustawionych na trawie, krzeseł drewnianych, ciche szepty ludzi a potem ciemność, która nagle zawisła nad sceną, zawisła na niebie tak niespodziewanie.

Krakowski zespół, artystyczny, kilka płyt, dobre teksty, świetny, trochę zagubiony wokalista. Pikero siedzi, słucha, ucieka od siebie, ucieka od Iwony. Czuje do siebie wstręt, nienawiść. Ucieka od czegoś, co mu dawało jakąś nadzieję na przyszłość, ucieka od kogoś, kto być może mógł mu pomóc w przyszłości, mógł mu dać cięń szansy, że to życie będzie kiedyś inne, lepsze, ciekawsze, będzie pełne czegoś, czego on do końca nie rozumie, będzie pełne miłości.

Kolejna piosenka, oklaski. Pikero wstaje, idzie po piwo do kawiarni. Z plastikowym kubkiem wraca pod scenę. Zespół wciąż gra. Światła w ciemności grają wraz z zespołem. Kończy się kolejna piosenka. Jeszcze gra muzyka, jeszcze coś się w niej tli, jeszcze światła przenikają twarz wokalisty, twarz na której są ciemne okulary, jeszcze czarny długi płaszcz, lekko pomarszczony tańczy wraz z wokalistą, wraz z jego głosem, i wtedy, właśnie wtedy, pod sam koniec piosenki, wokalista rozkłada ręce na boki, odwraca się od publiczności, i z tymi rozłożonymi rękami wygląda jak ptak, jak zraniony ptak podczas lotu. Muzyka przestaje grać, koncert się kończy. Ciemność, głęboka ciemność unosi się nad Dworkiem Białoprądnickim, ciemność, prawie noc.

Ktoś dotyka ramienia Pikero. Pikero się odwraca. Na jego twarzy pojawia się uśmiech. To Kalinowski, razem kończyli architekturę.

- Cześć – mówi Kalinowski.
- Cześć. Co tutaj robisz? – pyta Pikero.
- Koncert. Muzyka. Ucieczka od obowiązków – uśmiecha się Kalinowski. – Idziemy do kawiarni?
- Tak. Idziemy.

I idą do kawiarni w Dworku Białoprądnickim. Schody, kamienne schody na dół, bar po prawej stronie, piwnica, ciemna piwnica i muzyka, cicha muzyka w tle.

Piją drinki, rozmawiają. Na ich twarzach pojawia się dziwne odprężenie, wolność.

- Gdzie teraz pracujesz? – pyta Pikero.

- W konkurencji. Biuro projektowe. Wy macie duże projekty, my mamy mniejsze projekty. Bogaci ludzie, domy, takie domy, które zmieniają ich życie, takie domy, które stoją w miejscach niezwykłych, wyjątkowych.

- Twój szef to dziwak, tak słyszałem.

- To geniusz, nie dziwak.

- Każdy geniusz to dziwak – stwierdza nagle Pikero.

- Ten dziwak, jak go ty nazywasz, robi niezwykle projekty. Wtapia domy w krajobraz. Dom ma być częścią krajobrazu. I to mu się udaje. Dom nad wodospadem, trzy tarasy, pod spodem płynie rzeka, z okien widać las, widać drzewa. To niezwykle, tak łączyć ludzi z przyrodą.

- Słyszałem, że gdy już powstanie dom, twój szef, później, odwiedza tych ludzi w tym domu.

- Czasami tak robi – uśmiecha się Kalinowski. – Przetawia meble, usuwa zasłony bo niszczą światło w salonie, nie pozwala wieszac obrazów na ścianach bo niszczą harmonię domu, tak mówi, raz nawet kazał pani domu nosić sukienki zaprojektowane przez niego, żeby dobrze komponowały się z domem.

- To dziwak – Pikero zamawia kolejnego drinka.

- To geniusz – Kalinowski podnosi szklankę do góry. – Za spotkanie!

- Za nasze nowe, lepsze, zawsze niezwykle projekty!

Piją, uśmiechają się do siebie; podczas tego picia, podczas tych uśmiechów oboje widzą swoją przeszłość, widzą imprezy na studiach, imprezy aż do rana, widzą poranne kace, bolesne, bo na zajęciach, bo na wykładach, widzą dziewczyny, dziewczyny zmęczone tańcem nad ranem, w piwnicach rozmazanych barów, takich barów, które są czynne aż do rana, aż do śmierci, która nagle nad samym ranem do nich przychodziła. Śmierć nagle, śmierć ostateczna. Widzą to wszystko w sobie, w swoich oczach i to wszystko ponownie ich do siebie zbliża. Zbliża w nich to, co jeszcze w nich nie umarło i być może nigdy nie umrze. Bo dobre rzeczy nigdy w człowieku nie umierają a przynajmniej nie umierają zbyt szybko, zbyt nagle. Zbyt pośpiesznie. Zbyt ostatecznie.

Potem się żegnają. Wierzą, że jeszcze kiedyś się spotkają, tu, może tam, może nigdzie. Ale w to wszystko wierzą, bo chcą wierzyć,

że przeszłość, dobra przeszłość zawsze do człowieka wraca, wraca w lepszym kształcie, w lepszym wymiarze.

Pikero jedzie w kierunku miasta, na rynek. Taksówka, obrazy za szybą, obrazy w nim. Obrazy przemielone przez przeszłość, obrazy zniekształcone przez teraźniejszość. Może przez zbyt szybko zbliżającą się przyszłość.

Pikero wysiada z taksówki. Płaci. Już jest na rynku. Już jest w domu...

Idę w miasto. Idę w noc. Idę w ciemność. Jeszcze muszę gdzieś dojść. Jeszcze muszę gdzieś uciec. Jeszcze muszę zapomnieć.

Jedna knajpa, obce twarze, alkohol, druga knajpa, obce twarze, alkohol, trzecia knajpa, obce twarze, alkohol. Zapomnienie.

Przemieszczam się. Nie mogę sobie znaleźć nigdzie miejsca. Przemieszczam się. Wciąż nie widzę ciebie koło mnie. Przemieszczam się, wciąż przemieszczam się pomiędzy uczuciami, które jeszcze nas łączą. Przemieszczam się. Jeszcze czuję twój oddech koło siebie. Przemieszczam się pomiędzy miłością a strachem, że kiedyś bezpowrotnie cię stracę. Że to, co nas jeszcze łączy teraz, umrze. Umrze w tobie, umrze we mnie. Przemieszczam się pomiędzy pokojami, pomiędzy sypialnią, kuchnią a salonem. Pomiedzy pokojami, które są przesiąknięte miłością, które wciąż są przesiąknięte nami. Przemieszczam się. Wciąż uciekam z pokoju do pokoju. I te ucieczki są nieodwracalne i te ucieczki są bezpowrotne. Podczas tych ucieczek ja coś tracę, ty coś tracisz, oboje tracimy to, co nas kiedyś łączyło, to, co nas jeszcze wciąż łączy, co nas jeszcze wciąż do siebie zbliża. Przemieszczam się. Już nie chcę się przemieszczać nigdzie, już nie chcę uciekać. Nie mam już sił na żadne ucieczki, na żadną nową miłość, na żadne bezsensowne, bezcelowe przemieszczanie.

Cyga patrzy się na laptop, jego oczy wciąż się wahają, całe jego ciało też się waha, widać to w każdym jego ruchu, w każdym jego geście.

- Masz u mnie dług – Komisarz Marek Kozioł mówi cicho, ale z naciskiem na słowo dług. – Wiesz, jakby wyglądało twoje życie gdyby nie ja.

- Wiem – cicho, prawie szeptem mówi Cyga.

- Twoja matka była chora, była sama, miała tylko ciebie. Gdybyś poszedł wtedy do więzienia, ona umarłaby w samotności, a rak pozwoli zabijałby jej ciało, zabijałby tak, aż w końcu nie miałyby żadnych sił, a tutaj znikąd pomocy, ty w więzieniu, rodziny nie macie. To przykre, gdy jesteście sami na końcu drogi. A jeszcze bardziej jest przykre, gdy choroba zabija w nas wszystko, a my sami nie wiemy gdzie się zwrócić o pomoc, bo tak naprawdę wokół nas nie ma nikogo kto by nam pomógł.

- Gdy to zrobię będziemy kwita, nie będziesz już niczego ode mnie chciał?

- Tak. Rachunki będą wyrównane. Wiem, że potrafisz to zrobić. Po pierwsze, jesteś dobrym informatykiem, po drugie, studiowałaś architekturę, po trzecie, robiłaś projekty domów, kiedyś. Wiem, to przeszłość, ale takich rzeczy się nie zapomina.

- Czemu to robisz?

- Bo muszę. Bo chcę. Bo to mi w jakiś sposób pomoże. Bo to zmieni życie kogoś, na kim mi całkowicie nie zależy.

Cyga włącza komputer. Znajduje projekt. Chwilę go przegląda, jego oczy są skupione, trochę zamyślane.

- To dobry projekt. Widać, że ktoś ma talent do tych rzeczy.

- Masz zmienić ten projekt, o tu – Komisarz Koziół pokazuje palcem dokładne miejsce budynku. – Archiwum miasta ma być niedoskonałe w tym miejscu. Gdy przyjdą śniegi, ta część archiwum ma się zawalić. Nie będzie tam ludzi, tylko dokumenty. A śnieg, gdy zmienisz pewne rzeczy, jego siła, sprawi, że to się wszystko zawali.

- Tylko ta część?

- Tak. Tylko ta. To wystarczy. Potem będzie śledztwo i wtedy wyjdzie, że ktoś popełnił błąd, że ktoś źle obliczył pewne rzeczy, a za błędy, a szczególnie takie błędy są surowe kary.

- Ile mam czasu?

- Dwa dni. Potem ten komputer ma wrócić do biura projektowego. W zasadzie ten projekt jest już zatwierdzony. Za kilka miesięcy firma budowlana rozpocznie przygotowania do budowy tego budynku.

- Zmienię to – mówi Cyga – i to, i właśnie te dwie rzeczy osłabia tylną część budynku.

- To wystarczy?

- Tak. Zmiany będą niezauważalne. Ale znacząco osłabiają konstrukcję tej części budynku.

- To działaj.

- To nieuczciwie.

- Jakie to ma znaczenie dla ciebie. Ja też kiedyś byłem nieuczciwy gdy pozwoliłem ci żyć na wolności, zamiast wsadzić cię wtedy do więzienia.

- Wiem – cicho odparł Cyga.

- Świat nie jest uczciwy, ludzie nie są uczciwi, pewne rzeczy też nie są uczciwe. A pomimo tej nieuczciwości świat wciąż pędzi do przodu. A czasami nawet wręcz gna do przodu, bo nieuczciwość jeszcze mocniej go pcha do przodu.

- Zabieram się do pracy.

- Będę za dwa dni.

Komisarz Koziół wychodzi z mieszkania Cygi. Niebo nad Krakowem prawie całe schowane jest w chmurach. W oddali widać komin, w zasadzie zarysy tego komina. Jego koniec, koniec tego komina jest lekko widoczny, wygląda jak samotna latarnia nad morzem, a reszta tego komina schowana jest w białych, prawie śnieżnych chmurach.

Komisarz Koziół uśmiecha się do siebie. Kiedyś miałem rację, że Cyga w przyszłości może mi się jeszcze przydać. Czasami rzeczy nieistotne nabierają sensu dopiero po czasie. I ten sens, kiedyś nieuchwytny, tak znacząco zmienia pewne rzeczy w przyszłości.

Tadeusz Chrowski, jego węglowe oczy, zimne ale spokojne, jego szerokie brwi, jego lekka nadwaga, to wszystko, to nic, sprawia, że jego głos dumnie unosi się nad głowami ludzi zgromadzonych z okazji otwarcia Budynku Archiwum Miasta. Jego głos, jego barwa, jego ton, to wszystko ma w sobie zapach władzy, zapach nadziei, że miasto podąża we właściwym kierunku, a on, Prezydent tego miasta wie, gdzie ta droga zaprowadzi wszystkich, wie, gdzie ta droga zaprowadzi jego.

Obok Chrowskiego stoi Pikero, lekko onieśmielony tłumem ludzi, a obok Pikera stoi jego szef Ulczyk. On jest bardziej pewny siebie, nie raz brał udział w takich otwarciach. Władza i pieniądze,

oraz sława dobrego architekta uczyniła z niego innego człowieka. W jego mniemaniu lepszego człowieka.

Komisarz Marek Kozioł stoi z tyłu, przygląda się ludziom, przygląda się sobie. Widzi twarz Pikera, oczy, cała jego postać, nawet jego cień nie pasuje do tej całej sytuacji. Nagle w tłumie zauważa twarz znajomą, twarz, która nie wróży nic dobrego ludziom, którzy pojawiają się na drodze tej twarzy. Kaplica, myśli Komisarz Kozioł, zawsze jesteś tam, gdzie on. Kaplica to prawa ręka Prezydenta Miasta Krakowa, ręka niewidoczna. Kaplica pojawia się tylko czasami koło niego, pojawia się tylko wtedy gdy musi. Jest tylko cieniem Tadeusza Chrowskiego, złym, ciemnym cieniem. Cieniem, który zostawia ślad w ludziach, ślad niezniszczalny, ślad, który powoli staje się piętnem, piętnem nigdy nieznikającym.

Komisarz Kozioł dobrze zna Kaplicę, wiele o nim słyszał. Nigdy nic mu nie udowodniono. Haracze, jakieś napady, obrazy, które ktoś ukradł od znanego kolekcjonera, złoto, które nagle pojawiło się w mieście, nie wiadomo skąd, nie wiadomo ile, i takie tam różne rzeczy, o których Kaplica wiele wie, ale nigdy wiele o nich nie mówi. Jego powiązanie z Prezydentem Miasta Krakowa, z Tadeuszem Chrowskim to milczenie, mało kto wie o nim, mało kto chce wiedzieć o nim. Kaplica wzbudza w ludziach strach, a ze strachem nikt normalny nie chce mieć za dużo do czynienia.

Strach niszczy tych którzy są słabi, strach wyzwala tych, którzy mają w sobie siłę, taką siłę, która pcha człowieka do przodu za wszelką cenę. A cena, jaką niesie ze sobą strach to samotność. Nie taka samotność, która może dopaść każdego człowieka zawsze, lecz taka samotność, która niszczy w człowieku wszystko, niszczy to, co ma jakieś znaczenie dla człowieka, niszczy to, co już nie ma żadnego znaczenia dla człowieka, a nie ma, bo nigdy nie miało, właśnie przez ten strach, przez wszystko to, co ten strach zrobił z tym człowiekiem. Zrobił bo mógł, zrobił bo chciał. Zrobił bo trafił na właściwą glebę.

Po krótkiej przemowie Prezydenta następują oklaski, przecięcie czerwonej wstęgi i zwiedzanie budynku Archiwum Miasta Krakowa. Wszystko w środku jest nowe, piękne, wydaje się, że niezniszczalne. Tłum zaproszonych ludzi rozgląda się po jeszcze teraz pustych pomieszczeniach. Za chwilę do tego budynku będą jeździć

ciężarówki, będą przenosić historię z jednego miejsca w drugie. Ludzie zamknięci w tych dokumentach, ich historie, ich emocje, czasami bezduszość znajdą nowe miejsce swojego spoczynku. Być może ostateczne miejsce swojego spoczynku.

Dusze też mogą zmieniać miejsce, myśli Komisarz Koziół, a potem wychodzi z budynku. Męczą go dzisiaj ludzie, męczy go czas, czas dopiero nadchodzący, czas, który ma zmienić wszystko w jednym człowieku, w jego snach, w jego życiu, w jego pragnieniach. Czas, który uczyni życie Pikera innym, uczyni to niedługo, uczyni to niewyraźnie. Bo tak naprawdę życie Pikera powoli zaczyna być niewyraźne, niepokładane. Wszystko co do tej pory robił, co być może jeszcze chciał zrobić, będzie się tylko zacierać, będzie powoli znikać w przyszłości, jego coraz bardziej niewyraźnej przyszłości. A potem wszystko pęknie, połamie się, skruszy, i z Pikera, z jego twarzy, z jego myśli pozostanie tylko niewyraźność, a on, Pikero, już nigdy nie odnajdzie się w tej niewyraźności. Zniknie wraz z nią, tak jak znikają ze świata wszyscy ludzie, którzy przez całe życie byli niewyraźni, i tak naprawdę nigdy nie byli obecni we własnym życiu. Nigdy nie dotykali własnego życia tak dosłownie, tak wyraźnie.

Śnieg pada od kilku dni. Zasypuje całe miasto swoim jasnym przenikliwym lśnieniem. Białe lśnienie, krystaliczne lśnienie, przenikliwe lśnienie. Nocami zimne lśnienie.

Pikero stoi na balkonie, patrzy się na Lasek Wolski, na drzewa, na ich ostre zarysy, patrzy się na to coś, co się nazywa niedostępność. Niedostępność rzeczy na które już nie mamy wpływu.

Po chwili ciało Pikera zaczyna drżeć. Pikero chowa się w kuchni. Jego myśli gdzieś błądzą, błądzą daleko, błądzą w przeszłość. Dlaczego twarz Katarzyny wciąż do niego wraca? Wraca w snach, wraca za dnia. I te jej blond włosy, tak leżące w nieładzie na ziemi, leżące tak w bezruchu, i te jej niebieskie oczy, tak szeroko otwarte, oczy bezimienne, zimne, dalekie. To wszystko, to nic wciąż w nim siedzi i Pikero obawia się, że to coś, ten obraz, wciąż w nim będzie siedzieć, aż do końca.

I ten dzisiejszy poranek, taki dziwny, taki tajemniczy. Poranek niosący w sobie jakieś niebezpieczeństwo, jakąś wróżbę, złą wróżbę.

Mleko rozlewa się w kuchni, kap, kap, kap. Mleko tworzy obraz, zły obraz, kap, kap, kap. Twarz kobiety, znanej mu kobiety, kap, kap, kap. Oczy tej kobiety, oczy nieobecne, kap, kap, kap. Włosy długie, piękne, połamane przez bezruch, kap, kap, kap.

To zła wróżba, zły obraz, myśli Pikero.

Oj, Pikero, coś się zaczyna dzieć w twoim życiu, coś złego. Kara zawsze dociera do człowieka, dociera z opóźnieniem. I ten poranek, Pikero, zły poranek. Sam to czujesz, sam to dobrze wiesz, Pikero. Takie poranki, takie sny, zawsze są przy nas gdy dopada nas ostateczność. A ciebie, Pikero, ostateczność i tak za długo omijała. Boisz się, Pikero, widzę to w twoich oczach. Każdy boi się gniewu, zwłaszcza gniewu Boga, Pikero. A ty, z pewnością na ten gniew zasłużyłeś, Pikero. Już nie masz sił uciekać, ja to wiem. Wiem lepiej niż inni, Pikero. Białe proszek już nie pomaga, nie gasi złych snów, nie gasi złych myśli. Nałogi pomagają tylko na jakiś czas, Pikero, potem nas tylko duszą, zabijają w środku. I co teraz, Pikero? Gdzie uciekniesz teraz, Pikero? Wszystkie drogi prowadzą cię donikąd, Pikero. Sąd, który za tobą biega całe życie, teraz cię dopadł, jest blisko, na tyle blisko, że sam go czujesz, sam go dobrze widzisz przed sobą. A przed sądem, Pikero, nie ma ucieczki, zwłaszcza przed sądem ostatecznym. Więc dłużej już nie uciekaj, Pikero, poddawaj się. Niech twoje myśli znów będą czyste, będą inne. Zawsze szukałeś inności w ludziach, inności w sobie, Pikero. Więc teraz ta inność cię dopadła, Pikero. Jesteś szczęściarzem, Pikero, odnalazłeś inność na końcu drogi. Nie każdy ma takie szczęście, Pikero, dostać to, czego szukamy, przed samą śmiercią. A śmierć, Pikero, się do ciebie zbliża. Oj, zbliża, Pikero. Nie uciekaj od niej, Pikero, nie oszukuj jej, nie chowaj się gdzieś w ciemności przed nią. Śmierci nie oszukasz, Pikero, sam to dobrze wiesz. Po prostu czekaj, Pikero, czekaj i trwaj. Czekaj i czuwaj. Śmierć cię odnajdzie, odnajdzie wtedy, gdy będziesz już na nią naprawdę gotowy.

W słuchawce telefonu Pikero słyszy nerwowy głos swojego sześcia. Ulczyk ma słowa popękane, poszarpane.

- Budynek się zawalił – głos Ulczyka się urywa, stygnie.
- Archiwum miasta się zawaliło?

- Nie całe, tylnia część. Śnieg, jego masa, jego ciężar sprawiły, że dach się załamał. Na szczęście to tylko archiwum, nie było tam ludzi. Ale policja wszczęła śledztwo. Analizują projekt. Są jakieś błędy.

- Jakie błędy?

- Coś zostało źle obliczone. Jak mogłeś się pomylić? Tak ci ufałem.

- Nie mogłem się pomylić.

- Za to jest kryminał. Ja, to już teraz ci mówię, na pewno nie pójde do więzienia. Powiem im, że to twój projekt. Wyłącznie twój projekt.

- Nie mogłem się pomylić. Nie mogłem – Pikera głos cichnie, zasypia, stygnie.

- Fakty są takie. Tylnia część budynku jest zawalona. Projekt jest dokładnie analizowany przez fachowców. Już niedługo pojawi się u ciebie policja. Oboje mamy przechłapane. Ale ja się z tego jakoś wykręcę, gorzej z tobą. Nie dzwoń do mnie na razie, tak będzie lepiej – Ulczyk się rozłącza. W słuchawce następuje cisza, zła cisza. Taka cisza, która zabija w człowieku wszystko, nawet myśli.

Pikero wychodzi na balkon. Wiatr, śnieg, zawierucha. Nie jest mu zimno, choć śnieg jest przenikliwy, bolesny, cierpki. Po chwili jego włosy są całe białe. Jak mogłem się tak pomylić, to niemożliwe, myśli Pikero.

Zły czas, Pikero, dorwał cię zły czas. Złe myśli, Pikero, dorwały cię złe myśli. Złe przeznaczenie, Pikero, dorwało cię złe przeznaczenie.

Byli u Pikera osobiście, wręczyli mu wezwanie na policję, na przesłuchanie. Ich oczy, oczy zimne, nie wróżyły mu nic dobrego.

Iwona się spakowała, odeszła. Przestała wierzyć w niego, przestała wierzyć w ich miłość. Ładna pogoda nigdy nie trwa długo, zarówno w życiu, jak i w snach, tak mu powiedziała, zanim zniknęła na zawsze z jego życia.

Pikero wychodzi z domu, wychodzi w ciemność miasta. Pojawia się w nim gniew, gniew, gniew. Miasto całe zanurzone jest w śniegu. Gdy kupuje kokainę pod Wieżą Ratuszową jest cały biały od

śniegu. Jego włosy, kurtka, ręce, nawet oczy są białe, krystalicznie białe.

Pikero na moment znika w Piwnicy Pod Baranami. Ubikacja, kokaina, ulga, a potem gniew, gniew, gniew. Rusza w miasto, kolejny bar, kolejne twarze, jakieś kobiety, piękne, niedostępne, nawet bliskie. Gniew, gniew, gniew. Co będzie dalej? Czy jest jeszcze dla mnie jakieś dalej? Gniew, gniew, gniew.

Nagle pojawia się w nim strach. Więzienie, inne życie, inny czas. Strach paraliżuje go w środku. Nigdy nie miał takiego strachu w sobie. Gniew, gniew, gniew. Iwony już nie ma i nigdy nie będzie. Dobry czas się skończył. Iwona była dla niego jakąś szansą, nadzieją. Bez niej jest nikim, jest tylko sobą. Tylko sobą, to najgorsza rzecz jaka mu się mogła teraz przydarzyć. Gniew, gniew, gniew.

Ulica Floriańska, jakaś knajpa jazzowa, tuż przy Bramie Floriańskiej. Siedzi przy ścianie, prawie przy oknie. Ludzie na ulicy idą w ciemność, przez śnieg, przez mgłę śniegu. Są jak duchy, są jak on. Gniew, gniew, gniew.

Kokaina dusi w nim wszystko, kokaina gasi w nim wszystko. Jest mu trochę lepiej, niewiele lepiej. Gniew, gniew, gniew.

Nie pójdę nigdy do więzienia. Nie będę ocierał się o ściany przez następne kilka lat, o zimne, ciemne, obojętne mury. Gniew, gniew, gniew.

Pikero znów bierze kokainę. Bierze za dużo, dobrze to wie. Życie to ucieczka, nieustająca ucieczka od siebie. Jestem tylko zwierzyną, zwierzyną goniącą swój własny cień. Gniew, gniew, gniew. Jestem tylko sobą, resztkami siebie z przeszłości. Gniew, gniew, gniew.

Komisarz Marek Koziół wychodzi z samochodu. Dochodzi szósta rano. Mija Barbakan, zbliża się do Bramy Floriańskiej. Podchodzi do niego Komisarz Rawicz. Podaje mu rękę.

- Gdzie on jest? – pyta Komisarz Koziół.

- Tam.

Podchodzą bliżej do Bramy Floriańskiej, idą wzdłuż murów, wzdłuż drzew, wzdłuż białych od śniegu gałęzi.

Na gałęzi jednego drzewa wisi Pikero. Jego ciało wisi bezładnie, obojętnie. Jego twarz jest spokojna, cicha. Tak cicha jak noc, która powoli się kończy.

- Samobójstwo? – pyta Komisarz Kozioł, pyta cicho, z lękiem.
- Na to wygląda.
- Znam go. To człowiek, który źle ocenił swoje życie, swoje możliwości.

- Większość ludzi źle ocenia swoje możliwości. A potem niektórzy z nich płacą za to najwyższą cenę.

- Jak on.

- Tak, jak on.

Komisarz Kozioł wraca do samochodu. Jest zimno, bardzo zimno. Zimna noc, zimny poranek, zimne mury wokół niego. Całe miasto skąpane jest w zimnie, schowane jest w jego chłodzie.

Tylko jeden został, myśli Komisarz Kozioł. Jedna osoba i wszystko się skończy. Strach, nadzieja, gniew. Gniew, który pcha człowieka do przodu, pcha pomimo tego, że człowiek sam już nie chce dalej iść do przodu.

Moje palce są zmęczone, coraz wolniej naciskam klawisze maszyny do pisania. Światło w pomieszczeniu, w miejscu gdzie przebywam stale od jakiegoś czasu się zmienia. Światło coraz mocniej zaznacza litery, zdania, przecinki, kropki, wykrzykniki na papierze. Potem światło staje się przygaszone, szare, obojętne, coraz słabsze. Zbliża się jesień, może już kończy się jesień, a może to zima zaczyna pukać do mnie, do wszystkiego wokół mnie.

Coraz bardziej zaczynam rozumieć, że światło ma ogromne znaczenie w moim życiu. Światło może człowieka zabić, zniszczyć, może go uwolnić od cierpień na bardzo długi czas. Czasami światło mnie tylko tuli, dotyka delikatnie mojej twarzy i wtedy czuję się lepiej. Czasami światło, gdy jest mi źle, płacze, płacze wraz ze mną, płacze z moimi myślami. Niekiedy czuję, że światło może mnie zniszczyć, może zabić we mnie rzeczy dobre, rzeczy złe, rzeczy, które pozwalają mi co jakiś czas uciekać od życia, uciekać od siebie. Momentami światło jest nadzieją, gdy tego naprawdę potrzebuję. Gdy czuję, że tego potrzebuję natychmiast.

Coraz wyraźniej światło zmienia kształty koło mnie, zmienia kształty poprzez mnie. Zmienia płaszczyzny.

Któregoś popołudnia, wczesnego popołudnia zauważam, że światło w moim pokoju, może mojej celi jest inne, jest bardziej wyraźne

i głębokie. Na ścianie przez to światło, przez ten jego blask i natężenie, przez jaskrawe nasycenie pojawia się obraz. Świetlny obraz, jasny obraz.

Widzę wodospad w górach, duży wodospad. Woda jest zimna, czuję to poprzez światło. Z wodospadu wynurza się drugi obraz. Ten obraz jest mocniejszy, intensywniejszy. Widzę staw pomiędzy górami, jest noc, gwiazdy są jasne, żółte, kolorowe, w kolorach tęczy, złotej tęczy. W oddali widać schronisko, murowane, całe z szarych skał, z tego co natura stworzyła. Z okna tego schroniska widać małe światła, złote światła.

Przy stawie, granatowym stawie chodzą cienie, niewyraźne cienie. To kozice, piją wodę ze stawu. Małe kozice rozglądają się z lękiem na boki. Gdzieś w oddali, z innej strony stawu widać cień, groźny cień. To niedźwiedź, też pije wodę ze stawu. Z nieba, ze szczytów gór nadlatuje orzeł. Jego skrzydła, rozłożone dumnie na boki, odbijają się w stawie. Orzeł ląduje przy brzegu, też pije wodę ze stawu.

Nagle w oddali widzę jasne światło, zbliża się powoli do stawu. Światło tańczy pośród szczytów, teraz ciemnych, teraz groźnych. Zwierzęta zauważają światło, przestają pić wodę ze stawu. W oczach zwierząt pojawia się dziwny spokój. Gdy światło jest blisko zwierząt, zwierzęta idą w jego kierunku. Zaczynają znikać w poświacie tego światła. Niedźwiedź, kozice, orzeł zacierają się powoli w blasku tego światła. Znikają.

W górach znów panuje cisza, znów panuje mrok. Góry znów są same ze swoim niebezpieczeństwem, ze swoimi lękami.

Otwieram szerzej oczy, obraz w pokoju znika, światło znika, za oknem pojawia się śnieg. Drzewa, ich kształty, ich niewyraźność zaciera się w bieli. Całe niebo usłane jest mlecznymi płatkami śniegu.

Podchodzę do okna. Prawie nie widzę gwiazd, prawie nie widzę ciemności. Śnieg jest coraz mocniejszy, coraz bardziej intensywny. Pojawia się wiatr. Płatki śniegu tańczą w ciemności. Tworzą balet, biały balet nocny. Brakuje tylko muzyki. Czasami do doskonałości brakuje czegoś, i to coś, ta mała rzecz sprawia, że wciąż musimy iść do przodu, żeby kiedyś jeszcze raz zmierzyć się ze szczęściem,

zmierzyć uważniej, i ta mała rzecz, która nam kiedyś umknęła, pojawia się w innym czasie, w innej przestrzeni, w lepszej przestrzeni. Naszej przestrzeni.

Jest noc. Zimna, ciemna, prawie senna noc. Głęboka noc. Ludzie śpią, uciekają w ciemność od życia. Dla wielu sen to wyzwanie, dla wielu sen to wyzwolenie. Dla Ryśka noc to praca, noc to wyzwanie, duże wyzwanie. W nocy tak wiele się dzieje, w nocy tak wiele się może wydarzyć. Każda noc dla Ryśka może być ostatnia. Każda noc dla Ryśka może być ostatnim dniem jego życia, dotychczasowego życia.

Rysiek patrzy na zegarek. Na dobry, znanej firmy zegarek. Dochodzi czwarta rano. Wystarczy, myśli Rysiek. Zapala samochód, średniej klasy samochód i wraca do domu. Rysiek mógłby mieć dobry samochód, nawet bardzo dobry samochód, ale woli, gdy nikt nie zauważa jego obecności, jego życia wokół innych. Dla Ryśka anonimowość, brak zauważalności to dar. Prawdziwy dar niewidzialności. Jedynie zegarek ma dobry, to jedyna rzecz, którą kupił na pokaz. Na pokaz dla siebie, nie dla innych. Ludzie nie znają się na zegarkach. A on, przecież i tak zawsze nosi koszulę, więc zegarek jest prawie niewidoczny.

Dojeżdża do Starego Kleparza, wjeżdża na dziedziniec kamienicy. Gasi samochód, przez chwilę jeszcze siedzi w samochodzie. Cicha muzyka, głęboka muzyka, muzyka która mu coś przypomina. Muzyka go osacza, przenika go, tuli go do snu. Przygotowuje go do snu, który za chwilę, za kilka minut w nim się pojawi.

Rysiek wychodzi z samochodu. Schody, trzecie piętro, drzwi, ich zgrzyt tak dobrze znany i w końcu cisza. Cisza w jego przestrzeni. Lodówka, jasne światło, światło jak coś dobrego, jak coś bliskiego, jak coś co sprawia, że wciąż chce się wracać do domu po zbyt wyczerpującym dniu.

Piwo w ręce Ryśka i ta ulga po pierwszym łyku. Taka ulga, która sprawia, że ten dzień miał jakiś sens, jakieś znaczenie.

Rysiek ma dobrą pracę, niebezpieczną pracę. Handluje narkotykami. Kiedyś zaczynał na ulicy, to były pierwsze jego kroki, niebezpieczne kroki, teraz, dzięki szczęściu, dzięki determinacji handluje na innym poziomie. Jego klienci to osoby znane, to osoby które ma-

ją pieniądze, duże pieniądze. I on, tym ludziom, dostarcza to, czego oni oczekują od niego. Ucieczkę od życia, ucieczkę od codzienności. Od stresu, od popularności.

Najpierw była ulica, małe pieniądze. Ale po czasie, przez przypadek poznał kogoś z telewizji. I ten ktoś stał się jego stałym klientem. Potem znajomi tego klienta, znajomi znajomych i skończyła się ulica. Zaczęły się inne pieniądze, inne życie.

Rysiek uważa, bardzo uważa. Tylko gotówka, to jego podstawowa zasada. Klienci płacą gotówką, on płaci gotówką.

Mieszkanie, jednopokojowe mieszkanie, kupił za gotówkę. Nie na siebie. Na przyjaciela, który teraz jest w Australii. Mieszkanie to azyl, więc jest ono zawsze czyste. Nie ma w nim niczego, co mogłoby go z tym mieszkaniem wiązać. Nie ma tam narkotyków, nie ma odłożonych pieniędzy, nie ma dwóch dowodów osobistych i jednego paszportu na obce nazwisko. Nie ma tam rzeczy osobistych. Są tylko ubrania i on. Wszystko bezimienne, wszystko czyste.

Narkotyki, pieniądze, dowody osobiste i paszport trzyma w skrytce na klucz, na Poczcie Głównej. Skrytka jest na kogoś innego. On tam przychodzi co jakiś czas, przychodzi wtedy gdy jest tłok, w ciągu dnia, gdy ludzie nerwowo czekają do okienka przy kasie. A on, cicho, prawie bezszelestnie, bierze do torby to co musi wziąć i wychodzi. Bezpieczne miejsce to miejsce, gdzie nikt nie spodziewa się czegoś niebezpiecznego koło siebie.

Teraz Rysiek jest na prostej. Nie zawsze tak było. Był taki moment w jego życiu, że kilka sekund, chwil i wszystko byłoby już za nim. Szedł wtedy peronem ze spuszczoną głową. Noc, dworzec kolejowy, cisza, żadnego pociągu koło niego.

Pierwszy peron, jeszcze żyję, drugi peron, już za chwilę coś się skończy, coś się urwie. Specjalnie wybrał ostatni peron. Ostatni peron dawał mu czas, ostatni peron sprawiał, że zanim do niego dojdzie będzie żył o te kilka sekund dłużej.

I gdy był już na ostatnim peronie, gdy widział już światła pociągu, gdy słyszał jego siłę, moc, niezależność, gdy miał już odwagę skoczyć pod niego, nagle coś zobaczył, zobaczył coś, co tak zmieniło jego życie.

Na peronie obok jakiś mężczyzna w długim pomarszczonym płaszczu sprzedawał narkotyki innemu mężczyźnie. I ten obraz, to

co zobaczył prawie przez mgłę, sprawił, że się zawahał. Pociąg odjechał, a on został sam na peronie.

- Smutne czasy, złe wspomnienia – powiedział Rysiek do siebie. – Złe wspomnienia nas kształtują, gdy potrafimy się od nich uwolnić po czasie.

Rysiek kończy piwo. Podchodzi do okna. Gwiazdy jeszcze są na niebie. Kładzie się do łóżka. Sen, dobry sen w niedobrym życiu, niebezpiecznym życiu, myśli, zasypia.

Pośród straganów na Kleparzu panuje zgiełk, hałas, jakieś nieuporządkowanie. Ludzie niczym mrówki idą w różnych kierunkach. W powietrzu unosi się zapach warzyw, owoców, zapach ludzi. Mało jest takich miejsc w mieście gdzie jeden człowiek czuje obecność drugiego człowieka tak dokładnie, tak blisko. Gdzie człowiek ociera się o zapach innego człowieka, bez żadnej szkody dla tego drugiego człowieka.

Rysiek mijają kolejne stragany. Już kupił pomidory, świeże polskie pomidory, chce jeszcze kupić cebulę, ziemniaki, rzodkiewkę i kilka ogórków. Na końcu ma zamiar kupić dobry polski chleb.

Rysiek obserwuje ludzi, obserwuje ich twarze, gesty, nawyki. Ludzie mają tyle nawyków w sobie, myśli Rysiek, zarówno dobrych jak i złych.

Rysiek kocha to miejsce. Jest w nim wszystko, jest wszystko to, co zbliża człowieka do innego człowieka, jest wszystko to, co dzieli człowieka od innego człowieka.

Czasami Rysiek widział tu osoby znane. Były inne niż w telewizji. Tutaj nie musiały grać, tutaj mogły tylko być. I widać było w ich oczach, że to im wystarcza, że czują się z tym szczęśliwi.

Rysiek wraca do domu. Robi sobie śniadanie. Jajecznicę ze świeżych pomidorów, z cebuli, ze swojskiej kiełbasy. Do tego dobry, świeży, chrupiący chleb.

Po śniadaniu Rysiek czyta książkę, Hemingway. On też walczył ze sobą przez całe życie, myśli Rysiek. Ciekawe, czy skończy jak on, ze strzelbą przy twarzy, w okolicach mózgu.

Wieczorem Rysiek idzie do stałego klienta. Idzie na piechotę, ma blisko. Andrzej Smykowski, znany aktor serialowy, prezenter w znanym programie, mieszka w kamienicy przy samym Rynku. Jego

okna wychodzą na Rynek. Widać przez nie Wieżę Ratuszową, Sukiennice, Kościół Mariacki. Smykowski ma pieniądze, może mieszkać wszędzie, ale miał kaprys mieszkać przy samym Rynku i tak zrobił. To mieszkanie to prestiż, to mieszkanie to wyzwanie.

Rysiek dzwoni domofonem. Głos Smykowskiego, drzwi się otwierają, stare schody, cisza, mury, ściany w kolorze szarości. Drugie piętro, ładne stylowe drzwi. Rysiek wchodzi, wita się z Andrzejem Smykowskim.

- Cześć, Rysiu – mówi Smykowski, a jego białe zęby wyglądają jak śnieg, zaraz po Sylwestrze.

- Cześć, Andrzej.

- Masz? – Smykowskiego głos jest jak promyk słońca nad ranem, jest w nim jakaś nadzieja, jakaś jasność.

- Oczywiście – Rysiek daje mu towar.

Smykowski daje mu pieniądze. Rysiek ich nie liczy. Od niego nigdy nie liczy pieniędzy. Zawsze się zgadzają. To uczciwy człowiek, który już od dłuższego czasu nie przywiązuje większej uwagi do pieniędzy. Po prostu ma ich o wiele za dużo, niż ich naprawdę potrzebuje.

- Napijesz się czegoś? – pyta Smykowski. – Whisky?

- Ale tylko jedną.

- Oczywiście – cicho, szeptem, prawie ciszą odpowiada Smykowski.

Siedzą, piją whisky, patrzą się na siebie. Rysiek po raz kolejny rozgląda się po mieszkaniu Smykowskiego. Stare meble, oryginalne, dywany ręcznie robione, żyrandole z dawnych czasów, fortepian, dobrej firmy, znanej firmy i obrazy, dużo obrazów na ścianach.

- Lubisz Beksińskiego – stwierdza Rysiek.

- O, tak – uśmiech pojawia się na twarzy Smykowskiego. – Gdy jest okazja kupuję jego obrazy.

- Ile ich już masz?

- Dziesięć – Smykowski patrzy się na ściany, na jego twarzy pojawia się zaduma. – Obrazy Beksińskiego są trochę jak ja, jak moje sny w nocy, te sny, które pamiętam. Aż boję się pomyśleć, co dzieje się w mojej głowie, gdy niczego nie pamiętam. Gdy tylko czuję co pamiętam.

- Beksiński ma w sobie jakiś strach, jakąś tajemnicę. Jego obrazy to przyszłość, niebezpieczna przyszłość.

- On widział więcej niż inni. Sam budował swoje światy, budował je na swoje podobieństwo.

- A, to – Rysiek wstaje, podchodzi do ściany przy oknie. – To Van Gogh? Jego szkic?

- Tak – Smykowskiego twarz zaczyna się cała poruszać z radości. – Kupiłem ten szkic, czarno biały szkic, w Holandii, na licytacji, gdy kręciłem tam film. Ludzie w polu, podczas pracy, lubię ten szkic. Van Gogh często malował szarych ludzi, często malował życie. Takie zwyczajne życie. Żył paskudnie, biednie, często przymierał z głodu, ale malował ponadczasowo.

- Każdy ma jakiś wybór. Albo być, albo mieć. Nie można mieć wszystkiego.

- Jako człowiek sukcesu dobrze to wiem. Zdobywając jedną rzecz, często tracimy coś innego. Coś za coś. Odwieczne prawo walki człowieka o swoją godność.

Rysiek spogląda za okno. Widzi Wieżę Ratuszową, widzi ludzi, cały tłum ludzi, widzi dorożki, estradę przy Wieży Ratuszowej, widzi świat z pozycji zwycięzcy. Okna Smykowskiego to świat zwycięzcy, to świat zdobywczy.

- Muszę iść – mówi Rysiek. – Praca.

- Wpadnij kiedyś na imprezę. Poznasz ciekawych ludzi. Choć – Smykowski się uśmiecha – z pewnością część z nich już znasz, to przecież twoi klienci.

- Może tak być – mówi Rysiek, podaje rękę Smykowskiemu i wychodzi.

Rysiek wychodzi na płytę Rynku. W kawiarniach siedzą ludzie. Coś piją, o czymś marzą, o czymś innym chcą zapomnieć. Tak naprawdę, wszystko co robimy, to próba ucieczki od siebie, to próba ucieczki od marzeń do których już nigdy się nie zbliżymy.

Towar zaczyna się kończyć, to źle, bardzo źle. Jeden telefon do Mario, nikt nie odpowiada, cisza, mija godzina, mija kolejna godzina, Rysiek czuje swoje nerwy mocniej, mocniej niż zazwyczaj, drugi telefon do Mario, cisza, w oczach Ryśka pojawia się niepokój, długi, ciemny, bez żadnego światła niepokój, mijają kolejne trzy godziny,

trzeci telefon, jest sygnał, w końcu jest sygnał w telefonie i głos, ten głos o którym Rysiek zaczynał już powoli zapominać.

- Mario?

- Cześć, Rysiu. Przepraszam, kłopoty, dzwonisz o to co zawsze?

- Tak.

- Nie jest łatwo, Rysiu, oj, nie jest łatwo w tych czasach o dobre samopoczucie – wzdycha ciężko Mario. – Zresztą sam to dobrze wiesz.

- Mogę przyjechać?

- Przyjedź, Rysiu, przyjedź.

- O tej godzinie co zawsze?

- Tak. Dobrych nawyków nie należy zmieniać.

- Będę – następuje cisza w słuchawce, taka cisza, która pojawia się zawsze w nocy, gdy już wszystko w nas powoli zaczyna zasypiać.

Rysiek jedzie w kierunku Zielonek. Po lewej stronie widzi cmentarz, po prawej kościół, nowy kościół. W Zielonkach skręca w prawo, domki jednorodzinne, las po prawej stronie, rzeka, nieduża, ale w jakiś sposób niebezpieczna, nieprzewidywalna i dom Mario, po lewej stronie. Metalowe, ozdobne, drogie ogrodzenie, domofon, głos Mario, brama się otwiera. Rysiek powoli wjeżdża do środka. Zatrzymuje się przed pięknym stylowym domem. W środku domu jest basen, na zewnątrz jest basen, z domu wychodzi Mario. Wita się z Ryśkiem.

- Chodź – mówi Mario pewnym głosem. Idą w kierunku niedużego domku gospodarczego znajdującego się w rogu dużej posesji Mario.

Rysiek nigdy nie był w pięknym domu Mario. Nikt tam nie był z ludzi, którzy prowadzą z nim interesy. Dom to twierdza, mówi Mario, a do twierdzy nie zaprasza się wrogów. Choćby zaprzyjaźnionych. Mario nikomu nie ufa i może dlatego tak długo jest w tej branży. Ta branża niejednego już zabiła, nie zabiła jeszcze Mario. Mario jest zawsze o krok do przodu od innych. Jego twarz to twarz zabójcy, jego rozum to rozum szachisty i może dlatego ta twarz jest tak myląca dla innych, dla tych, którzy już nigdy więcej nie będą się

mylili w życiu. Mario się o to już kiedyś postarał. O niepamięć u ludzi, którzy chcieli wiele, zbyt wiele. Więcej niż on.

- Jak interesy? – pyta Mario.

- Dobrze. Tylko z towarem jest coraz większy problem.

- Brakuje go na rynku, Rysiu. Kłopoty – zasmuca się Mario. – Duże dostawy zostały zatrzymane. Jakiś przeciek, czy coś innego. Sam nie wiem. Ciągłe do mnie dzwonią. A ja, cóż, mówię że nie mam. Ale dla ciebie, Rysiu, mam – uśmiecha się Mario. – Jesteś najlepszy, nigdy mnie nie zawiodłeś, zawsze masz pieniądze i to procentuje w moich oczach. I – Mario patrzy się badawczo w oczy Ryśka – gdy inni nic nie dostaną, ty dostaniesz towar. Żelazna rezerwa – dodaje Mario. – Dla zaufanych.

Dochodzą do budynku gospodarczego. Zatrzymują się. Mario pilotem otwiera bramę. Brama powoli się podnosi.

- Poczekaj – mówi Mario. Rysiek czeka.

Po kilku minutach Rysiek zerka do środka, widzi otwarte drzwi w środku, tam też zerka. W drugim pomieszczeniu regał zawieszony na ścianie, na całej długości ściany, jest przesunięty na bok, w ścianie są ukryte drzwi, a za nimi jest inne pomieszczenie. Rysiek słyszy hałas w środku, cofa się na zewnątrz, czeka znów cierpliwie.

Mario wychodzi z budynku, podaje mu reklamówkę, bierze pieniądze, nie liczy, nigdy nie liczy od Ryśka pieniędzy, ufa mu.

- Na razie nie dzwoń. Jak będę miał towar sam zadzwonię.

- Naprawdę jest tak ciężko?

- Nawet nie wiesz jak – Mario się zamyśla, jego wzrok błądzi po niebie, po lesie, po polach, teraz sennych, teraz zaspanych. – Musimy czekać. Gospodaruj towarem sensownie. Ale to się zmieni. Wszystko wokół nas się zmienia – śmieje się Mario. – Oczywiście na dobre.

- Dzięki. Do zobaczenia.

- Do zobaczenia, Rysiu.

Rysiek wsiada do samochodu. Wraca do domu. Kłopoty, myśli Rysiek. Nie ma za dużo towaru, na tydzień, może dwa mu to starczy. Co potem? Nie ma innego źródła. Zresztą Mario, gdyby się dowiedział, że kupuje towar gdzie indziej, na pewno by go odwiedził. Wygłosiłby mowę o lojalności, o partnerstwie, coś powiedziałby o innych, o tych, co już nie pracują w tym mieście dla niego, po-

tem by mu wybaczył, ale wybaczył tylko raz, drugi raz Mario nigdy nie wybacza. To zły człowiek, o jeszcze gorszej twarzy. Zła twarz to wizytówka Mario. Twarz ma straszyć innych, mówi zawsze Mario. Gdy boją się twojej twarzy, boją się ciebie całego, tak mówi Mario. Nie ważne co masz w środku, liczy się to co masz na zewnątrz. Ludzie muszą się ciebie bać, wtedy wszystko jest prostsze, przewidywalne. Przestraszeni ludzie to dobrzy ludzie, to posłuszni ludzie. A ja chcę mieć koło siebie jak największą ilość przestraszonych ludzi, bojących się robić cokolwiek za moimi plecami.

Rysiek dojeżdża do domu. Najpierw jednak chowa towar w skrzynce na Poczcie Głównej. Mieszkanie przy Kleparzu ma swoje plusy, wszędzie jest blisko, wszystko co jest dla Ryśka ważne zawsze jest w zasięgu jego ręki.

Dzień się kończy, wieczór się kończy, coś się zaczyna. Coś rozkwita w ciemności na nowo w mieście.

Śnieg cicho prósz, jego płatki niczym pióra gołębi lekko tańczą w powietrzu. Miasto śpi przysypane czymś nieobecnym, nieobecność jest widoczna w świetle dnia, w chmurach, w bieli tak lekko tańczącej w powietrzu.

Rysiek odebrał telefon, jest sobota, ósma rano. Wcześniej, za wcześniej dla niego, ale to dobry klient, klient znany, lubiany, który tylko czasami przejazdem jest w Krakowie.

Jerzy Filch, dobry pisarz, znany pisarz, często nieobecny pisarz. Nieobecny dla siebie, dla innych. Nieobecny poprzez nałogi, które go niczym wróg otaczają nagle, i wtedy jego dusza, dusza jak miasto podczas wojny, miasto otoczone przez wroga, ta dusza połamana, popękana, dusza niewyraźna musi się jakoś bronić przed tym wszystkim co Filcha tak nagle otacza.

Rysiek idzie w kierunku Dworca, idzie Plantami. Mury miasta, czerwone mury miasta i ta cisza sobotnia, cisza, która jest tak odległa Ryśkowi.

Hotel Polonia, Rysiek wchodzi do środka. Chwilę stoi, patrzy się na recepcję, a potem pewnym krokiem idzie w kierunku schodów. Pierwsze piętro, zawsze ten sam pokój, numer dobrze znany, 14, ciche pukanie do drzwi, a potem ten zapach, zapach czegoś odległego, obcego, niebezpiecznego.

Jerzy Filch podaje mu rękę. Przez chwilę patrzą sobie w oczy, dobrze się znają, dobrze się znają poprzez ciemność ukrytą w ich oczach.

Jerzy Filch daje mu pieniądze, on daje mu towar. Chwilę milczą, Filch patrzy się za okno, na Planty.

Rysiek zauważa butelkę dobrej wódki na stole. Stoi nietknięta. Rysiek zauważa napięcie na twarzy Filcha, takie napięcie, które ciężko jest czymś innym zastąpić.

Filch odwraca się od okna, przechodzi koło stołu z butelką, jego prawa ręka dotyka szyjki butelki, potem palce tej ręki uciekają pospiesznie do Filcha.

Filch siada przy stole. Patrzy się czujnym wzrokiem na Ryśka.

- Przepraszam, że rano, przepraszam, że tak nagle, przepraszam, że tak niespodziewanie.

- Dla ciebie – mówi ciepłym głosem Rysiek – jestem zawsze pod telefonem.

- Chyba się lubimy – mówi Filch.

- Tak. Na pewno się lubimy. Lubię twoje książki. Są takie prawdziwe, realne. Jest w nich szczerść. To takie niepopularne w tych czasach. To duża odwaga tak szczerze pisać o swoim życiu poprzez inne osoby obecne w twoich książkach.

Filch wstaje, jego lewa ręka głaszcze butelkę na stole, w palcach tej lewej ręki pojawia się drżenie. Filch zauważa wzrok Ryśka, ucieka lewą ręką do kieszeni sztruksowej marynarki.

- Mam dzisiaj spotkanie w Klubie Dziennikarzy Pod Gruszką. Moi czytelnicy, jacyś dziennikarze, coś poczytam z nowej książki, coś podpiszę i jutro wracam do Warszawy.

- To miłe, widzieć ludzi, którzy cię doceniają. Doceniają szczerze, ucziwie, bez żadnych rys, które mogą pęknąć w nich, w tobie.

- Lubię spotkania z czytelnikami. Często pytania czytelników mnie zaskakują. I to zaskoczenie daje mi satysfakcję, że chcą czegoś więcej ode mnie. Czegoś więcej niż inni.

Filch znów dotyka butelkę wódki, dotyka ją dwoma rękami, dotyka tak, jakby chciał ją rozgrzać, potem ją puszcza, odchodzi od niej, wygląda jakby chciał gdzieś uciec, od czegoś się uwolnić i uwalnia się, podchodząc do drugiego okna.

- Spotkasz się z kimś wieczorem?

- Tak. Kilku dziennikarzy chce spędzić ze mną wieczór. To miłe. Coś jeszcze znaczę. Choć wiem, że to będzie trwało krótko. Jestem już stary, najlepsze lata mam za sobą. Najlepsze książki pewnie też są daleko ode mnie. Co miałem napisać, już napisałem. Teraz tylko mogę zanurzać się w tych samych tematach, tematach które kiedyś wyniosły mnie na szczyt.

- Niektórzy nigdy nie wchodzą na szczyt – mówi Rysiek. – Ty na nim byłeś, jesteś, wciąż możesz być. Choćby tylko chwilami. A chwile, jak sam dobrze wiesz, dobre chwile są warte wszystkiego, gdy do nich wracamy coraz rzadziej w przyszłości.

Jerzy Filch podchodzi do butelki, odkręca nakrętkę, patrzy się w oczy Ryśkowi.

- Za wcześniej?

- Tak, za wcześniej.

Jerzy Filch zakręca butelkę, kładzie ją do walizki podróżnej.

- Na pewne rzeczy w życiu wciąż jest za wcześniej. Na inne wciąż jest za późno. Prawdziwą sztuką jest odróżnić jedno od drugich. Odróżnić je tak, że żadnej z tych rzeczy tak naprawdę nie skrzywdzimy.

Rysiek wstaje, podaje rękę Jerzemu Filchowi.

- Do zobaczenia – mówi ciepłym głosem, głosem lekko sennym.

- Do zobaczenia.

Gdy zamyka drzwi, odwraca się w kierunku Filcha i mówi:

- Jesteś wielkim pisarzem, nikt ani nic tego nigdy nie zmieni.

Potem wychodzi. Filch wciąż stoi przy oknie, patrzy się na Planty, na drzewa, na gołębie siedzące na trawie pośród białych płatków śniegu.

- Świat umiera, ludzie umierają, wspomnienia powoli umierają w nas. Umierają tak, że coś w środku boli, tak mocno boli, boli nieustannie, bo boli prawdziwie. Boli prawie nierzeczywiście.

Rysiek wraca do domu Plantami. Zima, śnieg, cisza. Na jednej z latarni, na samym jej szczycie siedzi skulony gołąb. Płatki śniegu ocierają się o jego zarysy. Gołąb jest cały biały, wygląda jak duch, jak jakiś tajemniczy sygnał z nieba. Sygnał przez nikogo nieodebrany. Niezauważony.

Rysiek wraca myślami do Hotelu Polonia, do Jerzego Filcha. Zawsze się z nim tam spotykał, gdy Filch był w Krakowie. Rysiek

zna wiele hoteli w Krakowie. Bywa tam, przebywa tam, dostarcza towar tam. Hotele to dziwne miejsca. Sterylne miejsca. W hotelach wiele się dzieje, wiele się zapomina. W hotelach więcej się wybacza niż w innych miejscach. W hotelach zyskuje się godność, traci się godność. W hotelach coś się znajduje, coś się gubi. Hotele dają nadzieję, dają rozpacz. Dają wspomnienia, nie zawsze dobre. W hotelach zawsze jest sterylność, dla tych co mają pieniądze, władzę. W hotelach ludzie czują się bezkarni. Bezimienni.

Rysiek przypomina sobie jeden wieczór. Hotel Stary, hotel w którym mury przenikają człowieka tak dosłownie, przenikają przeszłością, czasem. W tym hotelu pokój, w nim zgiełk, hałas, śmiech kobiet, taki śmiech, który może oznaczać coś więcej dla innego człowieka. Ręce kogoś znanego dają mu pieniądze. Rysiek siada na chwilę, obserwuje twarze kobiet, twarze mężczyzn. Te oczy, ich oczy, oczy pełne pożądania, oczy które w domu zostawiły swoje żony, dziewczyny, oczy które teraz chcą coś więcej i dostaną to coś więcej, za chwilę, za pieniądze. To wszystko, to nic, w tym pokoju, pośród starych mebli za chwilę się spełni, bo hotele spełniają zachcianki osób w nich przebywających. Spełniają zachcianki i pragnienia za pieniądze, za moc tych pieniędzy na innych ludzi. Potem Rysiek wychodzi, zapomina. Bo jego praca to nieustanna ucieczka od obrazów, które kiedyś widział, ale tak naprawdę nie mógł ich zapamiętać, dojrzeć. Dla dobra siebie, dla dobra innych.

Inny wieczór, inny hotel przy rynku, pokój bardziej cichy, spokojny, w tle aksamitna muzyka, on muzyk z dobrego zespołu, kobieta aktorka, żona kogoś innego, znanego, i ten niepokój w jej oczach, gdy go zobaczyła. Ale muzyk chciał mu ją pokazać, chciał się nią pochwalić. Niektórzy ludzie muszą zobaczyć uznanie w oczach innych ludzi, to ich jakoś dziwnie uspokaja, odpręża. To daje im władzę, dużą władzę nad sobą, nad innymi. Rysiek szybko wyszedł z tego pokoju. Dla dobra siebie, dla dobra tej kobiety. Była taka spięta, niepewna przy nim. Znane kobiety, w nieznanych dla nich sytuacjach, czują się niepewnie, bezradnie, czują się tak, jak nigdy nie czuły się w swoich rzeczywistych światach. W światach pełnych blasku, w światach pełnych kamer. Rysiek poczuł ulgę gdy wycho-

dził z tego pokoju, kobieta poczuła ulgę gdy Rysiek zniknął za drzwiami. I nie odwrócił się do niej na pożegnanie.

Rysiek patrzy na zegarek, a potem pojawia się koło niego hałas. Niespodziewany telefon, telefon błagalny, telefon który oślepia zarówno jego jak i jego rozmówcę. Rysiek jedzie na rynek, w zasadzie idzie a nie jedzie. Schodzi krętymi schodami od ulicy Floriańskiej na dół. Jeden zakręt, drugi zakręt, mrok. W tle słysząc elektroniczną muzykę. Muzykę, która nosi w sobie jakiś niepokój, jakąś niepamięć. Rysiek wchodzi do dużej ciemnej sali. Przenika go ciemność, mrok. Idzie dalej, przeciska się dalej przez obce ciała, tańczące ciała. Ciemność. I znów ten rytm koło niego. Ciemność. Muzyka wchodzi w niego, muzyka ucieka od niego. Jest coraz ciasniej, coraz boleśniej. Ciemność. Brak kierunku, brak oddechu. I ten niepokój w nim, w ludziach obok, w muzyce która jest wszędzie, która jest nigdzie. I ten rytm. Rytm ciągle do niego wracający. Obce ciała, ciała niespokojne, ciała połączone ze sobą na zawsze. Połączone w ciemności, w mroku. Rysiek wciąż przemieszcza się, ucieka. Ucieka w kierunku światła, w kierunku baru. W kierunku blasku, który bije od tego baru. I ten ciągły rytm koło niego, rytm niespójny, rytm bezładny, rytm zabijający w człowieku rzeczy dobre, rzeczy złe. Niepamięć. Niepamięć koło niego. Niepamięć w nim.

W końcu je zauważa. Dwie kobiety, ładne. Połączone ze sobą. Splecione ze sobą na zawsze przy barze. Całują się. Jedną z nich zna, musi znać. Każdy ją zna, z telewizji, z teatru. Tutaj w ciemności jest wolna, nieobecna, tutaj w ciemności w końcu jest sobą. Choć przez chwilę, choć przez jakiś czas. Ich ręce, gorące ręce, ich ramiona, gorące ramiona, ich włosy, gorące włosy. To wszystko to jedność, to wszystko to jedno nigdy niekończące się nienasycenie. Kobiety się całują, dotykają, chcą czuć siebie więcej, jeszcze więcej.

Jedna z kobiet zauważa Ryśka. Uśmiecha się do niego. Dotyka jego ręki. Rysiek czuje dreszcz, przyjemny dreszcz w sobie. Ten dreszcz to jakaś bliskość, ten dreszcz to jakieś pożądanie.

- Masz? – pyta kobieta, a jej oczy prawie płoną, prawie palą się z pożądania.

- Mam – Rysiek podaje jej towar do ręki. Znów ten dreszcz, dreszcz zniewalający w mężczyźnie wszystko, wszystko na jakiś czas.

Kobieta daje mu pieniądze, całuje go w usta.

- Jesteś kochany. Gdyby nie ona – tutaj wzrok kobiety ląduje na drugiej kobiecie – gdyby nie ona – jej usta są takie ciepłe dzisiaj – pewnie bym się w tobie zakochała.

- Baw się dobrze – mówi Rysiek i gdy już prawie wychodzi, ona obejmuje go rękami za szyję. Potem cicho mówi, szeptem, do jego ucha:

- Może kiedyś, może w innym czasie, w innej przestrzeni, ty, ja, stworzymy coś pięknego, coś wyjątkowego.

- Może – uśmiecha się Rysiek.

- Czekam z niecierpliwością na to może – mówi kobieta a potem znów zaczyna całować drugą kobietę. Znów jest gdzieś daleko. Znów jest w innym świecie. Swoim świecie.

Wiosna, ta świeżość w zapachach, w kolorach, w powietrzu. Świeżość, która daje nadzieję na coś lepszego w człowieku, poza człowiekiem.

Zbliża się wieczór, kolejny wieczór w życiu Ryśka. Kolejny telefon, kolejne zlecenie. Rysiek jedzie samochodem w kierunku Kobylan. Tam, właśnie tam, pośród łąk, lasów, mieszka znana śpiewaczka operowa. Aleksandra Tkacz. To nazwisko wiele mówi w świecie muzyki. Aleksandra Tkacz występowała wszędzie, na najlepszych scenach we Włoszech, we Francji, w Hiszpanii, za morzem też. Ma cudowny głos, ma jakąś głębie w tym głosie, taką głębie, że ktoś kto się do tej głębi zbliży wystarczająco blisko, zostanie olśniony tą głębią, zostanie zniewolony jej oddechem, ciepłym oddechem. Oddechem, z którego wydobywa się anielski głos.

Jednak pasja, utrzymanie się na szczycie za wszelką cenę, za jakąkolwiek cenę, sprawiła, że Aleksandra Tkacz poznała Ryśka, poznała go przez kogoś innego, też znanego. Polubili się. Interesy to interesy, pomoc to pomoc, ale darzenie kogoś uczuciem, dobrym uczuciem, to coś innego. Polubili się.

Aleksandra Tkacz traktuje Ryśka trochę jak doktora, doktora od dobrego samopoczucia, doktora od samotności.

Rysiek zatrzymuje samochód przed pięknym, ozdobnym ogrodzeniem. Brama w stylu włoskim otwiera się cicho. Rysiek wjeżdża do środka. Piękny dom, gustowny dom i ten ogród w stylu hiszpańskim.

Rysiek patrzy się na niebo, na zachód słońca. Pomarańczowa barwa dotyka prawie ziemi, dotyka prawie drzew.

Z domu dochodzi go anielski głos Aleksandry Tkacz. Głos go niesie, pieści, prowadzi gdzieś daleko. Prowadzi tam, gdzie Rysiek nigdy by nie doszedł sam w prawdziwym życiu, do nieba.

Rysiek zna tę arię, zna z radia, z telewizji. To znana aria, włoska, Rysiek nie zna jej tytułu, ale zna melodię, która czasami przychodzi do niego w snach. A potem długo nie znika. Bo dobra melodia, zwłaszcza z dobrych snów jest jak balsam, jest jak dobre wspomnienie z dzieciństwa. Z dzieciństwa, którego tak szybko się nie zapomina.

Rysiek wchodzi do domu, do salonu. Rozgląda się w milczeniu po salonie. Stare meble, oryginalne, dobry fortepian, obrazy na ścianach i ten żyrandol w salonie, taki duży, ogromny, prawie do samej podłogi, żyrandol ze szkła, z kamieni, z złota.

Aleksandra Tkacz przerywa swój śpiew. Podchodzi do niego, podaje mu rękę poprzez uśmiech. Uśmiech zniewalający, ciepły, bezpieczny.

- Rysiu, oj Rysiu, brakowało mi ciebie – mówi ciepłym, prawie gorącym głosem.

- Koncertowałaś?

- Tak. We Włoszech. Kocham Włochy, tych ludzi, ich podejście do życia. Oni naprawdę kochają życie, potrafią żyć tak jak chcą. Czerpią z życia to co najlepsze. I ich jedzenie. Jedzenie jako dodatek do życia, dodatek do rozmów z innymi ludźmi.

- A jednak wróciłaś do Polski.

- Mogę mieszkać wszędzie. Ale tutaj jest moje gniazdo. A ptaki, szczególnie sentymentalne ptaki, zawsze wracają do swojego gniazda. Nie tylko na starość.

- To dla ciebie – Rysiek podaje jej towar.

Aleksandra Tkacz płaci, towar chowa do szuflady w starej komodzie.

- Winka?

- Chętnie – Rysiek siada na ozdobnym, drewnianym krześle. Nie może tak odjechać po prostu, zbyt szybko. To dobra klientka. Musi spędzić z nią trochę czasu. Czas ich zbliża do siebie, uzależnia. Czas dotyka ich ciał od środka. Dotyka wzajemnie.

- Jak interesy? – pyta Aleksandra Tkacz, pyta cicho, prawie jak kot.

- Dobrze. Nawet bardzo dobrze.

- Ludzie potrzebują ucieczki. Od siebie, od innych. I ty im tę ucieczkę gwarantujesz.

- Można uciekać na wiele sposobów. Ja im daję tylko możliwość ucieczki w nieznane, ucieczki, która zawsze ich prowadzi tą samą drogą. A ludzie, jak sama wiesz, lubią drogi dobrze znane. Sprawdzone.

- To prawda. Jeśli już mamy uciekać, to uciekamy swoimi drogami, a nie obcymi, niesprawdzonymi do końca drogami. Wtedy jest trochę łatwiej, trochę lepiej. Bezpieczniej.

- Wciąż masz piękny głos. Słyszałem cię, gdy tutaj wchodziłem.

- Muszę o niego dbać. Nawet teraz bardziej niż kiedyś. Szczyt wymaga więcej poświęceń niż dół. Gdy jesteśmy na dole wszystko możemy, nie musimy nic. Gdy jesteśmy na górze, czas, dobry czas, szybko się kurczy, więc musimy więcej czasu poświęcać na rzeczy dobre, niż na rzeczy złe. Problemem są ludzie. Każdy chce być lepszy od ciebie. A to boli, bardzo boli. Ta ciągła ucieczka od ludzi, żeby wciąż być lepszym niż oni.

- Ty zawsze będziesz lepsza niż inni. Masz klasę, talent, masz to coś, co zbliża ludzi do ciebie. Zbliża poprzez twój wyjątkowy głos.

- Jesteś miły – Aleksandra Tkacz wypija wino, potem się lekko uśmiecha do Ryśka. – Muszę cię przeprosić, ale chcę jeszcze poćwiczyć. Jutro mam występ, a wciąż jestem niezadowolona z siebie.

Rysiek wstaje. Patrzy jej głęboko w oczy.

- Do zobaczenia.

- Z pewnością – Tkacz podaje mu rękę, jej dłoń jest taka miękka, ciepła, tak delikatna w dotyku.

Rysiek wychodzi z domu. Wsiada do samochodu. Z okna znów zaczyna wydobywać się anielski głos Aleksandry Tkacz. Głos go niesie, unosi, prawie dotyka jego duszy, jego wspomnień. Tych dobrych, tych złych.

Ludzie to anioły, myśli Rysiek, anioły które tylko czasami dotykają ziemi, które tylko czasami dotykają ludzi. Rysiek powoli wraca samochodem do domu, do siebie.

Lipiec, ciepły lipiec. Lipiec pełen słońca, pełen nadziei. Rysiek zatrzymuje samochód pod hotelem, wchodzi do środka, bierze klucze do pokoju, wchodzi, bardziej wjeżdża niż wchodzi na trzecie piętro. Rozpakowuje się, wychodzi na balkon. Morze, granatowe niespokojne morze. Mewy szukają w powietrzu nadziei, jakiejś łąski, żółte kutry pływają gdzieś na horyzoncie. Rysiek uśmiecha się do siebie. Międzyzdroje, festiwal filmowy, prasa, aktorzy, pokazy filmów, spektakle teatralne, koncerty muzyczne, znane twarze dla innych, dla niego, lecz on zna te twarze z innej strony, ciemnej strony. To twarze które wciąż pragną ucieczki od siebie, od sławy, od ciemności i on im tę ucieczkę gwarantuje.

- Trzy dni – mówi Rysiek do siebie. – Trzy dni, trzy noce, trzy niespokojne chwile w moim życiu.

Potem Rysiek kładzie się na łóżko, chce odpocząć. Czekają go trzy ciężkie dni. Duże pieniądze w trzy dni. To wymaga odpoczynku, odprężenia, więc jego oczy szybko się zamykają, uciekają w ciemność.

Willa na peryferiach miasta, willa wynajęta, z widokiem na morze, na plażę.

Rysiek wchodzi, mija pijane twarze, niektóre rozpoznaje, niektóre twarze uśmiechają się do niego, niektóre unikają jego wzroku. I tak go kiedyś gdzieś spotkają, bo chcą go spotkać, ale nie teraz, ale nie w tym dokładnie momencie.

Bogusław Linder podchodzi do niego, przebija się przez tłum ludzi.

- Cześć, Rysiu.
- Cześć, Boguś.
- Chodź ze mną.

Idą, potykają się o ciała, ciała prawie gorące, rozpalone, ciała pochłonięte zabawą aż do zatracenia. Wchodzą do pokoju, tutaj otacza ich cisza, tutaj otacza ich spokój.

- Towar jest taki jak zawsze?

- Tak. Dla ciebie najlepszy.

Linder płaci, uśmiecha się do niego, lecz jest w tym uśmiechu jakaś obawa, trwoga.

- Jutro jest pokaz mojego filmu. Wiesz – twarz Lindera nagle tężeje, kruszy się – ci dziennikarze, krytycy wciąż czegoś szukają, żeby cię dobić, żeby cię zabić, pogrzebać żywcem.

- Każdy lubi patrzeć jak ktoś umiera na oczach tłumu, szczególnie ktoś znany.

- I tego chyba chcą. Są źli, bardzo źli, ostatnio ich unikam, olewam, więc chcą mnie dobić, ukrzyżować na oczach tłumu.

- To co ci dałem, na pewno pomoże – lekko mówi Rysiek, zbyt lekko, zbyt łagodnie.

- Zawsze mi pomaga.

- Udane przyjęcie?

- Tak. Sami swoi. Wszyscy z branży. Każdy ma niepokój w oczach. To igrzyska. Igrzyska śmierci i prawdy. Jeśli wygrasz wciąż będziesz dostawał propozycje, jeśli przegrasz będziesz żebrał o role. A najgorsza rzecz dla aktora to żebrać o role, które są stworzone dla niego. I on to wie, i producent to wie, i reżyser to wie. A jeden głupi film, festiwal może zniszczyć wszystko w człowieku. Zarówno prywatnie jak i zawodowo.

- Baw się dobrze – Rysiek wychodzi z pokoju.

- Będziemy w kontakcie.

- Na pewno – i to na pewno Rysiek mówi tonem mocnym, dźwięcznym, potężnym, potężnym jak zamki na szczytach gór, na szczytach wzniesień pośród rzek i lasów.

Rysiek jedzie w kierunku alei gwiazd. Wysiada z samochodu. Chodzi po chodniku i patrzy się na odcisknięte dłonie gwiazd w brązie. Niektóre z tych dłoni ścisnął samemu czasami. Niektóre dłonie były przerażone, inne smutne, inne nieobecne. Tak, Rysiek często spotykał znane twarze, gdy były nieobecne przez jakiś czas w życiu. I ta ich nieobecność była w jakimś stopniu przerażająca. Bo sława, pieniądze, kobiety zawsze niosą ze sobą jakieś przerażenie, jakąś nienawiść w oczach.

Rysiek mija rzeźbę Krzysztofa Kieślowskiego. Uśmiecha się do rzeźby. On potrafił zauważyć człowieka, potrafił go zauważyć w szczegółach, w detalach, w mikroskopijnych cząstkach jego duszy.

Rysiek przechodzi koło ławeczki Gustawa Holoubka. Aktor, który potrafił zbliżyć się do duchów, do innego świata poprzez sztukę, pomyślał Rysiek gdy mijał ławeczkę zbyt wolno, zbyt ospale. Rzeźba Jana Machulskiego lekko ocierała się o zachód słońca. Złodzieje też mogą mieć klasę, też mogą mieć zasady. Dawne czasy, dobre czasy. Teraz wszystko jest inne, teraz wszystko jest obce. Teraz złodziej do końca będzie wierzył, że jest niewinny, niewinny nawet w polityce.

Rysiek słyszy telefon, odbiera.

- Zaraz będę – mówi szeptem, a ten szept jest jak cisza, jest jak mrok, jest jak jakaś zastygła lawa u podnóża gór.

Rysiek wraca do samochodu. Wraca do domu Bogusława Lindera. Ci, którzy unikali jego wzroku, zdecydowali się w końcu. Teraz zapłacą więcej, zapłacą za rozterki, za czas, który tutaj w Międzyzdrojach płynie inaczej, szczególnie w nocy, szczególnie nad samym ranem.

Trzy dni, trzy szalone dni, dni pełne napięcia, niepokoju, obawy. Bezsenna, taka bezsenność, która boli. I te telefony ciągle, nieustanne, o każdej porze dnia i nocy. Festiwal filmowy to tornado. Tornado uczuć, tornado pragnień, tornado rozterek. I on, Rysiek, w tym tornadzie uczestniczył.

Skończyło się, w końcu się skończyło, myślał Rysiek, gdy wyjeżdżał z Międzyzdrojów. Opłaciło się, ale teraz muszę odpocząć. Dwa dni, nowy kierunek Dziwnów.

Stalowy most, rzeka, camping. Rysiek zatrzymuje się, podchodzi do domu przy stacji benzynowej. Starszy mężczyzna, brunet, informuje go gdzie można wynająć pokój. Widać, że się zna, że tu mieszka, że to miasto to jego życie, jego praca.

Rysiek jedzie w kierunku parku. Zatrzymuje samochód, blok czteropiętrowy, można wynająć całe mieszkanie od kogoś, kto teraz tutaj już nie mieszka. Młoda kobieta zostawia mu klucze, uśmiecha się do niego jakoś inaczej. Całe życie Ryśka składa się z dwóch słów – jakoś inaczej.

Rysiek spaceruje po parku, drewniane ławki, za parkiem wydmy, morze. Potem Rysiek idzie plażą w kierunku ciszy, idzie tam gdzie nie ma ludzi.

Mewy, morze, statki na horyzoncie, jakieś kutry łowiące ryby i to niebo, chmury, ten wiatr, ta cisza pośród tego wiatru.

Rysiek wraca do domu, do wynajętego mieszkania. Zasypia. Jego oczy uciekają w ciemność, uciekają w sny pośród tej ciemności.

Kuter płynie w morze. Rybak, dawniej rybak, teraz biznesmen podaje mu kieliszek bimbru.

- Na zdrowie – mówi rybak.

- Na zdrowie – mówi Rysiek.

- Pan nie łowi ryb?

- To widać?

- Tak – uśmiecha się rybak. – Przeważnie wynajmuję kuter wędkarzom. To dziwni ludzie. Piją, łowią ryby, piją, uciekają od problemów, rodzin, żeby побыć sami ze sobą. A potem wracają. Każdy gdzieś w końcu musi wrócić.

- Każdy ucieka. Każdy gdzie indziej.

Łąd się oddala. Małe postacie kurczą się na plaży, znikają. Wszystko jest takie inne, płynne.

- Kiedyś życie było inne. Kilka dni na morzu, potem powrót na ląd, sprzedaż tego co się złowiło i knajpa. Tam człowiek szalał przez cały dzień, a potem dopiero dom. Dom to morze, tak mówię żonie. Ona tego nie rozumie, jej wystarcza to co ma na lądzie. Ogródek, dzieci, czasami wczasy. Rybak to człowiek, który widzi w życiu więcej. I to więcej go jakoś nakręca do robienia rzeczy lepszych, innych – rybak się zamyśla, jest jak posąg, posąg o którym ktoś kiedyś zapomniał. – Na morzu widziało się wiele rzeczy dziwnych. Morze uszlachetnia, kształtuje człowieka na swój sposób. I człowiek staje się inny, lepszy poprzez morze. Kobiety tego nie rozumieją.

- Życie to nieustanne ocieranie się o swoje słabości, słabości które z czasem stają się pasją.

- A pan, czym się zajmuje?

- Pomagam innym w określony sposób.

- Handel?

- Handluję marzeniami, pragnieniami.

- Można na tym zarobić?
- Gdy człowiek lubi to co robi, to zawsze zarobi na życie. Ludzie to widzą, gdy człowiekowi zależy na szczęściu innych.
- Gdzie płyniemy?
- Jak najdalej od lądu.
- Lubi pan uciekać?
- Lubię oddalać się od innych. Lubię, gdy ludzie stają się niewyraźni, niekoniecznie przez nałogi.
- Do przodu, będziemy płynąć do przodu. A potem wrócimy wzdłuż lądu.
- Pan decyduje. Ja chcę tylko odpocząć, zapomnieć. O sobie, o innych, o całym moim świecie. Bo musi pan wiedzieć, że czasami świat w którym żyjemy, tylko wydaje nam się dobry. Doskonały. A gdy oddalimy się od niego na odpowiednią odległość, wtedy zauważamy w nim rysy, pęknięcia. I ja, dzisiaj, chcę dokładnie przyjrzeć się swojemu światu. Chcę zobaczyć z odległości wszystkie jego rysy i pęknięcia. Chcę w tych pęknięciach zobaczyć jakiś sens, jakąś nadzieję. Bo tak naprawdę pęknięcia mają tylko wtedy jakiś sens, gdy zobaczymy w nich jakąś nadzieję. Resztki nadziei w naszym niepokładanym życiu.

Rysiek zamyka oczy. Chmury. Niebo szaro-białe. Biało-szare. Bezkrzesne. Chmury. Niebo czarno-białe. Biało-czarne. Bezkrzesne. Chmury. Niebo mglisto-ciemne. Ciemno-mgliste. Bezkrzesne.

Morze zaczyna się zmieniać. Coś w środku morza zaczyna żyć. Z oddali widać ciemny punkt. Szybko zbliża się w kierunku Ryśka. Trąba powietrzna, jej masa, jej siła, jej ciemność powoli wypełnia całe morze. Morze się otwiera. Ryby, rośliny, zwierzęta zaczynają tańczyć w powietrzu. Od lądu lecą pojedyncze drzewa, przenikają całą swoją masą niebo, są jak igły, które ktoś szybko rozrzucił na dywanie. Fragmenty domów, domów drewnianych przenikają ciemne światło dnia.

Rysiek zauważa Mario w powietrzu. Mario coś krzyczy, jego ręce ciągle wykonują jakieś ruchy. Dziwne ruchy. Mario coś krzyczy do Ryśka, do tego co ich łączy, do tego co ich dzieli, oddala, odpycha od siebie. Za Mariem lecą białe pakunki, całe zafoliowane. A

potem za Mariem pojawia się ogień, jakiś wybuch i nagle wszystko znika, nieruchomieje, oddala się od Ryśka.

Rysiek otwiera oczy. Niebo jest takie, jakie było wcześniej. Nic się nie zmieniło. Bo świat to nie tylko zmiany, bo świat to nie tylko złudzenia.

Rybak patrzy się na Ryśka, chwilę milczy a potem mówi:

- Czasami świat daje nam sygnały, że żyjemy tak, jak nie powinniśmy żyć. Czasami morze jest jedyną odpowiedzią na ból, który nosimy w sobie.

Rysiek się tylko uśmiecha, słucha. Lecz nie jest to uśmiech człowieka, który wie gdzie ma iść, gdzie dalej ma zmierzać do celu.

Światła samochodu przenikają ciemność na drodze. Kształty drzew są dziwne, tajemnicze, pełne obaw, lęków. Jest mgła, jest noc, jest ciemna, gęsta cisza na drodze.

Cicha muzyka w samochodzie przenika całe ciało Ryśka. Mgła zaciera ślady po Ryśku, po jego obecności na wybrzeżu. To dobrze, myśli Rysiek, że są koło mnie jeszcze rzeczy, które czynią mnie niewidzialnym w tym świecie.

Rysiek zatrzymuje się przy małym żelaznym mostku. Wychodzi z samochodu. Pod mostkiem płynie mała rzeka. Rzeka jest jak telewizor, myśli Rysiek, widać w niej wszystkie nasze lęki, nasze złudzenia.

Rysiek wsiada do samochodu. Włącza silnik, silniej mruży oczy i wraca do Krakowa. Czeką go jazda przez całą noc. Nad ranem powinien już być w Krakowie.

Od kilku dni Rysiek czuje obce kroki za sobą. Kroki niebezpieczne. Kroki, które mogą coś zmienić w jego życiu. Kroki, które mogą coś znaczyć dla niego. Znać coś złego.

Od kilku dni Rysiek czuje czyjś oddech za sobą. Oddech ocierający się o jakiś ból. Taki ból, który długo nie znika, gdy już pojawi się w człowieku. W jego całym ciele. Duszy.

Przecucia, złe przecucia pojawiają się w głowie Ryśka. I gdy Rysiek wychodzi z Poczty Głównej, wychodzi z paczką w plecaku, ktoś do niego podchodzi, ktoś z boku, z przodu, z tyłu, ktoś go pro-

wadzi do samochodu. Ktoś zamyka drzwi w samochodzie, ktoś mówi, skończyło się. Ale co skończyło? tego Rysiek do końca nie wie, czuje to, ale nie wie. Bo kres, a szczególnie zły kres zawsze dociera do człowieka nagle, zawsze dociera do człowieka niespodziewanie.

Potem jest cela, kraty, cisza. Jego myśli, myśli ludzi obok, też zamkniętych w tym budynku, przenikają się wzajemnie, łączą, oskarżają. I Rysiek przez chwilę już nie wie kim jest? co robi? co chce robić? Potem Rysiek zasypia, ucieka w sen. Ucieka w noc, która już załęgła się w tym śnie.

Rysiek siedzi sam w pokoju przesłuchań. Lustro z boku, lustro na całej ścianie odbija jego rozmazane odbicie. Czy zawsze już będę taki rozmazany, taki nieobecny w życiu?

Rysiek patrzy się na swoje ręce, na swoje nadgarstki. Nie widzi na nadgarstkach nic, ale czuje jak niewidzialne kajdanki zaciskają się coraz mocniej. Duszą jego ręce, dłonie, duszą w nim to co ma najlepsze w sobie, duszą to co ma najgorsze w sobie.

Otwierają się drzwi. W drzwiach staje barczysty, wysportowany mężczyzna, jego węglowe oczy są skupione, widać w nich jakieś natężenie i napięcie, takie napięcie które pojawia się u ludzi, którzy za chwilę będą musieli odejść z tego świata, odejść w ciszy i zapomnieniu. Mężczyzna siada na krześle, na wprost Ryśka. Oddziela ich tylko stół, szary, pomarszczony jak twarz starego człowieka stół.

- Komisarz Marek Kozioł – mówi mężczyzna. – Myślę, że wiesz dlaczego się tutaj znajdujesz?

Rysiek otwiera usta, chce coś powiedzieć, chce żeby słowa, jego słowa coś wreszcie zaczęły znaczyć, chce żeby słowa, jego słowa nabrały wreszcie jakiegoś sensu i znaczenia. I wtedy, właśnie wtedy, gdy pierwsze słowo chce się wydobyć z ust Ryśka, Komisarz Marek Kozioł mu przerywa.

- Jesteś mądrym człowiekiem, masz mądre oczy, mądre spojrzenie, teraz znalazłeś się w niemądrym położeniu, ale chcę żebyś wiedział, że wiem dużo o tobie, w pewnym sensie darzę cię szacunkiem, działałeś mądrze, cicho, prawie niewidzialnie, nie sprzedawałeś towaru dzieciakom, ludziom na dnie, pomagałeś, jeśli tak to można nazwać, ludziom którzy mają pieniądze, sławę, władzę i to czyni cię w jakiś sposób wyjątkowym. Więc – Marek Kozioł się

zamyśla – nie chciałbym, żebyś teraz powiedział coś głupiego, tak głupiego, że stracę do ciebie cały szacunek.

Rysiek milczy, jego mózg, całe jego ciało jest naprężone jak struna w gitarze, struna która za chwilę pęknie na koncercie, który odbywa się na stadionie, na koncercie, z którego całe środki przeznaczone zostaną na szlachetny cel.

- Pewnie zastanawiasz się kto cię wystawił. Wystawił cię ktoś, kto miał problemy. Ten ktoś szedł już na dół od dłuższego czasu. Lecz ten czas ostatnio nagle dla niego przyspieszył. Przyspieszył tak, że ten ktoś się przestraszył i wpadł w panikę. A panika, jak sam wiesz, to najgorsza rzecz jaka może się zdarzyć człowiekowi, zwłaszcza zranionemu człowiekowi.

Komisarz Marek Koziół wstał, przeszedł się po sali przesłuchań, spojrzął w lustro i zaczął znów mówić:

- Gdy wszystko płonie wokół nas, wtedy każdy ratuje swoją skórę. To naturalne. Nawet prawdziwe. To oddziela nas od zwierząt, ratujemy zawsze naszą skórę gdy czas, dobry czas zaczyna się kończyć. Inni wtedy się nie liczą. A już na pewno nie liczą się inni obcy. A ty – Komisarz Marek Koziół podszedł do Ryśka, spojrzął mu głębiej w oczy. – A ty, niestety, byłeś kimś obcym dla tego człowieka. Dam ci szansę. Nas nie interesują płotki – kto? gdzie? dlaczego? po co? z kim? my szukamy prawdy. I to jest dla ciebie szansa. Chcemy wiedzieć skąd bierzesz towar? Gdy nam to powiesz, pomożesz nam dorwać hurtownika, my dalej już pójdziemy sami. Dowiemy się gdzie są kanały przerzutowe, kto w tym uczestniczy, jaka jest skala tych przerzutów.

- Jeśli się nie zgodzę?

- Zgodzisz się. Twoje oczy mi to mówią. Możesz jeszcze żyć inaczej, w innym miejscu, w innym czasie. Nie wyglądasz na głupiego człowieka. Wyglądasz na człowieka, który tylko na chwilę stracił właściwy kierunek drogi. Ale za chwilę go odnajdzie i znów wszystko będzie niezwykle.

- Pomożesz mi, jeśli ja ci pomogę?

Komisarz Marek Koziół jeszcze bardziej zbliżył swoją twarz do twarzy Ryśka. Ich spojrzenia przez chwilę się spotkały w powietrzu. Otarły się o siebie, a potem uciekły gdzieś daleko.

- Jeśli nam pomożesz pogadam z prokuratorem i załatwię ci zawiąsy.

- Będę musiał wyjechać z tego miasta, zniknąć. To miasto stanie się dla mnie niebezpieczne, gdy tutaj zostanie.

- Jak nam pomożesz, będziesz mógł wyjechać gdzie tylko chcesz. Tak naprawdę jesteś nikim w tym biznesie. A nas interesują tylko duże ryby. Małe ryby mają nas tylko doprowadzić do dużych ryb.

- Przemyślę to.

- Masz całą noc na to. Rano muszę wiedzieć co postanowiłeś. Jeśli rano nie podejmiesz żadnej decyzji, moja propozycja stanie się nieaktualna.

Rysiek wychodzi z sali przesłuchań. Czeką go długa noc, noc pełna wrażeń i złych myśli. Myśli, które muszą mu dać jakąś odpowiedź.

W domofonie Rysiek słyszy głos Maria. Jest jakiś dziwny dzisiaj, jakiś zgrzytliwy i charczący.

- Śmiało, wjeżdżaj.

Rysiek podjeżdża po dom. Chwilę stoi przed domem Maria, nie wyłącza silnika. Serce mu mocniej bije, o wiele mocniej niż zazwyczaj. Jego praca zawsze ocierała się o jakiś stres, o jakąś tajemnicę, ale teraz ten stres, ta tajemnica jest dla Ryśka nie do zniesienia.

Otwierają się drzwi. W drzwiach stoi Mario. Rysiek wyłącza samochód. Wychodzi z samochodu.

- Witaj – mówi Mario połamanym głosem. – Źle spałem. Dziwne sny, dawno takich nie miałem. Ocierałem się w tych snach o jakąś bezradność, o jakąś niemoc. A ja, nie lubię bezradności w życiu, nie lubię niemocy. Bezradni są zawsze ludzie słabi, a ja do ludzi słabych już nie należę. Nie należę od dłuższego czasu.

- Potrzebuję towaru – mówi Rysiek, ale jego głos jest jak popiół, szary, ciemny popiół, który ktoś rozsypał przez nieuwagę do niedużej kałuży tuż po deszczu.

- Każdy potrzebuje – mówi Mario. – Nie każdy dostaje. Ale ty masz u mnie przywileje. Chodź – Mario bierze go pod rękę. – Coś cię martwi? – nagle pyta Mario.

- Nie rozumiem – serce Ryśka drży jak ptak, który nagle, po raz pierwszy znalazł się w klatce.

- Jesteś jakiś inny dzisiaj – oczy Maria odzyskują dawny blask, zły blask.

- To zmęczenie. To kac. Wczoraj siedziałem przed telewizorem i piłem. Złe wspomnienia. A gdy pojawiają się złe wspomnienia, wtedy człowiek chce zapomnieć o nich jak najszybciej. A alkohol gwarantuje to najszybciej, gwarantuje najskuteczniej.

- Nie pij za dużo, Rysiu. Pić mogą tylko ludzie silni. Im alkohol nie robi żadnej krzywdy. Ludzie słabi są konsekwentnie niszczeni przez alkohol każdego dnia. Niszczeni niezauważalnie.

- To był tylko zły moment. Zły czas. Pojawił się wczoraj i już zniknął. Może już nigdy nie wróci.

- Wspomnienia – Mario się uśmiecha. – Złe wspomnienia zawsze wracają. Przeważnie wracają wtedy, gdy ich się wcale niespodziewamy.

Budynek gospodarczy, nowy, zadbany. Mario pilotem otwiera bramę. Brama powoli, z jakimś jękiem się podnosi.

- Poczekaj – mówi Mario i znika w środku budynku.

Rysiek stoi, czeka i wtedy, właśnie wtedy ktoś taranuje bramę posiadłości Maria. Cztery samochody wjeżdżają na posesję Maria. Za wcześniej, myśli Rysiek, o wiele za wcześniej.

W bramie pojawia się Mario. Jego oczy przyjmują zły blask i ten zły blask patrzy z nienawiścią na Ryśka. Mario rzuca dwa białe pakunki w folii do środka budynku i biegnie do domu. Rysiek biegnie za nim, właściwie nie wie dlaczego, ale czuje, że ten bieg mu jakoś pomoże. Coś w nim uratuje.

Mario wbiega do domu. Rysiek dobiega do drzwi. Zatrzymuje się. Dwa samochody podjeżdżają pod dom Maria. Dwa zatrzymują się przed budynkiem gospodarczym.

I wtedy, właśnie wtedy, w tym chaosie następuje wybuch. Budynek zaczyna płonąć. Przerażeni policjanci uciekają od samochodów zatrzymanych przed budynkiem. Po pierwszym wybuchu następuje drugi wybuch, potem trzeci. Budynek się zawala, jednak wciąż w nim coś jeszcze płonie, coś znika, coś ucieka z tego świata w kierunku nieba. Czarny dym, niczym jakaś wstążka ciągnie się w kierunku szarych chmur na niebie. Potem ten dym dotyka chmur, i chmury, i dym stają się jednością. Stają się złem wymieszanym z dobrem. Bo czasami zło to dobro, dobro to zło. I nikt nie wie gdzie

jest prawda, gdzie jest nadzieja, która ukryła się w tym źle tak do-
brze.

Mario wychodzi z domu, uśmiecha się, lecz ten uśmiech jest jak popękane szkło w które ktoś coś rzucił nagle i niespodziewanie i to szkło powoli rozpada się na małe kawałki, na małe cząsteczki życia, które później będą umiały tylko czynić zło, czynić złudzenia. Złe złudzenia.

- Gaz – mówi Mario i patrzy się na Ryśka. – To tylko gaz. Takie rzeczy się zdarzają. Nieszczelna instalacja, złudzenie, że coś może jeszcze trwać, choć cząstki czegoś złego już są zniszczone, opuszczone przez czas, przez ludzi i to złudzenie sprawia, że coś się rozpada na naszych oczach. Gaz – zamyśla się Mario.

Komisarz Marek Koziół zakłada kajdanki na ręce Maria i mówi:

- Na komisariacie wyjaśnisz nam pewne rzeczy.

- I tak wyjdę, jeszcze dzisiaj. Jeden telefon – mówi szeptem Mario. – Jeden telefon sprawi, że będziesz mnie jeszcze przepraszał.

Mario wciąż patrzy się na Ryśka, patrzy się tak jakby dla Ryśka już wszystko się skończyło.

- Życie jest pełne niebezpieczeństw – mówi Mario, mówi cicho, mówi szeptem. – Życie jest pełne niebezpieczeństw – powtarza Mario – które docierają do człowieka wtedy, gdy się tego jak najmniej spodziewa. Niebezpieczeństw, które zawsze zostawiają trwały ślad w człowieku – i tu Mario się znów uśmiecha i tu Rysiek rozumie, że musi wyjechać z tego miasta dzisiaj i nigdy tu już nie wrócić.

Komisarz Marek Koziół każe policjantom wsadzić Maria do samochodu. Gdy Mario jest w samochodzie wciąż patrzy się na Ryśka przez szybę. I nagle w kącikach jego ust pojawia się uśmiech i ten uśmiech prawie parzy oczy Ryśka, prawie niszczy całą jego przyszłość.

Samochód odjeżdża. Rysiek wsiada do drugiego samochodu z Komisarzem Markiem Koziołem. Odjeżdżają. Policjanci którzy zostali przed spalonym budynkiem dzwonią po wsparcie. Czeka ich długi dzień, długa noc, żeby wśród gruzów znaleźć coś, co sprawi, że Mario zostanie choć jakiś czas w więzieniu.

Dworzec. Ostatnie spojrzenie na miasto, ostatnie spojrzenie na życie, które teraz zostawało tu same bez Ryśka, bez jego duszy.

Komisarz Marek Koziół podaje rękę Ryśkowi.

- Ja zawsze dotrzymuję słowa. Uciekaj i spróbuj o dawnym życiu jak najprędzej zapomnieć.

- Co z Mario?

- Dzisiaj wyjdzie. Pod gruzami budynku nic nie znaleźliśmy. Jakieś znikome ślady heroiny, ale tak znikome, że nie nadają się na żaden dowód. Sprytny jest. Wszystko zaplanował. Wiedział, że kiedyś ktoś go zdradzi, nie wiedział, że to będziesz ty, i stąd zaskoczenie w jego oczach. Chyba ci ufał, ufał na tyle, ile można ufać człowiekowi z którym robi się złe interesy.

- A więc wychodzi?

- Ma jakieś układy. W policji, gdzieś wysoko i chyba Prezydent Miasta go zna. Zna zbyt dobrze. Zajmę się tym bez względu na konsekwencje. W tym mieście musi być trochę mniej zła, a on do tego zła z pewnością należy. Należy od zbyt długiego czasu.

Komisarz się odwraca. Odchodzi. Rysiek odjeżdża. Pociąg znika powoli, tak jak powoli znika miasto, które rozplywa się na oczach Ryśka prawie niewidocznie.

Piszę. Piszę na maszynie do pisania. Piszę ciągle. Nieustannie. Piszę niecierpliwie. Moje ciało drży. Moje ręce drżą, falują, przenikają powietrze niewidzialnymi pociągnięciami palców. Coś we mnie, w środku nieustannie drży. Pęka. I to pękanie ma jakiś sens. Ma jakieś znaczenie. Wiem to. Czuję to. Wszystko ma jakieś znaczenie, jakiś sens. Drżenie, pękanie to symbol czegoś nieokreślonego, ale ważnego. Czuję to. Wiem to. Czasami myślę, że drżenie to mój naturalny stan życia. Drzę, by żyć. Drzę, by oddychać. Oddychać spokojnie, a ja chcę tylko od czasu do czasu czuć się wolnym, a ja chcę tylko od czasu do czasu oddychać spokojnie. To dużo? Mało? Może zbyt dużo? Czasami mało to dużo, a dużo to zbyt mało. Od nas zależy gdzie jest granica, gdzie jest kres rzeczy do których tak nieświadomie dążymy. Dążymy czasami bez sensu. Bez określonego znaczenia.

Niektórzy potrzebują powietrza by żyć. Ja widocznie potrzebuję drżenia by istnieć, by pisać. Moje pisanie ma tylko wtedy sens, gdy czuję drżenie moich rąk. Drżenie mojego ciała. Moje historie są bardziej prawdziwe, gdy moje ręce drżą. A o to przecież w historii cho-

dzi, by była jak najbardziej prawdziwa, by była jak najbardziej blisko życia. Jak najbardziej blisko ludzi.

I te ptaki w celi. Są ich setki, może tysiące. Tysiące chyba nie, ale setki z pewnością. Mój wzrok już nie jest doskonały, już nie jest doskonały tak jak kiedyś, tak jak całe moje ciało nie jest już doskonałe od dłuższego czasu. Ptaki pojawiły się i nie chcą zniknąć. Są jak szaleństwo, które nagle pojawia się w człowieku, a potem nie chce zniknąć. Szaleństwo, które zmienia życie człowieka całkowicie. Często nieodwracalnie.

I ten ich lot, lot nieuporządkowany, lot który nie jest skierowany na żaden określony cel. W celi nie ma celu, ale one tego nie wiedzą. Ja sam dobrze wiem, że nic nie wiem o sobie, że nic nie wiem o miejscu gdzie aktualnie przebywam. Często to miejsce nazywam celą, bo czuję się tutaj jak w celi. Ale to może być tylko mój jakiś pomysł, pomysł na nową książkę. Bo czuję, prawie to wiem, że jestem pisarzem, dobrym pisarzem. Może trochę zagubionym, połamanym pisarzem. Ale jednak pisarzem.

Skrzydła. Skrzydła tych ptaków, czarne skrzydła ocierają się prawie o mnie, o moje włosy, o całe moje zagubione ciało. One są zagubione, moje ciało jest zagubione.

Ten hałas, ten zgiełk, to nieuporządkowanie hałasu w tym zgiełku. Nie mogę zasnąć, bo wiem, że hałas do mnie dotrze nawet w śnie. A hałas podczas snu jest najgorszy. Hałas niszczy każdy sen, hałas niszczy każdą nadzieję w tym śnie. Boję się, gdy moje oczy zasną, gdy ucieknę w niepamięć to hałas dotrze do mojego snu i zadomowi się w nim na zawsze, a potem będzie do mnie wracał każdej nocy. Hałas pozmienia moje sny, zmieni ich kolejność, znaczenie. A przecież dobrze wiem, że kolejność w snach ma kolosalne znaczenie. Bez właściwej kolejności sny się pokruszą, zmieniają, zaczyną powoli znikać. I wtedy w moje głowie pojawi się niepamięć. A niepamięć w snach to tragedia. Tragedia, która nigdy nie ma dobrego zakończenia.

W końcu zasypiam. Z obawą, ale jednak zasypiam. Skrzydła ptaków są daleko, bardzo daleko. Widzę je z oddali. Z oddali... Z oddali...

Budzę się rano. Światło mnie budzi. Światło za oknem. Ptaków nie ma, może nigdy ich nie było. Cisza, w celi, może w pokoju, jest cisza. Jak dobrze czuć ciszę w sobie, poza sobą. Cisza dla pisarza to dar, to znaczenie.

Zaczynam pisać. Znow jestem wolny, znow jestem sobą. Zdania przenikają moje oczy, moje myśli. Wiem, że wszystko koło mnie to złudzenie, ale jestem pisarzem, a pisarz zawsze ociera się o jakieś złudzenia.

Ksiądz przed nim stoi, rusza rękami, jego głos ma w sobie jakąś niecierpliwość, jakieś zwątpienie. Obraz, obraz Matki Boskiej zniknął wczoraj ze ściany Kościoła Mariackiego. Był, a teraz go nie ma. Nikt nic nie widział, nikt nic nie zauważył. Ksiądz wciąż do niego mówi, on tylko kiwa głową. Rozumie. Rozumie słowa, strzępki słów powtarzane prawie w nieskończoność. Kiedy? Dlaczego? Kto? Czy jest jakaś szansa? A jeśli jest, to kiedy? Wyraz, słowo, prawie wykrzyknik w brzmieniu tego słowa kiedy wciąż się pojawiał pomiędzy nimi, pomiędzy Księdzem a Komisarzem Koziółem.

- To kradzież zwykła, a zarazem niezwykła – mówi ciężkim głosem Komisarz Koziół.

- Nie rozumiem – i faktycznie oczy, ręce, całe ciało Księdza nic nie rozumie.

- Zwykła, bo ktoś czegoś pragnął i to wziął dla zysku, może dla siebie. Szaleńców nie brakuje na świecie. W Krakowie jest ich może więcej poprzez sztukę, poprzez wpływ tej sztuki na człowieka. Niezwykła, bo nikt nic nie zauważył. Przecież taki tu ruch, takie natężenie wiernych i turystów.

- To stary obraz. Malarz nieznany, obraz nie był zbyt cenny, nie tak cenny jak inne obrazy tego typu.

- Postaramy się – tu Komisarz Koziół sam sobie nie wierzy. – Postaramy się coś zrobić, zrobić coś co nas przybliży do tego obrazu.

- A więc, nigdy tu już nie zawiśnie.

- Myślę, że są na to jakieś szanse, ale niewielkie. Na razie nie mamy żadnych śladów. Nikt nic nie widział, nic podejrzanego się wczoraj nie zdarzyło. Jakby duch coś sobie zaplanował i to zrobił. Za karę, może za czyjeś złudzenie.

- Złudzenie? – zdziwił się Ksiądz.

- Wiara to złudzenie, że coś możemy zrobić po śmierci, a tak naprawdę już nic nie możemy zrobić po śmierci.

- Pan nie wierzy?

- Wierzę, że ludzie się mogą zmienić, gdy czas, życie ich do tego zmusi. Ale czy śmierć coś może zmienić w człowieku? Może sprawić, że w coś uwierzemy. Ja nie wierzę w szansę na inne życie, gdy tutaj nie mamy tak naprawdę żadnych szans. Przynajmniej niektórzy.

- Zadzwoń pan, panie Komisarzu, gdy coś będziecie wiedzieć?

- Oczywiście – Komisarz Kozioł wychodzi z Kościoła Mariackiego.

Rynek, gołębie, czyste błękitne niebo, kwaciarki, inne życie, inny czas niż ten w środku Kościoła Mariackiego. Jakby mury kościoła coś w nim zatrzymały, coś, co dla jednych jest ważne, a dla innych nieistotne. Wiara to kwestia podejścia do nieufności wobec śmierci, wobec tego, co ona naprawdę oznacza, pomyślał Komisarz Kozioł. A potem ruszył w tłum ludzi, żeby się choć na chwilę zgubić, żeby jego ciało, jego myśli zgubiły się w słońcu, które dzisiaj było wyjątkowo ostre, które prawie przenikało wszystko dookoła. Całe miasto, wszystkie twarze leniwie błędzące.

Od dłuższego klęczenia kolana Komisarza Kozioła zaczęły go boleć. W końcu musiał wstać. Gdy był w pionie, gdy poczuł ulgę w nogach, jego czoło znów się zachmurzyło. Jego oczy ze zdziwieniem spoglądały na obraz oparty o Smoka Wawelskiego nad Wisłą, a potem jego oczy popatrzyły z odrazą na martwego psa, leżącego tuż koło obrazu. Mała strużka krwi, niczym jakiś dziki odpływ Wisły krążyła koło psa, teraz już martwego.

Co chwilę Smok Wawelski zionął ogniem, a Matka Boska na obrazie, w zasadzie jej oczy, na moment ożywiały się, jakby ten żar, który się nad nią unosił miał jakieś znaczenie. Dla niej, dla innych.

- Co pan o tym myśli?

- Dziwne, bardzo to dziwne – zamyślił się Komisarz Kozioł. – Obraz znika z Kościoła Mariackiego, potem znajduje się tutaj, martwy pies koło tego obrazu, to nie ma najmniejszego sensu. A przecież w każdej kradzieży musi być jakiś sens, jakaś motywacja. Na-

wet zbrodniarze, ci najwięksi, mieli jakieś cele, motywacje. A ja, dziś, nie widzę tutaj żadnego sensu, motywacji.

- Może to jakiś szaleniec?

- O tym dowiemy się po czasie. Szaleńcy też chcą widzieć jakąś jasność koło siebie. Chcą być zauważeni poprzez tę jasność. Bo często w ich głowach panuje całkowita ciemność. Mrok.

- Dzwonimy do księdza?

- Tak. Ucieszy się. Obraz oddamy mu dopiero po dokładnym badaniu całej jego struktury. Może jakieś ślady nadadzą sens tej historii.

Co się dzieje? Coś nowego zaczyna rodzić się w tym mieście. Czuję to. Odczuwam to mocniej niż zazwyczaj.

Komisarz Koziół szedł wzdłuż Wisły w kierunku Kazimierza. Po prawej stronie minął nieczynny Hotel Forum. Statki koło niego, małe hotele, lekko kołysały się na Wiśle, na jej granatowej, coraz czystszej toni.

Co się dzieje? Czuję to, nawet to wiem, że to początek. A początek zawsze zbliża się do jakiegoś końca. Końca, na którego ostatniej krawędzi jest zawsze jakaś odpowiedź. Czasami pytanie, ale często odpowiedź. Odpowiedź ocierająca się o jakąś tajemnicę. Czasami ocierająca się o skutki tej tajemnicy w realnym życiu.

Most przy ulicy Krakowskiej, statki pełne ludzi, most pełen kłódek, pełen nierozzerwalnych więzów miłości zaczepionych w metalowych kratkach nad Wisłą.

Komisarz Koziół skręcił w małą uliczkę, tuż przy dawnym kinie. Kinie zapomnianym, opuszczonym przez ludzi. Szedł w kierunku Placu Nowego. Szedł w kierunku domu. Był zmęczony, jego kroki były ciężkie. Czasami zmęczenie to nasz jedyny przyjaciel, przyjaciel, który nas nigdy nie opuszcza, nawet w nocy. A przyjaciele, zwłaszcza ci z nocy, są najważniejsi w życiu. Najbardziej istotni.

Szczupły, młody ksiądz mówi, mówi, mówi. Jego czarna sutanna faluje, faluje, faluje. Jego ręce krzyczą, krzyczą, krzyczą. Jego oczy, może po raz pierwszy mają w sobie nienawiść, nienawiść, nienawiść.

- Rozumiem – to słowo rozumiem, w czasie tej rozmowy, Komisarz Koziół powiedział już kilka razy. Powiedział je jak jakąś modli-

twę za coś ważnego, w intencji rzeczy która już się stała, zmieniła coś w życiu, ale tak naprawdę ta modlitwa nic nie może już zmienić, nic nie może już oszukać, nawet losu, nawet przekonania, że jest ktoś kto tę modlitwę wysłucha, zrozumie.

- Taki piękny obraz. Taki piękny – oczy księdza płaczą, kruszą się, rozpluwają w blasku świec w kościele.

- Znów Matka Boska – rzekł Komisarz Koziół, rzekł cicho, tak cicho, że ksiądz nawet tego zdania nie zauważył poprzez swój ból i płacz, który cicho unosił się w tym bólu.

- Znajdziecie ten obraz?

- Może – i to może nie przekonało Komisarza Koziół, a co dopiero miało zasiać jakąś nadzieję w młodym księdzu. Złudną nadzieję. – Nikt nic nie widział – znów coś rzekł Komisarz Koziół, rzekł bo tak wypadało, bo tak podpowiadał mu jakiś wewnętrzny głos.

- Nikt. Nic. Strata. Ból. Czas – ksiądz coś mówił do siebie, teraz już był nieobecny, dla siebie, dla innych.

- Zadzwonimy – Komisarz Koziół wyszedł z Kościoła Dominikanów.

Ulica Dominikańska, Planty, drzewa, spokój. Spacer. Tyle myśli miał Komisarz Koziół w sobie. Tyle lęków, obaw. Szedł w kierunku Wawelu, z boku mijały go tramwaje, ich ruch, ich zgiełk był jakąś oznaką życia tego miasta. Miasta naznaczonego tajemnicą. Tajemnicą ocierającą się o sztukę, o sztukę religijną.

Pomnik Adama Mickiewicza. Rynek, gołębie, dorożki i Komisarz Koziół klęczący przy Pomniku Adama Mickiewicza.

- To niewiarygodne – rzekł Komisarz Koziół. – To nielogiczne.

Oczy Komisarza Koziół patrzyły się na obraz Matki Boskiej oparty o pomnik. Obok pomnika leżał czarny pies, martwy. Jego sierść powoli traciła cały swój blask, całą swoją żywotność.

- To jakiś bezsens – Komisarz Koziół wstał. – O co może mu chodzić? – To pytanie Komisarz Koziół zadał bardziej sobie niż policjantowi stojącemu tuż koło niego.

- Musi mieć jakiś cel.

- Cel – westchnął Komisarz Koziół. – To co robi jest bezcelowe. Naraża się, zabija psy, robi to dobrze, wręcz doskonale, nikt nic nie

zauważa. Musi mieć jakiś przekaz. To nie są przecież żadne zawody, kto ukradnie więcej rzeczy, żeby zyskać rozgłos, sławę.

- W każdym braku logiki jest jakaś logika. Jakies pęknięcie w tej logice. Takie pęknięcie, które w końcu nas do niego doprowadzi.

- Jego? – zdziwił się Komisarz Koziół. – Może jej?

- Do kogoś – poprawił się policjant. – Każda zbrodnia prowadzi do kogoś lub czegoś. Każda zbrodnia to jakaś odpowiedź. Ale to nie jest żadna zbrodnia. To tylko pies, jakiś znak, symbol. I ten obraz. Święty, ale obraz.

- Dziennikarze to nagłośnią. Ludzie zaczną się bać. To dziwna rzecz, tajemnicza. A ludzie najbardziej boją się rzeczy tajemniczych, niewytłumaczalnych.

- W zasadzie mamy śledztwo, a potem już nie mamy śledztwa. Jest sprawa, nie ma sprawy. Coś zaczynamy, coś kończymy. Niby sukces – zamyślił się policjant – ale dziwny sukces, tajemniczy.

- Czuję, że to się będzie powtarzało. A jak coś się powtarza, a szczególnie coś złego, to taka rzecz staje się niebezpieczna dla nas, dla wszystkich.

- Czyli musimy czekać.

- Czekać na jego, lub jej błąd. A czas, mam taką nadzieję, będzie nam sprzyjał. Ktoś, kto czegoś chce, ktoś, kto chce rozgłosu, staje się niecierpliwy gdy ten rozgłos przychodzi zbyt wolno, zbyt cicho. My musimy wyciszać to jak najdłużej, wtedy może ten ktoś popełni jakiś błąd.

- Czyli czekamy.

- Czekamy.

Komisarz Koziół wszedł do swojego samochodu. Wjechał w ulicę Floriańską. Ludzie w milczeniu rozchodzili się na boki. Przejechał przez Bramę Floriańską, minął Barbakan, skręcił w prawo, pojechał na posterunek.

Kościół Świętego Wojciecha, kościół mały, prawie niewidoczny, w nim małe podziemia i teraz, właśnie tam, znów musiał Komisarz Koziół patrzeć w prawie płaczące oczy księdza.

- Ten obraz był tu od zawsze, był, a teraz go nie ma – oczy księdza były popękane jak lód w zimie gdy zbliża się odwilż.

- Ostatnio obrazy się znajdują, ale nie mogę tego księdzu obiecać – głos Komisarza Koziół miał w sobie jakąś nadzieję, może bardziej złudzenie niż nadzieję.

- Znajdują, gdzie?

- W mieście. To dziwne co się z nimi dzieje, co się dzieje koło nich i te zagadkowe morderstwa psów, ale – tu Komisarz Koziół się zamyślił i był to zamysł cichy, prawie niezauważalny – obrazy się znajdują.

- Wierzę w pana – ręka księdza dotknęła ramienia Komisarza Koziół. – Ma pan dobre oczy, choć smutne. Jest w nich jakaś rysa, pęknięcie i tam, w tym pęknięciu załagał się jakiś smutek. Smutek o którym pan wie, ale łudzi się pan, że go tam nie ma. A smutki, szczególnie bolesne smutki, nigdy nie odchodzą same. Jeśli je sami nie wydobędziemy z siebie, zostają w nas na zawsze.

Komisarz Koziół uśmiechnął się, ale tak nienaturalnie i wyszedł z kościoła. Był wieczór, cichy wieczór odbijający się w oknach kamienic na rynku.

Po tygodniu, w niedzielę, w niedzielę rano Komisarz Koziół znów patrzył zdumiony na obraz oparty o Wieżę Ratuszową, obok leżał zabity pies z obojętnymi już teraz oczami.

- Sukces – rzekł Komisarz Koziół ze złością. – Taki sukces...

- Jednak obraz się znalazł – stwierdził Komisarz Rawicz, kolega Komisarza Koziół. – Napiszą, że dzięki tobie.

- A co z psem? Martwym psem. Miasto zaczyna się bać. Dziennikarze już wiedzą. Kolejny artykuł o kradzieży, o śmierci, o powtarzalności tej śmierci, to budzi odrazę, strach, niepokój. Ludzie boją się niepokoju. Obcy, nieznany niepokój dla niektórych to gorsze niż śmierć. Rzeczy niewytłumaczalne niszczą duszę, niszczą resztki dobra w tej duszy.

- Zabezpieczyć obraz – rzekł Komisarz Rawicz, rzekł do policjanta stojącego tuż obok w milczeniu.

Komisarz Koziół coś zauważa, coś koło Sukiennic, jego kroki kierują się w kierunku kobiety, która siedzi w swojej niszy w Sukiennicach przy tekturowym stoliku. Podchodzi, staje obok, chwilę milczy. Kobieta go zauważa, a potem jej wzrok każe mu usiąść obok niej.

Komisarz Koziół patrzy się na jej kolorowy ubiór, na korale na szyi, na opaskę w jasnych włosach. Kobieta uśmiecha się do niego.

- Dzidzianna? – pyta Komisarz Koziół.

- Tak – korale po tym pytaniu tajemniczo zadrżały na jej szyi. – Daj mi rękę.

Komisarz Koziół z łękiem daje jej prawą dłoń, jego palce drżą jak trawa podczas wiosny, gdy wiatr, ciepły wiatr dotyka ją prawie niewidocznie o poranku.

- To szaleństwo – mówi Komisarz Koziół. – To szaleństwo, co teraz się dzieje w mieście.

- Wszystko opiera się na jakimś szaleństwie – mówi Dzidzianna. – Szukasz, kiedyś znajdziesz. Ci, co czegoś szukają, zawsze to znajdują, gdy są cierpliwi, uparci. A ty – Dzidzianna patrzy mu się w oczy – jesteś uparty, cierpliwy. A do tego dokładny.

- Co mam robić? Gdzie iść?

- O obrazy się nie martw, to się samo wyjaśni. Martw się o siebie.

- O siebie? – dziwi się Komisarz Koziół.

- Idziesz tam, gdzie nie powinieneś iść. Ale zbliżasz się do prawdy. Wkrótce ją odkryjesz – Dzidzianna mocniej ściska rękę Komisarza Koziół. – Zdziwisz się. Prawda zawsze zaskakuje, zwłaszcza zaskakuje tych, których ta prawda naprawdę dotyczy. Teraz jesteś zamknięty w swojej własnej celi. Wiesz o tym dobrze, czujesz to, ale łudzisz się, że jest inaczej. Złudzenia nigdy nie prowadzą nas do celu, do właściwego celu.

Komisarz Koziół wstaje, patrzy się na Dzidziannę, na jej kolorowy, barwny strój, a potem mówi:

- Pani jest tutaj zawsze, w tym samym miejscu, Kraków to pani, pani to Kraków.

- Będę tutaj zawsze, nawet wtedy, gdy mnie już nie będzie.

Komisarz Koziół odchodzi. Pod Wieżą Ratuszową czeka Komisarz Rawicz.

- Powiedziała ci to, co chciałeś usłyszeć? – pyta Komisarz Rawicz.

- Powiedziała mi to, co wiem, że we mnie jest, a łudziłem się, że tego we mnie nie ma i nigdy nie było.

Miasto nigdy nie śpi. Miasto czuwa. Miasto wiecznie czegoś szuka. Miasto obserwuje, wacha, czuje. Ten zapach, zapach przenikliwy, mroczny, zapach pełen kurzu, pyłu, stęchlizny jest dla miasta obcy, czasami jednak znajomy, bliski. Zapach niepokoju zawsze zawiera w sobie jakąś bliskość. Miasto dobrze o tym wie, miasto wie więcej niż inni. Miasto poprzez niepokój bardziej zbliża się do szaleństwa zawartego w tym niepokoju.

Zaczęło się, myśli Komisarz Kozioł. Gazety piszą, coś czują, obserwują. Gazety wiedzą swoje. Gazety zawsze wiedzą swoje. Ludzie, ich opinie, ich lęki, ich obawy są łatwym celem dla gazet. Strach, strach zanurzony w braku odpowiedzi na ten strach jest jakąś siłą, która prowadzi ludzi do jakiegoś celu. Do celu, bez którego nie mogą żyć. Bo ludzie muszą mieć jakiś cel żeby być, żeby istnieć, choćby ten cel był prawie niewidzialny, prawie niezauważalny, obcy. Ludzie bez celu to ludzie martwi. Ludzie bez celu to ludzie niecierpliwi. I ta niecierpliwość jest coraz bardziej widoczna w oczach ludzi w mieście.

Komisarz Kozioł to widzi, dziennikarze to widzą. Gazety w końcu mają swój temat, dziennikarze odzyskali utracone życie, zapomniane życie.

Obrazy znikają z kościołów, a potem się pojawiają, a wraz z nimi martwe psy. Nikt nic nie wie, nikt nic nie rozumie, nikt nic nie zauważa.

I wtedy pojawia się on, na rynku, na metalowym, szarym, lekko pordzewiałym podeście. Ma brodę, siwą, długie włosy, tłuste, oczy czerwone, zawsze pełne żaru, jakiegoś napięcia, jakiejś nieobecności, jakby życie tutaj go nie dotyczyło, było gdzieś obok niego, gdzieś daleko. Długi płaszcz, za duży, o wiele za duży dla niego, płaszcz w kolorze brązu, spodnie z materiału, spodnie zniszczone, pomięte, jakby nigdy nie były prane i ten pasek, pasek ze skóry jakiegoś zwierzęcia, ale jakiego, tego nikt nie wie.

Jego ręce zawsze są skierowane w kierunku nieba, w kierunku czegoś niewidocznego, odległego. Jego wzrok sięga dalej, o wiele dalej. Jego oczy szalone, zawsze szalone, błędzą tam, gdzie innych to błędzenie nie dotyczy, nie może dotyczyć.

Na początku skupia uwagę zaledwie kilku ludzi, lecz po kilku dniach jest ich coraz więcej. Ludzie zaczynają mu ufać, wierzyć.

Ludzie zaczynają wierzyć w jego szaleństwo, zaczynają wierzyć w to, co jest ukryte pod tym szaleństwem.

- To kara, to kara z nieba – mówi starzec mędrzec, mówi to głosem łamiącym, ale mocnym. – Kara za to, jak żyjemy, jak chcemy żyć. Na razie są to tylko małe znaki. Po nich pojawiają się inne, bardziej bolesne i znaczące.

- Dlaczego są martwe psy? – ktoś krzyczy z tłumu. – Co może oznaczać śmierć zwierzęcia, co może oznaczać śmierć psów przy obrazach?

- Bóg nie daje łatwych znaków, łatwych odpowiedzi – głos starca mędrca staje się bardziej wzniosły, bardziej wdzięczny. – Życie jest odpowiedzią na wszystko, życie jest odpowiedzią na nasze lęki i słabości. Na nasze pragnienia.

Ktoś podaje wodę starcowi mędrcowi. On pije ją łapczywie, ale jego wzrok nadal nosi w sobie obłąd, ma w sobie jakieś zatracenie. Woda cieknie po brodzie starca mędrca, zatrzymuje się dopiero na jego płaszczu, wsiąka w niego.

- Co oznaczają obrazy Matki Boskiej? – kobiecie głos pragnie odpowiedzi, żąda jakiejś wskazówki.

- Matka Boska jest zawsze z nami. Jest naszą Matką, naszą nadzieją. Ona zawsze niesie ludziom nadzieję, nawet wtedy gdy na nią nie zasługują.

- Kim jesteś? – jakaś staruszka dotyka płaszcz starca mędrca, całuje go. – Prorokiem, wybawicielem, zbawcą?

- Jestem tym, kim jestem. Jestem głosem, który ma wam ułatwić dalszą drogę.

- Drogę do czego? – inna staruszka przyłącza się do pierwszej staruszki całującej płaszcz starca mędrca, teraz już obie całują jego płaszcz.

- Drogą do odpowiedzi na wasze życie. Na wasze wieczne życie.

Nagle starzec mędrzec zamiera, jest jak posąg. Ci, co go widzieli już wcześniej, wiedzą, że teraz będzie stał jakby był martwy, jakby zastygł na wieczność. I tak będzie stał do wieczora. Aż do zmroku. Potem zejdzie z metalowego podestu i zniknie. Rozpłynie się pomiędzy ulicami, ludźmi, pomiędzy kurzem miasta. Jutro znów tutaj będzie, jutro znów będzie coś mówił do ludzi. Do ich oczu pełnych niepokoju, pełnych napięcia.

Po kilku dniach na rynku zaczyna się handel. Dwie staruszki, które pierwsze uwierzyły w słowa starca mędrca, słowa starca mędrca o oczach pełnych miłości, rozkręciły handel, handel który prawie ocierał się o lekko drżący głos starca mędrca, o jego dźwięczne, czasami niezrozumiałe zdania i słowa.

Jedna staruszka prawie cały czas zajmuje się opieką nad starcem mędrce, dostarcza mu wodę do picia, karmi go gdy jego ciało zastęga na dłużej w bezruchu. Druga staruszka obsługuje niewielki kram, w nim, na jego białej ladzie leżą łańcuszki z wizerunkiem Matki Boskiej, one schodzą najlepiej, ich ludzie potrzebują najbardziej w tym trudnym okresie dla nich, dla miasta, obok łańcuszków stoją, bardziej leżą niż stoją, czasami wiszą, obrazki Matki Boskiej, duże, małe, kolorowe, niektóre czarno-białe, jednak ich jest najmniej, a gdzieś z tyłu, z tyłu białej lady leżą różańce, które rzadko uciekają w obce ręce, w palce drżących rąk, takich jak ręce dwóch staruszek, a potem zaczynają się modlitwy, zaklęcia do tego co jest widoczne na niebie, do tego co jest niewidoczne na niebie.

Starzec mędrzec, może wizjoner, może szarlatan często milczy, często zamiera w bezruchu na jakiś czas, i wtedy, właśnie wtedy w tym bezruchu tłum widzi coś niezwykłego, widzi to, co chce widzieć, nadzieję. Nadzieję najlepiej widzi się wtedy, gdy tej nadziei wokół nas nie ma. A w tłumie, dzisiaj, tej nadziei nie jest za dużo, jest jej tyle żeby coś nią nakarmić, żeby coś utrzymać dzięki niej przy życiu, utrzymać tylko na chwilę, utrzymać tylko na jakiś czas.

Nagle starzec mędrzec otwiera oczy. Jego wzrok sięga daleko, sięga poza tłum, poza miasto, sięga wysoko, daleko, odległe. Na głowie starca mędrca usiadł ptak, biały gołąb.

- To znak! – ktoś krzyczy.

- To duch święty! – ktoś inny krzyczy wyraźniej, donośniej, i ten głos wyraźny, donośny zostaje pochwycony przez tłum, ten głos zaczyna żyć, zaczyna istnieć swoim, teraz już wspólnym życiem.

- To znak – starzec mędrzec mówi. – To znak. – Gołąb cicho siedzi na głowie starca mędrca.

- Od kogo? – tłum się niecierpliwi, tłum żąda odpowiedzi, choćby tej najgorszej, choćby ocierającej się o jakąś klęskę, tragedię.

- Widzę rzekę, ciemną, mroczną rzekę. I tam, w lesie, obok tej rzeki widzę znak.

- Gdzie? Gdzie jest ta rzeka? Ten znak?

Starzec mędrzec zamyka oczy. Znów jest gdzieś daleko. Znów jest w sobie, znów jest poza sobą.

Ludzie rzucają się do straganu. Obrazki Matki Boskiej schodzą teraz szybko, zbyt szybko.

- Znak – mówią ludzie. – Znak można dostrzec tylko przez obraz Matki Boskiej. Ona nas uleczy, ona da nam wskazówki, jak dobrze przeżyć swoje życie, poprzez znaczenie tego znaku w naszym życiu.

- Dlaczego martwe psy? – ktoś pyta starca mędrca.

Starzec mędrzec budzi się z jakiegoś letargu. Zaczyna mówić:

- Pies to przyjaciel. Pies więcej czuje, więcej rozumie. Jego wąż czuje to, czego my nie możemy poczuć. Jego instynkt zauważa to, czego my nie zauważamy, nie możemy zauważyć. Pies umiera za nas, za nasze grzechy. Umiera przy Matce Bożej. Przy swoim jedynym przyjacielem. Bo – tutaj starzec mędrzec zawiesza głos – bo Matka Boska to nasz jedyny przyjaciel, bo Matka Boska to nasza jedyna nadzieja.

Starzec mędrzec kuli się w sobie, zaczyna się trząść. Jest jak drzewo, drzewo pełne liści podczas wiatru. Liści, które drżą, bo siła tego wiatru chce je zniszczyć, zerwać, przenieść w inne miejsce. Obce, niebezpieczne miejsce. Takie miejsce gdzie świat jest inny, ludzie są inni, pory dnia są inne, niewidoczne. Prawie rozmazane w niewidoczności.

Telefon, w nim głos cichy, niespokojny, trochę poszarpany jak pióra koguta uciekającego przed psem. Głos daje wskazówkę, rzeka Białucha, obraz, pies. Potem głos milknie, ucieka w ciszę, w sens tej ciszy w realnym życiu.

Komisarz Marek Koziół przedziera się przez zarośla, krzaki, przedziera się przez poraniony las, przez opuszczony, połamany las. Jego nogi idą według wskazówek z telefonu. Gdzieś z boku Komisarz Koziół słyszy rzekę, to Białucha, rzeka cicho tańczy gdzieś koło nich, koło Komisarza Koziół i koło kilku policjantów idących wraz z nim. Jakiś ptak, czarny, z czerwonym dziobem podrywa się do lotu z zarośli, znika w oddali. Dochodzą do starego drewnianego domu,

teraz już spalonego domu bez dachu, bez nadziei. Wchodzą, w środku na ścianach, na ścianach z popiołu, z sadzy, wiszą krzyże, drewniane krzyże zrobione z gałęzi drzew z lasu. Krzyże są nierówne, popękane, niektóre wiszą nienaturalnie na ścianach, po skosie, inne są zakrzywione jak ręce kogoś, kogo zmogła kiedyś choroba, choroba nieuleczalna.

- Dużo tych krzyży – stwierdza Komisarz Koziół.

- Dziwny ten dom, dziki, szorstki, brak w nim ciepła, nadziei – mówi mały, lekko barczysty policjant.

- Ktoś, kto w nim kiedyś mieszkał, musiał w coś wierzyć, musiał bardziej i mocniej wierzyć w to coś, co go tak oddaliło od świata, od ludzi.

- Może zbliżyło – mówi drugi policjant, policjant wysoki z oczami jak niebo, jak błękit nieba nad morzem.

- Niektórych ciemność do czegoś zbliża, innych oddala. Liczy się skala tej ciemności w człowieku. W jego duszy.

Wychodzą z domu, bardziej ruiny niż domu. Rozglądają się. Otaaczają dom swoimi spojrzeniami. Są jak stado hien, które za chwilę pożre swoją ofiarę, zniszczy ją strachem, który przeniknie tę ofiarę od środka. Przeniknie teraz, od razu.

Komisarz Koziół coś zauważa. Podchodzi do bocznej ściany domu, klęka. Na jego twarzy pojawia się uśmiech.

- Głos miał rację. Wskazówki tego głosu były właściwe.

O spaloną ścianę domu opiera się obraz Matki Boskiej, obok leży martwy pies. Komisarz Koziół bierze obraz do ręki, podnosi go. Przygląda się twarzy matki Boskiej. Na obraz Matki Boskiej pada promień słońca z nieba, promień który przedarł się przez cień lasu. Oczy Matki Boskiej ożywiają się na moment. Oczy Komisarza Koziola są zdziwione.

- Niektóre obrazy noszą w sobie życie, nawet po śmierci – mówi Komisarz Koziół i podaje obraz niskiemu policjantowi.

Wracają. Idą wzdłuż rzeki Białuchy. Na jednym z zakrętów zauważają drzewo nachylone niczym starzec nad rzeką, na jego gałęzi wisi lina. Komisarz Koziół się uśmiecha. Coś z przeszłości do niego wraca. Dzieciństwo. Coś, co zawsze zostawia dobry ślad w człowieku, jeśli dzieciństwo jest właściwe, mądre, spełnione. Bez żadnych skaz i rys. Pęknięć.

Kiedys on i jego koledzy bujali się na takiej linii nad rzeką. Byli wtedy tacy szczęśliwi, inni niż teraz. Teraz coś ich zmieniło. Czas, może życie, może oni sami się zmienili, bardziej dostosowali, żeby jeszcze mocniej dopasować się do świata, do ludzi.

Czasami mieli ze sobą w lesie nóż, wbijali go w drzewo, rzucali nim w kierunku drzewa. Byli wtedy tacy dzicy, nieobliczalni. Wierzyli, że siłą można więcej zdobyć, więcej niż głową, rozumem. Więcej niż wiedzą, która jest ukryta w tym rozumie.

Chodzili po starych bunkrach, ukrytych w zaroślach nad rzeką. Ta stęchlizna, ten kurz, te porysowane ściany są w nim aż do dzisiaj. Czasami myśli, że te ściany to teraz jest jego dusza. Też jest tak popękana, brudna, porysowana czymś, czego nie można niczym zamałować, ani czynami, ani myślami. Ani samym sobą.

Czasami w lecie, w nocy, wsiadali na rowery i jechali do Parku Jordana, tam pomiędzy drzewami, tuż przy samym metalowym ogrodzeniu jeździli w nocy, i tylko światła roweru były świadkiem tego co się tam działo. A oni pędzili z tymi zapalonymi światłami z dynama przed siebie, byle do przodu. Byli jak duchy. Coś widzieli, czegoś nie widzieli, od czegoś uciekali, coś ich czasami goniło. Wtedy, w nocy, ich serca były takie niespokojne, takie żywe w tym niepokoju, który do nich docierał po czasie, dopiero w domu. I tego niepokoju teraz Komisarzowi Koziółowi brakuje najbardziej. Niepokoju zanurzonego w nocy, w ciemności.

Ciemność też może ocierać się o jakąś jasność, pomyślał nagle Komisarz Koziół.

Gdy było lato, było słońce, był czas, grali w piłkę nożną, grali w hokeja gumową piłką na betonie, koło dwóch piaskownic, przed blokiem. Ciągłe chcieli w coś grać, chcieli zwyciężać. Ich ciała powoli przygotowywały się do walki, do skutków tej walki w prawdziwym życiu.

Grali też na pieniądze w ściankę, w dołek. Zwycięzca mógł się poczuć ważny, jeśli wygrał. Choć sumy nie były duże wola zwycięstwa dodawała wartości monetom, dodawała siły temu kto zwyciężył.

Komisarz Koziół, wtedy jeszcze chłopiec, gdy była sobota, gdy nie miał co ze sobą zrobić jechał na rynek. Chodził po sklepach muzycznych na ulicy Floriańskiej, na rynku, na ulicy Karmelickiej,

przyglądał się płytom, kasetom, plakatom, wierzył, że muzyka coś może zmienić w jego życiu. I zmieniła.

Czasami chodzili na flipery na rynek, na gry elektroniczne, wtedy dopiero raczkujące, dopiero przed swoim prawdziwym przebudzeniem, które dopiero miało nadejść za kilka lat. Flipery były też w garażu, na ich osiedlu, ale pomiędzy domami jednorodziennymi. Trzeba było tam dojść, a to trwało, trzeba było grać w garażu, a to trwało, trzeba było wrócić, a to trwało. Wtedy czas był inny, bardziej cenny niż dzisiaj.

Raz na ich osiedle przyjechało wesołe miasteczko. Stało tam, gdzie teraz są garaże. Była strzelnica, na której strzelało się do patyczków. Krzywe lufy wiatrówek, mało kto wygrywał badziewne nagrody. Była też fala, karuzela łańcuchowa, samochodziki i kupowanie żetonów w kasie. Raz Komisarz Kozioł, wtedy jeszcze chłopiec, poszedł na wesołe miasteczko wieczorem, była prawie noc. Jasne światła wesołego miasteczka atakowały granatowe niebo swoim blaskiem. Wsiadł do fali. Jechał. Góra, dół, miasto pełne światła. Góra, dół, miasto krzyczy poprzez zbyt ostre ślady swojego istnienia, jasne ślady. I nagle, gdy był na samej górze karuzela stanęła. Nie bał się. Całe miasteczko stanęło na chwilę. Zamarło. I wtedy, właśnie wtedy, na samej górze, na samym szczycie, Komisarz Kozioł, wtedy jeszcze chłopiec, mógł bardziej przyjrzeć się miastu w nocy, mógł bardziej przyjrzeć się swojemu życiu. Zauważył wtedy, że zgiełk, hałas, mrok, czasami też gubi się w świetle, gdy doda się do tego zgiełku, hałasu, mroku odrobinę światła, odrobinę jasnych punktów, czasami prawie niewidocznych, i przez te małe odłamki światła wszystko jest inne, lepsze, wszystko jest bardziej wyraźne i oczywiste. Bo światło, nawet niewidoczne, zawsze przebija się przez mrok w człowieku, ale tylko wtedy, gdy na chwilę staniemy, zatrzymamy się, ale tylko wtedy, gdy jesteśmy przez chwilę na górze, pomiędzy światłem, pomiędzy mrokiem.

Komisarz Kozioł otwiera oczy. Uśmiecha się. Doszli w końcu do samochodów zaparkowanych przy kościele.

Przeszłość to piękna rzecz, gdy ociera się o dzieciństwo, dobre dzieciństwo. O dobre wspomnienia.

Jest w tym miejscu, a jednak go tam nie ma. Chce być gdzie indziej, ale wie, że już nigdy nie będzie gdzie indziej. Nie będzie teraz, nie będzie nigdy.

Jeden cios, przeciwnik unika ciosu, drugi cios, przeciwnik cofa się do tyłu i trzeci cios, ten cios dochodzi do głowy niemieckiego Żyda, i w końcu ten Żyd pada na ziemię, nie podnosi się. Niemieccy oficerowie klaszczą, wymieniają się pieniędzmi, zakłady, coraz większe pieniądze są stawiane na niego w obozie Auschwitz.

- Dobra robota – podchodzi do niego niemiecki oficer, kapitan, jego blond włosy, niebieskie oczy uśmiechają się do niego. – Znow dzięki tobie wygrałem duże pieniądze.

Bokser wraca do swojego bloku. Kładzie się na drewnianym, brudnym łóżku i stara się zasnąć.

Walczę, by przeżyć, walczę, by przetrwać, myśli cicho, tak tylko do siebie. Nie jestem tym, kim chcą żebym był. Chcę tylko przetrwać, pomimo zła które mnie tak szczelnie otacza. Niszczy. Nie mogę nic zrobić z tym złem, więc staram się w tym źle uczestniczyć jak najmniej, jak najrzadziej. Nie jestem tym, kim chcą żebym był. Bokser zasypia, ucieka w niepamięć.

Kuchnia, tam go dali, żeby miał siły walczyć. Wcześniej pracował w kamieniołomie, nie miał tam żadnych sił na cokolwiek, a już na pewno nie na walki bokserskie. Ktoś go zauważył, rozpoznał. I tak walczy co jakiś czas. Więźniowie trzymają liny, tak wygląda ring bokserski w Auschwitz. Żołnierze niemieccy i oficerowie właśnie jemu kibicują. Stoczył już trzydzieści walk, przegrał tylko jedną. Był wtedy chory, słaby, ale kazali mu walczyć. Przegrał. Myślał, że pójdzie za to do gazu. Ale mu wybaczyli. Ostatni raz wybaczyli.

Druty kolczaste pod prądem, wieżyczki, na nich żołnierze, bloki zimne, nieogrzewane, ciągły głód, nieustanny, śmierć na każdym kroku i ten strach, strach paraliżujący. Strach, że żyjemy, strach, że za chwilę nie będziemy już żyli. I to okrucieństwo dla zabawy, okrucieństwo niezrozumiałe dla niego.

Wczoraj widział jak kapitan zabija przy nim dziecko. Bo coś upuściło. Kapitan był pijany. Zapamiętał jego oczy, jego uśmiech. Śmiał się i śmiał. Z tego, jak beładnie upadł ten chłopczyk na mokrą ziemię.

I wtedy coś w nim pękło. Ukarze kapitana. Wie, że czeka go za to śmierć. Ale czy umrze jutro, czy dzisiaj, i tak nie ma dla niego żadnej nadziei. Albo przegra kiedyś i umrze, albo się nim znudzą i też wtedy umrze. Kapitan postawił na niego duże pieniądze w kolejnej walce. Bokser chce zobaczyć jak znika uśmiech z twarzy kapitana, znika na jego oczach. Znika uśmiech, który zabił tego małego chłopca.

Ring, walka, krzyki żołnierzy, bokser upada, krwawi jego prawe oko, wstaje, znów upada, kapitan podchodzi do ringu, coś krzyczy do niego i wtedy na twarzy boksera pojawia się uśmiech, oczy kapitana błędną, już wie, że bokser przegra. Oczy kapitana przechodzą we wściekłość, w nienawiść. A potem jest kolejny cios w głowę boksera i bokser już się nie podnosi. Nie chce, nie może, nie umie, nie musi. Już nic nie musi, jego los został przesądzony.

Następnego dnia ktoś uciekł z obozu. Stoją na placu. Dziesięciu więźniów idzie za karę na śmierć głodową. Jeden więzień zostaje uratowany, jakiś ksiądz idzie za niego na śmierć. Słyszy nazwisko, Kolbe. Razem umrą w bloku 11, w bloku śmierci. Kapitan wybrał też jego na śmierć. Wybrał go świadomie. Już był mu niepotrzebny, zbędny, ukarał go za stratę swoich pieniędzy.

Siedzą zamknięci w bloku 11, siedzą nadzy. Ludzie krzyczą z rozpacz, bluźnią. Bokser podchodzi do chudego mężczyzny w okularach.

- Ksiądz Kolbe? – pyta bokser.
- Tak.
- Dlaczego to ksiądz zrobił?
- On miał żonę, dzieci, chciał żyć.
- Każdy chce.
- On chciał bardziej niż inni.
- Ksiądz go nawet nie znał.
- Tylko miłość jest twórcza. Dla Boga, dla ludzi. A ty, dlaczego tutaj jesteś?
- Wybrał mnie kapitan, za ucieczkę tego więźnia.
- Nie. Sam siebie wybrałeś. Tak mówią więźniowie.
- Bo przegrałem walkę?
- Bo chciałeś go ukarać, za to co zobaczyłeś.

- To prawda. Nie mogłem zapomnieć śmierci tego dziecka. To była bezsensowna śmierć. Łudzę się, że może teraz, ten kapitan, coś zrozumie. Ale pewnie nic nie zrozumie. Przynajmniej podjąłem próbę zmiany kogoś złego, w kogoś mniej złego.

- Chciałeś ocalić jego duszę?

- On nie ma duszy.

- Każdy ma. Nawet zło posiada duszę. Nawet zło posiada dobro.

- Na początku chciałem tylko przeżyć i udawało mi się to. Uda-
wało lepiej niż innym. Poprzez boks. Potem chciałem pomóc innym,
przynosiłem im lekarstwa, ryzykowałem. Mogłem za to zginąć. Nie
jestem kimś wyjątkowym, nie jestem bohaterem, ale coś w środku
mi mówiło, że tak trzeba, że tak muszę robić.

- Próbowałeś się w tym źle, które cię otacza, odnaleźć, po swo-
jemu.

- Wie, ksiądz, że jak walczyłem, starałem się hamować agresję,
żeby mój przeciwnik nie czuł nienawiści we mnie, nienawiści do
drugiego człowieka. Tak naprawdę walczyłem sam ze sobą podczas
każdej walki.

Z boku nich dochodzą jęki. Ludzie kaszlą, coś krzyczą przez sen.
To już kolejny dzień. Kolejny dzień głodówki. Ludzie są coraz słab-
si, coraz bardziej niecierpliwie czekają na śmierć.

- Wierzysz w Boga? – pyta Kolbe.

- Wierzę, że wszystko ma jakiś sens, jakieś znaczenie. Teraz, gdy
odchodzę, czuję mocniej obecność kogoś bliskiego koło siebie.

- Jak silna jest ta obecność?

- Bardzo silna.

- To dobrze, że ją czujesz. On patrzy się na ciebie. Teraz już z
bliska. Jesteś jego dzieckiem, zagubionym, ale dzieckiem.

- Mam szansę na niebo?

- Każdy ma. Ale uwierz, teraz, dzisiaj, że niebo istnieje, że On
istnieje.

- Wierzę – bokser jest coraz słabszy, patrzy się z lękiem na twa-
rze ludzi obok. Część z nich już nie żyje. Ich twarze są jak maski,
puste, wychudzone maski.

Kolbe jest oparty o ścianę, zaczyna się na głos modlić. Ci, co
jeszcze żyją, modlą się wraz z nim. Bokser też się modli. Modlitwa

przynosi mu ulgę, daje jakąś nadzieję. Potem Kolbe śpiewa pieśni do Matki Najświętszej, coraz cichsze głosy śpiewają wraz z nim

Bokser zamyka oczy, jest coraz słabszy. Czuje jak jego ciało powoli ucieka od niego. W oddali wciąż słyszy głos Kolbego, jak śpiewa na głos, jak się modli. Głos Kolbego jest jednak coraz słabszy.

Bokser czuje, że zmęczenie powoli ucieka od niego. Koniec tego zmęczenia jest bardziej tam niż tutaj. Bokser myśli o swoim dzieciństwie, o dobrym dzieciństwie. Kiedyś miał szansę być lepszym człowiekiem, dobrym człowiekiem, ale tej szansy do końca nie wykorzystał. Nie pozwoliły mu na to złe czasy, źli ludzie. Złe czasy, źli ludzie niszczą dobro w człowieku, niszczą nieodwracalnie. Powoli, ale nieodwracalnie.

Bokser, po raz ostatni, resztką swoich sił otwiera oczy. Widzi Kolbego, widzi jego otwarte oczy, widzi jak Kolbe siedzi oparty o ścianę, siedzi prawie nieobecny, jeszcze oddycha, ale powoli, ale sennie, widzi jak ktoś do Kolbego podchodzi, oczy Kolbego się otwierają szerzej, jeszcze widać w nich życie, resztki życia, widzi jak ten ktoś robi zastrzyk Kolbemu, zastrzyk z trucizną, to fenol, widzi jak Kolbe powoli przestaje oddychać. Zanim gaśnie ostatni oddech Kolbego, bokser słyszy, albo wydaje mu się, że słyszy, jak Kolbe szepcze „Tylko miłość jest twórcza. Tylko miłość może obudzić dobro w człowieku. W każdym człowieku”. Potem bokser widzi jak ten ktoś, kto zrobił zastrzyk Kolbemu zbliża się do niego. Widzi cień nad sobą. Widzi strzykawkę, czuje strzykawkę, czuje jak serce powoli przestaje mu oddychać. Czuje ulgę, serce zamiera w nim powoli, zmienia się w ciszę.

Komisarz Koziół budzi się. Zły sen, sen prawdziwy, realny, taki rzeczywisty. Przez chwilę oddycha niespokojnie w łóżku, potem uspokaja swój oddech. Idzie do lodówki. Zimny sok pomarańczowy, chwilowa ulga, a potem Komisarz Koziół idzie do łóżka. Gdy się kładzie, spogląda za okno. Widzi księżyc, a potem chmury zachodzą na jego jasną poświatę. Komisarz Koziół szerzej otwiera oczy. Chmury na tle księżyca mają kształt rękawic bokerskich. Potem chmury znikają, Komisarz Koziół idzie dalej spać. Już nic mu się nie śni aż do rana. Już nic nie zakłóca jego myśli, jego oddechu.

Szaleństwo w nim dojrzywało cicho, niezauważalnie. Rosło powoli od jakiegoś czasu. Kielkowało w głowie jak korzenie drzewa. Głębiej i głębiej, jakby chciało osiąść jakąś tajemnicę, jakby chciało czegoś dotknąć, zbliżyć się do czegoś niebezpiecznego na zbyt bliską odległość. Odległość ocierającą się prawie o ogień. O jakiś żar. Żar zanurzony w wulkanie na jakiejś wyspie, wyspie bez żadnych oznak lądu, lądu widocznego nawet z oddali.

Na początku nie zdawał sobie sprawy, że to coś nieodgadnionego, niezrozumiałego śpi w nim cicho. Śpi, a jednak czuwa. I to czuwanie jest jak jakaś bomba, bomba z opóźnionym zapłonem. I ten zapłon kiedyś się obudzi, obudzi w najmniej spodziewanym momencie. Bo złe rzeczy zawsze budzą się w człowieku w najmniej spodziewanym momencie.

Gdy szedł na spacer, jak zawsze, wieczorem, szedł ze swoim psem, przyjacielem, jedynym przyjacielem jakiego miał od jakiegoś czasu, bo żona odeszła w mękach choroby dwa lata temu, i został mu już tylko ten pies, jedyna nić łącząca go jeszcze z żoną, i podczas tego wieczornego spaceru wszedł na pasy, był jeszcze mrok, nie noc, mrok, widoczność już była ograniczona, i usłyszał wtedy, podczas tego wieczornego spaceru, spaceru który później tak zmienił jego życie nieodwracalnie, usłyszał pisk opon, usłyszał jak jego pies uderza o coś metalowego, usłyszał jęk swojego psa, jego ostatniego przyjaciela na tym świecie, a potem spojrzał w oczy swojego psa, oczy odchodzące w dal, w ciemność, i wtedy z samochodu wyszła kobieta, przepraszała, coś cicho mówiła, i wtedy, właśnie wtedy, gdy spojrzał w oczy tej kobiety, zobaczył, że jej twarz przypomina twarz Matki Boskiej, a potem już nic nie pamiętał, ocknął się dopiero w domu. Siedział samotnie na tapczanie i patrzył się w wiszący obraz Matki Boskiej na ścianie.

- To twoja вина – powiedział do obrazu.

I wtedy, właśnie wtedy, poczuł, że szaleństwo ma nad nim władzę. Ma taką władzę jakiej nie miał wcześniej nikt inny. Władzę absolutną, ostateczną.

A potem już tylko wychodził z domu z nienawiścią w oczach i nagle tracił świadomość. Nic nie pamiętał. A gdy już wracała do niego świadomość miał w rękach obraz Matki Boskiej, a obok obra-

zu był martwy pies. Czuł się wtedy lepiej, ale czuł się też niepewnie. Niepewność nie potrafiła go doprowadzić do świadomości, do przeszłości, do jakiegokolwiek odpowiedzi, jak się tutaj znalazł? skąd ten obraz? co wyraża śmierć psa tuż koło niego? I tak było co jakiś czas. Niepamięć, ulga, niepewność. Czas mija. Znowu niepamięć, ulga, niepewność. Czas ucieka. Niepamięć, ulga, niepewność. Świadomość, że to się nigdy nie skończy. Nie skończy dobrze. Nie skończy ostatecznie.

W domu, w kształtach i płaszczyznach jego domu zaległy się wspomnienia. Próbował je usunąć. Usunąć za wszelką cenę. Nic nie pomagało. Ani wietrzenie, ani otwieranie okien, ani wynoszenie zbędnych rzeczy na śmietnik.

Zdjęcia, tak wiele zdjęć. Zapakował je do kartonu i zaniósł do piwnicy. A tam, w tej piwnicy, od dawna nieodwiedzanej, był tylko kurz, pajęczyny, ciemność.

- Tutaj będzie wam dobrze, tutaj będzie wam inaczej – powiedział do kartonu ze zdjęciami i zamknął piwnicę na zawsze, ostatecznie.

Potem została mu tylko cisza w domu. Cisza po samym sobie. Cisza, która miała być z nim aż do końca. Bo cisza zostaje z człowiekiem na zawsze, zostaje wtedy, gdy tracimy rzeczy ważne, rzeczy ostateczne.

Głos księdza w słuchawce, głos w którym słyszać obawę, jakiś lęk.

- Proszę przyjechać, natychmiast.

- Jest teraz w kościele? – pyta Komisarz Kozioł, pyta cierpliwie, ale stanowczo.

- Tak. Przychodzi tutaj co jakiś czas. Zawsze modli się przed obrazem Matki Boskiej. Jest taki nieobecny, jakby był gdzieś daleko, jakby jego dusza uciekała w nieznane rejony jego myśli. I ta krew...

- Jaka krew?

- Czasami ma na rękach jakieś czerwone plamy. Kiedyś podszedłem bliżej do niego, usiadłem obok, udawałem, że się modlę, ale on nawet na mnie wtedy nie spojrzał, był w jakimś transie, w jakimś otępieniu, i wtedy zauważyłem te czerwone plamy. To chyba była krew, zakrzepła krew.

- Dobrze, zaraz przyjedziemy, proszę go obserwować. Ale z od-
dali. Ale ostrożnie.

Wjechali na dziedziniec Wawelu z dwóch stron. Wjechali cicho,
prawie niezauważalnie. Podeszli do kościoła na Wawelu, weszli
ostrożnie. Mężczyzna siedział, bardziej klęczał niż siedział przed
obrazem Matki Boskiej. Podeszli do niego, Komisarz Kozioł usiadł
koło niego, spojrzał na niego z uwagą.

- W końcu mnie znaleźliście – powiedział mężczyzna. – Męczyła
mnie ta niepewność, ta niecierpliwość we mnie. Niecierpliwość
ocierająca się o niepewność. Niepewność, co się ze mną dzieje, gdy
nic nie pamiętam?

- Czekaleś na nas?

- Od dłuższego czasu czekałem na odpowiedź. I to czekanie mnie
męczyło. I ten strach, co będzie, gdy w końcu znajdę odpowiedź na
swoją niepamięć – mężczyzna na chwilę zawiesił głos, potem spytał.
– Pan zna odpowiedź?

- Znam – rzekł Komisarz Kozioł. – Znam ją dobrze, i ta od-
powiedź jest dla mnie zaskakująca, tak jak dla pana.

- Życie nas zaskakuje, ludzie nas zaskakują, czasami my sami za-
skakujemy siebie najbardziej.

Wyszli z kościoła. Ksiądz stał na zewnątrz. Mężczyzna wszedł do
policyjnego samochodu. Komisarz Kozioł podeszedł do księdza.

- Dziękuję.

- Za co pan dziękuje?

- Za odwagę. Za czujność. Za skutki tej czujności w prawdziwym
życiu.

Podali sobie ręce, uśmiechnęli się do siebie.

- To koniec?

- Koniec czego?

- Koniec zniknąć obrazów?

- Myślę, że tak. Każda zagadka ociera się o jakąś tajemnicę. Ta-
jemnicę wymieszaną ze szczęściem, że to, co ktoś robi, wbrew so-
bie, wbrew ludziom, nigdy nie wyjdzie na światło dzienne. Ale każ-
dy popełnia kiedyś błąd, bo człowiek składa się z nieustających błę-
dów. I ten błąd zawsze jest jakąś odpowiedzią na każdą tajemnicę.
Nawet tajemnicę na początku niewytłumaczalną.

Samochody ruszyły, wyjechały główną bramą z Wawelu, potem jechały wzdłuż Plant, koło Poczty Głównej, a następnie skręciły w ulicę Lubicz, na posterunek policji.

Mężczyzna przez całą drogę milczał, nic nie mówił. Tylko jego głowa rytmicznie się kołysała w samochodzie, w rytm ruchu pojazdu.

Wieczorem, w jego mieszkaniu znaleźli kolejny obraz, skradziony z kościoła przy ulicy Sławkowskiej. Obraz zabezpieczono. Mężczyzna się przyznał, choć nic nie pamiętał z tych momentów, gdy był innym człowiekiem, gdy nie był wtedy sobą. Mówił, że niebycie sobą go drażniło. Nie potrafił wtedy siebie zrozumieć, żadna odpowiedź nie dawała mu satysfakcji, odpowiedź dotycząca jego niepamięci.

- Niepamięć pomaga, gdy cierpimy, niepamięć pomaga, gdy coś tracimy, niepamięć pomaga, gdy ból jest nie do zniesienia – powiedział Komisarz Koziół i zamknął tę sprawę na zawsze. Potem się uśmiechnął i poszedł do domu na piechotę, bo była noc ciemna, inna, bardziej wyraźna niż zazwyczaj.

Obraz, noc. Obraz, cień. Obraz, brak kształtu. Obraz, oddech. Obraz, brak oddechu.

Komisarz Koziół szerzej otwiera oczy. Jest w swoim pokoju. Oddech ma poszarpany, nierówny, niepewny. Ostatnio jego oddech jest taki nierówny, taki niepewny. Niepewny tak jak niepewny jest los matki z dzieckiem podczas wojny, gdy wróg jest u bram miasta i nie ma już gdzie dalej uciekać.

Za oknem pojawia się światło. Wstaje nowy dzień. Komisarz Koziół budzi się, ubiera się, myje się i wychodzi do pracy, bez śniadania. Wie, że dzisiaj będzie ciężki dzień. Rano będą musieli aresztować starca mędrca gdy będzie przemawiał na rynku. Będzie tam tłum ludzi, będą turyści, staruszki, będą modlitwy i będzie na pewno chaos i zgiełk. Starzec mędrzec pieniądze, które zbierał na pomnik Matki Boskiej wpłacił na własne konto, i tam teraz tych pieniędzy nie ma. Zniknęły. Będzie trzeba to wyjaśnić. Nikt nie wie gdzie mieszka starzec mędrzec, gdzie chodzi starzec mędrzec. Jedyne możliwości go zatrzymać, to tam, na rynku, wśród krzyków, modlitw, wśród przekleństw na policję.

- Piątki nigdy nie są łatwymi dniami – mówi Komisarz Koziół do siebie. – Piątki coś kończą, coś zaczynają. W piątki ludzie błędzą, znikają, uciekają w najdalsze zakamarki swojej duszy. A potem już nigdy nie mogą się dalej odnaleźć. Ani w sobotę, ani w niedzielę. Ani w przyszłości. Tej bliższej. Tej dalszej.

Policja przedziera się w kierunku starca mędrca. Tłum coś krzyczy, tłum coś tłumaczy. Gdy są już prawie przy nim, tłum staruszek tworzy kordon, mur obronny.

- To święty! – krzyczą staruszki. – Prawie święty! On widzi więcej niż inni!

Policja w końcu dociera do starca mędrca, zdejmuje go z podestu. Starzec mędrzec nie protestuje. Nad rynkiem zbiera się wiatr, małe załazki burzy. Gołębie wpadają w panikę, tłum cały czas faluje, tłum krzyczy. Ptaki zaczynają wariować. Porywają ze straganów łańcuszki z Matką Boską, różańce i unoszą je w górę. Starzec mędrzec nic nie mówi, tylko się na to cicho patrzy.

- To znak! – krzyczą staruszki. – To znak od Boga!

Ptaki nerwowo latają nad pomnikiem Adama Mickiewicza, w dziobach mają różańce. Gdy jakiś różaniec wypadnie ptakowi z dzioba, inny go zaraz chwytą w powietrzu, i znów leci z tym różańcem do góry. Łańcuszki błyszczą w świetle dnia. Widać je na drzewach koło kościoła Świętego Wojciecha. Wiszą na gałęziach, tam je ptaki rzucają podczas lotu.

- Takie są skutki latania z czymś świętym! – krzyczą staruszki rozpaczliwie.

Policja przedziera się przez tłum wiernych. Nagle starzec mędrzec szerzej otwiera oczy. Jego usta zaczynają drżeć, po chwili nad głowami wiernych unosi się głos. Głos donośny, potężny, jakby głos nie z tego świata.

- W południe ciemności ogarną ziemię! A po trzech godzinach, w godzinę śmierci Syna Bożego, udam się do niego! Pan mnie wzywa! Odejdę wśród ciemności, odejdę gdy ziemia zadrży, aby mnie pożegnać z tym światem!

Starzec mędrzec znika w samochodzie policji. Odjeżdżają z rynku. Ptaki się uspokajają. Staruszki zbierają łańcuszki, obrazki, różańce rozrzucone po całym rynku przez wiatr, przez ptaki. Tłum, obcy ludzie im pomagają.

- Coś się skończyło – mówi jedna ze staruszek. – Coś się zaczęło – po chwili dodaje cichym, przestraszonym głosem.

- O czym on mówił? – pyta kierowca policyjnego samochodu.

- W piątek o piętnastej zmarł Jezus Chrystus na krzyżu – mówi Komisarz Koziół. – On dzisiaj też chce odejść. Ciekawe jak?

- To szaleniec. A szaleńcy to ludzie inni, dziwni. Żyją na pograniczu dwóch światów. I te dwa światy często się łączą, przenikają i nigdy nie wiadomo, który świat jest prawdziwy, a który jest tylko naszą wyobraźnią.

- Szaleństwo jest jakąś formą ucieczki z tego świata. Ucieczki, która daje ludziom jakąś nadzieję, gdy tej nadziei potrzebują już teraz, już dzisiaj.

Starzec mędrzec siedzi w celi na stołku, patrzy się w okno, w okno zakratowane, surowe, obce. Za oknem jest jakaś jasność, jest jakieś słońce.

Co chwilę do jego celi zagląda policjant. Patrzy się na niego, na jego plecy, na usta, teraz już milczące. Potem policjant wraca do swojego pokoju. Tam siedzi Komisarz Koziół, myśli, milczy.

- I jak? – pyta Komisarz Koziół.

- Nic nie mówi. Jego usta są zamknięte, ściśnięte, jakieś twarde. Jego oczy się cały czas modlą, na coś czekają.

- Która jest godzina?

- Dochodzi dwunasta. Za minutę.

Komisarz Koziół podchodzi do okna, patrzy się na park, który jest naprzeciwko posterunku. Patrzy się na drzewa, na ptaki na niebie. Na ludzi spacerujących powoli po tym parku.

Nagle niebo się ściemnia. Chmury pojawiają się nad miastem. Ciemne chmury. Wzmaga się wiatr. Jest burza, nie ma burzy. Tylko ciemność, tylko mrok. Miasto staje się ciemnym tunelem bez żadnego światła ostrzegawczego.

- Co to jest? – pyta Komisarz Koziół. – Jakaś pustynna burza, burza bez piasku. Burza bez błysków. Burza zanurzona tylko w ciemności, tylko w mroku.

Policjant podchodzi do Komisarza Koziola. Teraz razem patrzą na ciemność w ciągu dnia.

- Dwunasta godzina – zamyśla się Komisarz Koziół, a potem idzie do celi starca mędrca.

Starzec mędrzec klęczy przed oknem. Modli się. Ma oczy zamknięte, nieobecne.

- Obserwuj go – mówi Komisarz Koziół do policjanta. – To wszystko jest jakieś dziwne, tajemnicze.

O piętnastej Komisarz Koziół poczuł lekkie drżenie ziemi. Jego ciało zadrżało wraz z tym drżeniem ziemi. Po chwili, za oknem, ciemności ustały. Na niebie pojawiło się słońce. Do pokoju wszedł nerwowym krokiem policjant.

- Musisz coś zobaczyć.

Wchodzą do celi starca mędrca. Jego ciało leży na podłodze, na plecach. Jego ręce są rozłożone na boki, a nogi są ze sobą złączone. Wygląda jakby wisiał na krzyżu. Z jego nadgarstków i ze złączonych stóp cicho płynie krew.

- Żyje? – Komisarz Koziół pochyla się nad starcem mędrcem.

- Tak. Oddycha, ale jest nieprzytomny, nieobecny.

Lekarz, który przybył po trzydziestu minutach zbadał starca mędrca. Jego oczy są zdziwione.

- Żyje, oddycha, ale jest w jakiejś śpiączce.

- Co to oznacza dla niego?

- Nie ma z nim żadnego kontaktu. Może się obudzić kiedyś, może się obudzić nigdy. Jego dusza jest gdzieś daleko, jeśli uwierzymy, że człowiek ma duszę.

- Mówił, że Bóg go wzywa. Że odejdzie w godzinę śmierci Syna Bożego.

- O piętnastej? – pyta lekarz.

- Tak, o piętnastej. I ta ciemność. Ten mrok nad miastem. I to trzęsienie ziemi. Ziemia zadrżała. Czuł pan to?

- Tak, czułem – stwierdził lekarz.

- Co z nim możemy zrobić?

- Musimy czekać. Może kiedyś do nas wróci, może nie wróci nigdy. Niektórzy ludzie nigdy nie wracają, bo może nie chcą. Bo może tam jest im lepiej. Tam, czasami oznacza lepiej, niż tutaj.

Do celi wchodzi drugi policjant. Patrzy się na starca mędrca i mówi:

- Sprawdziłem dokładnie jego konto bankowe.

- I co odkryłeś?
- Pieniądze się znalazły. Znikły z jego konta, ale się znalazły.
- Gdzie?
- Poszły na operację małej dziewczynki, z domu dziecka.
- Jakiej dziewczynki? – pyta Komisarz Koziół.
- Miała wadę serca. Gdy zapadała w sen, gdy zasypiała, to wtedy, prawie każdej nocy rozmawiała z Matką Boską, tak mówiła. Matka Boska była zawsze nad jakąś rzeką, tam się spotykały. Co noc, prawie każdej nocy. Zaprzyjaźniły się ze sobą. Tak mówiła dziewczynka. Matka Boska powiedziała dziewczynce, że jej pomoże, przez kogoś kto jest tutaj na ziemi. Żeby się więcej już nie bała śmierci.
- I on, te pieniądze, przełał na jej operację?
- Tak, nie ukradł ich. Chciał jej pomóc. I chyba pomógł. Operacja się udała. Dziewczynka żyje, ale już nie śni, nie śni tak jak wcześniej. Przestała widzieć Matkę Boską w snach. Teraz żałuje, że przeszła tę operację. Wolałaby jej nie mieć i dalej w snach rozmawiać z Matką Boską.
- Uratował ją – zamyślił się Komisarz Koziół.
- Nie tylko on. Inni też dali na tę operację, ale on najwięcej. Te jego przemowy na rynku, wierni chętnie dawali mu pieniądze. Wierzyli, że jest jakimś prorokiem. Jakąś nadzieją.
- Ludzie potrzebują nadziei w tych trudnych czasach. Nadziei, że coś ma sens, że jakiś cel się pojawia poprzez tę nadzieję, że coś można zmienić w życiu, jeśli tej nadziei będziemy się trzymać wystarczająco długo, wystarczająco mocno.
- Nadzieja zawsze trzyma ludzi przy życiu – mówi lekarz i wychodzi z celi. Po chwili dwaj pielęgniarze kładą ciało starca mędrca na nosze i wychodzą z celi.

Od jakiegoś czasu Komisarz Koziół wciąż czuje się zmęczony. Budzi się już zmęczony, przez cały dzień czuje się jak człowiek zmęczony. Żyje jak człowiek umęczony. Udręczony. Udręczony sobą, udręczony życiem, które go coraz mocniej osacza. To tylko praca, myśli Komisarz Koziół, to ta zła praca. A jeśli nie praca, to co? To może życie? To może przeszłość, którą chce jakoś zakończyć, połączyć z teraźniejszością poprzez zemstę? Czy to mi pomoże, nie wiem? Na pewno mnie to jakoś napędza do przodu, jeszcze

napędza do przodu. Ale co będzie dalej? Czy jest jeszcze dla mnie jakieś dalej? Nie każdy ma szansę mieć jakieś dalej tylko dla siebie. Nie każdy zasługuje na jakieś dalej. Czy jestem kimś wyjątkowym, i w swojej łaskawości los podaruje mi jakieś dalej, tego nie wiem, i nie wiem też, czy się dowiem co będzie dalej w niedalekiej przyszłości. Bo to zmęczenie, ta obojętność wobec tego zmęczenia, może nie dać mi żadnej szansy, żeby się dowiedzieć, czy dalej będzie mnie dotyczyć teraz, czy będzie mnie dotyczyć kiedyś?

Komisarz Koziół idzie Plantami. Zbliży się wieczór, nie noc, wieczór. Na ławce widzi bezdomnego pijaka. Pusta butelka stoi koło ławki. Oczy bezdomnego są puste, są tak puste jak pusta jest jego butelka. W oczach bezdomnego widzi nokaut, taki nokaut, który go kiedyś powalił tak mocno, że później już nie miał siły się podnieść z tego nokautu. Nie miał siły się podnieść na dłużej.

Komisarz Koziół podchodzi bliżej do bezdomnego. Bezdomny podnosi swój pusty wzrok, i przez ten pusty wzrok Komisarz Koziół nic nie widzi, nie widzi nic co ma jakieś znaczenie, nie widzi nic co nie ma już żadnego znaczenia.

Komisarz Koziół klęka, bardziej kuca niż klęka przy bezdomnym, podaje mu rękę. Bezdomny zaczyna drżeć. Z zimna, ze strachu, może z bliskości, której już nigdy się nie spodziewał od nikogo.

Granatowe oczy bezdomnego mówią, że nic od jakiegoś czasu mu się nie udało. Nie udało, bo kiedyś był mało czujny i przegapił zakręt, właśnie ten zakręt, z którego później tak szybko wypadł z drogi, a może po prostu kiedyś nie zauważył swojej szansy, bo przecież każdy w życiu ma choć jedną szansę. I ta szansa mu gdzieś uciekła, zbyt szybko odeszła na zbyt dużą odległość. A świat składa się przecież z ludzi, którzy nigdy nie wykorzystują swoich szans. Bo ich po prostu nie zauważają. Nie chcą zauważyć. Ze strachu, z obawy, że te szanse coś mogą zmienić w ich życiu. Zmienić nieodwracalnie.

Komisarz Koziół wciąż patrzy się w oczy bezdomnego, w jego zaszklone oczy. Puszcza jego rękę. W oczach bezdomnego pojawia się ulga, zakłopotanie schowane gdzieś głęboko w tej uldze. Komisarz Koziół sięga do kieszeni, wyciąga banknot, podaje banknot bezdomnemu do ręki. Do wciąż drżącej ręki.

- Idź gdzieś odpocznij, jeśli jeszcze umiesz odpoczywać. Idź gdzieś zniknij, dla siebie, dla innych. Zniknij dla tych, którzy cię wciąż ciągną w dół. Ucieknij od nich, jeśli masz jeszcze siłę uciekać. Nie możesz wciąż tkwić na tej ławce jak jakiś posąg. Już cię nawet nikt nie zauważa. Stałeś się dla innych przeźroczysty, niewidzialny. A to najgorsza rzecz dla człowieka, gdy staje się dla innych przeźroczysty, niewidzialny.

Bezdomny, w zasadzie jego oczy, mówią, ucieknę. Ale gdzie, tego oczy nie wiedzą, na razie chcą tylko gdzieś uciec, ale niedaleko, ale powoli.

Komisarz Kozioł wstaje, odchodzi od bezdomnego. Bezdomny jeszcze chwilę siedzi, drży jak liście na drzewie podczas wiatru, a potem wstaje, odchodzi.

Z wiekiem człowiek bardziej potrzebuje innego człowieka, myśli Komisarz Kozioł. Z wiekiem bliskość ma większe znaczenie niż odrębność. Bo odrębność to młodość, nie przeznaczenie.

Komisarz Kozioł wchodzi na płytę rynku. Mija Sukiennice, Wieżę Ratuszową, mija swój cień za plecami.

Krętymi schodami schodzi w dół, wchodzi do podziemi, wchodzi tam, gdzie światło nie dociera chwilami, czasami nie dociera nigdy.

Piwnica Pod Baranami, Komisarz Kozioł lubi to miejsce, lubi tam przebywać czasami, lubi tam przebywać okresami. Okresami dobrymi w życiu, okresami złymi w życiu.

Zamawia przy barze whisky z colą, idzie do niedużej sali, siada przy małym stoliku w kącie. Cicha muzyka w tle, świece na stolikach, takie świece, które dają człowiekowi nadzieję, dają wiarę, że w każdej ciemności jest jakaś jasność, że każda ciemność niesie ze sobą jakiś sens, jakieś znaczenie. Znaczenie czasami niewidoczne, nieokreślone, ale znaczenie. Bo przecież w Piwnicy Pod Baranami jest ciągła ciemność, jest ciągle rozjaśnienie tej ciemności poprzez świece tak niepozornie tłące się przy każdym stoliku.

Komisarz Kozioł pije w lekkim skupieniu whisky. Ściany, nierówne, popękane, szare, ściany w których coś kiedyś było ważnego i w każdym pęknięciu tych ścian teraz czuć tą uśpioną ważność, czuć ją poprzez mrok, poprzez kurz cicho przenikający palące się w ciszy świece.

Komisarz Koziół mruży oczy. Ciemność. Mruży oczy, światło. Wspomnienia. Tak dużo wspomnień ma Komisarz Koziół, tak dużo oczekiwań i pragnień. Alkohol często te wspomnienia, pragnienia, oczekiwania wydobywa z niego nagle, wydobywa niezauważalnie.

Komisarz Koziół zauważa kobietę w kącie sali, też siedzi sama. Pije czerwone wino. Jest jakaś nieobecna, obca. Jakaś zagubiona. Czarne, kręcone włosy do ramion, brwi lekko podmalowane czarnym tuszem, usta czerwone, lekko nabrzmiałe w świetle świecy migającej przy jej stoliku, oczy brązowe, może czarne, z daleka tego nie widać, oczy zamyślane, głęboko schowane w jej duszy, granatowa sukienka, obcisła, aż do kostek i buty, na obcasie, czarne, ze złotymi sprzączkami.

Ta kobieta kogoś Komisarzowi Koziółowi przypomina. Jej oczy kogoś mu przypominają, kogoś z daleka, z przeszłości. O, Komisarz Koziół szerzej otwiera oczy, już wie, już rozpoznaje te rysy, rysy tak podobne do innej kobiety, do innej kobiety z przeszłości.

Kiedys, kilka lat temu, ktoś zginął, ktoś został znaleziony w bramie. Nóż, rana taka by zabić, nie nastraszyć, nie odwieźć kogoś od niebezpiecznych zamiarów.

I ta kobieta mogła coś widzieć, coś niebezpiecznego, kobieta z przeszłości. Ktoś widział ją gdy szła w momencie zabójstwa, mogła być w momencie zabójstwa w tym miejscu.

Wzięli ją z domu na posterunek. Była lekko pijana. Piękna i pijana. Dlaczego zbyt piękne kobiety, tak często są pijane? pomyślał wtedy Komisarz Koziół, gdy ją zobaczył na posterunku. Pijane przez mężczyzn, czy pijane przez życie?

Siedziała w pokoju przesłuchań, siedziała cicho, tak cicho, jakby za chwilę miała zasnąć. Kilka pytań, obudziła się z letargu na chwilę. Coś widziała, czegoś nie widziała, coś powiedziała, czegoś nie chciała mu powiedzieć.

Komisarz Koziół ją polubił, była w jakiś sposób szczerą. Trochę pomogła, niewiele, ale pomogła. Komisarz Koziół podziękował, powiedział, że może być jeszcze kiedyś wezwana i wypuścił. Kobieta odeszła, pozostał po niej tylko zapach jej perfum, dobrych perfum.

Komisarz Koziół zaniósł zeznania do sejfu i skończył pracę. Gdy wychodził zobaczył znów tę kobietę, po drugiej stronie ulicy. Stała

zagubiona. Gdy go zobaczyła, z lekkim trochę nonszalanckim uśmiechem podeszła do niego po pasach na ulicy.

- Koniec pracy? – spytała, mrużąc sennie oczy.

- Tak. Ciężki dzień. Zbyt ciężki.

- Może kawa? Wino? Coś, co sprawi, że koniec tego dnia będzie inny, lepszy.

Komisarz Koziół się waha, potem mówi:

- Dobrze. Obok tego parku jest mała kawiarnia, zapraszam.

Idą w milczeniu. On patrzy się na kobietę, kobieta się patrzy na niego. Milczą i idą. Wchodzą do kawiarni, zamawiają wino. Przez chwilę nic nie mówią, tylko się patrzą na siebie.

- Chciałam z kimś dzisiaj porozmawiać, przez smutek, przez rozpacz. Może przez obojętność – mówi kobieta cicho, a potem dodaje. – Iwona.

- Marek. Marek Koziół – odpowiada Komisarz Koziół.

- Wiesz, gdzie pracuję?

- Nie.

- Nigdzie nie pracuję. Kiedyś pracowałam, teraz już nie. Znalazłam sposób na życie. Sposób wygodny, nieuczciwy, ale wygodny.

- Jaki to sposób?

- Sponsoring. Opiekuję się mężczyznami, gdy są samotni, spędzam z nimi czas, by nie czuli się samotni bardziej niż zazwyczaj. Zagłuszam ich samotność poprzez pieniądze, które mi dają.

- Każdy żyje jak umie, albo każdy żyje jak chce – mówi Komisarz Koziół. – Nie jestem sędzią, nie jestem katem. Jestem tylko jednym z mężczyzn, których poznałaś w życiu.

- Kiedyś kogoś kochałam, w coś wierzyłam. I ten ktoś nagle odszedł. I wtedy poczułam taką pustkę w życiu – Iwona przy słowie pustka wypija całą lampkę wina, wypija ją na raz, jakby chciała te złe wspomnienia utopić w tej lampce czerwonego wina.

- Zostawił cię?

- Umarł. Wyszedł z domu i już nie wrócił. Gdy wychodził powiedział, że wieczorem ma dla mnie niespodziankę. A potem przyszedł policjant i powiedział, że to był wypadek, nikt nie jest winien, że takie rzeczy się zdarzają. Rzadko, ale jednak zdarzają. Płakałam całą noc, cały dzień i kilka dni do przodu. Aż w końcu cała miłość do niego wyszła w moim sercu, wyszła przez te łzy. I pozostał

ból, pozostały wspomnienia. Takie wspomnienia, których już później żaden inny mężczyzna nie mógł wymazać. Ani z głowy, ani z duszy. Podobno – Iwona się zamyśla – ciężiej wymazać wspomnienie z duszy, niż z głowy.

- Strata – zamyśla się Komisarz Koziół. – W moim zawodzie często widzę straty. Straty, które zmieniają dobrych ludzi w złych. Straty, które zmieniają pewne rzeczy w człowieku nieodwracalnie.

Zamawiają kolejne dwie lampki wina. A potem zamawiają całą butelkę wina. Czerwonego wina. Wina półsłodkiego z Włoch, z północnych Włoch. Z Włoch dobrze oświetlonych, jakby światło z tego kraju miało im teraz choć trochę rozjaśnić rozmowę. Jakby to światło miało im dodać otuchy przez swoją jaskrawość i ciepło schowane w tej jaskrawości.

- Ja jestem tak naprawdę od jakiegoś czasu w życiu sama. I stąd ci mężczyźni. Mężczyźni przypadkowi, mężczyźni często nic nie warci. Ale mężczyźni bogaci. Trochę samotni tak jak ja.

Stukają się lampkami wina. Uśmiechają się do siebie. Ona miała ciężki dzień, on miał ciężki dzień, ona chciała z kimś porozmawiać, on też, teraz to wie, chciał z kimś porozmawiać. Połączyło ich wino, wspólna samotność i próba ucieczki od tej samotności poprzez rozmowę z kimś bliskim. Z kimś, kto zrozumie, z kimś, kto wysłucha.

- Czasami czuję rozdrażnienie, że nie żyję tak, jakbym chciała żyć. Że żyję łatwiej i przez to łatwiej dużo tracę w życiu. Dużo tracę dobrych rzeczy. Tracę to, co każdemu się w życiu należy, należy choć raz, pragnienia.

- Ja nawet nie wiem, czego pragnę – zawstydzają się Komisarz Koziół.

Iwona nachyla się bliżej do twarzy Komisarza Koziół, a on wyraźniej czuje jej perfumy, dobre, seksowne perfumy.

- Wiesz – cicho szepcze Iwona – czego pragnę tak naprawdę kobiety?

- Nie. Nawet się tego nie domyślam – i to co mówi Komisarz Koziół jest prawdą, jest tylko jego prawdą, nie prawdą kogoś innego. Bolesną prawdą, z którą się będzie musiał zmagać aż do śmierci.

- Kobiety jedynie pragną od ukochanego mężczyzny niezbędności.

- Niezbędności – dziwi się Komisarz Koziół.

- Tak. Niezbędności. Chcemy być tylko niezbędne w waszym życiu. Chcemy, żebyście pragnęli z nami spędzać czas, chcemy śmiać się z wami, właśnie wtedy gdy wy też chcecie się śmiać, chcemy cierpieć, gdy wy też cierpicie, chcemy uciekać z wami, gdy pragniecie uciec jak najdalej od siebie, od innych, chcemy się z wami kochać, nawet wtedy gdy cierpicie i tego nie chcecie, nie chcecie w tym momencie, chcemy być w tych wszystkich momentach z wami, żebyście zrozumieli, że jesteśmy wam niezbędne. Niezbędne by oddychać, by czuć, by do czegoś dążyć. Nawet do czegoś złego. Chcemy czuć się niezbędne w waszym życiu, o to naprawdę w miłości chodzi. O niezbędnosć w chwilach gdy chcecie być sami. Zwłaszcza w chwilach gdy chcecie być sami.

- Wciąż go kochasz? – pyta Komisarz Koziół, pyta trochę pijany, trochę senny, trochę upojony zapachem jej perfum.

- Tak. Kocham go. Był i będzie jedyną miłością w moim życiu. Spotykam go wciąż w snach. Tam się kochamy, tam jesteśmy wciąż niezbędni dla siebie. Tam oddychamy poprzez nasze wspólne wspomnienia. Czasami myślę, że wspomnienia i sny to jest to samo. Dla tych, których miłość zniszczyła w przeszłości. Dla tych, których miłość wyzwoliła w przeszłości.

Wypijają butelkę wina, wychodzą z kawiarni. Ona na pożegnanie całuje go w policzek i w tym pocałunku zastyga na kilka sekund.

- Dziękuję – mówi pijanym głosem.

- To ja dziękuję.

- Musimy wierzyć, że kiedyś samotność zniknie. Zniknie na tak dużą odległość, że miłość będzie miała szansę przebić się przez tę samotność, przez skutki tej samotności w prawdziwym życiu.

Iwona odchodzi. Lekko kołysze swoimi biodrami na boki, lekko kołysze swoim ciałem w ciemności nocy.

Komisarz Koziół wraca do siebie, znów wraca do swoich rzeczywistych myśli i pragnień. Do teraźniejszości.

Odwraca wzrok od kobiety. Rozgląda się uważniej po piwnicy. W ciemnej sali twarze ludzkie są jakieś inne, kryją w sobie jakieś tajemnice. Nie widać w nich lęku, trwogi, nie widać w nich żadnych obaw. Wszystkie złe rzeczy, te rzeczy które pojawiają się w świetle, za dnia, w ciemności, w mroku, tak dobrze się ukrywają, tak dobrze

się chowają w spojrzeniach ludzi. Ciemność zawsze dobrze ukrywa złe rzeczy w człowieku, myśli Komisarz Koziół.

Nagle do sali wchodzi młody mężczyzna w granatowej sztruksowej marynarce, w dżinsach lekko pogniecionych, w białej, trochę rozpiętej koszuli. Siada przy fortepianie, bardziej pianinie niż fortepianie i zaczyna grać. Po chwili muzyka z wieży przy barze milknie, urywa się i słychać tylko grę mężczyzny na fortepianie.

Mężczyzna zamyka oczy, odchyła się lekko do tyłu i gra. Jest gdzieś daleko, jest gdzieś blisko. W jego muzyce słychać szum morza, czasami szelest liści, niekiedy ciepły wiatr tuż nad ranem. Słychać to, co jest ważne dla niego, co jest ważne dla innych.

Mężczyzna otwiera oczy, patrzy się na bok, lekko po skosie. Zauważa kobietę w kącie sali. Jego muzyka staje się inna, jakaś smutna, prawie nierozpoznawalna w tym smutku. Palce mężczyzny grają to, co czuje ta kobieta. Grają samotność, zdradę, taką zdradę, której się nie zapomina, której się nie wybacza, nie wybacza nawet po czasie. Grają płacz, prośby mężczyzny, tego mężczyzny który zdradził, prośby o wybaczenie, o takie wybaczenie, którego mężczyzna nie może dostać, bo to była przyjaciółka tej kobiety, przyjaciółka aż ze szkoły podstawowej, aż z dzieciństwa. Grają krzyki tej kobiety do tego mężczyzny, a potem grają ciszę, taką ciszę, która się pojawia gdy ktoś nagle zostaje sam w domu, w domu nagle pustym, bezbronnym, w domu bez wspomnień, takich wspomnień, które kiedyś nie raniły, a teraz tak bardzo bołą, ranią, kaleczą czyjąś duszę.

Potem mężczyzna patrzy się na dobrze ubranego bruneta w drogim garniturze. Ten mężczyzna siedzi na środku sali. Mężczyzna zaczyna grać nerwowo, jego muzyka jest poszarpana, niepewna. Słychać w niej rozczarowanie, takie rozczarowanie, które prowadzi donikąd, takie rozczarowanie, które nie ma już żadnego celu, bo coś się nagle straciło, bo coś się zaryzykowało i teraz ta strata jest nie do odrobienia. Palce mężczyzny grają stratę w interesach, stratę która miała być nadzieją, jakąś odwagą. Grają strach, strach przed przyszłością, strach przed ludźmi, którym będzie trzeba oddać pieniądze, pieniądze których ten mężczyzna nie ma i długo nie będzie mieć, bo to duże pieniądze, zbyt duże pieniądze do odrobienia w tak krótkim czasie.

Mężczyzna gra dalej, jego głowa skierowana jest na dół, jest bliżej białych i czarnych klawiszy fortepianu, jest bliżej muzyki. Głowa na chwilę zasypia, jest w jakimś bezruchu, w jakiejś innej przestrzeni.

Mężczyzna zauważa kobietę, dobrze ubraną kobietę w czerwonej obcisłej sukience, w ustach umalowanych na bordo, w czarnych długich włosach aż do ramion. Jego muzyka staje się jakaś inna, ciemniejsza, staje się nocą, ciemnością, gwiazdami. Staje się zbyt słabym światłem wydobywającym się z gwiazd pośród nocy.

Jego palce grają samotność, wstręt do siebie, do tego co ta kobieta robi dla pieniędzy, dla dobrych pieniędzy, żeby lepiej żyć, żeby kiedyś uciec od tej pracy, uciec jak najdalej, gdy ilość tych pieniędzy będzie już duża, na tyle duża, że będzie można gdzieś wyjechać i zacząć wszystko od początku.

Palce mężczyzny grają smutek, smutek schowany w pokojach, w wygodnych domach, w hotelach, taki smutek którego się nie da niczym zastąpić. Smutek do mężczyzny, do siebie, do pieniędzy, do przyszłości, zbyt odległej na razie przeszłości.

Mężczyzna znów zamyka oczy. Jego usta, oczy, jego cała twarz jest teraz mocniej zaciśnięta, jest mocniej napięta niż wcześniej. Mężczyzna zerka na stolik, mały stolik, tuż przy wejściu do innej sali. Młody mężczyzna, garnitur jakby źle skrojony dla niego, jakby ubranie go przed czymś chroniło, może przed samym sobą, ale chroniło niewystarczająco.

Mężczyzna szarpie palcami po klawiszach fortepianu. Jego gra staje się drapieżna, niebezpieczna. Jego usta drżą, jakby chciały coś krzyczeć, do ciemności, do mroku, może tylko do siebie. Palce mężczyzny mocniej dociskają klawisze, jakby gdzieś maszerowały, ale maszerowały w niewłaściwym kierunku. W jego muzyce słychać strach tego mężczyzny, strach, że to co robi kiedyś go zabije, zniszczy całkowicie jego życie. Słychać noc, latarkę, światło, takie światło którego nikt nie może zauważyć, słychać bicie serca, serca zagrożonego, spiętego, serca w niebezpieczeństwie, słychać szelest worka, worka do którego chowa się cenne rzeczy, obce rzeczy które nie należą do tego mężczyzny, słychać ucieczkę, strach, że może coś źle zostało zrobione, że zostaną jakieś ślady, ślady już kiedyś ozna-

czzone na policji, słyhać to co dają temu mężczyźnie pieniądze, słyhać to, co daje mu strach, napięcie.

Komisarz Koziół wstaje, idzie do baru, zamawia kolejną whisky z colą.

- Kto to jest, ten mężczyzna, który gra na fortepianie?

- Nikt nie wie, kto to jest – mówi barman, barman o głosie aktora, dobrego aktora, o głosie pewnym, czystym, dumnym. – Kiedyś przyszedł, zaczął grać i gra wciąż, z przerwami, przeważnie wieczorami, gdy nadchodzi noc. Może tego po prostu potrzebuje, może muzyka to jego ucieczka od czegoś co go niszczy, co go zabija. A może po prostu kocha muzykę i chce się nią dzielić z innymi. Nikomu nie przeszkadza, ludzie lubią go słyhać. W jego muzyce jest jakaś prawda, jego prawda. On nic nie mówi o sobie, my go nie pytamy o jego świat, świat który jest dla nas niedostępny, odległy i tak jest widocznie dobrze, dla niego, dla innych. Piwnica Pod Baranami to świat w którym wszystko się zaciera, łączy, przenika i on do tego świata przez swoją muzykę należy.

Komisarz Koziół znów siada przy stoliku. Słyha muzykę, słyha siebie. Czas, miejsce, myśli mu dzisiaj służą, prowadzą go innymi drogami niż zazwyczaj. Prowadzą do siebie.

Komisarz Koziół patrzy się z niedowierzaniem na Komisarza Rawicza, jego oczy mówią, w jakim my świecie żyjemy? Dokąd ten świat zmierza?

- Ten mężczyzna jest teraz w Kobierzynie, na obserwacji, żyje w swoim świecie, kontakt z nim jest ograniczony – mówi Komisarz Rawicz. – Mówi, że jest przywódcą jakiegoś kraju, sam nazywa siebie Cesarzem. Jest przywódcą, który decyduje o wszystkim. Taki dyktator, który niszczy życie innych ludzi, a zwłaszcza niszczy życie ludzi którzy mu zagrażają.

- Niszczy w swojej wyobraźni – dodaje Komisarz Koziół.

- Tak. Wyobraźnia to jego świat, świat bardziej prawdziwy niż ten tutaj.

- I ja mam z nim porozmawiać.

- Tak. Sprawa jest poważna. Jego siostra zanosila mu listy do szpitala w Kobierzynie. Kiedyś jeden przeczytała, przeraziła się, oddała ten list policji.

- Co on chce zrobić? Ten Cesarz – uśmiecha się lekko ironicznie Komisarz Koziół.

- On nic. Ale ten ktoś, kto pisze te listy do niego jest niebezpieczny, musimy jakoś do niego dotrzeć.

- Co on chce zrobić?

- Chce zabić Prezydenta Miasta Krakowa.

- Tadeusza Chrowskiego?

- Tak. Chce podłożyć bombę i go zabić.

- Chrowski to krętacz. Zanim został Prezydentem robił jakieś ciemne interesy, haracze, przejęcia kamienic i inne rzeczy. Na niczym się nie dał złapać.

- Jest cwany, ale to Prezydent. Musimy go chronić.

- Ja bym poczekał, mówię to jako osoba prywatna. Nie lubię go, widziałem go kilka razy, rozmawiałem z nim. To człowiek bezwzględny, zna wielu wpływowych ludzi, musimy na niego uważać.

- Pomożesz mi? Spotkasz się z tym Cesarzem i postarasz się z niego coś wyciągnąć? Musimy się coś dowiedzieć o tej osobie, która chce zabić tego Chrowskiego.

- Dlaczego właśnie ja?

- Potrafiśz rozmawiać z ludźmi. Zwłaszcza ze złymi ludźmi. Żli ludzie ci ufają, nie wiem dlaczego, ale ci ufają, może wyczuwają w tobie jakieś zło, które też nosisz w sobie. Ale ty swoje zło trzymasz na uwięzi. Ty swoje zło wykorzystujesz żeby niszczyć inne zło. Poza tym, ty miałeś zawsze dobry kontakt z przestępcami, przez swoich informatorów.

- Nikt nie zna moich informatorów, dlatego wciąż mi ufają.

- Wiem. I dlatego ty z nim musisz porozmawiać, musisz do niego jakoś dotrzeć. Wysłuchać jego historii i do niego dotrzeć. Czuję, że on coś wie o tym drugim mężczyźnie. Ukrywa to, tak bez powodu, ale coś wie.

- Kiedy mam z nim porozmawiać?

- Jak najszybciej. Nie znamy daty ani miejsca, kiedy to się wydarzy. On ciebie nie zna, więc może ci zaufa.

- A te listy, nic wam nie mówią?

- Są pisane z różnych miejsc. Wysyłane z różnych poczt. Z różnych miast. Nic z nich tak naprawdę nie wynika. To listy szaleńca do szaleńca. Szaleństwo zawsze przyciąga inne szaleństwo do sie-

bie. Tak jak zło, zło zawsze będzie zanurzać się w innym źle. To jak jakieś zawody, takie zawody, które pokazują innym do czego jesteśmy zdolni. A szaleńcy, zwłaszcza szaleńcy zanurzający się w źle bezgranicznie, zdolni są do wszystkiego.

- Jutro tam pojadę. Muszę mieć jakiś punkt zaczepienia. Pojawię się tam jako pacjent. Porozmawiam z nim jak ktoś, kto chce zdobyć władzę, jak ktoś, kto chce rządzić innymi, rządzić na własnych zasadach. Jak ktoś, kto chce, żeby inni się jego bali, żeby inni czuli strach przed taką osobą. Strach przed jego władzą, strach przed tym, co ta władza może zrobić z człowiekiem. Obcym człowiekiem.

- Tylko go za bardzo nie naciskaj, bo coś wyczuje.

- Szczerłość – uśmiecha się Komisarz Koziół. – W każdym źle, nawet tym najgorszym, szczerłość jest najważniejsza. Zło i szczerłość, to jak burza i pioruny, to jak broń i pocisk, to jak kobieta i mężczyzna w noc poślubną, taką noc po której trzeba będzie uciekać z kraju przed zemstą, przed wojną.

- Tutaj masz dokładny adres. Powołaj się na mnie. Wszystko ci ułatwi Siostra Zuzanna.

- To do jutra – Komisarz Koziół wstaje, wychodzi z gabinetu Komisarza Rawicza, z gabinetu o zbyt szarych kolorach.

Duże masywne budynki, szare, okna które dają widok na park, na drzewa, drzewa które pamiętają wciąż zabór Polski, pamiętają obce wojska, pamiętają wojny, bitwy, walki o coś, czego człowiek nigdy nie może zapomnieć, pamiętają wolność, taką wolność, która sprawia, że człowiek chce żyć, marzyć, czegoś pragnąć, do czegoś dążyć.

Komisarz Koziół idzie do budynku położonego koło boiska piłkarskiego, nie widzi żadnych ludzi w szpitalu, w jego otoczeniu panuje cisza, nieustająca cisza. Tylko ptaki, tylko drzewa, tylko szum drzew pośród tych ptaków, pośród kamiennych alejek.

Siostra Zuzanna słucha, kiwa głową, rozumie. Sprawa jest poważna, na tyle poważna, że trzeba będzie kłamać, pomóc, zrobić coś złego, żeby inne zło zniszczyć, żeby innemu złu jakoś zapobiec, zapobiec na tyle skutecznie, żeby ktoś nie zginął, żeby przy tej jednej śmierci nie było też innych śmierci, innych śmierci przypadkowych, niewinnych.

Komisarz Koziół wchodzi do dużej sali, do sali gdzie mogą siedzieć wszyscy, taka niby sala widzeń, spotkań, sala z której potem wszyscy się rozchodzą do swoich pokoi.

- To nasz nowy kolega. Marek będzie z nami przebywał tutaj przez jakiś czas. Zaopiekujcie się nim, pomóżcie mu zrozumieć, że jest tutaj, bo czuje się źle, że jest tutaj, żeby znów poczuć się dobrze, na tyle dobrze, żeby stąd wyjść jak najszybciej do domu – mówi Siostra Zuzanna, mówi spokojnie, wyraźnie, mówi jak ksiądz na kazaniu, jak ksiądz który się zapomniał i to kazanie jest zbyt długie, zbyt senne i ludzie ukradkiem zaczynają ziewać, bo to jest msza na godzinę ósmą rano, msza senna, msza dostępna tylko wiernych poddanych absolutnie, msza dostępna tylko dla wiernych, którzy chcą dostać się do nieba szybciej niż inni, bez kolejki, chcą dostać się do nieba rano, wcześniej, dostać wtedy, gdy słońce dopiero zaczyna budzić się do życia. Budzić do życia w milczeniu.

Komisarz Koziół go zauważa, siedzi na parapecie okna, okna zakratowanego, okno jest otwarte, z widokiem na park, na drzewa, na ciszę wokół tych drzew, w oddali widać boisko piłkarskie, widać na tym boisku senność, spokój, bezruch, nikt nie gra, może w tym miejscu nikt nie grał już od dłuższego czasu, żeby zgiełk, który może pojawić się podczas meczu piłkarskiego nie zbudził ciszy, która załęgła się w głowach pacjentów szpitala już na dłużej, już na dłuższy czas, czas może nieokreślony, ale czas przepełniony nadzieją, że wszystko ma kres, i cisza też ma jakiś kres, i może oni, ci pacjenci, kiedyś z tego kresu, z tej ciszy się wyzwolą. I będą bezpieczni, i będą w końcu wolni, u siebie, w domu, w końcu na swoich zasadach. Tylko swoich zasadach.

Komisarz Koziół podchodzi do niego, zatrzymuje się przy nim, i tak stoi, patrzy się na Cesarza, na jego wzrok oddalony, wzrok błędzący gdzieś daleko, wzrok omijający kraty okna, boisko piłkarskie, omijający drzewa, budynki tuż za tymi drzewami, omijający nawet niebo i jego kres. Omijający nawet nieskończoność.

Cesarz się odwraca, patrzy się na niego dziwnym wzrokiem, potem ten wzrok zmienia się w jakieś zaciekawienie, w jakąś nową historię i ten wzrok, teraz bardziej czytelny i uważny pyta:

- Nowy?

- Tak. Marek.

- Cesarz, tak mnie tutaj nazywają.
- Mogę usiąść.
- Proszę.

I tak siedzą razem w tym miejscu, i tak patrzą się na park, na jego głębię zanurzoną w liściach drzew, w nasycenie zanurzone w promieniach słońca przedzierającego się przez te liście i to ich jakoś uspokaja, i to ich jakoś dziwnie łączy, zbliża do siebie.

I tak trwa to kilka dni, rytm dnia, codzienny, powtarzalny, i te ich spotkania, na tym parapecie, z których nic nie wynika, i czas, który sprawia, że Komisarz Koziół wciąż daleko jest od odpowiedzi.

Siedzą, patrzą się na park. Cesarz raz jest z nim, raz jest poza nim. Czasami Cesarz coś mówi do siebie, do innych. Czasami jest bardziej obecny niż nieobecny. Czasami jest bardziej nieobecny niż obecny. Tylko czas jest ten sam koło nich. Czas cierpliwy, czas chętny do współpracy, która wciąż nie nadchodzi.

Czasami pomiędzy nimi pojawiają się pojedyncze zdania, pojedyncze odpowiedzi, z których i tak nic nie wynika. Czasami Cesarz coś do niego mówi, budzi się z jakiegoś letargu i widzieć, że jest bardziej tu, niż tam, w swojej wyobraźni, ale potem to znika, znika zbyt szybko, aby Komisarz Koziół mógł zadać jakieś pytanie, żeby mógł dostać jakąś odpowiedź. I to trwa, i trwa. I to ich zbliża do siebie, tak czuje Komisarz Koziół, w to wierzy Komisarz Koziół. Wierzy nieustannie. Wierzy cierpliwie.

Kolejnego dnia, po kolejnej nocy, Komisarz Koziół zaczyna wątpić w sens jego dalszego pobytu w tym miejscu. Jednak rano, gdy siedzi razem z Cesarzem na parapecie, Komisarz Koziół zauważa list w jego dłoni. List lekko pomięty, zniekształcony jak całe życie Cesarza.

- Piszesz listy? – pyta Komisarz Koziół. – W tych czasach ludzie już prawie nie piszą listów. Słowo zanika, myśl zanika, uczucia zawarte w słowach na papierze też zanikają.

- Ktoś do mnie pisze listy – wzrok Cesarza jest dzisiaj inny, bardziej przytomny niż zazwyczaj.

- Do ciebie, tutaj?

- Poznałem kogoś w szpitalu – mówi Cesarz – gdy byłem w innym szpitalu. Gdy kogoś kiedyś odwiedzałem. On mnie zauważył,

podszedł do mnie, długo rozmawialiśmy, zbyt długo. On mnie dobrze rozumiał, ja go dobrze rozumiałem. To rzadkość, gdy ludzie tak dobrze się rozumieją, tak dobrze bez powodu. Potem dałem mu swój adres i o nim zapomniałem. A potem pojawił się pierwszy list i kolejne.

- Ty do niego piszesz?

- Nie mam jego adresu – wzrok Cesarza jest wciąż inny, bardziej logiczny, bardziej wyrazisty, ma w sobie chęć bycia bardziej tu, niż tam. – Raz do niego napisałem, wrzuciłem list do dziury w drzewie, w parku, koło mnie. Wcześniej napisał żebym tak zrobił. Tylko jeden raz napisał, żebym tak zrobił.

- Skąd wiedział, że chcesz do niego napisać?

- On coś wyczuł, gdy już wiedziałem, że trafię do tego szpitala. Czasami czułem czyjaś obecność koło siebie, za sobą. Jakiś cień osaczał mnie za plecami. Pisał, że wciąż coś mówię pod nosem, gdy idę ulicą. Że jestem jakiś zagubiony, nieobecny. Może to był on, ten cień, ta czyjaś obecność za moimi plecami.

- Tylko raz do niego napisałeś?

- Tylko raz.

Cesarz się zamyśla. Znow jest gdzieś indziej. Słowa przestają wychodzić z jego głowy.

Po kolacji Komisarz Koziół zasypia przy oknie, przy gwiazdach lekko zamglonych na niebie.

Cesarz lekko kiwa głową, patrzy się znow za okno, na mgłę otaczającą park i boisko sportowe.

- Wiesz – mówi cicho Komisarz Koziół. – Chcę zdobyć władzę, chcę panować nad życiem innych ludzi, lecz nie wiem czy siła jest sposobem, żeby utrzymać się przy tej władzy.

Oczy Cesarza nagle zaczynają płonąć, twarz mu się zmienia, staje się jaśniejsza, jakaś czystsza.

- Ty też chcesz mieć władzę?

- Tak.

- Niekiedy siła jest jedynym rozwiązaniem, żeby zdobyć władzę, żeby utrzymać władzę, żeby podporządkować sobie ludzi poprzez strach, jaki wzbudza w ludziach ta władza. – Oczy Cesarza są jak jakiś wulkan, jak jakaś lawa, która zaczęła właśnie uciekać z

krateru i zaczęła pożerać z całą swoją siłą wszystko co ma jakieś znaczenie dla innych, jakieś znaczenie dla świata. – Ludzie porażeni strachem to ludzie posłuszni.

- Co zrobisz, gdy będziesz miał władzę?

- Ja mam władzę – mówi cicho Cesarz. – Teraz jestem tutaj, bo chcą mnie odsunąć od tej władzy. Poprzez swoją władzę zmieniam świat wokół siebie. Zmieniam go na swoich zasadach. Pamiętaj, że gdy ty zdobędziesz władzę, o której teraz marzysz, inni cię za to nienawidzą, a potem dopiero pokochają. Pokochają, gdy zrozumieją.

- Co rozumieją?

- Zrozumieją, że lepiej się żyje, gdy ktoś za nich myśli. A ja – Cesarz nagle wstaje, jego ciało jest wyprostowane jak struna w gitarze. – A ja, będę czynił świat sobie poddanym, sobie biernym. Bierność to odwaga. Będę wymagał bierności od ludzi. Bierności w czynach i w mowie.

- Mówiłeś, że on za tobą chodził – Komisarz Koziół nagle zmienia temat.

- Kto? – oczy Cesarza stają się nagle matowe.

- Ten ktoś, kto pisze listy do ciebie.

- Ludzie chodzą za ludźmi. Ludzie nienawidzą ludzi. Ludzie dają złudzenia innym ludziom.

- Potrafiłbyś go rozpoznać?

- Tak. Był tutaj, jeden raz.

- Kiedy? – Komisarz Koziół nagle czuje coś w środku, czuje coś, co może sprawić, że ta rozmowa ma jakiś sens, w końcu sens prawdziwy.

- Niedawno. Ale jeszcze przyjdzie.

- Przyjdzie?

- Tak. Zadałem mu pytanie.

- Jakie pytanie?

- Co będzie, gdy już zabijesz tego człowieka? Co będzie dalej? Ma do mnie przyjść, gdy będzie znał odpowiedź.

- Jesteś pewny, że tutaj wróci?

- Tak. Widziałem to w jego oczach.

- W oczach?

- W oczach pełnych lęku, w oczach pełnych nadziei – i Cesarz się nagle wyłącza, nagle ucieka daleko od Komisarza Koziola.

Komisarz Koziół żegna się z Cesarzem. Jego wzrok, wzrok Cesarza znów gdzieś błądzi, znów jest gdzieś daleko. Zanurza się w zakamarkach miejsc do których trudno się dostać normalnemu człowiekowi.

- Wychodzę. Może cię kiedyś jeszcze odwiedzę – mówi Komisarz Koziół.

- Dzisiaj?

- Tak. Dzisiaj.

- Wiesz, kiedyś stąd ucieknę. Znów będę rządził, znów będę mieszkał w pałacu – Cesarz znów jest sobą, sobą stamtąd, nie stąd. – Moi wrogowie już uciekli z pałacu, pochowali się w górach, w miejscach niedostępnych, w klasztorach. Żyją w tych miejscach, bo ja im na to pozwalam. Moi ludzie, armia wiernych ludzi, bezwzględnych ludzi niszczy ich dusze, a potem ciała. Kiedyś umrą, gdy ja o tym zadecyduję, gdy już nadejdzie ich czas. Każdy mój wróg doczeka się kary. Donosy, to jest moja siła. Dobrze nagradzam ludzi za donosy. Przychodzą, piszą, dostają to, co chcą, za szczerość. Szczerość w donosach jest najważniejsza. Jednak najbardziej obawiam się nocy.

- Dlaczego?

- W nocy nie mam kontroli nad niczym. Wtedy dużo się dzieje. Podczas snu jestem bezbronny, podczas snu tracę powoli władzę. Tracę ją cicho, sennie. Dlatego mało śpię, prawie wcale. A rano szybko idę do sali tronowej by wysłuchać tych, co w nocy widzieli więcej niż inni, niż ja. Sen to zguba, sen to stracony czas na rzeczy zbędne w życiu, na rzeczy niepotrzebne w życiu. Podczas snu nie mam kontroli nad życiem innych ludzi.

- W dzisiejszych czasach spokojny sen dotyczy tylko młodych, szczęśliwych ludzi. Starość zawsze ociera się o brak snu, starość zawsze ociera się o obojętność.

- Mało jem, z obawy, że mnie otrują. Gdy ma się ogromną władzę, wszystko jest przeszkodą, nawet jedzenie. Jednak na razie muszę czekać, aż w końcu ucieknę z tego miejsca i przeciwnicy zrozumieją, że każdy przewrót ma swoją cenę. A ceną zbyt wygórowanych ambicji zawsze jest śmierć, zawsze jest cierpienie.

- Żegnaj – mówi Komisarz Koziół i podaje Cesarzowi rękę.

Ręka Cesarza jest obojętna na ruch ręki Komisarza Koziola. Komisarz Koziół wychodzi z sali.

Szaleństwo zawsze niesie samotność, szaleństwo zawsze ociera się o skutki tej samotności w prawdziwym życiu.

Zauważa go. Bardziej zauważa jego oczy niż całą jego trochę przykurczoną postać, złamaną postać. I ten cień, cień który wlecze się tuż za nim, cień który też jest złamany, przykurczony, w jakiś dziwny sposób popękany.

Wraca. Cicho podąża za tym cieniem jak kot w nocy, jak złodziej który za chwilę otrze się o jakąś niepewność, o jakieś niebezpieczeństwo, które zmieni jego życie nieodwracalnie.

Idzie alejką, może drogą, bardziej alejką niż drogą, a może tylko chodnikiem. Starym, popękanym chodnikiem, czymś co tylko trochę przypomina chodnik.

Obserwuje ich rozmowę przy oknie, oknie zakratowanym, oknie otwartym na oścież, na niebo, na słońce, na jasny, zbyt jasny dzisiaj horyzont.

Wykonuje telefon, czeka. Rozmowa nadal toczy się przy oknie. Rozmowa cierpliwa, cicha. W oczach rozmówców czuć jakieś napięcie, jakąś tajemnicę.

A potem ktoś do nich podchodzi, dwaj policjanci, coś mówią do mężczyzny przy oknie i biorą go ze sobą.

Komisarz Koziół stoi z boku, jest w oddali, za starym drzewem, za drzewem o ogromnym konarze, a potem, gdy policjanci z mężczyzną odjeżdżają policyjnym samochodem, on też wraca do pracy.

Komisarz Rawicz siedzi przy swoim biurku, w swoim pokoju na posterunku policji. Patrzy się na Komisarza Koziola spojrzeniem lekkim, radosnym. Czuć w tym spojrzeniu jakąś ulgę, jakąś radość.

- To on – mówi Komisarz Koziół.

- Na pewno?

- Tak. Przeszukaliśmy jego mieszkanie, miał tam bombę, przyznał się.

- Dlaczego chciał to zrobić? Dlaczego Prezydent Tadeusz Chrowski?

- Powiedział, że Chrowski wyrzucił z kamienicy jego babcię, tak jak i innych z tej kamienicy. Dobrze wiesz, że ten Chrowski to ciemna postać, teraz bardziej odbija się w jasnym świetle, ale kiedyś robił rzeczy, o których teraz chce zapomnieć.

- Przejmowanie kamienic?

- Sam wiesz jak to wyglądało. Ktoś sprzedawał im prawa do kamienic, jakaś babcia nad grobem, za jakieś grosze, a oni znajdowali sobie na te kamienice kupców. Kamienice skupione tuż przy rynku. Problemem byli ludzie. Potem były remonty, nieustające remonty, zastraszanie, imprezy i ten strach, strach który zostawał z ludźmi już do końca, strach, że za chwilę wydarzy się coś, czego nie będziemy potrafili zrozumieć, pojawi się coś, co całkowicie zmieni nasze życie, zmieni nieodwracalnie.

- Niektórzy nie wytrzymywali.

- Nikt tego nie mógł wytrzymać. To była tylko kwestia czasu. I on, ten prezydent, w zasadzie jego ludzie, pewnie też Kaplica, jego prawa ręka, wyrzucili w końcu jego babcię. Znaleźli ją w lesie, nad rzeką, wisiała na sznurku, na gałęzi. Niby sama to zrobiła, ale ja nie jestem pewien, czy starsza osoba, schorowana, ma w sobie tyle siły, żeby odważyć się na takie coś samemu. A do tego on i jego koledzy to malarze, mieli strych w tej kamienicy, od tej jego babci, mieli tam swoją wspólną pracownię. Dobre światło, duże okna w dachu, od tej jego ukochanej babci. Gdy to wszystko mówił do mnie, o tej babci, o tej pracowni, o tej bombie, był jakiś obojętny, nieobecny. Jakby czuł ulgę, że to co chciał zrobić, nie stało się, nie wydarzyło naprawdę. Jego oczy patrzyły się w pustkę, w pustkę na mojej ścianie – Komisarz Koziół podeszedł do okna, spojrzał na dachy kamienic, na kominy, na miasto z góry, a potem zaczął mówić dalej. – Najbardziej interesuje mnie człowiek, który już stracił wszystkie złudzenia. Interesuje mnie złość skupiona w tym człowieku, która sprawia, że ten człowiek wciąż chce iść do przodu, musi iść do przodu, złość wymieszana z pogardą. Z pogardą do siebie, z pogardą do innych.

- I ten mężczyzna miał w sobie tę złość – stwierdza Komisarz Rawicz.

- Tak. On miał w sobie tę złość. Mówił, jak malowali, w tej pracowni, swoje obrazy, po kilkanaście godzin dziennie. Byli w jakimś transie, amoku, liczyła się tylko sztuka. Mogli nic nie jeść przez cały

dzień, nic nie pić. Tylko sztuka i oni w tej sztuce pochłonięci całkowicie. Dwa światy, a zarazem jeden świat. Wszystko się przenika, łączy – pasja, marzenia, pragnienia, wyobraźnia. Tylko ciało jest stałe, tylko ciało wykonujące ruchy pędzlem wciąż ma kontakt z rzeczywistością.

- Malarze, artyści to ciekawi ludzie. Żyją sztuką, żyją dla sztuki, poświęcają całe życie sztuce.

- I robią rzeczy, które później czynią ich nieśmiertelnymi.

- I co jeszcze powiedział ten mężczyzna? – pyta Komisarz Rawicz.

- Mówił, że układali sobie szkic obrazu, martwą sztukę, na strychu i malowali obraz, wspólnie, razem. Każdy miał rozłożoną swoją sztalugę i tworzyli ten sam obraz. Gdy skończyli, wspólnie oglądali namalowane obrazy. Jeden obraz, a każdy inny. Inne spojrzenie na rzeczywistość przez każdego z nich. I w tych różnicach ukrywa się styl, tak mówił ten mężczyzna. Różnica to styl, gdy chcemy robić rzeczy ważne, inne. Mówił, że nie można marnować życia na rzeczy łatwe, przyjemne, nie można marnować życia na bzdury. Należy słuchać swoich pragnień i starać się w tych pragnieniach uczestniczyć jak najdłużej, jak najczęściej. On wie, że życie składa się z pragnień niemożliwych, ale też wie, że pragnienia niemożliwe są najpiękniejsze, najbardziej wartościowe. Mówił, że ci malarze tworzyli razem jakieś koło. I to koło ich razem łączyło. Nikt nie żyje tak naprawdę osobno, a zwłaszcza oni, artyści. Każdy z nich był częścią tego koła. Koło to życie, sztuka, umysł. Koło to jakaś prawda o nich, o ich sztuce. Koło to też ich cały świat, w nich, koło nich. Koło to ludzie, emocje zawarte w tych ludziach.

- I on, ten malarz, zrobiłby to, co chciał zrobić?

- Myślę, że tak. Za babcię, za stratę tej pracowni na strychu, za ten ból, że ktoś zabrał mu osobę najbliższą, zabrał mu całą przyszłość.

- Co z nim będzie? – pyta Komisarz Rawicz.

- Jest trochę szalony, inny. To może mu pomóc w sądzie. Szaleńcy są inaczej postrzegani w życiu, są inaczej postrzegani w sądzie.

- Nie zrobił tego.

- Ale chciał. Sam dobrze wiesz, że bardziej liczy się to, co chcemy, niż to co się tak naprawdę nie wydarzyło w naszym życiu.

- Idę odpocząć. Idę do siebie.
- Odpocznij. Oboje zasłużyliśmy na odpoczynek. Uczyniliśmy świat bardziej bezpiecznym.

Komisarz Kozioł idzie przed siebie, czuje się taki zmęczony. Myśli o człowieku, który chciał zabić Prezydenta Chrowskiego. Człowiek może ukryć się za złem, gdy ma popękaną duszę, myśli gdy mija Wieżę Ratuszową.

Głód, od rana nic nie jadł, głód zaczyna go dopadać. Głód jest jak cień, zły cień w zły dzień. Idzie ulicą Świętej Anny, skręca w prawo, wchodzi na dziedziniec. Bar sałatkowy na dziedzińcu kamienicy – Chimera. Czasami tu bywał, wtedy gdy chciał zjeść coś innego, coś innego niż mięso.

Wybiera sałatki, do picia bierze sok pomarańczowy i idzie do stolika. Zapomina o bagietce, wraca do baru, bierze kilka kawałków bagietki, siada przy brązowym stole. Zaczyna jeść, żołądek się uspokaja, myśli się uspokajają, całe jego ciało zaczyna żyć inaczej, swobodniej, wolniej.

Obok niego siedzi dwóch mężczyzn, chyba się dawno nie widzieli, przez przypadek na siebie wpadli, coś kiedyś ich łączyło, coś ważnego i teraz do tego wracają w rozmowie, w gestach, w przeszłości która wciąż w nich tkwi, tkwi głęboko jak jakiś cień, ciepły, dobry cień.

Siwy mężczyzna podnosi lampkę czerwonego wina i mówi:

- Za spotkanie. Dobre, zaskakujące spotkanie.

Drugi mężczyzna, rudy, też podnosi lampkę wina do góry:

- Za czas. Za to, że nic w nas nie zmienił, nie zmienił znacząco. Nie zmienił naszych wspomnień aż tak mocno, aż tak niesprawiedliwie.

- Piszę książki, wydaję kolejną – mówi siwy mężczyzna. – Sam się dziwię, że ludzie to czytają. Nigdy nie przypuszczałem, że zostanę pisarzem, dobrym pisarzem. Tak mówią, ale ja im nie wierzę. To tylko słowa, może bardziej szczere niż innych pisarzy, ale tylko słowa. Może słowa, które bardziej ocierają się o prawdę, o ból, o samotność mają większe znaczenie niż słowa, które dają nadzieję, radość. Tego nie wiem. Ale wiem, że piszę dzięki tobie.

- Dzięki mnie? – dziwi się rudy mężczyzna.

- Tak. Dzięki tobie. To ty mnie ukształtowałeś na studiach. Kazałeś mi czytać rzeczy ważne, istotne. Mówiłeś, nie trać czasu na rzeczy błahe, nieistotne. Rzeczy nieistotne niszczą ludzi nieistotnych. Niszczą w przyszłości. Dzięki tobie zacząłem czytać dobre książki. One mnie nakierowały na przyszłość. Pamiętasz teatr?

- Tak. Pamiętam – uśmiecha się rudy mężczyzna, jego oczy na moment stają się ostrzejsze, piękniejsze.

- Teatr niezależny – zamyśla się siwy mężczyzna. – Tak wiele tam graliśmy, aż się sam teraz dziwię. Ale to było dla nas ważne, ważne wtedy, ważne dzisiaj. Gdy o tym teraz myślę, czuję się lepiej, że robiłem tak ważne rzeczy w życiu. Ważne kiedyś, ważne teraz.

- Byliśmy jak pochodnie. Pochodnie niesione w nocy przez bezimiennych ludzi. Przez bezimienne cienie.

- To ty mnie stworzyłeś. Teraz jestem tym, kim jestem, dzięki tobie. A ty, co teraz robisz, pewnie rzeczy ważniejsze niż ja? Piszesz książki, zawsze chciałeś coś pisać?

Rudy mężczyzna nic nie mówi, pije lampkę wina małymi łyżkami, powoli, sennie. Jego głowa jest nisko, zbyt nisko stołu.

- Nie piszę. Nigdy nic nie napisałem.

- Dlaczego?

- Kiedyś byłem taki dobry, taki zdolny. Często sam siebie zaskakiwałem. Widziałem przyszłość w jasnych kolorach. Miałem plany, cele, idee. A teraz – rudy mężczyzna spuszcza wzrok. – Skończyłem jako miernota, przeciętniak, nie zrobiłem w życiu nic ważnego, na tyle ważnego, żebym był z siebie dumny. Byłem dzisiaj na Cmentarzu Rakowickim, widziałem te nazwiska – pisarze, malarze, muzycy, aktorzy, artyści, oni coś po sobie zostawili, a ja, cóż, pozostawię po sobie tylko cień, mrok, zapomnienie. Nawet nie wiem jak to się stało. Nawet nie wiem, dlaczego nie próbowałem. Szkoła, nawet nie dobra, gdzie wykładałem literaturę, uczniowie którym jest obojętne co mówię. Młodzi ludzie nie chcą ideałów. Chcą iść do przodu, szybko, jak najprędzej. Liczy się zawód, który im zagwarantuje to jak najprędzej, zagwarantuje jak najszybciej, na skróty. Im jest obojętne, co do nich mówię. W pewnym sensie jestem dla nich jakąś przeszkodą, którą muszą ominąć, zaliczyć. Wiedzą, że życie składa się z wielu takich przeszkód, które trzeba tylko zaliczyć, ominąć je jak najszyb-

ciej i zapomnieć. Dla nich życie składa się właśnie z takich zaliczeń, o których zbyt szybko się zapomina.

- Nie jesteś nikim – mówi ciepło siwy mężczyzna. – Dla mnie jesteś ważny. Dzięki tobie piszę książki. Dzięki tobie czytam dobre książki. Dzięki tobie znam ludzi, którzy są artystami, którzy ocierają się o sztukę. Tylko dzięki tobie. Gdybyś mnie wtedy nie zmienił, nie ukształtował właściwie, dzisiaj byłbym innym człowiekiem.

- Wiem, ale to boli, gdy nagle rozumiemy, że nie żyjemy tak, jak chcieliśmy żyć kiedyś. Że żyjemy inaczej. A inaczej to słowo bolesne, dla tych którzy już stracili całą nadzieję.

- Kiedyś słyszałem takie zdanie. Gdy już straciłem całą nadzieję, wtedy zacząłem żyć naprawdę. Może ty, teraz, gdy już straciłeś całą nadzieję, też zaczniesz żyć naprawdę. Od dzisiaj. Może to dzisiejsze spotkanie będzie dla ciebie przełomowe.

- Może – rudy mężczyzna wstaje, podaje rękę siwemu mężczyźnie. – Do zobaczenia, kiedyś, w lepszym momencie mojego życia.

Siwy mężczyzna patrzy się na zgarbionego kolegę, bardziej przyjaciela niż kolegę. Patrzy się długo. W jego oczach pojawia się jakaś zaduma, ból, smutek.

Komisarz Koziół czuje się zawstydzony. Podśluchał czyjąś rozmowę, wkradł się na moment w inne życie, zakradł się tam jak szpieg, jak złodziej. Ale ta rozmowa go jakoś poruszyła, zostawiła ślad w jego głowie.

Komisarz Koziół kończy posiłek. Wstaje, wychodzi na ulicę. Idzie w kierunku domu, na Kazimierz, w miejsce gdzie czas zatrzymał się już dawno temu. Zatrzymał na długi czas, na nieskończony czas.

Po tym telefonie, po hałaśliwym dźwięku telefonu długo nie mógł dojść do siebie. Długo siedział na krześle i po prostu patrzył się do przodu, tak zwyczajnie, przed siebie.

Zadzwoiła córka, córka która nie chciała go już znać, nie chciała go już znać od kilku lat. Przez niego, przez jego nieudane życie, przez nałóg, który niszczył wszystko dookoła, dookoła niego, dookoła niej, przez te wszystkie złe rzeczy razem, te wszystkie złe rzeczy osobno stracił córkę. Przez niego musiała uciec aż za granicę,

żeby nie mógł jej odnaleźć, żeby nie mógł się do niej zbliżyć na zbyt bliską odległość.

A teraz chce przylecieć do niego, ze swoją córką, z jego wnuczką, z wnuczką o której nie miał żadnego pojęcia, zresztą o życiu swoje córki, córki uciekinierki też nie miał żadnego pojęcia, żadnego pojęcia od dłuższego czasu.

Kiedyś pił, dużo pił, gdy umarła żona, zresztą gdy żyła też, i ta jego praca, a w zasadzie brak pracy, te wszystkie rzeczy sprawiły, że córka, gdy ukończyła osiemnaście lat uciekła od niego, uciekła od wspomnień. Najpierw do innego miasta, później do innego kraju. A teraz go odnalazła, uwierzyła, że się zmienił.

Wcześniej Piotr był złodziejem, dobrym złodziejem. To była jego praca, jego życie. Gdy się ożenił chciał się zmienić, nie udało się. I tego córka nie mogła mu wybaczyć, aż do teraz.

I to picie, picie tymczasowe, picie ciągłe, picie z przerwami, picie w święta, w urodziny, z okazji, bez okazji, z powodu smutku, z powodu radości, z prostych przyzwyczajień, z krzywych nawyków. To go zawsze jakoś gubiło. To zawsze nakładało jakieś kajdany w jego życiu.

Po telefonie córki zatrudnił się w magazynie. Przestał pić. Teraz żyje na bieżąco. Praca stała, praca słabo płatna. Chce wytrzymać aż do przyjazdu córki i wnuczki. Łudzi się, że wytrzyma dłużej. Że wytrzyma nawet wtedy gdy córka wyjedzie, gdy wróci za granicę do siebie.

Nie pije już trzeci miesiąc. Nie czuje się dobrze. Wszystko go boli – mięśnie, serce, ręce, nogi, a najbardziej boli go życie, głowa i własne myśli.

Idzie do pracy, wraca z pracy. Czuje się źle. Idzie spać, budzi się. Czuje się źle. Coś je, czegoś nie jest w stanie zjeść. Czuje się źle. I ten strach, że tak już będzie zawsze, że tak już będzie aż do końca.

Ludzie na ulicy są tacy szarzy, tacy niesympatyczni. Mają tyle skarg w sobie, tyle bólu. I te ulice, takie krzywe, takie niewdzięczne dla jego nóg, dla jego zmęczonych coraz bardziej kroków. I te budynki, kamienice, dachy, kominy, szyby – wszystko takie krzywe, nieobecne, niepotrzebne. I ten jego oddech, taki poszarpany, taki

niepełny, taki nieokreślony. Tak nieokreślony jak jego myśli ostatnio.

Piotr idzie do restauracji na rynku, siada w ogródku, myśli, co dalej ma robić. Jak tak ma wyglądać dalej jego życie to czuje strach, przerażenie. Zamawia kawę. Pije ją z niechęcią, z jakąś odrazą. Piotr nie ma pieniędzy, żyje na bieżąco. Nie ma mieszkania, żyje na bieżąco. Pracuje, aby żyć na bieżąco. Wynajęcie mieszkania go tak dużo kosztuje. Za co ma zaprosić córkę i wnuczkę na rzeczy, sprawy które im sprawią przyjemność? Za co? I to za co go jakoś dziwnie przeraża, paraliżuje. Zamawia lampkę koniaku, wlewa ją do kawy. Pije powoli, cierpliwie. Strach mija, powoli ale mija. Mięśnie zaczynają mniej boleć, umysł zaczyna czuć się lepiej, ludzie na ulicy przestają być tacy straszni, tacy obcy. Zamawia setkę wódki, wypija ją szybko. Ludzie obok niego, którzy wydawali mu się tacy hałaśliwi, nagle stają się mili, nawet sympatyczni. Kolejna setka, cały ból mija. Po co tak się męczyłem tyle długich dni, tyle nocy, a przecież można inaczej, można lepiej, myśli Piotr. Przecież życie nie powinno składać się tylko z bólu, tylko z cierpienia. Człowiek potrzebuje trochę radości, trochę szczęścia. Zamawia kolejną setkę. Córka, znów ją zobaczy. Tyle lat, tyle długich lat. Zamawia setkę wódki. W końcu wypełnia go w środku szczęście, tyle szczęścia. Słońce jest takie piękne dzisiaj, cały świat jest piękny dzisiaj, wszyscy ludzie są piękni dzisiaj. W końcu coś jest piękne obok niego, coś co wypełnia go całkowicie, aż do końca. Teraz wszystko ma inny smak i znaczenie, lepsze znaczenie, myśli Piotr.

Gdy opuszcza ogródek jest już ciemno. Czuje się pijany, ale czuje się dobrze. Już teraz wie, skąd ma wziąć pieniądze na przyjazd córki. Skąd ma wziąć pieniądze, żeby uwierzyła, że żyje lepiej, godniej.

To będzie ostatni raz, tylko jeden raz to zrobi, po raz ostatni to zrobi i zapomni o wszystkim. O całej tej bezwzględnej, bezużytecznej przeszłości.

Czeka w bramie do północy. Ludzi już prawie nie ma na ulicy Długiej. Idzie w kierunku sklepu jubilerskiego. Wchodzi na dziedziniec. Wie co ma robić, robił to kiedyś dobrze, nawet bardzo dobrze, tak bardzo dobrze, że się od tego bardzo dobrze uzależnił.

Jest już w środku. Widzi złoto, pierścionki, łańcuszki, widzi inne ozdoby ze złota. Chowa to wszystko do torby. I nagle, gdy już ma

wychodzić, czuje jak to złoto przepelnia go jakimś dziwnym ciepłem, jakąś dobrocią i jasnością. Piotr czuje, że on też jest cały ze złota, że jest częścią tego złota, częścią doskonałą i piękną.

Piotr dotyka złotej sztabki, czuje ciepło bijące z tej sztabki. Przytula się do niej, cała jego twarz zanurza się w tej sztabce. Oj, jakie życie jest piękne gdy światło, złote światło daje tyle nadziei człowiekowi, daje tyle dobra. Oj, jakie życie jest doskonałe gdy wszystko co nas otacza jest w kolorze złota, w kolorze słońca. Oj, jaki człowiek jest dumny gdy...

Piotr czuje, że coś go dotyka, coś go dotyka poprzez ciemność w głowie. Otwiera oczy. Przez chwilę nie wie gdzie jest. Boli go głowa, boli go znów całe ciało.

- Obudź się – słyszy głos koło siebie.

Otwiera szerzej oczy, widzi trzy ciała nachylone nad jego głową.

- Wstawaj – czyjeś ręce go podnoszą.

Piotr widzi, że jest wciąż u jubilera, widzi za oknem światło, jasne poranne światło.

- Oj, Piotr, łudziłem się, że zmądrzałeś. Łudziłem się, że człowiek, nawet zły człowiek, może zmienić swoje życie, gdy ma odpowiednią motywację – mówi Komisarz Koziół.

Piotra ogarnia przerażenie. Ogarnia go znów ból, taki ból, który mu mówi, że zmarnował kolejną szansę w swoim życiu.

- Niektórzy ludzie nigdy się nie zmieniają, a szczególnie dumni ludzie – mówi Komisarz Koziół i wychodzi wraz z Piotrem na ulicę.

Dzień zaczyna się dobrze, spokojnie. Rozkładam pomysły w głowie na małe części, części z których za chwilę powstanie historia, opowieść o tym co jest w mojej głowie od dłuższego czasu.

Naciskam klawisze w maszynie do pisania, naciskam pojedyncze litery, które potem tworzą zdania, setki zdań. Pisze mi się dobrze, nawet zbyt dobrze.

Po godzinie za oknem pojawia się ciemność, jakiś mrok pokrywa niebo swoim ciemnym płaszczem. Słyszę krople deszczu. Na początku jest ich niewiele, z czasem jednak ulewa się powiększa i do mojego okna zaczyna wlewać się woda. Woda tworzy wodospad, wodospad tworzy jezioro w moim pokoju. Ja wciąż piszę, jednak

podnoszę wyżej nogi, wciąż siedząc na krześle. Podnoszę je żeby nie zmokły. Jestem w transie, a gdy jestem w transie nie mogę przestać pisać, bo to co teraz piszę, w tym oszalamiającym transie jest dobre, bardzo dobre. Gdy stanę, zatrzymam się na chwilę, wszystko zniknie z mojej głowy i już nigdy nie wróci. Nie wróci w tym samym kształcie, nie wróci w tym samym wymiarze.

Zauważam, że spod drzwi zaczyna się wlewać woda do mojego pokoju, może do mojej celi, tego wciąż jeszcze nie wiem. Nie wiem jeszcze tak dużo rzeczy o swoim życiu, ale się dowiem. Kiedyś, może jutro.

Słyszę krzyki za drzwiami. Krzyki rozpaczliwe. Ale ja wciąż piszę. Nie przestaję pisać ani na chwilę.

Po godzinie przestaję jednak pisać. Wstaję od stołu. Idę po wodzie w kierunku drzwi. Chcę uciszyć te krzyki za drzwiami. Próbuje otworzyć drzwi, nie udaje mi się to pomimo usilnych starań. Wracam do pisania.

Zauważam, że mała zabłąkana chmura wdziera się do mojego pokoju. Wisi tuż nad sufitem. Z tej chmury zaczynają się wydostawać jakieś małe spięcia elektryczne, to chyba są błyskawice. Ich czerwony kolor co chwilę rozjaśnia mój pokój.

Przypadkowe ptaki wlatują do pokoju, może celi. Wlatują i w przerażeniu krążą koło chmury. Widać w ruchach ich skrzydeł panikę, przerażenie. Niektóre nie mają już siły latać, topią się w wodzie, która jest coraz głębsza. Skrzydła tych ptaków tracą powoli oddech. Umierają. Ptaki cicho opadają w kierunku wody jak płatki śniegu. Niektóre, te bardziej cierpliwe i niezwyknięte uciekają przez okno. Potem wszystko znika.

W pokoju pojawia się cisza, mrok.

Otwieram oczy. Widzę jak moje palce z wyczuciem wciąż piszą nową historię. W pokoju jest cisza, spokój. Za oknem świeci słońce, świeci nawet jaśniej niż zazwyczaj. A więc to tylko moja głowa, myślę, a więc to tylko moja głowa wymyśla to wszystko. Tę wodę, tę burzę, te błyskawice. A więc wszystko zaczyna się od głowy, wszystko kończy się na głowie. Od nas zależy gdzie jest granica, gdzie jest kres tej granicy w człowieku.

Wracam do pisania. Mój oddech znów jest spokojny, znów jest cichy. Palce spokojnie wystukują kolejne zdania, kolejne historie.

To miało być jego ostatnie zlecenie. Życie od jakiegoś czasu wymykało mu się spod kontroli. Kiedyś żył by być, teraz był by żyć. I to był powoli, systematycznie miało dla niego coraz większe znaczenie.

Każdy choruje, myślał coraz częściej, każdego choroba dotyka w nieodpowiednim czasie, bo nie ma dobrego czasu na chorobę, a zwłaszcza na chorobę nieuleczalną. Każdy musi kiedyś zmierzyć się ze sobą, poprzez skutki nagłej choroby w człowieku, i on, teraz, właśnie teraz, powoli zaczynał mierzyć się ze skutkami tej nagłej choroby w człowieku.

Na początku jej nie zauważał, wydawało mu się, że to tylko zły dzień, tylko zły czas dla niego, jakaś słabość chwilowa, to minie, musi minąć. Złe rzeczy czasami same mijają, odchodzą od nas cicho, niekiedy niezauważalnie. Ale to co wydawało mu się na początku niezauważalne, coraz bardziej było zauważalne dla niego, dla jego myśli. Potem, gdy zrozumiał, że niezauważanie ważnych rzeczy w człowieku to błąd, zaczął się swojej chorobie przyglądać, na początku z daleka, potem dopiero z bliska. A gdy pozorne rzeczy stawały się coraz bardziej istotne w nim, istotne poza nim, rozumiał, że czas już niczego nie zmieni. I on, Winto, złodziej, dobry złodziej, będzie musiał się ze swoją chorobą zaprzyjaźnić, zanim o tej chorobie całkowicie zapomni. Tak, zapomni. Bo jego choroba zaczynała się coraz bardziej ocierać o niepamięć.

Alzheimer. Trudności w doborze słów, powolna utrata pamięci, trudności w mówieniu, zaburzenia wzrokowe, zaburzenia orientacji w terenie. To wszystko miał, jednak na razie w formie szczątkowej, prawie niewidocznej. Ale wiedział, że to się kiedyś zmieni i tabletki, które zaczął zażywać nic tak naprawdę nie zmienią. Bo na zmiany już jest za późno.

Lepiej już było, pomyślał ze strachem w oczach, gdy patrzył się w niedzielę rano w lustro, patrzył się po telefonie, który miał być jego ostatnim zleceniem. Lepiej już było, powiedział to na głos, bo myśl, że lepiej już było, była na razie dla niego odległa, zbyt odległa, a jak to już powiedział to poczuł się lepiej, nie wiedział dlaczego, ale poczuł się lepiej. To tak jak alkoholik, gdy już powie, że to choroba, to wtedy czuje się lepiej, to wtedy czuje, że więcej może,

że ma jakąś szansę, niewielką ale szansę, i on, teraz, też poczuł, że ma jakąś szansę, żeby coś w sobie opóźnić, coś w sobie schować, tak daleko od siebie, i to coś pewnie kiedyś wróci, ale później, o wiele później, i to później da mu czas, czas, którego tak bardzo teraz potrzebuje.

Winto wyszedł z domu, szedł w kierunku Wisły, w kierunku starego mostu, po którym wciąż jeździły pociągi. Ostatnie zlecenie, ta myśl wciąż była w nim, w środku. Ostatnie zlecenie zanim zapomni o wszystkim, zanim zapomni o sobie, o swoim i tak niezbyt ciekawym życiu.

Zobaczył go z daleka, stał jak kruk na mrozie pod mostem. Podszedł do niego, podał mu rękę. Przez chwilę milczeli, patrzyli się na wolno płynącą rzekę, na kaczki na tej rzece, kaczki senne, tak jak senny był dzisiaj niedzielny poranek.

- Za tydzień w Muzeum Jana Matejki będą w nocy wywozić jeden obraz do konserwacji, a przy okazji będą sprawdzać alarm, coś tam będą modernizować i ty, w tym czasie, w nocy, coś z tego muzeum wyniesiesz.

- Skąd masz te informacje? – pyta się Winto.

- Nie ważne skąd, mam. Mój klient to osoba znana, ma wpływy wszędzie, w muzeum też. Te informacje są pewne. Tutaj masz plany muzeum, stare plany, są tam zaznaczone pomieszczenia niedostępne dla zwiedzających. Popatrz na dach, na okno na strychu. Przeanalizuj to, przygotuj się.

- Co mam stamtąd wynieść?

- Obraz, jeden obraz, portret Marii Maurizio z 1860 roku.

- Po co ktoś chce taki obraz? Nikomu go przecież nie sprzeda.

- Ten ktoś widział ten obraz wiele razy w muzeum. Portret kobiety przypomina mu żonę, żonę która mu umarła. Mając ten obraz będzie ją czuł koło siebie. Jego żona, gdy żyła, też uwielbiała ten obraz. To taka forma pamiątki. Pamiątki za czymś odległym. Za czymś, co kiedyś było ważne, a teraz ta ważność gdzieś zniknęła. Ten obraz nigdy nie będzie sprzedany. Klient dobrze płaci – mężczyzna podaje walizkę Wincie, on ją otwiera, patrzy się z niedowierzaniem na zawartość.

- To dużo, bardzo dużo.

- Wspomnienia kosztują. Zrobisz to?

- Tak, zrobię. Nie boisz się dawać mi teraz pieniędzy?
- Znam cię. Nigdzie nie uciekniesz. Nie teraz, gdy jesteś chory.
- Skąd wiesz o chorobie?
- Wiem o tobie więcej, niż sam myślisz. Pieniądze są ci teraz potrzebne, nawet teraz bardziej niż kiedyś. Jednak gdybyś chciał uciec, ci ludzie cię znajdą, nie ja cię znajdę, lecz oni. A oni nigdy nie zapominają o tych, którzy zawiedli ich zaufanie.
- Za tydzień?
- Tak. Przyjrzyj się planom. Będziesz miał pół godziny na to żeby tam wejść i wyjść z obrazem. Alarm wyłączą na godzinę. Pół godziny będą coś robić przy alarmie, a potem przyjdą po ten obraz do konserwacji. Pół godziny masz zanim przyjdą po obraz. Tyle ci musi wystarczyć czasu.
- Która godzina w nocy?
- Dwunasta w nocy, jak nic się nie zmieni. Klient potwierdzi. Ma kogoś w środku. Ty wchodzisz oknem z dachu na strych, otwierasz drzwi do muzeum, od strony strychu idziesz schodami na dół, bierzesz obraz i wracasz na strych, na dach. Potem się spotkamy kilka dni później, gdy wszystko się uspokoi. Będziesz czekał na telefon. Mam nadzieję, że wciąż potrafisz otworzyć każde drzwi, wciąż potrafisz ominąć każde zabezpieczenie.
- Tak. Przeszkody są nadzieją, która prowadzi człowieka do celu. Do właściwego celu.
- To dobrze. Przygotuj się. Czekaj na telefon.
- Do zobaczenia.

Winto wraca do domu z walizką. Pamięć o bliskich nie ma ceny. Pamięć o bliskich sprawia, że jesteśmy w stanie zapłacić każdą cenę, żeby choć trochę zbliżyć się do wspomnień. Do dobrych wspomnień.

Winto stoi na ulicy Floriańskiej, stoi na wprost muzeum Jana Matejki, pali papierosa, przygląda się ludziom, ich twarzom, ich zajątkowi gdy się nawzajem uderzają o siebie rozpędzonymi zbyt pospiesznie ciałami. Winto czeka, błądzi oczami, nigdzie mu się nie spieszy. Zauważa wycieczkę z Niemiec, wycieczka wchodzi do muzeum, Winto wchodzi wraz z nimi. Kupuje bilet i miesza się w tłum Niemców. Chodzi po domu Jana Matejki. Widzi jego medale za

zasługi, zatrzymuje się na chwilę przy narzędziach tortur pozyskanych przez Matejkę gdy była renowacją wieży dawnego ratusza, zauważa starodruki które wciąż pachną dawnymi czasami, zapomnianymi czasami, pachną dawnym Krakowem, zapomnianym Krakowem, widzi szkice do kompozycji historycznych, ogląda wizerunki postaci historycznych, na dłużej zatrzymuje się przy listach Jana Matejki, rozpoznaje podpisy Sienkiewicza, Czartoryskiego, Malczewskiego, przez chwilę milczy przy militariach, które służyły Matejce jako rekwizyty w pracy artystycznej, aż w końcu, wmieszany w tłum Niemców zauważa obraz, zbliża się do niego, rzeczywiście portret Marii Maurizio jest piękny, jest inny. Zapamiętuje jego położenie w kamienicy i wychodzi z wycieczką na ulicę Floriańską.

Idzie na rynek, teraz już wie skąd ma zdjąć obraz. Na rynku jest zgiełk, gwar, chaos. Ludzie jak mrówki krążą wokół Sukiennic, wokół centrum miasta.

Coraz mniej znaczy dla mnie przeszłość, a coraz więcej czasu poświęcam na to, by przeszłość zrozumieć, zapamiętać, myśli Winto. To przez chorobę, przez skutki tej choroby w moim ciele, w mojej głowie.

Winto przez godzinę spaceruje po mieście, po Plantach, a potem lekko zmęczony wraca do domu.

Winto małym oknem wchodzi na dach kamienicy. Staje w lekkim rozkroku przy kominie. Widzi miasto z góry, widzi czerwone dachówki, anteny, kominy, widzi to, co normalnie jest niewidoczne – dziedzińce kamienic. Świat widziany z góry jest inny niż świat widziany z dołu, myśli Winto. Wysokość sprawia, że mniej boimy się życia, gdy znów musimy żyć na dole.

Winto ubrany jest w strój kominiarza, żeby nie wzbudzać żadnych podejrzeń, gdyby go ktoś zauważył z okna. Idzie po dachach kamienic, uważa by nie spaść na dół. Jest już na wysokości muzeum Jana Matejki. Rozkłada plany muzeum na dachu. Plany wciąż pachną przeszłością, ich szelest sprawia, że czas w nich zatrzymany jest jakiś inny, tajemniczy, bardziej pokruszony niż życie teraz.

Chowa plany muzeum do kieszeni. Podchodzi do małego okna na strychu. Okno jest wąskie, ale długie. Wystarczy żeby wejść i prze-

cisnąć obraz z ramą na zewnątrz. Okno jest stare, zaniedbane. Ktoś o nim zapomniał, życie o nim zapomniało.

Winto wszystko już wie. Wie, gdzie wisi obraz; gdy był w muzeum z grupą z Niemiec policzył czas dojścia do obrazu, powinien zdążyć zdjąć obraz i uciec oknem na dach. Wie, że okno jest wystarczająco duże by uciec z obrazem po dachach kamienic, uciec w kierunku ulicy Szpitalnej. A tam, po cichu, schodami zejść na dół kamienicy i zniknąć w ciemnościach miasta. Ma też pomysł, gdzie schować obraz. Wszystko już wie. Teraz musi czekać. Czas to jedyna rzecz, która go odróżnia od niecierpliwości. Od niecierpliwości, która wraz z nim czeka na odpowiedni dzień. Na odpowiednią chwilę.

Dzwoni telefon. Winto podnosi słuchawkę, słucha. Kiwa głową ze zrozumieniem. Odkłada słuchawkę, czuje, że jego serce szybciej bije, całe jego ciało szybciej bije wraz z sercem, które wyczuwa coraz mocniej zbliżające się napięcie. Nic się nie zmieniło, powiedział głos w słuchawce. Dwunasta w nocy, ma tylko pół godziny zanim przyjdą po obraz do konserwacji, ma tylko pół godziny, ta myśl go na chwilę paraliżuje, ale Winto szybko się opanowuje, zaczyna wolniej oddychać, a całe jego ciało, a przede wszystkim myśli i głowa zaczynają planować nocną kradzież obrazu.

Winto siedzi na dachu, cały jest ubrany na czarno, patrzy się na zegarek. Jeszcze piętnaście minut. Spogląda na niebo, gwiazdy są dzisiaj prawie niewidoczne, szare, ciemne chmury zakryły je w całości, zakryły na tyle, że ich blask nie może przebić się w kierunku zieleni, w kierunku ludzi. Pojedyncze okna w kamienicach jeszcze się świecą. Ludzie wciąż nie radzą sobie z ciemnością, z mrokiem, myśli Winto. Trudno jest zaprzyjaźnić się z nocą, gdy złe myśli dopadają nas po całym dniu wieczorem.

Winto patrzy się na zegarek, w końcu jest dwunasta godzina. Podchodzi do okna, otwiera je cicho, wciąż potrafi otwierać rzeczy proste, rzeczy skomplikowane. Wchodzi na strych. Jest już w muzeum, właściwie nad nim, porusza się jak kot. Widzi rozmazane kształty mebli, jakieś rzeczy, nie potrafi je teraz rozpoznać. Dochodzi do włazu w podłogę. Wyciąga to, co zawsze wyciągał gdy

wkradał się do mieszkań, kamienic, domów, chwilę się męczy i właz się otwiera. Schodzi małymi schodkami na dół. Jest już w domu Jana Matejki. Rozpoznaje meble, obrazy, konia stojącego na podłodze, idzie dalej w ciemności. Alarm jest wyłączony, bał się, że ten ktoś, kto dał im tę informację pomylił się. Idzie po cichu do kolejnego pokoju. Jego serce bije jak oszalałe. Teraz czuje, że żyje naprawdę. To dziwne uczucie, gdy w normalnym życiu nie potrafimy żyć naprawdę. I dopiero zło, zło ukryte w ciemnościach rozpala chęć życia w człowieku.

Podchodzi do obrazu, ściąga go ze ściany. Wkłada do torby, do specjalnej torby na takie rzeczy, przewiesza torbę przez ramię i wraca do włazu, wraca na strych.

Na dole słyszy głosy, jego oddech na chwilę się zawiesza, umiera na kilka sekund. Winto patrzy się na zegarek, jest 12.25. Muszę uciekać, myśli, przyszli pięć minut wcześniej. Gdy zamyka właz na strychu słyszy kroki ludzi na dole, kroki które idą do góry, w kierunku jego piętra. Przeciska się przez okno, wychodzi na dach, czuje się zmęczony. Chwieje się, upada na jedno kolano, robi mu się słabo, oddycha coraz wolniej. Wyciąga tabletki, jedną zażywa, z rozdręganey ręki wypada mu mała plastikowa butelka z tabletkami. Tabletki rozsypują się na dachu. Zaczyna je w pośpiechu zbierać, wsadza je z powrotem do plastikowej butelki. Oddycha głęboko, czuje się lepiej. To wina choroby, jego oddechu, może nocy, ciemnej, chłodnej nocy. Odzyskuje siły. Powoli idzie po dachach kamienic w kierunku ulicy Szpitalnej. Za sobą słyszy włączony alarm w muzeum. Zorientowali się, myśli Winto, za chwilę będzie tu dużo policji, zbyt dużo. Wchodzi na strych przy ulicy Szpitalnej, chowa obraz, schodzi schodami w dół, wychodzi bramą na ulicę. Idzie w kierunku Małego Rynku. Sienną zbliża się do Poczty Głównej. Słyszy syreny policyjnych samochodów. Wchodzi do sklepu nocnego, kupuje wódkę. Idzie w kierunku ulicy Grzegórzeckiej. Otwiera butelkę wódki, wylewa połowę, płucze sobie usta wódką, dochodzi do Hali Targowej, idzie dalej ulicą Grzegórzecką. Widzi dwa policyjne samochody. Winto zaczyna się chwiać, udaje że jest pijany, podnosi butelkę do ust, akurat wtedy gdy jeden z samochodów policyjnych zwalnia tuż przy nim.

- Zdrowie! – krzyczy Winto w kierunku policjanta w oknie samochodu. – Życie jest piękne w nocy! – krzyczy starając się udawać bełkot, chwieje się na chodniku, tak jakby miał za chwilę upaść.

- Zostaw go – Winto słyszy głos drugiego policjanta, tego który kieruje samochodem.

Samochód policyjny jedzie dalej. Winto szybkim krokiem idzie w kierunku Ronda Kotlarskiego. W okolicach Rynku wciąż słyszy odgłosy samochodów policyjnych. Dochodzi do ulicy Rzeźniczej. Tam ma zaparkowany samochód. Gdy ma już otwierać drzwi samochodu, zauważa coś na dachu kamienicy, jakiś cień stoi na krawędzi dachu.

Winto podnosi głowę wyżej, widzi że ciało mężczyzny patrzy się na dół. Wyczuwa, że to ciało drży ze strachu, z obawy, że coś w tym ciele nagle się skończy, nagle się urwie i nic nie będzie już można zrobić z tym skończy się, z tym urwie się. Winto odrywa rękę od drzwi samochodu. Waha się. Waha się, a później idzie w kierunku bramy prowadzącej go na dach kamienicy, gdzie stoi coraz bardziej przestraszony mężczyzna.

Winto spieszy się, czuje że czas ma znaczenie, że czas, gdy się go teraz dobrze nie wykorzysta zniszczy coś bezpowrotnie, zniszczy coś nieodwracalnie.

Otwiera klapę na dachu, cicho wchodzi w ciemność, widzi cień na krawędzi. Powoli zbliża się do niego, aż w końcu cień coś wyczuwa, i nagle ten cień odwraca się w kierunku ciała Wintego.

- Nie zbliżaj się – mówi młody mężczyzna, mówi to ze strachem, z jakimś napięciem w oczach.

- Nie rób tego. Nie rób tego teraz, gdy jesteś zdenerwowany. Rzeczy ostateczne należy robić, gdy mamy spokój w sobie, gdy mamy ciszę w głowie, ciszę w całym swoim ciele.

- Nie mów mi co mam robić – mówi mężczyzna, a jego głos drży, kurczy się, łamie się w ciemności.

Winto podchodzi do niego, mężczyzna robi krok w kierunku krawędzi dachu.

- Już nie będę do ciebie podchodził. Uspokój się. Co się stało? Jeśli możesz, opowiedz mi o tym. Opowiedz to tak, jakbyś mówił to do przyjaciela, jakbyś mówił to do kogoś, kto cię może lepiej zrozumieć niż inni.

Mężczyzna się waha. Chwilę milczy, potem mówi:

- Straciłem coś, co nadawało sens mojemu życiu. Straciłem kogoś, kogo wydawało mi się, że nigdy nie stracę.

- Kobieta – mówi cicho Winto.

- Tak. Kobieta.

- Kobiety często prowadzą mężczyznę na krawędzie życia. Kobiety potrafią uczynić mężczyznę Bogiem, ale też potrafią uczynić z niego niewolnika. A czasami potrafią zniszczyć mężczyznę, zniszczyć tak, że już nigdy tak naprawdę nie będzie potrafił się podnieść. Ani w ciągu dnia, ani w nocy. Ale nigdy nie warto stać na krawędzi dachu przez kobietę. Żadna kobieta nie jest warta tego, żeby przez nią skakać z dachu.

- Miłość zostawiła mnie dla mojego przyjaciela. I to jest najgorsze, straciłem zarówno miłość i przyjaciela.

- Żaden przyjaciel nie jest godny naszej przyjaźni, gdy zabiera nam coś cennego, coś tak cennego jak miłość.

- Dla miłości zrezygnowałem ze swojej pasji, z gór. Kochałem góry, kochałem ją, musiałem wybrać, wybrałem miłość.

- Nie powinno się rezygnować z marzeń, z pasji, nawet dla osób które kochamy. Po czasie i tak zrozumiemy, że brak marzeń, pasji niszczy powoli to, co kochamy, to, co wciąż chcemy kochać. Niespełnione marzenia zawsze ciągną w dół niespełnioną miłość.

- Wciąż ją kocham. I to jest najgorsze. Kocham ją, pomimo zła, które mi wyrządziła. I nie wiem co mam zrobić, żeby zapomnieć, żeby zrozumieć, żeby zniszczyć ten obezwładniający smutek w mojej głowie.

- Idź w góry. Skoro kochałeś kiedyś góry, idź w góry. Tam będziesz znów szczęśliwy, tak jak kiedyś. Żadna miłość nie jest warta tej rozmowy na dachu, nie jest warta skoku w dół, żeby zmusić nasze myśli do ciszy.

- Góry – uśmiecha się mężczyzna – góry zawsze były dla mnie jakąś nadzieją, jakimś światłem.

- Wróć do tego światła, wróć do przeszłości. Do przeszłości, gdy byłeś jeszcze szczęśliwy. Wymęcz się w tych górach, spraw by twoje ciało nabrało siły i wiary. Wiary, że kiedyś znów będziesz żył inaczej, lepiej. A gdy się już wystarczająco wymęczysz, gdy w two-

jej głowie nastąpi cisza i spokój, wróć. Wróć dopiero wtedy, gdy twoja głowa pozbędzie się myśli, złych myśli.

- Złych myśli – uśmiecha się jakoś dziwnie mężczyzna. – Tak, muszę jakoś pozbyć się złych myśli. Góry mi w tym pomogą.

Mężczyzna podchodzi do Wintego, podaje mu rękę.

- Dziękuję – mówi cicho. – Byłem już daleko. Teraz znów jestem blisko. Dzięki tobie. Sprawileś, że znów coś chcę. Chcę pomimo bólu, który wciąż we mnie jest. Ale zniknie, czuję to, zniknie dzięki tobie.

Mężczyzna znika, schodzi w dół przez otwartą klapę. Winto podchodzi na skraj dachu. Patrzy się na dół. Widzi mężczyznę, idzie w kierunku ulicy Grzegórzeckiej. Po chwili znika w ciemności nocy.

Trzeba mieć w sobie dużo odwagi i determinacji, żeby próbować pozbać się życia w tak młodym wieku, myśli Winto. Ludzie, którzy chcą odebrać sobie życie, odebrać nagle, to ludzie odważni, to ludzie, którzy nie mają żadnej świadomości swojej odwagi w sobie. I ten brak świadomości sprawia, że ich odwaga, tak głęboko ukryta w nich, może zbyt głęboko, już nigdy nie będzie miała szansy wydobyć się z nich, bo już jest za późno, nie ma ani czasu, ani nadziei żeby ta odwaga mogła rozkwitnąć w nich, rozkwitnąć w przyszłości. Bo czas tej odwagi właśnie się kończy. Kończy teraz, kończy nagle, kończy niespodziewanie.

Winto schodzi z dachu. Wsiada do samochodu. Czuje, że serce bije mu wciąż mocno, zbyt mocno. Włącza silnik samochodu, włącza muzykę, jedzie do domu. W radiu leci kawałek Dylana „Knockin’ on heaven’s door”. Winto uśmiecha się. Kocha ten kawałek. Dylan uświadamia mu, jak cienka jest granica pomiędzy być, a nie być, pomiędzy móc, a już nic nie móc, pomiędzy uciec, a zostać. I to zostać czasami ma większe znaczenie niż być. Być tu i teraz, a nie być tam, gdzieś daleko.

Ulice szybko prowadzą go do domu, zbyt szybko. Zbyt oczywiście.

Przez dwa kolejne dni Winto żyje tak, jakby przez całe życie żył w ciemności. Wstaje, coś je na śniadanie, czeka. Czas mu się dłuży, dłuży niemiłosiernie. Radio, telewizor, brak chęci wyjścia z domu. Winto czeka. Czas mu się dłuży, dłuży niemiłosiernie. Obiad, jedze-

nie posiłku w milczeniu, w samotności. Winto czeka. Czas mu się dłuży, dłuży niemiłosiernie. Potem kolacja, jakiś film, próba zaśnięcia za wszelką cenę. Winto czeka. Czas mu się dłuży, dłuży niemiłosiernie.

I te myśli przed zaśnięciem. Czy mu się udało? Czy obraz jest bezpieczny? Ile jeszcze musi czekać? Czy ryzyko ma jakiś sens, gdy pojawiają się pieniądze, duże pieniądze?

Po dwóch dniach ktoś puka do jego drzwi, Winto pyta się kto, dozorca, słyszy głos na korytarzu, otwiera drzwi, jacyś mężczyźni pojawiają się koło niego, mężczyźni ubrani po cywilnemu. Kajdanki na jego rękach są ciężkie, zbyt ciężkie. Policjanci przeszukują mieszkanie. Nic nie znajdują.

- Pojedziesz z nami na komendę – mówi Komisarz Koziół.

- Na komendę. Po co? – Winto udaje zdziwionego.

- Tam zrozumiesz, że czas nie gra na twoją korzyść.

Jadą zakorkowanymi ulicami na komendę, parkują tuż przy Dworcu Kolejowym. Tam, w pustym pokoju Winto czeka pół godziny, aż w końcu naprzeciwko niego siada Komisarz Koziół.

- Wiesz, dlaczego tutaj jesteś?

- Nie.

- Nie wiesz – uśmiecha się Komisarz Koziół. – Ludzie, którzy mają wypisaną winę w oczach, nigdy nie wiedzą dlaczego znajdują się w miejscach dla nich kłopotliwych, nieodpowiednich. Powiem ci, dlaczego tutaj jesteś. Po pierwsze, jesteś złodziejem, dobrym złodziejem. Po drugie, popełniłeś błąd, błąd, który odbiera ci teraz jakąkolwiek szansę odwrótu całej tej niekorzystnej dla ciebie sytuacji. Po trzecie, mamy kogoś, kto wie, gdzie byłeś wtedy w nocy, choć tobie wciąż na razie wydaje się, że tam nigdy nie byłeś. A po czwarte, nas interesuje tylko gdzie jest ten skradziony obraz.

- Obraz? – dziwi się Winto. – Nie jestem kolekcjonerem obrazów.

- Ukradziono obraz – głos Komisarza Koziola staje się twardy, cierpki. – Z Muzeum Jana Matejki ukradziono portret Marii Maurizio. Ktoś to zrobił doskonale. Ty to zrobiłeś. Niestety wiem o twojej chorobie, o postępującej utracie pamięci, a ta choroba, jak sam wiesz, wymaga odpowiednich leków, tabletek. Na dachu muzeum

znaleziono jedną taką tabletkę, tabletkę na twoją pamięć. Przyznasz chyba, że niewielu złodziei leczy się na powolną utratę pamięci.

- Każdy choruje, każdy inaczej – mówi Winto. – Choroba nie jest żadnym dowodem na niebezpieczne rzeczy w człowieku.

- Nie jest – twarz Komisarza Koziola jakoś się spina, pręży niebezpiecznie. – Ale przyznasz, że zbiegi okoliczności w twojej branży to dowód, że ktoś popełnia błąd. Błąd nieodwracalny. A ta tabletkę, to twój pierwszy błąd. Potem ktoś się do nas zgłasza, po komunikacie w telewizji, że każda rzecz, która wydarzyła się tamtej nocy, każda dziwna rzecz, jest dla nas ważna, może nawet najważniejsza w tej sprawie. I zdarza się cud, młody mężczyzna pojawia się na komendzie, mówi, że ktoś mu pomógł, ktoś dał mu szansę, żeby dalej szedł do przodu, pomimo bólu codziennego. Pomimo bólu jeszcze nieugaszzonego. Ten mężczyzna cię rozpoznaje na zdjęciu. Przypadek. Noc, ty, w tym samym czasie, w tej samej okolicy. Same przypadki, łączące się w coraz lepszą całość.

- Nic na mnie nie macie.

- Tak. To tylko dowody, małe dowody. A jak sam dobrze wiesz, duże śledztwa zawsze składają się z małych dowodów. Z dowodów, które w końcu zamykają te śledztwa na zawsze.

Komisarz Koziół podchodzi bliżej do Winto, patrzy mu się z jakąś iskrą w oczach w jego oczy.

- Kiedyś cię złapano. Pamiętasz, złote monety, dom kolekcjonera, wszystko szło dobrze, zbyt dobrze. Ty nie popełniłeś żadnego błędu. Błąd popełnił twój wspólnik. Mieliśmy na niego haka. Poszedł na współpracę. Wystawił cię. Pamiętasz monety w swoim domu. Pamiętasz swoją twarz, gdy się dowiedziałeś, że człowiek, którego uważałeś za swojego przyjaciela cię zdradził. Potem już nikomu nie potrafiłeś zaufać. I dlatego później już nigdy cię nie złapaliśmy. Choć oboje wiemy, że wciąż byłeś w branży. Wciąż byłeś dobry, nieuchwytny. I zawsze miałeś jakieś alibi.

- Tak, po tej sprawie przestałem ufać ludziom, przestałem ufać sobie. Teraz, po czasie, znów zacząłem ufać sobie, ale to trwało tyle lat, tyle długich lat, żeby znów zaufać sobie. Zaufać choćby na chwilę. Na chwilę wystarczającą na tyle, żeby znów iść pewnie do przodu.

- Komu mamy ufać, jak nie sobie – mówi Komisarz Koziół. – Tylko my znamy siebie najlepiej, znamy swoje słabości i lęki, nawet lęki bardziej niż słabości. A z lękami, jak sam dobrze wiesz, tylko my sami możemy sobie poradzić. Nie zrobią tego za nas inni.

Winto patrzy się w pustkę na ścianie. Czuje, że jakaś pętla dusi go na szyi, dusi coraz mocniej. Jeszcze wierzy, że to wszystko może mieć jakiś dobry scenariusz, ale po chwili pętla zaciska się na jego szyi jeszcze mocniej i ta wiara w dobry scenariusz ucieka od niego daleko, ucieka od niego jak szczur ze statku, który powoli zaczyna tonąć na pełnym morzu. Świat zaczyna wirować mu przed oczami. Coś w jego głowie pęka. Pamięć zaczyna uciekać od niego. Oddala się na zbyt dużą odległość.

Winto spada z krzesła, czuje, że to co jest w jego głowie jest daleko, bardzo daleko. Czuje, że ta odległość będzie się coraz bardziej oddalać od niego, a on, już tylko chwilami, momentami będzie dotykał tej swojej pamięci, będzie dotykał tych swoich wspomnień, które będą teraz kruche, delikatne, będą jak poszarpane pióra na wietrze, będą jak poszarpane pióra na morzu, na zbyt niespokojnym morzu, pióra lecące w dal, w kierunku gasnącego zbyt intensywnie słońca na horyzoncie.

Gdy Winto już leży na podłodze, gdy ktoś coś do niego krzyczy, pustka w głowie staje się coraz bardziej większa, staje się ciemnością. I w tej ciemności Winto się zanurza, zanurza coraz mocniej, zanurza coraz bardziej. Winto przestaje oddychać. Winto przestaje czuć. Przestaje czuć ciszę, przestaje czuć życie.

Cuć go. Winto ma pustkę w głowie. Mówią mu jak się nazywa. Powtarzają to kilka razy, żeby zrozumiał, żeby poczuł jakąś bliskość ze sobą, bliskość ze swoimi wspomnieniami. I w końcu, to jak się nazywa, przypomina sobie, to daje mu jakąś ulgę. Winto to słowo bliskie, ciepłe, kruche – kruche, ale znajome. Reszta obrazów to jakaś mgła, to jakieś rozmazanie. To rozmazane w oddali obrazy. Obrazy dalekie, lecz momentami bliskie. Winto wstaje, siada na krześle, widzi intensywnie wpatrzone oczy, to węglowe oczy Komisarza Marka Koziola, to oczy w których widać obawę, może strach, co będzie dalej, czy jest jeszcze dla Winto jakieś dalej?

- Jak się czujesz? – pyta Komisarz Koziół.

- Inaczej, inaczej niż zazwyczaj – Winto słowo inaczej mówi ze strachem, widać to w jego lekko drgających oczach.

- Co oznacza inaczej, inaczej dla ciebie? – pyta Komisarz Koziół.

- Coś pamiętam, czegoś nie pamiętam, jakiś obraz jest mi bliski, a po chwili jest już daleki, wydaje mi się, że czasami coś wiem, a później czuję, że to coś to złudzenie, to jakaś nieprawda. Nieprawda we mnie, nieprawda poza mną.

- Praca nauczyła mnie, że człowiek często składa się z samej nieprawdy. I ta nieprawda, gdy w nią uwierzymy zbyt intensywnie, gdy ją powtarzamy zbyt często w głowie, z czasem staje się jakąś prawdą. Prawdą składającą się z samej nieprawdy. I ta nieprawda jest już z nami aż do końca. I na końcu tacy ludzie już nie wiedzą kim są, jacy są, czy są tacy jak ich myśli, czy są tacy jak ich życie.

- Nie spodziewałem się, że to tak szybko pójdzie do przodu.

- Złe rzeczy przeważnie idą szybko do przodu, robią to skokami, falami, zaskakują nas ciągle, nieustannie.

- Co mnie teraz czeka? – pyta Winto ze strachem. – Co będzie ze mną w przyszłości? Czy jest jeszcze dla mnie jakaś przyszłość?

- Gdzie jest obraz? – pyta ciepłym głosem Komisarz Koziół. – To ważne, musisz sobie przypomnieć gdzie jest obraz.

Winto milczy, myśli, pamięta noc, muzeum, jakiś dach, a potem to niewiele pamięta, o, pamięta mężczyznę na dachu, pamięta ich rozmowę, rozmowę w ciemności, rozmowę niebezpieczną, która mogła zakończyć się jakąś ostatecznością, czymś złym, nie dla niego, dla tego mężczyzny. Tak, rozmowę pamięta najbardziej z tamtej nocy. A obraz, nie wie gdzie jest, wie tylko, że go miał ze sobą gdy szedł po dachach kamienic, gdy szedł pośród nocy. Obraz jest gdzieś pomiędzy muzeum a tym mężczyzną na dachu.

- Nie pamiętam, naprawdę nie pamiętam – Winto zawiesza głos, spuszcza głowę na dół.

Komisarz Koziół do niego podchodzi. Jego oddech jest przy oddechu Winty. Jego oczy są przy oczach Winty. Potem Komisarz Koziół cicho mówi:

- Chcę ci jakoś pomóc, naprawdę. Chcę ci pomóc ze względu na tego mężczyznę na dachu. Mogłeś odjechać, zapomnieć, on był dla ciebie obcy, nieznajomy. Był dla ciebie jakąś niezręcznością w tym czasie, niezręcznością zbędną, ale ty nie odwróciłeś wzroku i nie

odjechałeś. Chcę ci pomóc, ze względu na tego mężczyznę na dachu. Ty dałeś mu jakąś szansę, teraz ja chcę ci dać jakąś szansę. Ale to ważne, musimy odzyskać ten obraz. Musisz sobie przypomnieć, gdzie on jest.

Winto wie, że czas, dobry czas w jego życiu już się skończył. Wie, że dobre karty już dawno rozdał, a teraz gra tymi kartami, które ma w ręce, a nie są to dobre karty. Wie, że mógłby dalej blefować przy stole, ale po co? Czasami wszystko jest już jasne od dawna. Nie zauważał szans, to był błąd, to była głupota. Nie zauważał dobrych rzeczy na swojej drodze, nie zauważał ich przez swoją dumę, przez jakieś dziwne uprzedzenia do siebie, do innych. To był główny jego błąd. To była z jego strony głupota. A Winto przecież nie był głupi, nie był dumny, nie miał tak naprawdę żadnych uprzedzeń w sobie.

- Pomogę ci – mówi słabym głosem Winto. – Pomogę sobie. Chcę siebie zapamiętać, gdy jeszcze coś w sobie pamiętam, a wiem przecież dobrze, że za chwilę to się skończy, urwie, więc chcę siebie zapamiętać jako człowieka, który do końca nie był taki zły, choć jego życie było złe, niebezpieczne, niepoukładane, chcę siebie zapamiętać choć trochę w jaśniejszych barwach, chcę poczuć ulgę, zanim stracę całkowicie pamięć, taką ulgę, że ciemność ma w sobie też trochę jaśniejszych barw, trochę więcej kolorowych odcieni. A ty – Winto słowo ty mówi mocniej, głośniejsze – a ty, Komisarzu Koziół, musisz mi w tym trochę pomóc.

Niepamięć, pustka trwa kilka dni. Potem coś do niego wraca, wraca powoli lecz niedokładnie. Niedokładność wspomnień to teraz naturalny stan Winty. Niedokładność obrazów, niedokładność uczuć.

Komisarz Koziół wpada na pomysł żeby Winto poszedł do muzeum, żeby pochodził z nim po mieszkaniu Jana Matejki, może coś do niego wróci, może jakieś wspomnienie z tamtej nocy przywróci mu jakąś część świadomości. I tak robią i tak w obstawie dwóch policjantów Winto pojawia się w ciągu dnia w muzeum.

Winto ogląda obrazy, patrzy się na nie z zaciekawieniem. Są dobre, bardzo dobre. Jeden pokój, drugi pokój. Następne piętro. Znowu obrazy, meble, pamiątki po malarzu. Winto myśli intensywnie, lecz

na razie z tych myśli nic nie wynika. Całe jego życie to tak naprawdę – nic nie wynika.

Wchodzą do pokoju gdzie stoi duży koń. Winto widzi schody na strych. Coś się nagle w nim otwiera, jakaś jedna myśl przedziera się do niego, po niej następuje druga myśl i następna.

- Musimy wejść na dach – mówi Winto.

Komisarz Koziół kiwa głową. Wychodzą na ulicę Floriańską, wchodzą do kamienicy obok, idą skrzypiącymi schodami do góry. Winto prowadzi ich jak jakiś lunatyk. Wchodzą na dach. Winto oddycha głęboko. Kraków z góry, życie z góry. Problemy z dołu nic nie znaczą na górze gdy człowiek wystarczająco długo pozostanie na tej górze sam, by skupić myśli w jednym miejscu, w jednym czasie, myśli Winto.

Winto podchodzi do okna muzeum. Dotyka go rękami. Coś czuje w środku, coś jeszcze w nim żyje. Tamta noc, resztki tamtej nocy w jego głowie.

Idą pomiędzy kominami, Winto ich prowadzi. Komisarz Koziół wciąż patrzy się na Wintę. To ciekawy człowiek, to niebezpieczny człowiek, myśli Komisarz Koziół. Dlaczego zło musi być zawsze ciekawe, zawsze niebezpieczne, ta myśl przykleja się do Komisarza Koziół i nie może od niego uciec.

Stoją na dachu, na krawędzi dachu, przed ich oczami stoi budynek Teatru Słowackiego, przy nim biegnie ulica Szpitalna. Ktoś coś krzyczy na dole, ktoś inny śpiewa piosenkę o nadziei, a reszta ludzi idzie bezładnie do przodu, przed siebie, do miejsc, które być może choć trochę zmienią ich życie na lepsze.

Winto otwiera klapę na dachu, wchodzą do jakiejś kamienicy. Stoją na klatce, na podrapanej klatce ze zniszczonymi, starymi schodami, stoją naprzeciw brązowych, popękanych drzwi prowadzących na strych.

Winto patrzy się na te drzwi, już wie, już wszystko rozumie, cała tamta noc powoli do niego wraca, wraca jak na zwolnionym filmie.

Winto schyla się, podnosi drewnianą deskę, wyjmuje klucz. Wchodzą na strych. A tam szaro, pusto, brudno. Kurz, resztki kurzu i wspomnień. Podchodzą do starej, zniszczonej szafy. Winto ją przepycha na bok. Podnosi dwie deski z podłogi, wyciąga obraz. Uśmiecha się.

Komisarz Koziół trzyma obraz w ręku. W jego oczach pojawia się ulga.

- Dlaczego tutaj? Dlaczego w takim miejscu?

- Kiedyś, tutaj mieszkała moja babcia, w tej kamienicy. Tutaj był wspólny strych dla wszystkich mieszkańców tej kamienicy. Teraz już tutaj nikt nie mieszka. Wszystko się zmieniło. Starzy ludzie uciekają z centrum, albo ktoś pomaga im uciec z tego centrum. Pomaga niebezpiecznie – Winto się zamyśla, przypomina mu się dzieciństwo w mieszkaniu babci, przypominają mu się zabawy na strychu z dziećmi sąsiadów babci.

Komisarz Koziół zauważa zadumę na twarzy Winty.

- Masz dobre wspomnienia z tamtych czasów.

- Dobre wspomnienia zawsze tulą duszę człowieka. Tulą bezinteresownie.

- Pomogłeś mi, a tak naprawdę pomogłeś sam sobie. Ja zawsze dotrzymuję słowa. Porozmawiam z prokuratorem, pomogę ci. Bo to, że teraz coś pamiętasz, wcale nie oznacza, że jutro będziesz cokolwiek pamiętał z tego dnia.

- Tamta noc nie była dobrym dniem w moim życiu.

- Nie była – mówi Komisarz Koziół, potem schodzą na dół na ulicę. I znów wracają na posterunek.

Lekarz mówi i mówi. Komisarz Koziół słucha, potakuje, chce zrozumieć, że pewne rzeczy w człowieku są nieodwracalne, niezmienne.

- Są dni, gdy jest lepiej, o ile pewne rzeczy można nazwać słowem lepiej, a potem coś w nim znika, coś z niego ucieka i w jego oczach pojawia się jakaś ciemność, jakiś mroczny tunel dotyka jego myśli, i on, pomimo usilnych starań nie może wyjść z tego tunelu. A potem, nie wiadomo dlaczego, do jego myśli dociera jakieś światło, i znów jest inny, bardziej szczęśliwy niż wcześniej. Niż kiedyś.

- Kiedyś, słowo które może być ciężarem dla ludzi, którzy stracili już całą nadzieję. Ciężarem nie do udźwignięcia – smutno stwierdza Komisarz Koziół.

- Choroba, nieuleczalna choroba, często dla ludzi jest ciężarem nie do udźwignięcia.

- Gdzie on jest teraz?

- W ogrodzie.

Komisarz Koziół wychodzi z budynku. Idzie alejkami, mija ławki, drzewa, mija jakieś krzaki, krzaki nijakie, bez jasnych kolorów w sobie. Dostrzega w końcu Wintę. Siedzi na ławce koło dużego drzewa. Cień z drzewa zakrywa połowę twarzy Winty.

Komisarz Koziół siada koło Winty. Milczy i to milczenie ich jakoś łączy, jakoś zaciera różnice pomiędzy nimi.

Winto na niego zerka, jego oczy są dzisiaj jasne, jaśniejsze niż wczoraj.

- Komisarz? – pyta zdziwiony.

- Tak, pamiętasz mnie?

- Pamiętam obraz, noc, strych, pamiętam pana słowa, że ta noc coś zmieniła w moim życiu.

- Dzisiaj czujesz się lepiej, widzę to w twoich oczach.

- Lepiej – myśli Winto na głos. – Czasami nawet nie wiem co oznacza słowo lepiej. Gdy patrzę w lustro, coraz częściej widzę obcą twarz, widzę nieznajome oczy, nieznajome wspomnienia. Czasami myślę, gdy jeszcze w ogóle coś myślę, że żyjemy tylko po to, żeby w końcu zapomnieć rzeczy złe, rzeczy dobre w człowieku. I to zapomnienie jest jakąś ulgą, gdy nasze życie było złe, było bezwartościowe – Winto zawiesza głos, jego oczy patrzą się w niebo, na chmury, dzisiaj takie gęste, takie szare w swoim powolnym ruchu na niebie. – Miłość, jakąś nadzieją mogłaby być miłość. Miłość kwitnąca w człowieku jak kwiat w ogrodzie. Miłość podlewana, pielęgnowana, miłość nieskończona. Taka miłość aż do końca. Niestety, niektórzy nie mieli takiej szansy i nigdy nawet nie otarli się o prawdziwą miłość – Winto spuszcza głowę, w jego oczach pojawiają się łzy.

- Jeśli miłość jest zła, bolesna, ma w sobie rodzaj jakiegoś cierpienia, to może lepiej jeśli nie spotkamy jej na swojej drodze. Nie każdy ma w sobie dość siły, żeby podnieść się po takiej złej miłości. A zła miłość zawsze zostawia trwały ślad w człowieku. Ślad nigdy nie znikający. Ślad ocierający się o jakąś prawdę. Naszą prawdę.

Komisarz Koziół wstaje, podaje rękę Wincie.

- Żegnaj. Ja dotrzymałem słowa. Tutaj będziesz bezpieczny, nawet będziesz bezpieczny wtedy, gdy już nic nie będziesz pamiętał ze swojego życia.

- Tego się boję, braku wspomnień, braku obrazów. Gdy człowiek nie ma już żadnych wspomnień w sobie staje się niczym. Staje się tylko oddechem, tylko resztkami tego oddechu w sobie.

- Ja ci już więcej nie mogę pomóc – mówi Komisarz Koziół i idzie do wyjścia z ośrodka. Jego kroki mają w sobie jakąś niepewność. Jakiś strach, strach przed tym, że on też kiedyś może się znaleźć w takim ośrodku.

Komisarz Koziół siedzi w restauracji przy Hali Targowej, siedzi w ogródku, patrzy się na wolno jadące tramwaje ulicą Grzegórzecką. Co jakiś czas wiaduktem nad ulicą Grzegórzecką przejeżdża pociąg. Widzi wagony, lokomotywę, ludzi w oknach i tę nieustanną ucieczkę od – do. Ale czy do jest lepsze od tego od, czy do spełni nasze cele, marzenia, bo od nas kiedyś zawiodło, rozminęło się odrobinę od marzeń, tego nikt nie wie i nigdy się nie dowie. Bo ucieczki zawsze są właściwe, gdy chcemy coś zmienić w swoim życiu, coś zmienić w sobie.

Komisarz Koziół zauważa mężczyznę, od razu wyczuwa, że ten ktoś to człowiek, który żyje na pograniczu dwóch światów – tego tutaj i więzienia. Ma w oczach to, co mają w oczach ludzie którzy właśnie wyszli z więzienia. Obojętność. Obojętność czy będą żyli tu, czy tam. A ich oczy bardziej skłaniają się do tego tam.

Dlaczego ludzie, których często przesłuchuję na posterunku, to ludzie martwi? zastanawia się Komisarz Koziół. To tylko żyjące widma. Większość ludzi, których spotykam w pracy to ludzie martwi, bez żadnych złudzeń, bez żadnych marzeń, całkowicie bez siebie. Coś w nich umarło kiedyś, coś w nich wciąż umiera teraz. Nawet teraz bardziej niż kiedyś. I to kiedyś tak zmieniło ich życie, zmieniło nieodwracalnie, że teraźniejszość już nie ma dla nich najmniejszego sensu. Sensu wartościowego.

Komisarz Koziół zerka na zegarek, srebrny zegarek na ręce. Spóźnia się, jak zawsze. Nic się nie zmieniło, myśli. Przyjaciół, kolega, może bardziej kolega niż przyjaciel. Tyle razy go zawodził, tyle razy mu wybaczał. Tyle razy go podnosił, gdy upadał. Upadał nieświadomie. Gdy uciekał od siebie poprzez ciemność. Podnosił go, a on znów upadał. I tak bez końca. I teraz, ten kolega, może przyjaciel, znów chciał z nim porozmawiać. Znów coś z jego życiem

było nie tak. Znow się spóźniał, jak zawsze. I to jego wieczne zdziwienie. To już jest ta godzina, a był przecież handlowcem, dużo wyjeżdżał, powinien mieć w sobie jakąś świadomość czasu, jakąś punktualność.

Zauważa go, idzie chodnikiem, siada koło niego, wita się, i ten uśmiech, uśmiech zdyszany, pewnie biegł, albo chciał biec, lecz nie potrafił, zbyt duży brzuch, zbyt duże zmęczenie.

Chwilę rozmawiają o niczym, przy piwie, chwilę mówią co u nich słychać, jak żyją, nie widzieli się pół roku. Nie musieli, może nie chcieli. W sumie nie wiadomo. To taka przyjaźń, jeśli jest to przyjaźń. Przyjaźń na odległość.

W końcu Marian mówi:

- Masz szczęście, że nie masz żadnej kobiety u swojego boku, żadnej na dłuższy czas.

- Kobiety – uśmiecha się Komisarz Kozioł – dają tyle szczęścia mężczyznom, dają tyle bólu mężczyznom, tyle cierpienia, gdy już odchodzą, gdy opuszczają nas na stałe. I sami nie wiemy, gdy już ich nie ma przy nas, że mamy aż tyle cierpienia w sobie, tyle bólu. I one nam to w momencie odejścia uświadamiają. Ten ból, to cierpienie, tą samotność, która za chwilę się pojawi, gdy ta kobieta zniknie na zawsze z naszego życia.

- Ożeniłem się dziesięć lat temu, może jedenaście, i teraz wiem, gdy patrzę na nią, gdy bywam w domu, bo teraz bardziej bywam niż jestem i gdy patrzę na nią ukradkiem, trochę jak szpieg, to wiem, że ją zawiodłem, choć ona też mnie zawiodła. Zgubiłem to coś co nas łączyło, sprawiłem, że obojętność wkradła się pomiędzy nas. Teraz ona tylko skupia się na codzienności, ja tylko skupiam się na codzienności. A tak naprawdę poprzez tę miłość, poprzez resztki tej miłości w nas, resztki tej miłości we mnie, chciałbym uciec jak najdalej od tej codzienności. Kocham ją, nie kochając jej. I to jest przykre, i to jest bolesne.

- Dużo jeździsz, uciekasz w pracę, to nie sprzyja miłości. Miłość na odległość to złudzenie. Człowiek musi mieć dużo siły w sobie, żeby kochać kogoś na odległość. Wytrwałość i cierpliwość to ważne rzeczy w miłości na odległość.

- Dlaczego kobiety, gdy dostaną to co chcą, zmieniają się. Stają się inne. Zaczynają zrzucać liście jak drzewa przed zimą, aż w koń-

cu zostają tylko gałęzie, a potem osacza je mróz, śnieg, wiatr i nie już dalej nie jest takie same.

- Gdy kogoś w końcu spotkasz, bo mocno wierzysz, że to kiedyś nastąpi, i gdy zanurzysz się w tej osobie, bo wciąż wierzysz, że w końcu nie będziesz sam, że samotność już ci nie zagraża, nie zagraża na zawsze, gdy w końcu poczujesz, że coś ma sens, bo nagle sens swojego życia zaczynasz rozumieć, poprzez miłość która cię spotkała, gdy poczujesz odpowiedzialność za tę drugą osobę, gdy uwierzysz że coś jeszcze możesz zmienić w swoim życiu, bo masz skrzydła, bo znów potrafisz latać, to nie naprawdę dalej nie jest takie same. Jesteś inny, a może zawsze byłeś inny, lecz tego nie dostrzegałeś.

- Kobiety są inne, na początku, a potem są takie same jak wszystko co nas otacza.

- Wszystko koło nas wciąż jest takie same, lecz my przez czas, przez miłość, przez samo życie dostrzegamy te same rzeczy inaczej, czasami lepiej. Liczy się punkt odniesienia do rzeczy ważnych, do rzeczy nieistotnych.

- Co mam dalej robić? Kochać ją, czy zapomnieć? Uciec, czy zostać? Kocham ją resztkami miłości, które wciąż mam w sobie. I to jest najgorsze. Kocham ją nawet w obojętności, która zaległa się pośród nas.

- Zmień pracę, pomieszkaj z nią znów naprawdę. Postaraj się ją zrozumieć, a wtedy jest szansa, że ona też cię może zrozumie. Może pokocha na nowo. Czasami zmiany, takie zmiany, które o coś walczą są dobre, może najlepsze w nas. Powalcz o to co kiedyś kochałeś w niej, powalcz o to co kiedyś ona kochała w tobie.

- Spróbuję – Marian wstaje. – Na razie znów muszę wyjechać.

Komisarz Koziół patrzy się na plecy Mariana. Plecy, które znikają w tłumie ludzi na ulicy.

Już koniec, już widzi światło na końcu drogi. Już czuje, że jest blisko. Ostatnie litery, słowa, zdania. Wszystko się tworzy samo, prawie bez jego udziału.

Koniec, każdy koniec to tylko początek. Potem stąd wyjadę i napiszę coś nowego, coś równie wielkiego jak ta książka. Wciąż czuję, że ta książka będzie wielka, będzie doskonała. Spotkania z czyteln-

kami, nagrody, sława. Sława zasłużona. Choć do końca nie wie, czy jest znanym, nagradzanym, popularnym pisarzem. A ta książka będzie tylko potwierdzeniem, ugruntowaniem tego co dokonał już wcześniej.

Oplaciło się, ta katorga, izolacja, narzucenie sobie takiego rygoru, tylko po to, żeby choć trochę zbliżyć się do doskonałości. Do tego czegoś, co każdy chce doświadczyć, choćby raz w swoim życiu – do sztuki. Każdy wie, że sztuka zawsze jest gdzieś blisko, lecz tylko niewielu artystom dane jest jej dotknąć, poczuć ją choćby przez chwilę w swoim życiu. I ta droga, o której każdy mówi, droga do celu, żeby gdzieś w ogóle dojść, droga – nie cel, tak się mówi, ale każdy się łudzi, że cel można osiągnąć, choć liczy się tylko skala tego celu, wielkość tego celu. Wielkość – dla każdego inna, dla każdego odmienna.

Maszyna stuka końcowe zdania. Czuję taką ulgę w sobie. W końcu dowiem się kim naprawdę jestem. Przez to pisanie, przez tę gorączkę twórczą zapomniałem o sobie, zapomniałem o świecie. Ludzie którzy żyją w nieustannej gorączce, w pewnym momencie zaczynają zapominać o sobie, zapominać o świecie. Żyją złudzeniem, że ich świat jest właściwy, a inne światy są obce, niebezpieczne, zbyt odległe, zbyt złudne.

Już za chwilę otworzę drzwi, przejdę przez nieznane mi korytarze, przejdę przez park, bo pewnie jest gdzieś tutaj jakiś park, dotknę w końcu drzew, ich kory, gałęzi, liści, wezmę głęboki oddech i znów poczuje świat w sobie, świat pełen rozterek, złudnych nadziei, świat pełen napięcia, niebezpieczeństw i pójdę śmiało do przodu, do siebie. Bo przecież mam jakiś dom, jakieś bliskie miejsce, miejsce tylko dla mnie. Miejsce gdzie czuję się bezpieczny, miejsce bliskie, na tyle bliskie, że lubię to miejsce, lubię czas który poświęcam temu miejscu, tym kształtom, na razie uśpionym, kształtom które znów obudzę swoją bliskością, swoim zapachem, swoją obecnością.

A potem, cóż będzie potem? Wywiady, analizy, czy ja w książce to ja, czy ja w książce to ktoś inny? Pytania, muszą być przygotowany na tyle pytań. Tyle pytań niebezpiecznych, tyle pytań podchwytliwych. Mogę nie odpowiadać na każde pytanie, mogę w osobach pytających zasiać jakąś niepewność, jakieś roztargnienie. I wtedy zobaczę rozterkę na ich twarzach, zobaczę złudzenie. Kim

jestem, gdzie jestem, czy jestem tym kim jestem, czy jestem całkowicie kimś innym?

Ostateczność, nadchodzi ostateczność. I ja, pisarz, człowiek, ktoś kto tyle poświęcił, żeby zrobić coś niezwykłego, zbliżam się do tej ostateczności. Zbliżam się ostatecznie.

Komisarz Koziół idzie ulicą Sławkowską. Sobota, noc sobotnia, noc niespokojna, noc nasączona jakąś niepewnością. Zauważa schody, światło lekko pulsujące, zauważa, że jego nogi już schodzą tymi schodami na dół, słyszy muzykę, muzyka staje się coraz głośniejsza, wchodzi do ciemnej sali, stoliki, ludzie trzeźwi, ludzie pijani. W kącie sali, bardziej piwnicy niż sali ktoś coś śpiewa. Kobieta, sukienka jakby nie z tych czasów, z czasów dalekich, trochę zapomnianych, obok niej, bardziej za nią niż obok niej, grają trzej mężczyźni, skrzypce, kontrabas, harmonia. To tło dla jej głosu, to tło do tego o czym ta kobieta śpiewa. Czasami kobieta tańczy, kołysze biodrami, robi to wtedy gdy gra muzyka, gdy tylko gra muzyka, kobieta zamyka oczy i tańczy, tańczy daleko, tańczy w ciemności, jest w latach trzydziestych, może dwudziestych, na pewno w czasach międzywojennych, bo z tamtych czasów jest ta muzyka, muzyka z filmów z tamtego okresu.

Komisarz Koziół siada, zamawia piwo i słucha tej muzyki odległej, lecz jakże pięknej, obcej i innej. Na twarzy Komisarza Koziół powoli pojawia się uśmiech, to młodość do niego wraca, to wspomnienia pojawiają się w jego oczach.

Te słowa, ta muzyka, muzyka z filmów o których już czas zapomniał, to wszystko, to nic sprawia, że przez moment Komisarz Koziół jest w innym świecie, w lepszym świecie.

Ktoś do niego podchodzi, lekko dotyka jego ramienia. Komisarz Koziół się odwraca, rozpoznaje tę twarz, to Benek, dawny jego kolega, pracował kiedyś w policji.

- Witaj – mówi Benek, Benek w skórzanej kurtce, w kurtce na srebrny zamek, Benek w sztruksowej czarnej koszuli, w czarnych dżinsach, w kowbojkach.

- Siadaj – mówi Komisarz Koziół. – Co tutaj robisz?

- Uciekam – uśmiecha się Benek. – Wciąż uciekam. Od siebie, od innych.

- Kiedyś uciekałeś od ciemności. Coś się zmieniło? Opanowałeś noc, jej kształty, jej niebezpieczeństwo?

- Jednak coś pamiętasz z naszej wspólnej przeszłości. Tak, oswoilem się z ciemnością, z niebezpieczeństwem. Oswoilem się ze skutkami nocy poprzez ucieczkę.

- Ucieczkę – dziwi się, a może bardziej pyta niż dziwi Komisarz Koziół.

- Tak, ucieczkę. Pamiętasz, kryminalna policja, to co widzisz nie pozwala ci na dłużej zasnąć w nocy. Na dłużej bez alkoholu. Gdy już za dużo widziałem, za dużo czułem, za dużo miałem w sobie gniewu odszedłem z policji, bo nie potrafiłem już spać w nocy. Na początku myślałem, że to minie, to przecież kiedyś się skończy, ale pomimo upływającego czasu wciąż nie mogłem spać. Ile człowiek może nie spać – dzień, dwa, miesiąc, ale nie całe życie. Odszedłem z policji na wcześniejszą emeryturę.

- To dobrze. Jesteś teraz innym człowiekiem.

- Odszedłem, bo ktoś powiedział mi kiedyś „Żyjesz w ciemności, żyjesz po innej stronie życia i to nieustające napięcie, które wciąż masz w oczach”. Odszedłem, żeby choć trochę siebie uratować. Uratować, gdy jeszcze choć trochę żyję, gdy jeszcze choć trochę coś czuję do siebie, do innych.

- Co teraz robisz?

- Ten sam ktoś mi powiedział „Skoro nie możesz już spać w nocy, to znajdź pracę, którą możesz wykonywać tylko w nocy”. I tak zrobiłem. Pracuję w Muzeum Narodowym przy Hotelu Cracovia. Pracuję tylko w nocy.

- Interesująca praca.

- Tak, interesująca. Mam kontakt ze sztuką, ale tylko kontakt nocny – uśmiecha się Benek.

- Lubisz to, co robisz?

- Uspokoilem się, wciąż nie śpię w nocy, bo praca, ale potrafię już na chwilę zasnąć w ciągu dnia. A to dużo. Dla niektórych może to mało, ale dla mnie to dużo.

- A ja, cóż, wciąż w policji. Coś mnie dzisiaj tutaj zaprowadziło, może instynkt, może przeznaczenie żeby znów cię ujrzeć. Ujrzeć innego niż kiedyś.

- Ta muzyka – Benek patrzy się na kobietę. – Ta muzyka przywołuje wspomnienia, dalekie, odległe wspomnienia.

- Przed wojną świat był inny, ludzie byli inni, piosenki były inne. A to, że ona je śpiewa, świadczy, że te czasy jeszcze są gdzieś w ludziach, gdzieś głęboko, ale są. Uśpione, lekkie, trochę zapomniane czasy.

- Za tamte czasy, za to, że dzięki tamtym czasom znów rozmawiam z tobą.

- Za noc, by była łaskawa dla ludzi, którzy nie mają z nią żadnego problemu, by była łaskawa dla ludzi, którzy mają z nią problem każdego dnia.

Niedziela, wieczór, ciepły wiosenny wieczór. Nie tak miała wyglądać ta niedziela dla Komisarza Kozioła. Miał być mecz w telewizji, miał być spokój, cisza, relaks, odprężenie. A tutaj telefon, praca, kolejne problemy. A teraz wchodzi do kamienicy przy ulicy Krakowskiej, kamienicy pustej, kiedyś opuszczonej przez ludzi, kamienicy zaniedbanej, wchodzi do niej po zniszczonych schodach, mija kolejne puste pokoje na drugim piętrze i zanurza się w dużym pokoju z piecem kaflowym, teraz już nieczynnym. Widzi srebrne naczynia, łyżki, widelce, jakieś obrazy, monety, chyba złote, stare i widzi dwie przerażone twarze, szesnastoletnie twarze, twarze bez żadnych oznak chęci życia za wszelką cenę.

Komisarz Kozioł dotyka srebrnych łyżek, podnosi ozdobny czajnik, przez chwilę na niego patrzy, a potem mówi:

- Wyjaśniła się kradzież cennych rzeczy ze sklepu z antykami na ulicy Długiej.

- To trzeci sklep z antykami w tym miesiącu – dodaje barczysty policjant o piwnych oczach.

- Ile mają lat?

- Szesnaście, kilka miesięcy temu uciekli z domu. Tutaj mieszkają od trzech miesięcy.

- W tym pustostanie?

- Tak. Od trzech miesięcy.

- A to, co to jest? – pyta Komisarz Kozioł, gdy podnosi metalową puszkę, gdy wyciąga z niej coś dziwnego.

- Suszone muchomory. Suszą je na słońcu przez jakiś czas, a potem dodają do posiłków. Powodują pobudzenie i halucynacje.

- Nie można od nich umrzeć?

- Zależy od ilości. Jeśli dodaje się ich niewiele, to wywołują tylko pobudzenie i halucynacje. Taka nowa moda. Dla ludzi którzy chcą żyć niebezpiecznie.

- Zabierzcie ich na posterunek. Przesłucham ich, zobaczymy co mają do powiedzenia.

Komisarz Koziół stoi przed pokojem przesłuchań, słucha tysego kolegę, słucha w milczeniu, a w jego oczach pojawia się jakaś litość, jakieś współczucie.

Wchodzi do sali przesłuchań. Widzi przestraszone oczy jednego z chłopców. Siada, przez chwilę milczy i patrzy się na chłopca.

- Gdzie to sprzedawaliście?

- Pod Halą Targową, wcześniej rano, w niedzielę, gdy jeszcze nie było zwykłych klientów. Kupowali to od nas handlarze.

- Nie pytali o nic?

- Gdy da się im dobrą cenę, nie pytają o nic.

- Potrzebowaliście pieniędzy na życie?

- Tak – chłopak o niebieskich oczach spuszcza wzrok. – Coś trzeba jeść gdy się ucieka z domu. Gdy musi się uciekać z domu.

Komisarz Koziół patrzy się na akta, które ma ze sobą. Chwilę milczy.

- Matka wcześniej wam umarła. Ojciec, cóż, ojcowie są jacy są. Nie wiem, czy czasami nie lepiej jest być samotnym dzieckiem niż cierpieć pod własnym dachem. Co z tego, że ktoś coś zgłaszał, nikt wam nie wierzył. Niektórzy świetnie kłamią, gdy stoją pod ścianą. A wasz ojciec, z tego co widzę, zawsze świetnie kłamał. I dlatego uciekliście?

- Nie mogłem już patrzeć na niego. Bałem się, że w końcu go zabiję, że się odważę, i później już nic nie będzie takie same. Bałem się, że to już nic nie będzie takie same w przyszłości mnie zniszczy, pokona. A ja nie chciałem całe życie uciekać przed sobą, przed wspomnieniami.

- Po co wam te muchomory?

- Po każdej kradzieży zażywaliśmy je, tylko po to żeby zapomnieć. Powodują halucynacje, dzięki nim byliśmy w innym świecie, lepszym świecie. A może każdy z nas się łudził, że gdy zażyjemy ich trochę więcej to wszystko się skończy i będziemy gdzie indziej, w świecie gdzie wszystko jest możliwe dla ludzi takich jak my.

- Nie każdy ma równy start w życiu. Ja to wiem – Komisarz Kozioł się zamyśla. – Czasami trzeba dużo siły i odwagi, żeby człowiek uwierzył, że coś, cokolwiek, kiedykolwiek zmieni się koło nas na lepsze. I to lepsze będzie trwało choć trochę dłużej. Na tyle dłużej, że w końcu sami uwierzemy, że tak może być zawsze, zawsze aż do końca.

- Co z nami będzie?

- Postaram się wam pomóc. Postaram się dać wam szansę. Skoro nikt wam do tej pory nie pomógł, ktoś musi być pierwszy, żebyście uwierzyli, że ludzie nie są źli, że ludzie też mogą coś zrobić bezinteresownie dla drugiego człowieka. Dla obcego człowieka.

- Nie chcemy już wracać do niego.

- Nie wróćcie. Obiecuję to wam. A jego postaram się ukarać za krzywdy, które wam wyrządził. Musi zrozumieć, że nic w życiu nie jest bezkarne, musi zrozumieć, że dzieci należy kochać a nie niszczyć.

- Dziękuję – w oczach chłopca pojawiają się łzy.

- Mnie też ktoś kiedyś pomógł bezinteresownie. Pomógł, bo mógł. Pomógł, bo chciał. Pomógł, bo wierzył, że świat można zmieniać i należy go zmieniać zaczynając od siebie. I ja ten dług chcę teraz spłacić. Muszę go spłacić, bo nie mógłbym w przyszłości patrzeć sobie spokojnie w oczy przy goleniu. Pomogę wam – Komisarz Kozioł wstaje, patrzy się w oczy chłopca jeszcze raz i wychodzi z sali przesłuchań.

Park, w oddali ciało leżące na alejce, ciało zastygłe, teraz już przygasłe. Ciało zakryte ciemną tkaniną, ciało bezwładne, opuszczone na zawsze. Obok ciała stoją policjanci, robią zdjęcia, dyskutują. Lekarz, teraz lekko klęczący nad ciałem milczy, ocenia, coś notuje na białym papierze. Potem wstaje, zastyga na chwilę, w jego oczach pojawia się niepokój, taki niepokój który już z nim zostanie

aż do końca, w formie niewidocznej, ale zostanie. Taki teraz jest świat, to wyraża niepokój w oczach lekarza.

Rozmazany makijaż na twarzy kobiety, pięknej kobiety miesza się ze łzami, i te łzy, teraz tak swobodnie płynące z jej zielonych oczu wyrażają wszystko – ból, zwątpienie i pewien rodzaj zaskoczenia, bolesnego zaskoczenia. W to, co się tutaj niedawno wydarzyło trudno jest uwierzyć kobiecie, pięknej kobiecie i te łzy nic nie mogą już wytłumaczyć, nic nie mogą zmienić.

Komisarz Koziół podaje chusteczkę kobiecie, pięknej kobiecie. Potem chwilę milczy, razem siedzą z tym milczeniem na ławce w parku, siedzą, milczą, pokonują niezręczność poprzez coraz krótsze oddechy wydobywające się z ich ciał.

- Jest aktorem, teraz to już raczej był aktorem – kobieta, piękna kobieta zaczyna mówić głosem drżącym, niespokojnym. – Nie wiem, dlaczego to zrobił? Stał się inny, gdy odeszliśmy od siebie na zawsze. Aktorzy to ludzie nadwrażliwi, to ludzie którzy czują więcej niż inni, którzy muszą czuć więcej niż inni. Gdyby im tej nadwrażliwości kiedyś zabrakło, będą skończeni. I potem będą musieli tylko udawać, że dobrze grają, jeśli kiedykolwiek wcześniej potrafili choć trochę dobrze grać. I część ludzi im uwierzy, lecz na jak długo?

Komisarz Koziół słucha, nic nie mówi, wie, że czasami słowa muszą z człowieka uciekać, zwłaszcza z człowieka zranionego, pokaleczonego niespodziewanie przez los, przez przeznaczenie.

- Pokochałam go, gdy go tylko pierwszy raz zobaczyłam. Myślałam, że tak będzie już zawsze. Kino, teatr, kawiarnie, koncerty, pocałunki w bramach kamienic, kolacje, miłość aż do rana. Świat wydawał mi się bajką, a on kimś, z kim będę tę bajkę tworzyć na nowo. Na naszych wspólnych zasadach. Potem pojawiły się kłótnie, na początku nieśmiałe, niewinne, po nich przyszły następne i następne. Nikt tego nie mógł zatrzymać, ani on, ani ja. Miłość zaczynała się nam wymykać z rąk. Bardziej z serca niż z rąk. Nie było jej już w naszych spojrzeniach i gestach. I wtedy on powiedział, że nie możemy ze sobą żyć razem, i nie możemy też żyć osobno, bez siebie. I były to słowa przerażające – dla mnie, dla niego. To, co teraz się dzieje między nami, tak wtedy powiedział, jest wyniszczające. Nie chciałam być z nim, nie chciałam być bez niego. Jakaś zakłęta, przerażająca pętla bólu, pętla cierpienia, może pętla czasu przesiąknięta

tym cierpieniem na zawsze. To wszystko stawało się jakieś niebezpieczne, więc w końcu odeszłam od niego – kobieta, piękna kobieta na chwilę milknie, potem zaczyna mówić dalej. – Spotkałam kogoś, nie kochałam go, po prostu spotkałam tego mężczyznę w odpowiednim momencie, w odpowiednim czasie. Był tak poniszczony jak ja. Był zmęczony rzeczywistością, rozgoryczony skutkami tego zmęczenia w prawdziwym życiu. Ten mężczyzna stał się moim przyjacielem, a jak wiadomo, przyjaźń często jest początkiem czegoś niezwykłego, czegoś pięknego. Czułam, że jest dla mnie jakąś szansą, nadzieją. A to ważne, czasami najważniejsze, poczuć szansę, gdy wszystko wokół nas jest złe, obojętne, obce, martwe. Często niezrozumiałe dla nas, dla innych.

- Dlaczego go zabił? – pyta Komisarz Koziół i zerka na ciało leżące w oddali, wciąż na ziemi, wciąż pod przykryciem.

- Zabił go z zazdrości, z niemożności zrozumienia, że chcę iść do przodu z kimś, kto da mi szansę na nową miłość. Zabił go, bo nie potrafił zrozumieć, że czasu nie da się cofnąć. Niczego już nie da się cofnąć. Nie da się cofnąć tych wszystkich krzywd, które czyniliśmy sobie nawzajem, nie da się cofnąć tych krzyków, tych słów powiedzianych niebezpiecznie – kobieta, piękna kobieta wyciera ostatnią łzę na policzku, teraz wie, że nie będzie już więcej płakać przez tego mężczyznę, który za chwilę zniknie na zawsze z jej życia i stanie się niewidzialny, nieokreślony. – Tak naprawdę nie zniszczyły nas krzyki, szarpaniny, jego zdrady, zniszczyły nas słowa, prawdziwe znaczenie tych słów. Gdy go dzisiaj zabił, gdy stałam nad nim, gdy patrzyłam w jego oczy, zobaczyłam w tych oczach tak ogromną samotność. Gdy stał taki bezradny, z tym zakrwawionym nożem, stał taki opuszczony, stał nad ciałem z którego powoli uciekało życie, gdy w końcu sam świadomie spojrzał mi w oczy, to w tych oczach zobaczyłam ból, taki ból który już nigdy nie zniknie, bo on wtedy zrozumiał, że będzie już samotny przez całe życie, przez cały czas, który mu jeszcze pozostał. I co później robi ze sobą, ze swoim życiem nie ma już żadnego znaczenia, bo tak naprawdę już nic nie zabije tej samotności w nim, nie zabije na dłuższy czas, bo coś nieodwracalnie się zmieniło. Nieodwracalnie i ostatecznie. I ta ostateczność była widoczna w jego oczach. – Kobieta, piękna kobieta patrzy się znów na ciało, które na noszach powoli znika w białej

karetce. – Tak naprawdę to nie on zabił mojego przyjaciela, zabiła go jego rozpacz, która załęgła się w nim od naszego rozstania. Załęgła ostatecznie.

Komisarz Koziół wstaje z ławki. Podnosi ręką lekko kobietę, piękną kobietę.

- Musimy pojechać na posterunek i spisać zeznanie. Ból, każdy ból ma swój kres i potrzebujemy tylko czasu, żeby do tego kresu jakoś dojść. Dojść za wszelką cenę.

Razem ruszają do policyjnego samochodu. Idą w milczeniu, powoli, jakoś sennie. Jakoś obojętnie.

Pada już od miesiąca. Całe miasto powoli staje się jednym wielkim wodospadem. Deszcz systematycznie, konsekwentnie paraliżuje całe życie w mieście. Rzeka, jej dopływy rosną w oczach, jeszcze nie pożera miasta swoją siłą, ale jest bliska przełamania wałów i dotarcia tam, gdzie historia miesza się z teraźniejszością. Dachy kamienic są śliskie, niebezpieczne, błyszczą jak czarne diamenty w świetle, którego jest nie za dużo w powietrzu, nie za dużo na niebie.

Komisarz Koziół stoi przy oknie. Patrzy się na krople deszczu spływające po szybie. Z oddali widzi ludzi uciekających w pośpiechu do swoich domów. Każdy gdzieś ucieka, każdy do czegoś dąży. Ucieczka staje się naturalnym stanem życia ludzi. Ucieczka donikąd.

Książki na regałach w pokoju zaczynają puchnąć od wilgoci. Litery, zdania, słowa, opisy stają się bardziej rozbudowane w książkach poprzez wilgoć, która się w nich załęgła od jakiegoś czasu. I to puchnięcie sprawia, że historie zawarte w książkach nabierają innego znaczenia, stają się bardziej złożone, mają inne zakończenia. Ciężar tych historii przygniata regał coraz mocniej do ziemi, coraz mocniej do tego, co ziemia chowa niewidocznie w swoich ciemnościach.

Komisarz Koziół zauważa, że jego włosy zaczynają puchnąć od wilgoci, zaczynają gęstnieć. Zauważa to coraz wyraźniej podczas golenia, podczas porannego zarysu włosów w lustrze.

Staje się innym człowiekiem, myśli Komisarz Koziół, to co kiedyś wydawało mi się stałe, niezmiennie, teraz tak naprawdę staje się nowe, świeże. Staje się niespodziewane.

Dywany w pokojach zaczynają pachnąć sianem. Nasiona z kwiatów w doniczkach rozsypały się i zaczynają kwitnąć na dywanach. Tworzy się na nich łąka, kolorowa kwiatowa łąka. Wilgoć, wszechobecna wilgoć kwitnie w pokojach, kwitnie na dywanach.

W szufladach komody zaczyna rosnąć trawa. Pojedyncze nasiona pod wpływem wilgoci zadamawiają się w szufladach, tworzą nowe kształty, nowe wymiary.

Obrazy na ścianach puchną, wydaje się, że to, co jest w nich zawarte nagle rodzi się na nowo, że to, co jest w nich zawarte zaraz obudzi się z jakiegoś letargu i zacznie żyć innym życiem – nowym wilgotnym życiem, дарowanym życiem.

W łazience z sufitu cieknie mały strumyk wody deszczowej, nie da się go niczym zatamować. Pojawił się i nie chce zniknąć. Na ścianach pojawiają się nowe obrazy. To jakaś galeria sztuki, myśli Komisarz Koziół, gdy patrzy się na ściany w łazience. Tutaj jakiś koń w galopie, chyba czarny z rozwichrzoną grzywą, tam jakiś okręt na morzu, na szalejącym morzu, chyba podczas burzy, a tam, pod samym sufitem widać kosmos, jakąś planetę, nieznaną planetę, widać przyszłość, niebezpieczną przyszłość.

Koc na tapczanie staje się miękki jak gąbka. To jakieś łóżko wodne, nie żaden tapczan, nie żadne spanie.

Talerze na półkach w kuchni stają się coraz większe, coraz cięższe. Wszystko w domu staje się coraz większe, coraz cięższe. Sprawa to deszcz, skutki tego deszczu w powietrzu.

Gdy Komisarz Koziół włącza telewizor wydaje mu się, że obraz zawarty w tym magicznym pudełku jest inny niż w programie. Inne filmy, inne seriale, inne życie. Wszystko zmienione, zniekształcone, poplątane, nieumiejętnie poukładane w ludzkiej wyobraźni.

To jakieś szaleństwo, myśli Komisarz Koziół, szaleństwo we mnie, szaleństwo poza mną. Kiedy to się skończy, ta niecodziennosc zawarta w codziennym życiu.

I w końcu deszcz ustaje. Wszystko wraca do normy. Niepokój, cały niebezpieczny niepokój ucieka z ciała Komisarza Koziola. Meble znów są meblami, dywan znów jest dywanem, książki znów są książkami, życie znów jest życiem. Komisarz Koziół znów jest Komisarzem Koziółem. Znów jest sobą, nie kimś innym, nie kimś obcym.

Zauważa go, gdy idzie spokojnym krokiem po rynku. Idzie i uśmiecha się do ludzi. Jest w jego twarzy, w jego oczach jakiś spokój, jakaś przejrzystość, i ten spokój, ta przejrzystość najbardziej boli Komisarza Koziola.

Komisarz Koziół idzie za nim, powoli, z daleka go obserwuje, i gdy patrzy na niego, wszystko co złe, wszystko co zmieniło jego życie kiedyś, jego życie teraz, wraca do niego. Wraca do niego zemsta, czas tej zemsty, który zaczyna płynąć teraz szybciej, zaczyna płynąć nieubłagane.

Zawsze jest jakiś kres, kres dobra, kres zła. I człowiek, którego dotknął ten kres w przeszłości, musi zmierzyć się z tym kresem w teraźniejszości. I nic tego kresu nie może zmienić, ani życie, ani sam człowiek. Bo kres to ostateczność, bo kres to życie, bo kres to kara, którą człowiek musi wymierzyć sobie sam, gdy już zbyt długo ocierał się o ten kres w przeszłości.

Te wszystkie myśli, złe, dobre, te wszystkie wspomnienia, złe, dobre, ta cała nienawiść, zła, dobra, zaczyna powoli docierać do Komisarza Koziola. Zaczyna docierać, gdy idzie powoli za Walczakiem. Za kimś, kto zabił jego dziewczynę wtedy, właśnie wtedy, gdy zaczynało się życie dla niego, dla niej.

Walczak siada w kawiarni, zamawia słodkie czerwone wino, błędzi wzrokiem po ludziach, po rynku, po Sukiennicach. Zawsze jest w tej kawiarni, w tym ogródku, o tej samej porze, taki codzienny rytuał. Jeden z niewielu jego rytuałów. Bo poza tą jedną stałą rzeczą jego życie to ciągle zmiany. Zmienia prace, adresy, kobiety. Teraz jest sam. Być może już za długo jest sam. Ale to się zmieni, czuje to. Już jakaś nowa kobieta jest na pewno w pobliżu Walczaka.

Jego praca, kolejna praca to sztuka przetrwania. Coś robi żeby żyć, coś robi żeby zapomnieć o tej dziewczynie z przeszłości, która coś zmieniła w jego życiu, coś na stałe, takie coś, o czym się już do końca nie zapomina.

Nie chcieli jej zabić, to się stało, po prostu stało. I teraz każdy z nich musi z tym jakoś żyć. Aż do końca. Udało im się, dzięki rodzinom. Ich rodzice coś znaczyli w mieście i to ich uchroniło od kary. Od kary tak, od winy i wyrzutów sumienia już nie. A teraz z tym

wspomnieniem musi wciąż żyć i żyje. Stara się wciąż utrzymać na powierzchni, utrzymać jak najdłużej.

Ciągle zmienia adresy, wynajmuje mieszkania. To jakiś obłąd, tyle mieszkań w tak krótkim czasie. Może ucieka od przeszłości i to jest jego sposób, żeby wspomnienia go zbyt szybko nie znalazły w nowym miejscu. To jakaś obłądna karuzela, karuzela miejsc od których się ucieka po jakimś czasie.

Komisarz Koziół zaczyna obserwować Walczaka. Widzi jak chodzi do pracy, magazyn na Rybitwach, widzi jak wraca do domu, Kleparz, kamienica, widzi jak spaceruje sam po rynku i siada o tej samej godzinie w ogródku. Po tygodniu już wszystko wie, już jakiś zarys zaczyna pojawiać się w głowie Komisarza Koziola.

Teraz musi ustalić plan, dobry plan. Walczak musi cierpieć, musi myśleć o tym co zrobił, a najlepszą formą myślenia dla człowieka wolnego jest więzienie.

Powoli w głowie Komisarza Koziola pojawia się pierwsza myśl, potem druga i następna. Już wie, już wszystko wie. Już widzi swoimi oczami Walczaka w więzieniu, już widzi jak Katarzyna, jej niebieskie oczy uśmiechają się do niego z góry. Już widzi jej otwarte ramiona, jakby chciała mu podziękować, że o niej nie zapomniał, że rozliczył wspomnienia jego, jej w odpowiednim czasie, w odpowiedniej chwili.

To ważne, umieć rozliczyć rzeczy z przeszłości w odpowiednim czasie, w odpowiedniej chwili. I to zamierza zrobić Komisarz Koziół w najbliższym czasie. Rozliczyć przeszłość tak, żeby bolała, rozliczyć przeszłość tak, żeby ten ból był widoczny na twarzy Walczaka jak najdłużej.

Dwie kobiety rozmawiają głośno przy stoliku, zbyt głośno. Jednak nikt nie zwraca na nie uwagi, to ogródek, to kawiarnia na rynku, w takich miejscach ludzie siedzą żeby coś zrozumieć, od czegoś uciec, żeby o czymś zapomnieć. Czasami w takich miejscach człowiek podaje informacje o innych, o sobie, o świecie, a często, może nie zbyt często siedzą tam ludzie, którzy podróżują, cieszą się życiem, i nic, lub prawie nic nie jest w stanie zburzyć ich

spokoju, szczęścia. Są w drodze, chcą być w drodze, droga jest jedynym szczęściem teraz, jedynym szczęściem kiedyś.

Komisarz Koziół jest jedyną osobą, która ukradkiem próbuje słuchać słów, zdań, spojrzeń, czasami ukrytych gestów, niewidocznych gestów tych dwóch kobiet. Komisarz Koziół czeka na Walczaka, jest w tym miejscu nieprzypadkowo, jest o właściwym czasie, na razie zbyt wczesnym czasie i może, dzięki tym okolicznościom, spokojnie słuchać słów tych kobiet, słuchać ich przy zimnym Heinekenie.

- I wtedy go zostawiłam u siebie, jak jakiś mebel, może bardziej obraz niż mebel, obraz który się lubi, na który się czasem spogląda bo wprowadza nas w dobry nastrój – mówi kobieta w jasnych włosach, we włosach o kolorach słońca, może bardziej pustyni niż słońca. – Szybko zadomowił się w moim dwupokojowym mieszkaniu, znalazł w nim swoje miejsce, swoje zapachy, swoje przyzwyczajenia, i wtedy, właśnie wtedy, gdy już jego pęknięta dusza się naprawiła, zaleczyła, znalazła cel by dalej żyć, pokochałam go, pokochałam go nagle, nieświadomie, tak po prostu, jak kocha się kogoś za to, że ten ktoś z nami jest, ciągle, nieustannie, w słońcu, w deszczu, podczas burzy.

- Ile to trwa? – pyta kobieta o złotych włosach, bardziej rudych niż złotych, kobieta o węglowych oczach, bardziej grafitowych niż węglowych.

- Pięć lat. Jesteśmy razem, kłócimy się razem, cieszymy się życiem razem. Czasami jesteśmy samotni w tym naszym wspólnym razem. – Chwilę kobieta milczy a potem mówi dalej. – Pomimo tego, że jest dobrym człowiekiem, bo jest dobrym człowiekiem, pomimo tego, że chce abym była nieustannie szczęśliwa i on to robi, żebym mogła być szczęśliwa z nim jak najdłużej, pomimo tego wszystkiego ogarnia mnie coraz częściej smutek. Może to pogoda, może czas, może zmiany jakie we mnie wciąż następują, tego nie wiem, ale mam coraz częściej zły smutek w sobie.

- Smutek towarzyszy nam od urodzenia. Jesteśmy smutni gdy dorastamy, jesteśmy smutni gdy umieramy. Chodzi o to, żeby ten smutek nie wypełniał naszego życia całkowicie. Żeby go było jak najmniej w każdym dniu, w każdej godzinie naszego życia.

- Mało jest dobrych dni w życiu. Zbyt mało. Jakby policzyć te dni na końcu życia, to jest ich niewiele. Więcej mamy ciemności w so-

bie niż jasności. Jaskrawość i wyrazistość rzadko ocierają się o naszą duszę. O nasze szczęście. Nie wiem co robić, żeby tych dobrych dni było więcej. I nie jest to wina jego, nie jest to wina moja. Tak naprawdę nie jest to wina nikogo. Niby się staram każdego dnia, a potem na końcu gdy zasypiam, wiem, że to znów nie był dobry dzień. Nie był dobry choć próbowałam. I te próby mnie coraz bardziej męczą. Próby żeby być szczęśliwym, żeby zbierać choć trochę więcej tych dobrych dni w życiu. Zbierać na sam koniec.

Komisarz Koziół zauważa Walczaka. Zerka na zegarek. Jest punktualny. Ludzie jednak są przewidywalni w swoich nawykach, w swoich nałogach, myśli Komisarz Koziół.

Walczak siada, przez chwilę rozmawia z kelnerką, widać że się dobrze znają. Kelnerka się do niego uśmiecha, on mówi jej jakiś żart, ona uśmiecha się więcej, o wiele więcej niż zazwyczaj, uśmiecha się choć widać w jej oczach, że jest zmęczona, niewyspana, samotna.

Walczak zamawia słodkie czerwone wino. Dwie kobiety, które ukradkiem słuchał Komisarz Koziół wstają od stolika, odchodzą. Komisarz Koziół czeka, jest cierpliwy, całe swoje życie był zbyt cierpliwy dla siebie, zbyt cierpliwy dla innych.

Walczak zapala papierosa, w jego oczach na moment pojawia się gniew, do siebie, może do innych, lecz po chwili ten gniew znika i Walczak znów jest kimś innym. Może całe swoje życie Walczak wciąż był kimś innym. Dym z papierosa otula twarz Walczaka jak jakaś mgła nad ranem, tuż przy bagnach w lesie.

Walczak wstaje, idzie do toalety. Komisarz Koziół czeka aż Walczak zniknie pomiędzy stolikami w środku kawiarni, a potem Komisarz Koziół wstaje i idzie do stolika Walczaka. Sięga do kieszeni, coś z niej wyciąga, nachyla się nad stolikiem Walczaka, udaje że bierze popielniczkę, lecz tak naprawdę coś dosypuje do wina Walczaka. Potem idzie z tą popielniczką w kierunku swojego stolika, lecz po chwili wraca i zostawia popielniczkę na swoim miejscu.

Szczegóły, myśli Komisarz Koziół, gdy czynisz zło ważne są szczegóły. Szczegóły mogą zniszczyć najlepszy plan, mogą sprawić, że to co wydawało się doskonale stanie się złamane, popękane, okaleczone przez nasze złudzenia.

Walczak wraca, siada, pije wino, powoli, jakoś sennie, tak sennie jak kot, który siedzi na piecu podczas zimy stulecia na wsi, w zniszczonym, starym, drewnianym domu.

Gdy Walczak kończy pić wino, Komisarz Koziół wstaje, uśmiecha się do siebie i wraca do domu.

Walczak idzie schodami do góry, w rękach trzyma ulotki ze skrzynki. Otwiera drzwi, zamek skrzypi, zgrzyta, daje sygnał wszystkim kształtom w mieszkaniu. Ostrzega je, wróg wrócił.

Walczak rzuca ulotki na stół. Czuje się źle, coś w środku jego ciała daje mu sygnał, zły sygnał. Kładzie się na łóżku, ciężko oddycha, cały pokój wiruje mu przed oczami. Próbuje zasnąć. To minie, myśli, złe rzeczy zawsze mijają, wcześniej lub później. Jednak ból nie mija przez kilka dni. Ciało Walczaka staje się ciężkie, tępe, bezużyteczne w swoich poczynaniach.

Jakiś cień, zły cień wciąż chodzi za Walczakiem. Ciągłe jest za nim, jak jakiś wróg, może szpieg. I ten cień, ta szarość zawarta w niewidzialności ciągle zbliża się do twarzy Walczaka. Zbliża nieubłagane, aż w końcu siada na jego twarzy i nie pozwala mu oddychać.

Chcę tylko więcej powietrza w sobie, więcej wiary i nadziei, myśli Walczak.

Gdy Walczak ciężkim krokiem idzie po wodę do kuchni zauważa ulotkę na stole. Ulotkę ze skrzynki. Lekarz od spraw wewnętrznych, za darmo, pierwsza wizyta. Wystarczy tylko zadzwonić. Walczak wykręca numer, dzwoni, umawia się na jutro. Odkłada słuchawkę.

Teraz noc, kolejna nieprzespana noc z bólem, a potem wizyta u tego lekarza.

Walczak zasypia. Sny ma obce, niebezpieczne. Są jak jakieś kajdanki na jego rękach, na całym jego ciele. Kajdanki, które ranią, nie zabijają, ranią. Całe jego życie to jakieś kajdanki, kajdanki na jego duszy.

Lekarz uśmiecha się do niego, słucha. Jest cierpliwy. Całe jego ciało jest cierpliwe, to prywatny lekarz, prywatne życie, prywatne pieniądze. Całe jego życie to walka pomiędzy prywatną a bezpłatną

służbą zdrowia. Z wiekiem prywatnie zwycięża. Nie człowiek, prywatnie.

Lekarz go bada, pobiera krew, robi rentgena, bo ból jest tuż przy kręgosłupie. Potem chwilę myśli i mówi:

- Ten ból kiedyś zniknie. Zniknie na chwilę – lekarz słowo na chwilę wymawia szczególnie groźnie. – Jednak będzie to tylko złudzenie. To będzie coś co może dać panu fałszywą nadzieję. Poczekamy na wyniki krwi i zdjęcie rentgena. Jeśli jednak potwierdzą się moje podejrzenia to pana życie się zmieni. Zmieni nieodwracalnie.

- Ten ból w okolicach kręgosłupa jest groźny? Niebezpieczny?

- Poczekajmy dwa dni. Wtedy będą wyniki.

- Ból minie? – łudzi się Walczak.

- Być może, już jutro – mówi lekarz, a Walczak wychodzi.

Na pewno jutro, myśli lekarz. Ten środek działa kilka dni, tylko kilka dni. Lekarz nie jest z siebie dumny. Zrobił coś, czego nigdy nie powinien zrobić. Kłamie człowieka, obcego człowieka i wie, że to kłamstwo zniszczy życie tego człowieka. Kiedyś w przeszłości zrobił coś źle i mógł za to pójść do więzienia, ale wtedy pojawił się Komisarz Koziół i dał mu szansę. Wykorzystał ją, ale kilka dni temu cień z przeszłości pojawił się w jego gabinecie.

- Pamiętasz mnie? – spytał Komisarz Koziół.

- Pamiętam.

- Ktoś do ciebie przyjdzie. Będzie cierpiał, dam mu coś, co go nie skrzywdzi, ale go przerazi. Nie martw się, to coś co mu dam jest bolesne, ale nie jest szkodliwe. Zbadasz go, pobierzesz mu krew, zrobisz mu rentgena i powiesz, że ma coś przy kręgosłupie. Pokażesz mu zdjęcie, przestraszysz go. Powiesz, że jest potrzebna operacja, natychmiast, bo będzie leżał w łóżku aż do końca, gdy nic nie zrobi. Przestraszysz go tym nic nie robieniem. Napiszesz sumę, tę sumę – Komisarz Koziół daje mu kartkę – i powiesz, że gdy ją zdołacie w ciągu tygodnia, to operacja może już być za dwa tygodnie.

- I wtedy będziemy rozliczeni?

- Tak. Później już nigdy mnie nie zobaczysz. Zapominamy o przeszłości. Od tego momentu będziesz już mógł tylko myśleć o przyszłości. Jasnej przyszłości.

- Co stanie się z tym człowiekiem?

- Już nigdy go nie zobaczysz. Nie martw się, to nie ty go krzywdzisz, to ja go krzywdzę. To ja jestem winny temu, co stanie się później z jego życiem.

- A co się stanie?

- Zmienię jego życie nieodwracalnie. Jego życie stanie się bolesne i on z tym bólem będzie musiał już żyć przez następne kilka lat.

- Żegnaj – mówi lekarz.

- Żegnaj – mówi Komisarz Koziół i wychodzi z gabinetu lekarza.

Każdy w tym mieście ma coś na sumieniu. Każdy jest coś komuś winny. Każdy ma dług wobec kogoś innego. Takie miasto, tacy ludzie, myśli Komisarz Koziół wychodząc na ulicę z gabinetu lekarza.

Walczak siedzi, milczy, w jego głowie pojawia się strach, prawdziwy strach. Słowa lekarza są jak grzmoty w jego głowie, w jego myślach, jak grzmoty w górach, nad Giewontem, nad żelaznym krzyżem.

- Na tym zdjęciu widać ten punkt – palec lekarza pokazuje dokładnie ten punkt, to zgrubienie. – I ten punkt, ta wada w twoim ciele już niedługo sprawi, że będziesz leżał aż do końca swoich dni w łóżku. Czas – mówi lekkim, lecz stonowanym głosem lekarz. – Czas ma tutaj ogromne znaczenie. Na państwową służbę zdrowia nie ma co liczyć, tam wszystkim jest obojętne co stanie się z człowiekiem, zwłaszcza z człowiekiem stojącym pod ścianą. Dadzą termin, powiedzą proszę czekać. A czekanie dla niektórych to wyrok. To prawie śmierć. Śmierć za życia.

- Co można zrobić?

- Operacja. Szybka operacja. Ale to kosztuje – lekarz podsuwa kartkę z sumą Walczakowi. – Jeśli w ciągu tygodnia pan zdobędzie tę sumę, to za dwa tygodnie jestem w stanie zorganizować tę operację.

- To duża suma – Walczak czuje, że jego głos drży, całe jego ciało drży, w środku najbardziej, bardziej w głowie niż w pozostałych częściach jego ciała.

- Wiem, ale czasami nie mamy wyjścia. Liczy się tylko zdrowie, reszta to dodatek do tego zdrowia.

- Mam tylko tydzień na zdobycie tych pieniędzy?

- Tak byłoby idealnie w tej nieidealnej sytuacji. Czas płynie dla pana teraz szybciej, o wiele szybciej niż dla innych.

Walczak wstaje, przez chwilę jego ciało chwieje się, potem jednak Walczak łapie równowagę.

- Zdobę te pieniądze – mówi i wychodzi z gabinetu lekarza.

Komisarz Koziół stoi w bramie, widzi jak Walczak wychodzi od lekarza. Widzi strach na twarzy Walczaka, widzi jego oczy. To człowiek słaby, myśli Komisarz Koziół, a ludzie słabi w trudnych sprawach, w decydujących sprawach uciekają w niepamięć, uciekają w zapomnienie.

Walczak idzie ulicą jak duch. Jest wśród ludzi, nie ma go wśród ludzi. Jest teraz nigdzie. Jest daleko, jest blisko. Bardziej jest tam gdzie ciemność, niż tam gdzie światło jest jasne, bardziej przejrzyste niż życie, bardziej wyraźne niż jego myśli.

Wchodzi do pubu. Siada, zamawia wódkę. Chce pomyśleć, chce zapomnieć. Nie ma tych pieniędzy i nawet nie wie jak je zdobyć w tak krótkim czasie. Druga wódka, czuje się lepiej, trochę lepiej, trzecia wódka i kolejne. W jego głowie pojawia się jakieś światło, jakaś nadzieja. Światło przedziera się przez ciemność. Przedziera się wolno, bardzo wolno, ale się przedziera.

Ktoś siada koło Walczaka, to Komisarz Koziół. Komisarz Koziół jest zmieniony, jego twarz jest inna, nieogolona, niewyraźna. Jego twarz posiada okulary, ciemne, posiada włosy zaczesane do przodu, tak zaczesane, żeby jego twarz była nie do zapamiętania dla Walczaka. Komisarz Koziół ma być prawie niewidoczny, dlatego jego twarz jest inna, jego ubranie jest inne. Udaje pijanego, prawie nieprzytomnego. To ważne, ma być pijany, ma być rozgadany.

- Zdrowie – mówi Komisarz Koziół i podnosi wódkę do góry.

- Zdrowie – mówi Walczak.

- Skąd taki smutek w twoich oczach?

- Problemy – mówi niewyraźnie Walczak, jest już pijany, za dużo wypił, za dużo chciał zapomnieć.

- Problemy znikają, przeważnie po jakimś czasie.

- Nie mam czasu. Potrzebuję pieniędzy. Dużo i szybko.

- Pieniądze to nie problem – Komisarz Koziół się chwieje, udaje pijanego, dobrze, zbyt dobrze. – Odwaga, to jest potrzebne żeby zdobyć pieniądze. Masz odwagę w sobie?

- Mam – mówi nieprzytomnym już głosem Walczak.

- Kiedyś byłem w domu złotnika na imprezie. Byłem tam przez przypadek. Dużo ludzi, dużo alkoholu. W pewnym momencie ktoś coś dał złotnikowi, jakiś dług, zauważyłem to poprzez tłum ludzi w salonie. Złotnik zniknął w drugim pokoju, poszedłem za nim. Klęczał w innym pokoju koło biurka, przesunął je, w podłodze miał sejf a w nim dużo złota, dużo pieniędzy. Zauważyłem to przez niedomknięte drzwi. Złotnik był pijany, zapomniał je zamknąć za sobą. Poszedłem dalej pić z jego gośćmi. Zapomniałem o tym. Teraz, gdy powiedziałaś o tych pieniądzach, przypomniałem to sobie. Mnie pieniądze nie były do tej pory tak bardzo potrzebne, żebym o tym złotniku musiał myśleć intensywnie przez cały czas. Ale ty, widzę to w twoich oczach, musisz mieć pieniądze, musisz je mieć teraz. Zdrowie – mówi Komisarz Koziół.

- Zdrowie – Walczak zauważa szansę, ledwo widzi tego mężczyznę, jest już tak bardzo pijany, ale złoto, pieniądze, złotnik, to jest już zakodowane w jego głowie. – Gdzie mieszka ten złotnik?

- Zielonki. Koło Krakowa. To jedyny złotnik w tym miasteczku, bardziej wiosce niż miasteczku. Każdy wie gdzie mieszka złotnik.

- Dlaczego nie trzyma pieniędzy w banku?

- Słyszałem – Komisarz Koziół wciąż udaje pijanego, jego głos staje się niewyraźny, nieprecyzyjny – od ludzi, złych, może dobrych, że złotnik nikomu nie ufa, ani bliskim, ani dalekim, ani żonie, ani synom. Gdy mamy za dużo pieniędzy, świat staje się naszym wrogiem. Ludzie bogaci to ludzie samotni, nieszczęśliwi. I właśnie dlatego, poprzez swoją nieufność do banków, do ludzi, trzyma pieniądze w domu.

- Zielonki?

- Tak, Zielonki – Komisarz Koziół wstaje od stolika. Chwieje się, upada, podnosi się, coś tłucze ze stołu, coś mruczy pod nosem i znika za drzwiami.

Walczak też jest pijany, wie, że jutro nic nie będzie pamiętał, ale też wie, że jedną rzecz na pewno zapamięta, rozmowę, a w zasadzie część tej rozmowy z obcym mężczyzną przy barze. Złotnik, sejf,

pokój obok salonu, pieniądze. Znajdzie tego złotnika, musi znaleźć tego złotnika.

Wychodzi z pubu. Świat wiruje mu pod nogami. Jeden krok, jest bliżej domu, drugi krok, jest bliżej siebie, trzeci krok, jest bliżej snu, czwarty krok, jest bliżej zapomnienia, piąty krok, w końcu dociera do łóżka. Zasypia. Zapomina. O niczym nie śni.

Najpierw obserwuje ich z daleka. Stoją obok metalowego pawilonu, bardziej sklepu niż pawilonu. To sklep z alkoholem, jedyny w tym miejscu. Stoją i próbują coś pić.

Jeden z nich drepcze swoimi stopami przez cały czas. Rusza się, nie może się zatrzymać, jakby tylko ruch trzymał go jeszcze przy życiu. Tym życiu.

Drugi stoi z kamienną twarzą jak posąg, jego twarz milczy, jego oczy milczą, całe jego ciało składa się z nieustającego milczenia.

Trzeci z nich, ten najgorzej ubrany, cały czas coś mówi, bardziej do siebie niż do innych.

Stoją, czekają, walczą. Niczego już nie chcą, niczego nie oczekują, nie jest w stanie ich zranić. Ich droga jest już dawno wyznaczona, określona, przez czas, przez ludzi. Czekają. Wciąż uparcie na coś czekają. I to czekanie to ich wyrok, to ich przeznaczenie. Czekanie na coś co kiedyś przyjdzie, co kiedyś musi przyjść – ostateczność. Wierzą, że kiedyś ta ostateczność ich zaskoczy. I to zaskoczenie może być ich jedyną nagrodą jaka ich jeszcze może spotkać w tym życiu. Nie tamtym, w tym. Więc czekają na ostateczność, na zaskoczenie, na skutki tego zaskoczenia w ostateczności.

Walczak do nich podchodzi, mija ich obojętnie, wchodzi do sklepu. Po chwili wychodzi ze sklepu, niesie cztery tanie wina w rękach. W milczeniu podaje mężczyznom po winie.

- Zdrowie – mówi cicho. – Za spotkanie.

- Zdrowie – odpowiadają mężczyźni, zawsze chętni do picia pod sklepem.

- Zimno, dzisiaj mamy zimny dzień. Zimne powietrze, zimne czasy. Nie przeszkadza wam zimno obok was?

- Całe nasze życie składa się z zimna – mówi mężczyzna, ten nieustannie coś mówiący do siebie, do innych.

- Jesteśmy przyzwyczajeni do tego miejsca, do tego zimna – mówi mężczyzna, który nieustannie drecze swoimi stopami koło siebie, drecze sam ze sobą.

- Szukam kogoś – mówi Walczak.

- Kogo? – pyta mężczyzna jak posąg, mężczyzna z kamienną twarzą.

- Złotnika. Podobno tutaj gdzieś mieszka?

- Mieszka, oj mieszka. Duże pieniądze, piękny dom, piękna żona. Inne życie, lepsze życie.

- Gdzie mieszka?

- Tam – i to tam mężczyzna z kamienną twarzą zaznacza ręką w nieokreślonym kierunku. – Tam, na końcu tej drogi. Po lewej stronie. Piękny dom, łatwo go poznać. Dom pod lasem.

Przez chwilę piją w milczeniu wino. Gdy wino się kończy Walczak znów przynosi im kolejne wina. Dla siebie nie kupuje wina. Musi wracać do domu. Jutro sprawdzi ten dom, nie teraz. Niech mężczyźni widzą, jak odjeżdża. Niech upiją się w spokoju. Jutro nie będą pamiętać jego, nie będą pamiętać tej rozmowy.

Ich życie jest rozmazane, nieokreślone. Ich życie to ocieranie się o niepamięć. O wieczną niepamięć, o wieczne zagubienie.

Walczak przez chwilę z nimi rozmawia, patrzy się jak ich oczy powoli chowają się w głąb nich, jak ich całe ciała chowają się w głąb nich, patrzy się jak powoli znikają na jego oczach, a gdy widzi, że są już nieobecni dla niego, dla innych wsiada do podjeżdżającego podmiejskiego autobusu.

Jedzie w kierunku Krakowa. Po prawej stronie widzi mały cmentarz, potem stary kościół, po lewej stronie widzi nowy kościół, duży, masywny.

Wysiada na Kleparzu. Idzie na piechotę do domu. Widzi ludzi na Kleparzu. Chodzą, coś kupują, dyskutują, nie chcą być sami w tym mieście. Widać, że rozmowa im pomaga. Nie na długo, ale pomaga. Rozmowa zaciera nieobecność w ich życiu. Zaciera na jakiś czas.

Walczak wchodzi do domu, otwiera lodówkę, pije zimne mleko z kartonu. Czuje ulgę w sobie. Zimno w środku mu pomaga, coś złego zabija w nim. Zabija na jakiś czas.

Jutro pojedę pod dom złotnika. Zobaczę jak żyje, jak pracuje, kiedy dom stoi samotny, opuszczony, nieobecny, myśli Walczak.

Jutro zrobię plan, a później i tego później boi się Walczak najbardziej, bo wie, że to później może mu pomóc, ale to później może też coś zabić w jego życiu. Przyszłym życiu. Może go skrzywdzić, połamać. Później...

Stoi w cieniu drzew lasu, wygląda jak posąg. Posąg, na który wyłała się gorąca lawa z wulkanu. Potem ten posąg, tę zastygającą lawę dotyka popiół, szary, udręczony popiół. Popiół niebezpieczny, popiół nieokreślony. Stoi i milczy, jak pomnik kogoś, kto zapisał się w świecie czymś złym, czymś tak złym, że to zło trzeba czymś podkreślić, czymś uwidocznic.

Twarz Walczaka wyraża napięcie, dawno się tak nie czuł. Coś w nim pęka, łamie się na pół niczym sucha gałąź, którą zabił czas, zabiło życie.

Chłodny wiatr dotyka jego twarzy, ociera się o jego włosy, o jego duszę. Dusza to czuje, to zimno, ten dotyk, to niebezpieczeństwo. Czuje ból tego niebezpieczeństwa w głowie Walczaka.

Gdy tak Walczak stał i stał, gdy tak czekał i czekał, zrozumiał, że całe jego dotychczasowe życie nieustannie ocierało się o jakieś złudzenia, o jakieś lęki. Jego złudzenia, jego lęki. Nie innych. I te jego złudzenia, te lęki wciąż uparcie, nieustannie ścierają się ze złudzeniami innych ludzi. Te złudzenia, te lęki wciąż walczą w nim ze sobą, ścierają się. Nikt nie wygrywa, nikt nie przegrywa. I tylko mroczny cień, cień w środku tę walkę obserwuje niczym jakiś sędzia, sędzia na turnieju o wszystko, na turnieju o mistrzostwo świata i ten sędzia nic nie mówi, tylko się na niego przez cały czas patrzy, na tę walkę złudzeń z lękami, pragnieniami, tylko kiwa głową i milczy. I to milczenie jest w nim najgorsze, najbardziej bolesne i upokarzające. I na końcu tego wszystkiego, tej walki, tego braku zwycięstwa żadnej ze stron, Walczak zostaje sam. Sam ze sobą. Sam ze swoimi złudzeniami, lękami.

Po jakimś czasie Walczak widzi jak złotnik wyjeżdża nowym Lexusem z żoną, a po następnej godzinie, zbyt długiej godzinie czarnym golfem wyjeżdżają dwaj synowie złotnika. Młodzi, gniewni synowie złotnika.

Walczak idzie w kierunku domu, idzie przez nierówne pole, niczym jakiś rycerz z dawnych czasów, rycerz, którego zbroja czyni kroki ciężkimi, niepewnymi.

Przeskakuje przez ogrodzenie. Już po chwili jest w środku. Wyłącza alarm, wie jak to zrobić. Dawno temu, teraz wydaje mu się to dawno temu wiecznością, pomagał komuś robić takie rzeczy. Dużo się wtedy nauczył o źle, zbyt dużo. I teraz to ma znaczenie, kolosalne znaczenie. Ta wiedza, ta przeszłość. Kiedyś to robił tylko dla pieniędzy, łudził się, gdy już całkowicie zmienił swoje życie, gdy chciał całkowicie zmienić swoje życie, chciał, nie musiał, a więc łudził się, że już nigdy do tamtego życia nie będzie musiał wracać. Mylił się.

Wtedy to robił dla pieniędzy, bo hazard, bo długi, bo źli ludzie nie chcieli już dłużej czekać, niecierpiwili się, i ta niecierpliwość, ich niecierpliwość niszczyła jego życie coraz bardziej, coraz boleśniej. Teraz to robił dla pieniędzy, bo życie, bo jest jakaś szansa na normalność w tym życiu. Niewielka różnica, ale znacząca. Pieniądze to jedyna rzecz która łączyła te dwie rzeczy. Łączyła niewidzialnie.

Ludzie przeważnie robią złe rzeczy dla pieniędzy. Czasami robią te złe rzeczy dla kariery, czasami przez kobiety, niekiedy przez nawiść, przez rozpacz.

Walczak wie, że jak robimy złe rzeczy z rozpaczcy to już jesteśmy na samym dnie. Na dnie, z którego już później jest ciężko wyjść. Nielicznym się to tylko udaje, a on, czuł to boleśnie, do tych nielicznych na pewno się nie zaliczał.

Cicho jak kot, jak duch, który nagle zszedł tutaj z nieba, bardziej z piekła niż z nieba, idzie po salonie. Wchodzi do drugiego pokoju. Jest biurko koło okna, przesuwa je cicho, odsuwa mały dywanik, widzi w podłodze skrytkę. Przez chwilę coś przy niej majstruje i ją otwiera, trochę na siłę, trochę po swojemu. Wyciąga sejf. Jest ciężki, niezbyt duży ale ciężki. Wkłada go do dużej torby, wychodzi z pokoju.

W salonie widzi reprodukcje znanych obrazów, znane nazwiska, znane dzieła. Cały pokój wygląda trochę jak salon z Lalki Bolesława Prusa. Tamte czasy, tamte meble. Nawet fortepian stoi w kącie, przy oknie.

Walczak wychodzi z domu. Przeskakuje płot. Idzie przez brunatne pole, wzdłuż rzeki, w kierunku kościoła na Prądniku Białym. Mały laszek daje mu poczucie jakiegoś bezpieczeństwa. Sejf mu coraz bardziej ciąży. Jest ciężki, jest kanciasty. Wbija mu się w plecy, wbija tak jak całe jego dotychczasowe życie. Wszystko było w nim kanciaste, niewygodne, ciężkie.

Przechodzi przez tory, najpierw musi się na nie wdrapać, bo są wyżej niż cały las, a później musi z nich ostrożnie zejść. Już widzi kościół, już widzi domki, a w oddali stoją bloki na ulicy Pachońskiego.

Walczak czuje, że jakiś cień za nim idzie, jakieś zimno wciąż za nim podąża. Odwraca się co chwilę, nikogo za nim nie ma. To przeszłość, cała moja popękana przeszłość idzie za mną, myśli. Całe zło z tej przeszłości dociera do mnie powoli. Idzie i idzie. Sapie i sapie. Mruczy coś do siebie i mruczy. I teraz już Walczak nie wie, kto jest kim. Czy ten cień to on, czy on to ten cień tuż za nim? Przelewa się niczym ciemna lawa w jego głowie strach.

Walczak zaczyna biec przed siebie. Biegnie jak zranione zwierze w kierunku ulicy. Biegnie i myśli. Niech to wszystko się kiedyś skończy. Ta przeszłość, ta ciemność, ta niepewność, te złudzenia, ten brak przyszłości, ten brak dobrych kobiet w jego życiu, ten brak nadziei, że kiedyś te kobiety się koło niego pojawią. Niech to cierpienie kiedyś od niego ucieknie i zaprzyjaźni się z kimś innym, z kimś bardziej wyjątkowym niż on. Cierpienie powinno dotyczyć tylko wyjątkowych ludzi, myśli Walczak. Cierpienie powinno dotyczyć tylko tych ludzi, którzy mają w sobie jakąś siłę, jakąś godność. A on nie miał żadnej siły, żadnej godności w sobie. Nie miał już od dłuższego czasu.

Chwilę trwa zanim Walczak otwiera sejf. Siłował się z nim przez godzinę. Sapał, dyszał. Kombinował, nie chciał nic robić na siłę, ale w końcu i tak musiał otworzyć go na siłę, sposobem ocierającym się tylko trochę o sztukę. O wiedzę.

Gdy już otworzył sejf, gdy drzwiczki się z trudem otworzyły, Walczak przez kilka minut patrzył się tylko na te otwarte drzwiczki. Bał się włożyć rękę do środka. Jakiś strach sparaliżował jego ręce.

Zanim wsadził rękę do środka sejfu pomyślał „Nie spadam, ale już się nie wznoszę. To przerażające, to upokarzające. Czasami bezmyślne”.

Walczak siedzi na krześle już od godziny. Siedzi i myśli. Patrzy się na duży stół, brązowy duży stół, drewniany, trochę ciężki, trochę toporny i szorstki. Na tym szorstkim i topornym stole leżą sztabki złota, jakieś naszyjniki z kamieniami, wygląda że drogimi kamieniami, jakiś duży pierścień z diamentem, chyba rodowy i pieniądze, głównie dolary i funty. To wszystko leży przed Walczakiem i odbija się w szarym świetle lampy stojącej w rogu pokoju.

Mam pieniądze, mam złoto, nie mam siebie, myśli Walczak. Nigdy nie myślałem, że będę robił złe rzeczy dla zdrowia, dla resztek zdrowia w moim ciele.

Prawa ręka Walczaka zaczyna drżeć, potem lewa, a po chwili całe jego ciało drży. Walczak zaczyna się pocić, czuje się jak jakaś gąbka, mokra gąbka po kąpieli.

Czuje się, jakby był w jakimś głębokim rowie w lesie, i nie mógł się z tego rowu wydostać. Zbliża się noc. Zwierzęta zaczynają być coraz głośniejsze. Las zaczyna żyć swoim życiem. Głosy lasu, szum drzew, ruch drzewa o drzewo, gałęzi o gałąź, głosy zwierząt, głosy niespokojne, pełne gniewu i cierpienia docierają do Walczaka coraz mocniej, coraz intensywniej.

I w końcu Walczak wychodzi z tej dziczy, z tego rowu, bardziej dziczy niż rowu. Udaje mu się to dopiero po kilku próbach. Las jest ciemny, mroczny. Tylko gwiazdy na niebie rozświetlają jakieś cienie w lesie. Cienie drzew, cienie zwierząt schowanych w ciemności tego lasu.

Walczak się czołga, pełza do przodu. Ręce, łokcie ma zdarte, ale wciąż przemieszcza się do przodu. Może do tyłu, tego też do końca nie wie. Nie wie gdzie jest, nie wie gdzie będzie, czy w ogóle gdzieś kiedykolwiek będzie.

Przypomina sobie dawne życie, lepsze życie. Na pewno lepsze niż teraz, niż te w błocie, w wilgotnej trawie, w ciemności lasu. Jednak po chwili dawne lepsze życie od niego ucieka. Znowu zostaje sam ze swoim cierpieniem, ze swoją drogą donikąd.

Jestem stamtąd, idę donikąd, zawsze byłem tylko kimś znikąd, myśli Walczak.

Gdy tak się czołga widzi kształt kogoś, może czegoś przywiązanego do drzewa. Podchodzi, bardziej podczołguje się niż podchodzi do drzewa. Gdy jest blisko, na tyle blisko żeby coś widzieć, widzi człowieka przywiązanego szarym sznurem do drzewa. Nie widzi twarzy tego człowieka, widzi tylko ból i cierpienie. I to mu wystarcza, to mu na ten moment wystarcza.

Księżyc wychodzi zza chmur, rozjaśnia twarz człowieka przy drzewie. Walczak otwiera szerzej oczy. To przecież on jest przy tym drzewie, to przecież on cierpi przywiązany do tego drzewa. Obok tego człowieka, obok tak naprawdę jego leży metalowa rzecz, leży u jego nóg. To sejf. Zimny, metalowy, matowy sejf.

Walczak otwiera jeszcze szerzej oczy. Wstaje i zaczyna biec przed siebie. Tamten on, tamten człowiek krzyczy za nim. „Przed przeznaczeniem nie uciekniesz. Los to ty, los to ktoś, kto zamknął cię w zatrzaśniętej windzie z przeznaczeniem, zamknął na całe życie”.

Walczak wraca do siebie. Wraca do siebie do pokoju. Wraca do stolika pełnego złota i pieniędzy. To wszystko złudzenie, lęki, moje słabości. Przecież człowiek tak naprawdę składa się tylko z lęków, złudzeń i słabości. Tylko czasem składa się z miłości, z nadziei, z wiary. Z wiary najbardziej.

Walczak zauważa, że jego ciało przestało drżeć. Zastygło na chwilę. To nerwy, to tylko nerwy, myśli. Gdy człowiek robi rzeczy niezgodne z sobą, wtedy pojawiają się nerwy, wtedy pojawia się cierpienie. Cierpienie zanurzone w tych nerwach na stałe. Cierpienie zanurzone w tych nerwach na jakiś czas.

Walczak wstaje z krzesła, podchodzi do stołu. Dotyka złota i wtedy, gdy to złoto przenika jego ciało, jego myśli, za drzwiami słyszy jakiś szelest. Odwraca się do tego szelestu, hałasu, może lęku w jego głowie. Ktoś jest za drzwiami, ktoś dotyka jego zamka, jego klamki.

Walczak podchodzi do drzwi. W prawej ręce znów czuje lekkie drżenie, nie tak mocne jak wcześniej, ale też drażliwe, też upokarzające.

Cicho odsuwa wizjer. Na korytarzu panuje ciemność. Światło na klatce jest zgaszone. To złudzenie, myśli, to tylko złudzenie. W mojej głowie, w mojej duszy. Bardziej w duszy niż w mojej głowie.

Światło się zapala, to widzi Walczak przez wizjer, na wprost jego drzwi stoją ludzie, kilku ludzi, a potem pojawia się pukanie w drzwi, lekkie, delikatne, tak delikatne jak ruch myszy w piwnicy w nocy, gdy tam już nikt nie przebywa, gdy tam już nikt nie chce wtedy przebywać.

I to stukanie ma w sobie jakiś niepokój, jakiś zamęt w sobie. Walczak to czuje, ten zamęt, ten niepokój w swojej głowie. To już kolejny raz gdy zamęt i niepokój biorą kontrolę nad jego życiem. Całkowitą kontrolę. Przejmują stery na statku i nic nie da się z tym zrobić. Statek płynie w ciemność, w mgłę, nic nie widać, wiatr jest niespokojny, żadnego brzegu na horyzoncie, żadnej nadziei na coś co zmieni kierunek wiatru, co zmieni kierunek ciemności pomiędzy żaglami i ta przerażona twarz kapitana, twarz która mówi „Płyniemy tam, gdzie nikt nigdy wcześniej nie płynął, płyniemy tam, gdzie jasność będzie coraz rzadsza, płyniemy tam, skąd nie ma powrotu. Stamtąd nikt nigdy wcześniej nie wrócił. To droga donikąd. To droga do ciemności. Bardziej droga donikąd niż droga do ciemności”.

Walczak otwiera drzwi, mężczyzna w skórzanej kurtce, w dzinsach lekko pogniecionych i wytartych, w butach sportowych, granatowych, o twarzy lekko zapadniętej w tył, lekko cofniętej w głąb jego oczu, ten mężczyzna o czarnych włosach mówi:

- Pan Walczak?

- Tak.

- To jest nakaz przeszukania pana mieszkania.

Obcy ludzie wchodzą do obcego dla nich domu. Rozchodzą się jak mrówki po pokojach, jak mrówki które wychodzą z mrowiska, rozchodzą się w różnych kierunkach. Przez chwilę słychać tylko szum tych mrówek a potem następuje cisza – głęboka, mocna cisza. Taka cisza, gdy ktoś nagle dostaje wyrok od lekarza, wyrok ostateczny i ten wyrok jest widoczny na twarzy pacjenta od razu. Widoczny w oczach, w każdym ruchu teraz zapadniętych oczu pacjenta.

Komisarz Rawicz patrzy na stół, na złoto, na sztabki złota, na pieniądze, na naszyjnik z kamieniami, na pierścień z diamentem. Na

pierścień z diamentem Komisarz Rawicz patrzy się najbardziej. Podnosi go po chwili, trzyma w rękach jak dopiero co narodzone dziecko, które jeszcze nie płacze, bo jest za małe i nie ma jeszcze siły płakać, bo jeszcze nie zaznało tak naprawdę bólu życia i cierpienia, które jest jeszcze poza nim, później do niego dotrze, o wiele później. A na razie to dziecko tylko patrzy się na ten ból, na to cierpienie i nic nie mówi. Patrzy się swoimi małymi, niewinnymi, błękitnymi oczami. Patrzy się z ufnością i jakąś dobrocią. Z nadzieją.

- Skąd ma pan te rzeczy? – pyta Komisarz Rawicz.

Walczak przez chwilę patrzy na Komisarza Rawicza, patrzy na jego skórzaną kurtkę, na jego czarne włosy, na jego lekko drgającą powiekę, potem patrzy się na tego drugiego mężczyznę, który stoi obok niego, tego mężczyznę, który pukał do jego drzwi, tego mężczyznę, który też ma skórzaną kurtkę, inny fason ale skórzaną i myśli „To jakaś nowa moda, czarna skóra na ciałach drapieżników”, i gdy ta myśl znika w nim po kilku sekundach, znika tak szybko jak szybko się pojawiła, Walczak mówi:

- Przecież pan wie, Komisarzu – mówi Walczak. – Po co zadawać pytania, na które i tak się zna odpowiedzi. To strata czasu, dla kogoś tak inteligentnego jak pan, panie Komisarzu.

- Zna mnie pan?

- Nie. Ale pana zmęczony wzrok mówi mi, że pan wiele widział w życiu, wiele złego, i to zło jakoś pana ukształtowało, sprawiło, że pan więcej widzi niż inni, więcej rozumie niż inni. To jest jakaś mądrość życiowa. Niestety mądrość życiowa ocierająca się o ciemność, o zło. O niemoc zatrzymania tej ciemności, tego zła za wszelką cenę.

- Dlaczego to zrobiłeś?

- Musiałem. Czasami pewne rzeczy się robi, bo człowiek musi, bo człowiek nie ma wyboru. I nic nie można z tym zrobić. Liczy się wybór, nie samo życie. Życie się wtedy nie liczy, nie liczy się wtedy los, nie liczy się wtedy przeznaczenie. I człowiek wtedy wie, że ten wybór, albo raczej brak wyboru odcisnie się na jego przyszłości tak boleśnie. Może nie od razu, ale kiedyś na pewno. I człowiek się wtedy łudzi, że to, co kiedyś musi nastąpić, zdarzy się później, o wiele później niż myślimy. Najlepiej tuż przed śmiercią, bo wtedy przeznaczenie boli mniej. To co pojawia się tuż przed śmiercią, ma

inny zapach i znaczenie, niż to coś pojawia się wcześniej, o wiele wcześniej. Dotyczy to bólu, cierpienia, czasami rozpacz, ale zawsze dotyczy to przeznaczenia. Przeznaczenia, które tylko czekało na właściwy moment, na właściwy czas.

- A więc, wszystko powiesz na komendzie? Przyznasz się do tego co zrobiłeś?

- Skąd wiedzieliście? – pyta nagle Walczak, bo ta myśl nagle się w nim pojawia, nagle i ostatecznie. Jak jakiś niepokój, jak jakaś zdra w sercu.

- Telefon. Zły telefon. Dla ciebie zły, nie dla nas.

- Telefon – dziwi się Walczak.

- Ludzie uwielbiają krzywdzić innych ludzi. Uwielbiają to robić w rękawiczkach, anonimowo. Anonimowość sprawia, że nie czują się wtedy winni, nie czują się wtedy tak, jakby robili coś złego. Jednak życie nauczyło mnie, że zło to jednak zawsze jest zło, że krzywda to jednak zawsze jest krzywda, że cierpienie to jednak zawsze jest cierpienie. I nic tego nie zmieni. Nawet to, że czasami nie wiemy, kto pierwszy rzuci kamień, kto pierwszy wbije nóż w nasze serce.

Ludzie w granatowych mundurach pakują rzeczy do dużego worka, a potem mówią do Komisarza Rawicza:

- Możemy iść.

- No, to proszę z nami – mówi Komisarz Rawicz do Walczaka, teraz już zakutego w kajdanki.

Wychodzą z domu, gdy są na ulicy, Walczak kogoś zauważa, w bramie. Jakaś znajomą twarz, jakiś znajomy cień. Nie zastanawia się długo, bo już po chwili jedzie samochodem na komisariat.

A ten cień, ta twarz po chwili wychodzi z bramy, wychodzi wtedy, gdy samochód z Walczakiem znika za pierwszym zakrętem.

Komisarz Koziół uśmiecha się do siebie. Czas zawsze określa właściwy moment, właściwą chwilę. Coś się zaczyna dopełniać, coś się zaczyna łączyć. Jakaś sprawiedliwość zaczyna kończyć swój bieg. Bieg, który zbyt długo ocierał się o przeszłość. Zbyt daleką, zbyt zapomnianą przeszłość. Komisarz Koziół wie, że ta przeszłość, która tak naprawdę wciąż była w nim, nie zniknęła. Bo nie mogła zniknąć. Miała w nim trwać, i być z nim aż do końca.

Kara, za każdym człowiekiem stoi jakaś kara. Kara za rzeczy popełnione, za rzeczy niepopołnione. Kara za to, co zrobiliśmy, kara za to, co mogliśmy zrobić, a tego nie zrobiliśmy ze strachu, z tchórzostwa, z obawy, że jesteśmy zbyt słabi, na skutki tej kary w przyszłości. Skutki nieodwracalne.

Sędzia patrzy się na Walczaka raczej smutnym niż pobłażliwym spojrzeniem. W jego oczach widać jakąś głębię, daleką, nieskończoną głębię. Te oczy, oczy sędziego koło sześćdziesiątki, już wiele widziały. Widziały rozpacz, gniew, nienawiść. Widziały litość i pokorę, widziały upokorzenie. Widziały też ból, brak pokory, brak zrozumienia tego bólu właściwie, zrozumienia tego bólu do końca.

- Skazuję pana na... – mówi sędzia, a Walczak już dalej nic nie słyszy, już dalej nic nie chce słyszeć. Dociera do niego tylko końcówka zdania – lat więzienia. – I to lat więzienia dociska Walczaka coraz mocniej do ziemi, dociska tak, jak lokomotywa z wagonami pełnymi węgla dociska szyn, dociska tak, jak źli ludzie dociskają człowieka, który jest im coś winny, a on już nie ma pieniędzy i oni to widzą w jego oczach, ten brak pieniędzy teraz, ten brak pieniędzy kiedyś.

- Wychodzimy – mówi policjant do Walczaka, policjant lekko zgarbiony, niski, tak zgarbiony jakby całe swoje życie się komuś kłaniał, jakby całe swoje życie używał swoich słów, zdań, prośb z jakąś obawą, z jakimś lękiem, takim lękiem, który niszczy, ale nie zabija, nie zabija od razu, nie zabija nagle. Teraz.

Gdy jadą samochodem do więzienia Walczak widzi rozmazane miasto za szybą. Widzi miasto połamane jak on, popękane jak on, widzi miasto które jeszcze żyje, ale ledwo, tak ledwo jak on, widzi miasto zranione, miasto z otwartymi ranami, które już nie można niczym zaleczyć, bo nic tak naprawdę już nie pomaga, nie może pomóc tym otwartym już zbyt długo ranom, widzi miasto samotne, tak samotne jak on, miasto pełne przygaszonych okien, mrocznych okien, takich okien z których już nikt nie spogląda na świat, na życie, na ludzi, bo już w tych oknach nikt tak naprawdę nie mieszka od dłuższego czasu, mieszkają tam tylko cienie, kształty, stłumione oddechy, ciała, takie ciała które nie mają już siły oddychać, nie mają

już siły dalej iść do przodu, nawet do tych niewidzialnych prawie okien, nawet do tych rozmazanych odbić twarzy w lustrach domu.

Pierwsze dni są najgorsze dla Walczaka. Nowe miejsce, nowi ludzie. Ludzie, których Walczak nie chciałby znać w normalnym życiu, ludzie, z którymi Walczak będzie musiał już żyć w tym życiu. Nie tamtym, tym życiu.

I oni to czują, tą nienawiść Walczaka do tych ludzi, do tych miejsc. Odsuwają się od niego. Czują, że Walczak ma coś niebezpiecznego w sobie. Że to coś może w nim kiedyś pęknąć, że wtedy, podczas tego pęknięcia, może wydobyć się z niego jakaś nienawiść, i nic już nie będzie można wtedy z nim zrobić, nic zrobić z tą nienawiścią w jego oczach. Boją się go.

Ludzie z nienawiścią w oczach to ludzie niebezpieczni. Ludzie z nienawiścią w oczach to ludzie ostateczni. I oni właśnie boją się tej ostateczności w oczach Walczaka.

Czas, Walczak wie, że czas będzie miał w tym miejscu kolosalne znaczenie. Czas nieokreślony, czas powolny, czas zastygły, czas ostateczny. Całe życie Walczaka teraz to jeden wielki zegar, chodzący zbyt wolno do przodu zegar. Wskazówki ledwo, z jakąś siłą przygniatającą je do ziemi, poruszają się do przodu. Prawie ciągle w dół, prawie nigdy do góry.

Godziny, minuty, sekundy i nic. Godziny, minuty, sekundy i cisza. Godziny, minuty, sekundy i noc. W końcu noc. Noc to początek jednego, a koniec drugiego. Noc to nadzieja, że jutro będzie lepiej, choć każdy wie, że nie będzie. Nie będzie w tym miejscu, nie będzie w tym czasie. Noc to oczekiwanie na sen, na wolność. Sny to wolność w więzieniu, to ucieczka do życia poza więzieniem. Sny w więzieniu są inne, niż sny na wolności. Walczak to wie, więc zasypia ciężko, z duszą połamaną na setki małych kawałków. Pokruszonych kawałków.

Piszę, znów piszę szybko, ostatecznie. Ostatecznie, bo już jestem na końcu mojej książki. Już widzę światło w tunelu mojej wyobraźni. Znów czuję pod palcami, że trzy klawisze w maszynie do pisania się ruszają, cały czas tańczą, kiwają się na boki jak jakaś czapla na jeziorze, tuż przy samym brzegu, czapla podczas polowania. Boję

się, że za chwilę wypadną z maszyny do pisania i nie będę mógł skończyć swojej książki. Że coś się urwie, coś pęknie.

Palce mi drętwieją, przeciągam się na krześle. Odpoczywam. Moje mięśnie odpoczywają. Odpoczywam cały ja. Cały ja, całym sobą.

Czuję się taki udręczony, nieobecny, myślę w ciszy. W ciszy we mnie, w ciszy poza mną. Czuję, że nieustannie wciąga mnie w kierunku ciemności jakiś W I R. I ten W I R to jestem ja. I ten W I R to ktoś, kto nigdy nie będzie mną, kto nigdy nie mógłby być mną.

Wracam do pisania. Nie mogę się jednak skupić. Skupienie to mój wróg. Skupienie to moja jedyna nadzieja.

Za drzwiami słyszę jakiś hałas, może jakieś krzyki, nie, to jednak bardziej hałas niż krzyki.

Otwieram nieśmiało drzwi, widzę korytarz, idę nim powoli, jakoś sennie. Całe moje życie to jeden wielki sen. Sen jakiejś nieobecności mnie w moim własnym życiu.

I nagle go zauważam, idzie korytarzem, idzie powoli, też tak sennie jak ja.

Brunet, wzrok nieobecny, jakiś obcy, jakiś niebezpieczny, może jakiś groźny. Rozpoznaję go, to Walczak, zbliżam się powoli do niego i gdy jestem na jego wysokości, gdy nasze cienie na korytarzu się krzyżują, chwytam go za gardło, chwytam tak, że nie może oddychać. Jego oczy patrzą się w przerażeniu w moje oczy. Zaczynają powoli gasnąć na moich oczach.

- Rozpoznajesz mnie? – pytam poprzez swój wulkaniczny oddech, bo mój oddech teraz to gorąca lawa, to jakieś napięcie, niebezpieczne napięcie, to jakiś żar. – Rozpoznajesz mnie? Pamiętasz Katarzynę, moją dziewczynę? – gdy wymieniam jej imię coś w nim pęka, coś w nim się rozjaśnia, jego oczy coś zauważają w sobie, coś z daleka, coś z przeszłości. – Zabiliście ją, ty i twoi koledzy – cedzę słowa, są jak noże, są jak żyłki. – Dlaczego zniszczyliście w niej, we mnie całą naszą przyszłość. Jedna śmierć, a tak wiele zmieniła rzeczy w ludziach, we mnie – każde kolejne słowo go kaleczy, niszczy, widzę jak krwawi. Widzę to w jego oczach.

- Widziała coś, co nie powinna nigdy widzieć – cedzi cicho każde słowo Walczak. – Widziała to przez przypadek – Walczak dyszy, poluźniam uścisk ręki na jego gardle. – Śmierć tego chłopca to był

czysty przypadek, a ona nie chciała w to uwierzyć, nie potrafiła zrozumieć, że pewne rzeczy, złe rzeczy dzieją się często przez przypadek. Nie chciała tego zrozumieć pomimo naszych próśb.

Znów mocniej naciskam jego szyję, Walczak zaczyna się dusić, jego twarz staje się czerwona, tak czerwona jak czasami czerwone jest niebo w lecie, zaraz po burzy.

- I dlatego ją zabiliście? Za brak zrozumienia?

- Nie chcieliśmy iść do więzienia. Byliśmy młodzi, często nieobecni przez używki, ale młodzi. I ona chciała zniszczyć tę naszą młodość, tę nieobecność. Zniszczyć za wszelką cenę. Nie mogła zrozumieć, że nawet zło może mieć jakąś przyszłość, gdy ktoś będzie potrafił o tym źle zapomnieć na jakiś czas. Na dłuższą chwilę.

Poluzniam uścisk na jego szyi. Twarz odzyskuje dawny kolor, oczy odzyskują dawny blask. Zły blask.

- Czasami jedna śmierć ciągnie za sobą drugą śmierć – mówię to głosem suchym, nieobecnym, jakby to mówił ktoś inny, nie ja, jakby to mówił jakiś cień we mnie, cień który do tej pory milczał, który się tak dobrze we mnie maskował, jak jakiś szpieg, jak jakaś zagubiona sprzed kilku lat osoba. – I nic nie jest w stanie tego zmienić, zatrzymać. Ani my, ani samo życie. Ciemność zawsze przyciąga inną ciemność do siebie. Przyciąga pomimo jasności, która wciąż jest w człowieku, która musi być przeciwieństwo w każdym człowieku.

I po tym ostatnim zdaniu wyduszonym jakby na siłę z moich ust, coś we mnie w środku pęka, coś decyduje za mnie, decyduje ostatecznie. Co mam zrobić, co muszę zrobić.

Zaciskam coraz mocniej ręce na jego gardle. Walczak znów jest czerwony jak jakiś ogień. Jego oczy zaczynają płonąć, całe jego ciało zaczyna płonąć. I gdy ten ogień ma go w końcu spalić, zniszczyć, gdy Walczak ma się zmienić w popiół, czarny, ciemny, śmierdzący ogniem popiół, ktoś mnie chwyta z tyłu za ręce. Odciąga od Walczaka. Widzę jak Walczak upada na ziemię, na jasny, popękany korytarz, widzę jak głęboko Walczak oddycha na tym jasnym, popękany korytarzu. Jak bardziej dyszy niż oddycha, jak bardziej stara się chwytać każdy oddech niż uciec w ciemność. Widzę to wszystko coraz bardziej oddalony przez czyjeś ręce od ciała Walczaka. Ciało wciąż żyjącego.

I te ręce ciągną mnie przez korytarz do mojego pokoju, może do mojej celi, bardziej chyba pokoju niż celi. A może odwrotnie, tego wciąż nie wiem, tego wciąż nie jestem pewien.

I te ręce wciągają mnie do środka, i te ręce rzucają mnie na stół, gdzie stoi maszyna do pisania. Upadam, leżę na podłodze. Z nienawiścią odwracam się do tych rąk, tak uparcie przed chwilą wbitych w moje ciało.

Wstaję, patrzę się z nienawiścią na te ręce, ręce zadające ból mojemu ciału, widzę ubranie granatowe, przybrudzone ubranie, może przybrudzone moją nienawiścią, moim bólem, tego do końca nie wiem, nie rozumiem, podnoszę wzrok wyżej i widzę oczy tego człowieka, człowieka w granatowym ubraniu, oczy przerażone, oczy rozbiegane, a potem mówię, krzyczę i mówię:

- To on zniszczył moje życie! Zabił je, zanim się naprawdę zaczęło! – krzyczę, a ten krzyk wychodzi z jakiejś ciemności, która była we mnie zawsze, w środku, schowana gdzieś głęboko, w ciemności skurczonej jak małe ziarno, które nigdy nie mogło urosnąć, zakwitnąć, ale zakwitło, nagle, teraz i to ziarno, ta ciemność zaczęła krzyczeć do świata, do ludzi, zaczęła krzyczeć moimi ustami, moimi oczami, całym moim ciałem.

- Ty wiesz, w ogóle kim jesteś, jak się nazywasz, co tutaj robisz? – krzyczy, bardziej pyta niż krzyczy strażnik więzienny, krzyczy człowiek w granatowym ubraniu.

- Jestem pisarzem, znanym pisarzem, jestem tutaj, bo chcę, bo mogę, bo robię to dla książki, dobrej książki, robię to dla literatury, która przetrwa czas, przetrwa ludzi. Mogę stąd wyjść, kiedy zechcę. To jest moje poświęcenie, że jestem tutaj. To wszystko co robię to jest moja dobra wola, to moje chęci, moje wyzwanie.

Strażnik się uśmiecha, jego oczy powoli się uspokajają, nie ma w nich już gniewu, niepokoju, niechęci, nie ma przerażenia, nie ma rozbiegania.

- Nie jesteś żadnym pisarzem. Nigdy stąd nie wyjdiesz. Jesteś mordercą. Zabiłeś dwóch ludzi i tego na korytarzu też chciałeś zabić, ale nie zdążyłeś, nie starczyło ci na to czasu. Najpierw chciałeś go zniszczyć, a potem zabić. Liczyłeś, że więzienie go bardziej zniszczy niż ty, a potem i tak chciałeś go zabić – oczy strażnika mają w sobie jakąś ulgę, zawierają całą prawdę którą teraz powiedział.

– Ta książka to twoje życie, to złe rzeczy, które robiłeś, które chciałeś robić. Twoje życie to ciąg złych rzeczy, które uparcie ciągnęły cię w kierunku ciemności. Są ludzie, którzy powinni wcześniej umrzeć, zanim zrobią złe rzeczy w życiu. Tak byłoby lepiej dla tych ludzi, dla innych.

- To nieprawda! Jestem pisarzem, dobrym pisarzem! Jestem sobą, dobrym sobą! Nie tym kimś, kto jest w mojej głowie, w mojej książce!

- Ta książka to twoje życie, prawdziwe, bolesne życie. To złe rzeczy, które zrobiłeś, bo może musiałeś je zrobić, by ci dały jakąś ulgę, pozorną ulgę, by zabiły twój ból na jakiś czas, przykryły go jakimś niebieskim kurzem. Ta książka to ty, to nie jest żadna twoja wyobraźnia, która nieświadomie utkwiała w twojej głowie. Taki naprawdę jesteś, taki jak ta książka – mówi strażnik głosem jak żyletka, która tnę rzeczywistość jak czarną tkaninę na małe paski, na niewielkie, poszarpane skrawki rzeczywistości. – Taki jesteś, czy tego chcesz, czy nie.

- Gdzie jest rzeczywistość? – chwytam się za głowę jak za zbędny element mojego ciała, jakbym chciał ją odrzucić od siebie i zapomnieć, choć na chwilę zapomnieć o tym, co przed chwilą usłyszałem. – Gdzie są prawdziwe granice rzeczywistości? We mnie, poza mną?

- Chodzili za tobą od dłuższego czasu. Połączyli pierwszą śmierć, nazwisko, połączyli drugą śmierć, nazwisko. Znaleźli trzecie nazwisko pasujące do tych dwóch nazwisk, do tej układanki. Znaleźli sprawę z przeszłości, śmierć tej dziewczyny, znaleźli to wasze miasteczko, ten okres sprzed matury i to wszystko połączyli z twoim nazwiskiem, z tobą. I gdy to już wiedzieli, czekali. Byli z tobą, za tobą, czasami przed tobą przez cały czas. Naprawdę nie czułeś czyjejś obecności koło siebie? – dziwi się strażnik, i to zdziwienie jest szczere, mocne, mocne ale szczere.

- Myślałem, że to moje lęki. Że te cienie to cena jaką muszę zapłacić za rzeczywistość, za przeszłość zanurzoną w tej rzeczywistości.

- Wiem, że oni być może zasłużyli na śmierć, za to co zrobili. Że ich ojcowie, ten ich mały świat, ta mała społeczność mogła więcej zrobić dla siebie niż dla innych. Oni byli tam kimś, ty byłeś tam ni-

kim. Ludzie, którzy mają władzę mogą robić więcej niż inni. Mogą sobie pozwolić nawet na bezkarność. Mogą ukryć wszystko co chcą, gdy przyjdzie zły czas, złe okoliczności. Ludzie przy władzy to ludzie żyjący za mgłą, za mgłą bezkarności. Kiedyś to zrozumiesz, albo zrozumiałeś to już wcześniej, ale nie chciałeś szerzej otworzyć oczu. Bo nie umiałeś, bo się bałeś, bo czuleś, że to szersze otwieranie oczu zniszczy twoją rzeczywistość o wiele bardziej niż samo życie. Że to otwarcie sprawi, że ból wejdzie do ciebie do środka, wejdzie zbyt głęboko, i ty z tym bólem nie będziesz mógł już nic zrobić, bo ten ból ukryje się tak w tobie, że nikt, nigdy, żaden Bóg, żaden człowiek, żadna kobieta go nie znajdzie, nie wyciągnie z ciebie i te twoje szerzej otwarte oczy zgasną na zawsze. A potem będzie tylko obojętność. Najgorsza rzecz, jaka może spotkać człowieka zranionego. Obojętność schowana w rzeczywistości. Naszej rzeczywistości.

Tracę na chwilę oddech. Duszę się. Tracę na chwilę oddech, jakiś wiatr, nawet nie jeden wiatr, lecz kilka wiatrów tańczy we mnie, niszczą się wzajemnie, przenikają, szarpia w środku jak jakieś duchy, złe duchy.

Podnoszę wzrok wyżej, o wiele wyżej. Coś do mnie dociera. Powoli, ale dociera.

Może ja wciąż jeszcze leżę koło martwej Katarzyny, tego dnia, na tej ziemi, suchej ziemi. Leżę i milczę. I wiem, że już nigdy więcej się nie podniosę. Zostanę z nią tam już na zawsze. I tak będę leżał i milczał. Milczał i leżał. A ona tylko będzie się na mnie patrzeć obojętnymi oczami, martwymi oczami. Będzie się patrzeć i milczeć. Tak jak ja.

A wszystko co później się zdarzyło, bo musiało zdarzyć, bo pewne rzeczy się zdarzają, wypełniają człowiekowi jakiś los, jakieś przeznaczenie, to co się później zdarzyło tak naprawdę nic we mnie nie zmieniło. Bo ja wciąż leżałem przez cały przy Katarzynie, na tej suchej ziemi. Leżałem i nie mogłem się podnieść. Bo pewne rzeczy z przeszłości niszczą człowieka na zawsze. I nic tego nie zmieni, ani czas, ani życie.

Gdyby ona żyła, zawsze by mnie podnosiła, zawsze by mnie wzięła za rękę i uniosła wyżej, trochę wyżej, bo ona wiedziała, że ludzi się podnosi gdy upadają, unosi gdy ktoś kogoś kocha, bo mi-

łość unosi całe zło do góry i niszczy to zło swoją siłą, niszczy nie-odwracalnie.

A ja w swojej naiwności łudziłem się, że będzie inaczej. Że potrafię żyć sam, bez niej. Bez pewnych ludzi nie da się żyć. Nie da się iść do przodu. Możemy się tylko czołgać, ale to nie ma nic wspólnego z drogą, to nie ma nic wspólnego z ruchem do przodu.

- To, że Walczak się tutaj znalazł to czysty przypadek, to błąd – przez moje myśli, złe myśli przedziera się głos strażnika. – On był w innym więzieniu, ty byłeś w innym więzieniu i tak już miało pozostać aż do końca. Trafił tutaj na dwa dni, jest tutaj przejazdem, miał jechać po tych dwóch dniach do innego więzienia. Ludzie się mylą, strażnicy też. Jutro stąd wyjedzie i więcej się nie zobaczycie. Nie powinniście się już nigdy spotkać, a już na pewno nie w tym świecie, nie w tej rzeczywistości.

Znów stoję prosto w celi, stoję w lekkim rozkroku, podnoszę maszynę do pisania do góry, trzymam ją niczym król berło wysoko, widzę przerażone oczy strażnika, który powoli cofa się pod ścianę, przytula się do ściany plecami jak ktoś kto wisi na skale, na łamiącej się gałęzi na skale, a pod skałą jest morze, ciemne granatowe morze.

I gdy tak stoję, gdy tak trzymam maszynę do pisania nad swoją głową, gdy oczy strażnika patrzą na mnie z przerażeniem, z lękiem jakiego nie widziałem nigdy u żadnego człowieka i gdy robię krok do przodu w kierunku strażnika, coś sobie przypominam, coś nagle do mnie wraca, wraca ze zdwojoną siłą.

Widzę Kozyrę, słyszę muzykę, widzę ubikację, ładną, pachnącą i ta muzyka, ten strach w oczach Kozyry, strach gdy strzykawka mu coś zabiera, coś cennego, zabiera mu całą przyszłość, niszczy całą nadzieję, widzę to dokładnie poprzez muzykę, dobrą muzykę, muzykę która mnie przenika, która sprawia, że moja skóra drży, drży aż do dzisiaj.

Widzę Pikero, widzę Planty, widzę drzewo, sznur, widzę broń w mojej ręce. Zmuszam Pikero do zawieszenia sznura na jego szyi, on coś krzyczy, o litości, o przebaczeniu, nie słyszę jego słów dokładnie, bo nie chcę ich słyszeć. Bo coś ze mnie uciekło, gdy leżałem cicho płacząc koło Katarzyny i to coś sprawiło, że słowa przebaczenie, litość już nic dla mnie nie znaczyły, bo być może nigdy tak naprawdę nic dla mnie nie znaczyły.

To wszystko widzę teraz, widzę dokładnie, widzę sekunda po sekundzie. Bo życie tak naprawdę składa się z sekund, nieszczęśliwych ciągnących się w nieskończoność sekund. Sekund, które zostają z człowiekiem już na zawsze.

Widzę Walczaka, widzę skradzione rzeczy w jego pokoju, widzę jego zdziwioną twarz, która nie wie, co go jeszcze spotka w przyszłości w więzieniu. Bo więzienie to dopiero początek dla Walczaka, to początek końca Walczaka. W więzieniu Walczak nauczy się cierpieć, by potem prawdziwe cierpienie mogło się do niego zbliżyć. Zbliżyć ostatecznie, zbliżyć w odpowiednim czasie.

To wszystko widzę i drzę. Całe moje ciało teraz drży. Drży wraz z maszyną do pisania w moich rękach, wciąż uniesionych rękach do góry.

- Wszystko się skończyło wraz z jej śmiercią! – krzyczę i ten krzyk unosi się wysoko do góry, potem ten krzyk wypływa z celi, kołysze się nad budynkiem więziennym i znika nad miastem, i znika dalej, o wiele dalej niż miasto, o wiele dalej niż horyzont.

Strażnik drży coraz mocniej, coraz ciszej przy ścianie. Ja drzę, on drży, cały pokój zaczyna drzeć wraz z nami. Jakiś W I R wciąga nas razem w nieznanym kierunku. W I R który jest wszędzie, W I R który jest nigdzie. W I R który jest w mojej głowie, W I R który jest poza moją głową. Całe moje życie to jeden wielki W I R z którego nie mogłem się nigdy wydostać, bo nie miałem wystarczająco dużo siły, wystarczająco dużo nadziei w sobie. Bo żeby uciec z takiego wiru człowiek potrzebuje nadziei. Bo bez nadziei nie da się żyć. Nie da się żyć wystarczająco długo.

- Wybaczam ci! Tak bardzo nienawidzę siebie, że ci wybaczam! – krzyczę i ten krzyk sprawia, że pokój przestaje drzeć, strażnik przestaje drzeć, ja przestaję drzeć.

I gdy następuje cisza, taka cisza, która pojawia się tuż przed burzą, tuż przed sztormem, rzucam maszyną do pisania przed siebie. Strażnik zasłania twarz rękami, zamyka oczy. Maszyna upada tuż przed strażnikiem.

Czuję, że wszystko się łączy – życie, czas, przeszłość.

Życie to fikcja, fikcja to życie. A my w tej fikcji musimy uczestniczyć, pomimo ran, które nieustannie ocierają się o tę fikcję.

Patrzę na podłogę, patrzę na maszynę do pisania. Maszyna wciąż jest cała, lekko wgnieciona ale cała. Wypadły z niej tylko trzy klawisze, małe trzy metalowe klawisze. Klękam koło maszyny, patrzę z uwagą na te trzy małe metalowe klawisze. Leżą tuż koło siebie, równo, prawie idealnie, prawie połączone są ze sobą jak bracia, jak siostry, jak jakaś para, która nie może bez siebie żyć. Nie może bez siebie istnieć.

Spoglądam w okno, bardziej za okno niż w okno. Widzę słońce, czerwone słońce na niebie. Słońce przenika całe miasto swoją czerwienią. Miasto wygląda jak czerwona pustynia, jak jakaś odległa planeta zanurzona w różnych odcieniach czerwieni.

Mury miasta są czerwone, ulice są czerwone, twarze ludzi mienią się w różnych odcieniach czerwieni. Gołębie na rynku jedzą czerwone ziarna z ulicy. Nawet pośpiech zaczyna ocierać się o czerwony kurz w powietrzu. Drzewa zaczynają rodzić czerwone liście na gałęziach.

I nagle zaczynam wszystko rozumieć. Odejście człowieka zawsze wiąże się z jakimś odcieniem czerwieni. Odejście człowieka zawsze wiąże się z tym co jest bliskie, co jest dalekie człowiekowi.

Gdy upadam na bok, widzę napis na podłodze, a potem na mojej twarzy pojawia się zdziwienie. Serce zaczyna bić coraz wolniej. Oddech się wycisza, zastyga we mnie powoli, gaśnie jak ognisko tuż nad samym ranem. Staję się popiołem. Staję się szarym, opuszczonym przez wszystkich popiołem. Leżę na boku i patrzę się na ten napis na podłodze, na te trzy małe metalowe klawisze. Leżą tuż koło mojej twarzy, która powoli zaczyna odpływać w niepamięć. W ciemność. W mrok.

- W I R – ostatnim oddechem czytam napis na podłodze, i wiem, że ten napis teraz więcej dla mnie znaczy niż kiedyś. Teraz dopiero rozumiem ten napis właściwie, teraz rozpoznaję jego treść tak do końca. Teraz dopiero przenika mnie prawdziwe znaczenie tego napisu, tych liter.

- W I R – mówię i zamykam oczy.

Jestem daleko, bardzo daleko. Jestem coraz dalej od siebie, od innych, od przeszłości. Uciekam. Odległość jest za mną, odległość jest poza mną. Poza czasem. Czas, to teraz tak dobrze rozumiem.

Czas, to teraz tak dobrze czuję w zastygającym coraz bardziej ciele. Moja głowa dotyka ziemi. Dotyka ziemi, tej ziemi, która dotykała też ciała Katarzyny.

Leżymy teraz razem, obok siebie, tam, przed maturą, tam, przed tym wszystkim, gdzie to się miało zacząć, a się skończyło. Leżę ja, leży Katarzyna. W końcu razem. W końcu połączeni ze sobą. Ostatecznie. Aż do końca...

Dziękuję ci za wszystko, Katarzyno. Dziękuję ci za pustkę, za wypełnianie tej pustki sobą, całą sobą. Dziękuję ci za ból, za wypełnianie tego bólu sobą, całą sobą. Dziękuję ci za miłość, za wypełnianie tej miłości sobą, całą sobą. Dziękuję ci za brak miłości, za wypełnianie tego braku miłości sobą, całą sobą.

Przestaję oddychać. Przestaję czuć. Przestaję widzieć. Przestaję być. Znikam. Uciekam w niepamięć...